

OGIEŃ WŚRÓD NOCY

EPICKA OPowieść O WOJNIE,
MIŁOŚCI I PRZYJAŹNI



TERESA MESSINEO

Prószyński i S-ka

TERESA MESSINEO

O G I E Ń
W Ś R Ó D N O C Y

Przełożyła
Hanna Pasierska

Prószyński i S-ka

Dla Siostry Jonathan Moyles

ze Zgromadzenia Sióstr Chrześcijańskiej Miłości

za to, że dała mi drugą szansę.

A Pan szedł przed nimi podczas dnia jako słup obłoku, by ich prowadzić drogą, podczas nocy zaś jako słup ognia, aby im świecić, żeby mogli iść we dzień i w nocy.

Księga Wyjścia1

1 Księga Wyjścia 13, 21, Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, Wydawnictwo Pallottinum, Poznań – Warszawa 1980 (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

Czas wojny

JO MCMAHON

WIOSNA 1945, FRONT ZACHODNI

Największym problemem były dłonie. Otarte, popękane i krwawiące, nie nadawały się goić. Przed namiotem wybuchł pocisk – ktoś krzyknął, ktoś się roześmiał, ktoś rzucił tylko „kurwa”. Jo chwyciła stojący przed nią chwiejny regał, przywarła całym ciałem do zsuwających się białych pudełek, udem wepchnęła na miejsce butelki z brązowego szkła. Generator zazgrzytał, światła zamigotały, zgasły, po czym zapaliły się znowu. Przesunęła dłońmi po najwyższej półce, szukając zabłąkanego pudełka z penicyliną, które ktoś mógł przeoczyć w pośpiechu pakowania, gdy przyszedł rozkaz, by się zwijać. Jej ręce poruszały się wprawnie, doskonale świadome, co zamierzają wymacać. Przyłapała się na tym, że obserwuje je z roztargnieniem, jakby należały do kogoś zupełnie innego – do odważnej i szlachetnej bohaterki powieści albo filmu; kobiety, której dłonie są może brzydkie, za to jej twarz rozświecła niezwykły blask; osoby, którą darzyłaby zarazem współczuciem i podziwem; którą mogłaby zostawić w kinie albo zamknąć między okładkami książki, by nie myśleć o niej nigdy więcej. Będzie musiała coś zrobić ze swoimi dłońmi.

Tak naprawdę winne były operacje. Mycie w misce z lodowatą wodą, ostre mydło wżerające się w popękana skórę, grube brązowe rękawiczki ocierające kostki do krwi, gdy zrywała je pośpiesznie między jednym a drugim pacjentem. Nie potrafiła wymyślić żadnego sposobu, by temu zaradzić, by tego uniknąć. Jej obolałe palce zamknęły się na nieuchwytnym pudełku, odwróciła się akurat w chwili, kiedy zabrzmiał drugi wybuch – tym razem od jej gorszej strony, po której pękł jej bębenek w uchu, gdy statek szpitalny Newfoundland szedł na dno. Straciła równowagę i ciężko runęła na zimną ziemię w namiocie. Wepchnęła lekarstwo do kieszeni spodni z rozporkiem na sześć guzików – męskich, zapinanych na nie tę stronę – i przykucnęła, by zawiązać but. Pomyślała, że pielęgniarkom przydałyby się wojskowe trzewiki, choć i one nie wystarczyłyby na to błoto, ponieważ śnieg najmroźniejszej w dziejach europejskiej zimy, tając, zmieniał się stopniowo w coraz bardziej nieprzebytą maź. Ekspłodowały dwa kolejne pociski, nie tak blisko jak ostatni, lecz nadal, zauważyła mimochodem, o wiele za blisko – bliżej nawet niż w Anzio, a tam zdawało się, że lecą prosto na nich. Odłamki przelatywały przez niestanowiące żadnej przeszkody płótno namiotów, zabijając chirurgów tam, gdzie stali; sanitariusze odciągali jeszcze ciepłe ciała i wciskali hełmy na głowy pozostałym lekarzom oraz pielęgniarkom podejmującym pracę w miejscu, gdzie tamci przerwali.

Teraz, w tę lodowatą noc, linie frontu musiały przesunąć się znowu, zbyt szybko, i znaleźli się tuż obok walczących. Być może wróg nieoczekiwanie przebił się w centrum, formując nowy front, a oni znajdowali się niedaleko, na jego linii albo może tuż za nią. Nigdy nie będą przebywać blisko działań, zapewniano pielęgniarki podczas szkolenia –

a jednak przebywały, kolejny raz. Jo pamiętała, jak zarekwirovano im ciężarówkę, obiecując, że zostaną przewiezione inną. I jak czekały cierpliwie przy małym kurniku gdzieś w południowych Włoszech, opierając zmęczone plecy o przesycone słońcem, bielone ciepło – aż po wielu godzinach, kiedy kury z ociąganiem wróciły na grzędy, spostrzegły amerykańskich zwiadowców ostrożnie czołgających się w ich kierunku przez chwasty. Spytali, co tu robią: skoro oni, zwiadowcy, tworzą pierwszą linię linii frontu, to jakie zadanie, u diabła, wypełniają pielęgniarki? Albo w Tunezji, gdy czekając na ciężarówkę mającą zabrać ostatnich rannych, obserwowały kobiety i dzieci uciekające gruntową drogą na piechotę lub siedzące niepewnie na grzbietach wielbłądów zmuszonych do niechętnego klusa. Zamykający tyły żandarmi na motocyklach zaczęli wrzeszczeć na dziewczęta, czy zdają sobie sprawę, że są w odległości zaledwie piętnastu kilometrów od niemieckich czołgów, oddzielone od nich wyłącznie pustą przestrzenią. Ale nie mogły zostawić rannych.

– Ilu zostało?! – krzyknął ktoś na zewnątrz w deszczu, zatraskując drzwiczki ciężarówki pracującej na jałowym biegu. – Ile to jeszcze może potrwać?!

Dłużej, niż wytrzymam, pomyślała Jo ze znużeniem. *Dłużej, niż ktokolwiek jest w stanie wytrzymać*. Zrzucone przez Niemców ulotki propagandowe, które chłopcy zbierali, ukazywały wyczerpanych amerykańskich jeńców pracowicie ryjących na ścianach cel kreski, by oznaczyć datę – 1955. Dziesięć lat. Uśmiechnęła się gorzko, myśląc o optymizmie rysownika Osi. Będzie miała szczęście, jeśli wytrzyma jeszcze dziesięć miesięcy. Miała niespełna dwadzieścia sześć lat, a w jej włosach już się pojawiły stalowoszare pasma i straciła dwa zęby z powodu niedożywienia. Kiedy zaczęły im wypadać trzonowce, Queenie zapewniła kapitana, że to drobiazg. Gdy jednak dziewczęta (zawsze nazywała pielęgniarki znajdujące się pod jej opieką „swoimi dziewczętami” – i były nimi sercem i duszą) zaczęły tracić także przednie zęby, cóż, okazało się, że ma coś do powiedzenia. I otrzymały większe dawki witaminy C.

Na zewnątrz ktoś krzyknął: „Odwrót!”, głosem zbyt wysokim i piskliwym jak na mężczyznę, brzmiał raczej jak wystraszona uczennica. „Wycofać się, odwrót!”, wrzasnął znowu, jakby ktokolwiek potrzebował zachęty, jak gdyby wszyscy już nie biegli, nie przepychali się, wystraszeni. *Wam to dobrze*, pomyślała apatycznie, słysząc zapalane silniki, mężczyzn klnących na siebie w gorączkowym pośpiechu, by się zwijać, i głośnie mlaskanie ich kroków w lepkiem błocie. „Po prostu się odwróć i zmiataj, smarkaczu”. Kiedy to powiedziała na głos, poczuła się nagle niewiarygodnie doświadczona i niewiarygodnie stara, a przede wszystkim niewiarygodnie zmęczona. „Muszę najpierw wyprawić cały szpital”.

Nie zawsze tak było. Nie zawsze taka była. Kiedyś miała śliczne dłonie – w czasach, gdy cała wyglądała uroczo, gdy była całością. Była wtedy młoda i miała krągłości – zbyt skromne, jak sądziła, ale dobry Boże, jeśli ją porównać z obecną kościstą i kanciastą Jo, prezentowała się niczym Rita Hayworth. Skórę miała gładką, ciało sprężyste i pełne. Mocno splecione lśniące kasztanowe włosy zdradzały ojca Irlandczyka; o brązowej smudze przecinającej błękitną tęczę jej lewego oka matka Włoszka mówiła zawsze, że widzi w niej swój ślad. Giuseppina Fortunata „Jo” McMahon. Czowała się okropnym mieszkańcem, dorastając na Brooklynie, gdzie każdy żywiłowo utożsamiał

się ze swoim pochodzeniem etnicznym. Nie była w pełni ani tym, ani owym, lecz w jakiś sposób jednym i drugim. Modliła się zarazem do świętego Patryka i świętego Gennaro. Jadała lasagne i peklowaną wołowinę z kapustą. Po niemal dwóch latach korzystania z kuchni polowych i spożywania wojskowych racji nie potrafiła myśleć o normalnym jedzeniu. Było to nie do zniesienia.

Weszła do ostatniego stojącego namiotu medycznego, pozostałe mozolnie opróżniono i ociekające wilgocią spakowano na ciężarówki, które już odjechały. Po wielu godzinach załadunku zostało tylko sześciu pacjentów, leżących na ustawionych na kozłach noszach i czekających na przewiezienie głębiej na tyły. Z jakim zapałem Jo i inne młode pielęgniarki wbijały sobie do głowy etapy łańcucha transportowego, kiedy zgłosiły się na ochotnika do wojskowego korpusu medycznego! Linia frontu. Przeszkolony pomocnik medyczny. Posterunek zbiorczy. Punkt opatrunkowy. Szpital polowy. Szpital ewakuacyjny. Szpital ogólny. Bezpieczeństwo. „Żaden oficer płci żeńskiej w żadnych okolicznościach nie znajdzie się bliżej frontu niż w szpitalu polowym”. Jo pamiętała, że to ostatnie zdanie w podręcznikach podkreślono, jakby to było nie do pomyślenia, jakby można to było zagwarantować – jakby wojna nie znajdowała się o krok od kompletnego chaosu, jak gdyby sama Jo, służąc w szpitalu polowym, właśnie w tej chwili nie znajdowała się na linii frontu. Z brązowego tekturowego pudełka wysypała na dłoń kilka tabletek i po raz tysięczny przeczytała, nie czytając: Penicillin G, 250 000 jednostek, Chas. Pfizer & Co. Inc. N.Y., N.Y., wspominając czasy, gdy nie wiedziała, jak brzmi skrót od imienia Charles, i zastanawiała się, dlaczego jakaś amerykańska matka ochrzciła syna Chas. Uniosła głowę jednemu z przytomnych pacjentów – przytomnemu, nawet jeśli mającemu – nieszczęsnemu Szkotowi w kilcie, wyglądającemu niedorzecznie pośród amerykańskich szeregowców. „Proszę, spróbuj to przełknąć, żołnierzu”, powiedziała, przykładając mu manierkę do ust. Walczył z nią, bezradnie machając rękami i przeklinając w swoim prywatnym języku stojące za jej plecami widma. Tyfus postępował jednak szybko – nie aż tak szybko, by chory cierpiał na budzące grozę konwulsje, lecz wystarczająco, żeby gorączka odebrała mu siły, wolę i jasność umysłu. Jo zdołała go zmusić do przełknięcia antybiotyku.

– Znajdzie się dla niego miejsce w ciężarówce? – spytała sanitariuszy, którzy w kącie namiotu rozmontowywali aparat rentgenowski.

Zawias się zaciął, a kiedy próbowali go odblokować, napierając ciężarem swoich ciał, stół poddał się nagle ich połączonym wysiłkom i złamała się noga. Żaden nie odpowiedział.

– Nie w tej, kochanie. Ale do następnej zapakujemy go na pewno.

To była Queenie.

Choć weszła do namiotu z zimna, deszczu i zalegającego wokół błota, zacierając zgrabiące dłonie, wniosła ze sobą lato, zapach wiciokrzewu i domowego jedzenia. Była tak drobna („filigranowa”, poprawiała zawsze), że w męskich spodniach mundurowych najmniejszego rozmiaru, na dodatek skróconych dwa razy, musiała jeszcze podwijać nogawki. Włosy jak zwykle ukryła pod czystym białym ręcznikiem; można było sobie wyobrazić, że są czarne i lśniące jak dawniej, a nie przyprószone siwizną. Hollywood zbiłoby fortunę, obsadzając ją w roli „dziewczyny z sąsiedztwa kupującej obligacje

wojenne już dziś i zawiązującej żółtą wstążkę swojemu ukochanemu”. Wszyscy kochali Queenie – i mężczyźni, i kobiety – za pojawiający się szybko na jej twarzy uśmiech, animusz, nieugiętego ducha. Wymykała się wszelkim opisom. Z jednej strony umiała pić – naprawdę pić, co było zdumiewające, biorąc pod uwagę jej posturę – kłać nie gorzej niż mężczyzna i grać w karty; zaśmiewała się, kiedy w Algierze wygrała w pokera od francuskich oficerów szlafroczek z czarnego jedwabiu. (Piękny, bezużyteczny drobiazg podarowała Jo, świeżo przybyłej na wojnę i wciąż przesiąkniętej zasadami, ona natomiast spieszyła się i zaniemówiła z wrażenia, lecz w duchu była zachwycona). Ale z drugiej strony, jeśli nawet Queenie miała pewne przyziemne cechy, była pielęgniarką, która asystowała operującemu lekarzowi przez siedemdziesiąt dwie godziny – siedemdziesiąt dwie – gdy wszyscy inni członkowie personelu medycznego zostali ranni lub zginęli. Przed namiotem czekały w kolejce dwie setki noszy: opatrzyli wszystkich, nie robiąc przerwy nawet na kawę. Oboje odznaczono Srebrną Gwiazdą, ale Queenie zawsze później twierdziła, że na to nie zasłużyła. Nie z fałszywej skromności – nie uważała, by dokonała czegoś szczególnego. Wedle jej słów „wykonywała tylko swoją robotę”. I taka też była Regina Carroll, której prawdziwe imię poszło w zapomnienie. Chłopcy traktowali ją jak młodszą siostrę, dziewczynę z sąsiedztwa i pierwszą kobietę, z jaką się całowali. To dla niej walczyli. Nawet teraz, gdy piekło waliło im się na głowy, Jo spojrzała na Queenie i stwierdziła, że wojna jej nie dotknęła – nie do głębi, nie naprawdę; nie zaszła jej za skórę jak wszystkim pozostałym, jak Jo. Queenie nie musiała się otaczać skorupą, by się chronić, by przetrwać. Pozostała tym, kim dawniej były one wszystkie: miłością i nadzieją dla umierających chłopców. Tym, kim wszystkie postanowiły zostać całe wieki temu, gdy przekraczały Atlantyk na rozkołysanych gigantach, zmierzając do europejskiego teatru wojennego, śmiejąc się i śpiewając całą drogę, jakby się wybierały na cholerny piknik wszech czasów.

Jedne z noszy tkwiły na pół w środku, na pół na zewnątrz ambulansu, który z powodu deszczu podjechał tyłem pod samo wejście do namiotu. Sanitariusze przystanęli na moment, by mocniej chwycić śliskie drewniane rączki, a pacjent zaczął młócić rękami z dzikim spojrzeniem, wydając dźwięki niczym zakneblowany bohater filmu gangsterskiego. Queenie w mgnieniu oka znalazła się przy nim i chwyciła przywieszzone do noszy nożyce do cięcia drutu dokładnie w chwili, gdy przez nos żołnierza, którego usta pozostały mocno zaciśnięte, trysnęły wymiociny. Krztusił się i płakał w panice. Jo z drugiego końca namiotu widziała białka jego oczu. Queenie jednak uśmiechała się i mówiła do niego bez przerwy:

– Biedna dziecina, wytrzymaj, żołnierzu, tylko minutkę, skarbie – cały czas sprawnie rozcinając druty, którymi chirurdzy dopiero co złożyli połamaną szczękę mężczyzny. – O, zobacz, już możesz oddychać. To z powodu tego okropnego znieczulenia tak cię mdli. Wiem, śmiało, dziecino, nabierz powietrza, w szpitalu ewakuacyjnym połatają cię z powrotem. A teraz nie przejmuj się niczym, wszystko w porządku, kochanie, za moment przestanie boleć.

Boże, pomyślała Jo, przestanie boleć? Jakie to musi być uczucie mieć strzaskaną twarz, przejść operację i zostać pozszywanym drutem kolczastym? Queenie nie kłamała, wyjęła ćwierćgranową ampułkostrzykawkę z morfiną, ignorując ogólnikowe „może

wywolać uzależnienie” i dość jednoznaczne ostrzeżenie „trucizna”. Zrobiła zastrzyk, a następnie wpięła zużytą igłę w zakrwawiony kołnierz żołnierza. Jeśli przeżyje, gdzieś dalej ktoś przynajmniej będzie wiedział, co dostał.

A potem go pocałowała.

Tuż zanim go wsunęli do ambulansu (spaliny wypełniły namiot i Jo zrobiło się niedobrze), Queenie go pocałowała. Krew i wymiociny, smród strachu i śmierci – a ona go pocałowała.

Wszyscy obecni w namiocie – chociaż nawet nie zdawali sobie sprawy, że patrzą – odwrócili wzrok, zazdroszcząc umierającemu, w którego oczach nie było już strachu. Poczuli niesmak do samych siebie za to, że stali się zobojętniali, znużeni, przepełnieni własnym cierpieniem, zmarznięci, głodni i brudni w środku i na zewnątrz, pokryci brudem, którego nie zmyje żadna woda. Wiedzieli, że odkąd sami przestali być ludźmi, nikogo nie trzymali za rękę, nie mówiąc o całowaniu, ich świat był światem przetrwania, zwierzęcym światem kłosa, szarpania i rozrywania, a niekiedy lizania ran. Owszem, potrafili łątać i bandażować rannych, a potem odsyłać ich na tyły wzdłuż kolejnych ogniw łańcucha, by tam łątano i bandażowano ich znowu, lecz oni sami, uzdrowiacze, stracili moc przywracania zdrowia, bo nie potrafili myśleć ani czuć i nie umieli sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz myśleli albo czuli coś oprócz tego, że są zwierzętami: ściganymi, schwytanymi w pułapkę i skostniałymi z zimna.

A Queenie go pocałowała.

Kiedy pada rozkaz wycofania, piechocie wystarczy niespełna dziesięć sekund, by się obrócić i rzucić biegiem. Ale nie pielęgniarce wojskowe, których jedynym przykazaniem, jedyną niepodważalną regułą postępowania jest nigdy nie odchodzić od pacjentów. Nigdy. Dlatego rozpoczyna się długa procedura kończenia trwających zabiegów, stabilizowania rannych trafiających właśnie w tym momencie do namiotu pooperacyjnego, podawania osocza lub krwi pełnej, jeśli jest dostępna, przenoszenia ciężkich przypadków ortopedycznych – w olbrzymich opatrunkach, z rękami i nogami unieruchomionymi kilogramami gipsu. Pacjentów w szoku z nitkowatym pulsem; chłopców z wyczerpaniem bitewnym, czyli nerwicą frontową, którzy z kwileniem szukają schronienia pod łózkami polowymi, sądząc, że wciąż znajdują się na polu walki; pacjentów, którzy stracili słuch, okaleczonych i oślepionych, ze starannie zabandażowanymi głowami, macających przed sobą niepewnie palcami poparzonymi i zrosniętymi wskutek tego, że uciekali z płonących czołgów. Wszystkich tych mężczyzn należało ewakuować do niemającego końca konwoju ciężarówek i ambulansów mogących pomieścić ograniczoną liczbę rannych i posuwających się z określoną prędkością w błotnych koleinach, które niegdyś były drogą. Jo przypomniała sobie, jak na samym początku, gdy nic jeszcze nie wiedziały, wraz z grupą pielęgniarek zszyły prześcieradła w olbrzymi krzyż i oznaczyły miejsce, gdzie ranni leżeli w oczekiwaniu na transport, ciesząc się, iż cienki materiał ochroni podopiecznych przed ostrzałem. Oficer dowodzący osobiście pofatygował się do nich, siny z wściekłości, i nawrzeszczał na naiwne dziewczęta, że rozłożyły nie czerwony, lecz biały krzyż – zgodnie z konwencją

genewską symbol lądowiska i dozwolony cel nalotów.

Nie miały już białych prześcieradeł.

Na zewnątrz huk wybuchających pocisków mieszał się z grzmotami, tworząc istną kakofonię śmierci. Kiedyś krzywiły się, kuliły, a nawet wskakiwały do jam wykopanych w błotnistej „podłodze” szpitala polowego. Teraz nie było bezpiecznych miejsc, już nie, dlatego krzątały się w odrętwieniu, zapomniawszy o krążącej nad nimi śmierci, i pakowały najcenniejsze wyposażenie – skalpele, zaciski, olbrzymi sterylizator parowy, który doprowadzi instrumenty do stanu używalności, gdy rozstawią się gdzieś ponownie. Ambulans był gotowy do odjazdu, siedzący w środku lekarze wołali do Queenie:

– Możesz jechać ze mną z przodu, kochanie!

– Jasne, u mnie na kolanach!

– Nie, dziękuję panom doktorom – odparła przesłodzonym głosem. – Wolę sprawdzić, czy dam radę przetrwać niemiecki ostrzał. Będzie mi wygodniej z tyłu z moimi chłopakami. Chodź, Jo.

Jo chwyciła swój zielony chlebak – jakim cudem wszystkie jej rzeczy zdołały się pomieścić w czymś nie większym od damskiej torebki? Ale się mieściły. Książka. Różaniec. Kilka zaczytanych listów z Pacyfiku. Spłowiła fotografia. Pieluszki. Koszula nocna. Zszarzała bielizna. Zapasowy podkoszulek. Dwie racje witaminy C. Absurdalny szlafroczek. Pióro. Założyła hełm, którego skórzany pasek zwęglił się już dawno od podgrzewania w nim wody do mycia. Siedząca na pace Queenie odruchowo wyciągnęła pomocną dłoń, gdy tuż przy uchu Jo zabrzmiał ochrypły głos:

– Nie tak szybko, panienko.

Był to Dziadek.

Żadna z dziewcząt nie pamiętała jego prawdziwego nazwiska, jeśli w ogóle je znały. Teraz był po prostu Dziadkiem. Przewisko powstało, gdy odkryły, że służył w korpusie medycznym podczas pierwszej wojny; żartowały, oczywiście za jego plecami, że pewnie był lekarzem, gdy trwała wojna secesyjna.

– Zechce pani zostać ze mną, panno McMahon. Zabierzemy się następną ciężarówką.

Jo westchnęła. Nie zauważyła, że jest ostatnią pielęgniarką pozostałą w namiocie. Naturalnie nie odjechałaby – nie mogłaby tego zrobić, absolutnie – zanim nie zabrano by ostatniego pacjenta, ale wolałaby spędzić długie godziny oczekiwania na powrót pojazdu w towarzystwie każdego innego chirurga, nawet któregoś z tych podtatusiałych prawie czterdziestolatków, kulturalnie zanudzających ją rozmowami o uprawie tytoniu i łowieniu na muchę. Każdy, byle nie Dziadek, który głądził o głębokim Południu, jego szlachetności i „wytwornych manierach”. *Może, pomyślała, rzeczywiście pamięta je z dawnych czasów.*

– Ja zostanę... – zaczęła Queenie, lecz kierowca wrzucił bieg, a poza tym uczepliło się jej dwóch pacjentów, wpatrując się w nią tak intensywnie, jakby tylko ona łączyła ich z rzeczywistością, z wirującym światem.

– Będzie jej tu doskonale, panno Carroll – prychnął Dziadek z irytacją; jej nazwisko zabrzmiało niczym obelga, kiedy sięgał po kartę zawieszoną krzywo przy którychś noszach.

„Będzie mi tu doskonale”, powtórzyła bezgłośnie Jo, robiąc minę. Queenie

wybuchnęła śmiechem, który rozświetlił zimne, cuchnące już śmiercią wnętrze ambulansu, Jo uśmiechnęła się także i zasalutowała lekko. Po chwili ciężarówka ruszyła z Queenie pochyloną nad jednym z żołnierzy, delikatnie gładzącą go po czole. Zniknęła im z oczu.

Jo sprawdziła, co jeszcze z wyposażenia zostało do załadunku – w zasadzie niewiele. Rentgen i wszystkie, oprócz jednego, stoły operacyjne złożono w końcu i wywieziono, zniknęła większość lekarstw i zapasów, nie licząc jednego czy dwóch zestawów chirurgicznych porządnie spakowanych do skrzynek i opartych o środkowy maszt namiotu. Pozostały: jeden generator, wciąż pracujący, piecyk na ropę, zgaszony już i stygnący przed podróżą, kilka lamp używanych przy operacjach i mniej ważne graty poniewierające się zawsze na podłodze – środek odkażający, baseny, wiadra, mydło. Dziadek podszedł do skrzyni z napisem „Pościel” i przemawiał dalej swoim najbardziej aroganckim tonem.

– Panno McMahan, nie jest dla mnie tajemnicą, że pani i pozostałe pielęgniarki określicie mnie mianem – niemal wypluł to słowo – „Dziadka”, używając go dla podkreślenia mojego wieku, a nie jako wyraz poważania dla owej godnej szacunku pozycji społecznej. Skoro tak, choć ze swojej strony zaprzeczam, bym odczuwał najmniejsze znużenie, dam pani tę satysfakcję i odegram swoją rolę, przysiadając na chwilę.

Po czym usiadł sztywno. Jo pierwszy raz zwróciła uwagę na to, że był blady i wymizierowany, bardziej niż we Włoszech czy na Sycylii albo wcześniej w Afryce Północnej. Pielęgniarkom, które ledwie przekroczyły dwudziestkę, zawsze wydawał się stary. Jednakże ostatnia ofensywa we Francji, zbliżająca się obecnie do granic Niemiec, okazała się ponad jego siły. Wyglądał jak starzec, który właśnie uświadomił sobie – z wielkim rozdrażnieniem – że istotnie jest stary.

– Tak, doktorze – mruknęła powściągliwie, odchodząc, by sprawdzić, co u pozostałych pacjentów, oraz dać mu trochę prywatności.

Kłapa namiotu nagle się odchyliła i do środka wcisnął się mężczyzna o uderzająco błękitnych oczach.

– Jeszcze tutaj? Macie się wynosić – rzucił bez tchu, cały mokry od deszczu.

– Jesteśmy prawie gotowi, kapitanie – odparła, rzucając okiem na jego ramię; nikt z ich korpusu.

– „Prawie” to za mało, ty dziwko.

Poczuła się, jakby ktoś dał jej w twarz. Po blisko czterech latach wojny i wielu tysiącach gwałtownych śmierci to naruszenie zasad dobrego wychowania zaszokowało ją bardziej niż wstrząsające namiotem wybuchy. Tak jak inne pielęgniarki przywykła pracować ramię w ramię z chirurgami i lekarzami, którzy uważali je niemal za koleżanki po fachu, pozwalali im podejmować samodzielnie decyzje i przeprowadzać skomplikowane procedury, do jakich w kraju nie dopuszczono by żadnej siostry. (Jo wykonała swoje pierwsze nakłucie rdzeniowe drżącymi rękami, ale tego dnia bez chwili wahania zrobiła kolejne). Nawet Niemcy (by oddać im sprawiedliwość) odnosili się do kobiet oficerów z szacunkiem, choć podszytym zmieszaniem, bo nie mieli ich we własnej armii. (Ich *Krankenschwester* nie miały stopni wojskowych; w swoich ciężkich,

tradycyjnych uniformach były traktowane przez żołnierzy bardziej jak zakonnice niż pielęgniarki). Kiedy amerykańskie pielęgniarki trafiały do niewoli, oficerowie wroga prosili je z zakłopotaniem, by dały słowo honoru, że nie spróbują ucieczki, a następnie proponowali, żeby zamiast w więzieniu oczekiwały końca wojny, służąc w sierocińcach i prowizorycznych szpitalach cywilnych.

A ten mężczyzna przed chwilą nazwał ją dziwką.

Dziadek zerwał się na równe nogi tak szybko, jak pozwalały mu na to zeszywniałe stawy, otwierając usta z oburzenia.

– Jak... jak pan śmie... – wyjąkał.

Kapitan agresywnie postąpił krok naprzód.

– Co ci ludzie jeszcze tu robią, do diabła? Powinniście się wynieść wiele godzin temu. Mam tylko przekłęty patrol, by utrzymać ten rejon, a wy robicie burdel, blokując drogi i ściągając ostrzał swoimi ambulansami.

Jo otrząsnęła się z chwilowego szoku; dodała kolejną warstwę do grubego pancerza, jakim się otoczyła. Nie zna tego człowieka, nie zobaczy go nigdy więcej. Ich ścieżki przecięły się tylko na moment, i to jedynie przypadkiem, wkrótce będzie ze swoim korpusem medycznym i z żołnierzami – setkami żołnierzy – którzy jej potrzebują. Temu facetowi, zdecydowała od razu, nikt nie jest potrzebny.

– Czekamy, aż wróci ciężarówka, i natychmiast się wynosimy, kapitanie.

Dodała „kapitanie”, patrząc mu prosto w oczy – jak zauważyła, uderzająco piękne, o niemal turkusowej barwie, lecz zimne, pozbawione życia i puste, jakby nie mogło ich przeniknąć nic, nawet światło.

– To poczekacie po ciemku, kochanie – rzucił, wyszarpując sznur generatora.

W namiocie zapadła ciemność; Jo usłyszała, że mężczyzna przez chwilę czegoś szuka, po czym zgasł silnik, krztusząc się jakby w proteście. W świetle błyskawicy dostrzegła sylwetkę kapitana, gdy wychodził na zewnątrz, potem wszystko spowił mrok. Rozległ się wybuch – tym razem znacznie dalej, na południe, może kilometr od nich, a potem dwa następne, znacznie cichsze.

– Ze wszystkich... wszystkich... – Dziadek wciąż się jąkał z niedowierzania. Następnie cichszym głosem, jakiego nie słyszała u niego nigdy wcześniej, niemal szeptem, spytał: – Nic panience nie jest?

– Niech pan nie będzie głupi, jasne, że nie – odparła gładko, zbyt gładko, wymacując w ciemnościach drogę do najbliższego łóżka polowego. – To głupstwo – powtórzyła.

Choć wcale nie było to głupstwo.

– Przepraszam, żołnierzu... – zwróciła się do mroku przed sobą, wciąż obmacując w ciemności nosze.

Kłapy namiotów zasznurowano szczelnie, by nie przenikało światło, ambulanse jak zwykle miały jechać z wyłączonymi reflektorami. Te ostrożności sprawiały, że zachowanie kapitana wydawało się jeszcze bardziej pozbawione sensu i... *Nie, nie będę myśleć o nim więcej, już sobie poszedł.*

– ...ale wygląda na to, że jeszcze przez chwilę będziemy musieli sobie radzić po ciemku – próbowała uderzyć w pogodny ton, jak zrobiłaby Queenie, lecz bez sukcesu. –

Zechciałby mi pan powiedzieć, kim pan jest?

Z ciemności dobiegł ją głos mówiący cockneyem. Zdawało się, że mężczyzna uniósł kąciki ust w uśmiechu wyrażającym zrozumienie.

– Jonesy, panienko. Nie jest ze mną tak źle jak z niektórymi innymi tutaj. Tylko noga, jeśli panienka pamięta.

Uśmiechnęła się. Angielski pacjent. Chłopcy nazywali takich „Montgomery”. Teraz sobie przypomniała: złamana noga, ciężki gips wisi na wyciągu gdzieś przed nią. Nawet jeśli żołnierz robił to tylko z przyzwyczajenia, powtarzane raz po raz „panienko” brzmiało niemal z szacunkiem, jakby próbował jej wynagrodzić incydent sprzed chwili.

– Da pan radę wytrzymać jeszcze trochę? Przykro mi, ale latarnie i latarki są już spakowane, więc przez jakiś czas wszystko będzie się odbywać po omacku.

– Bez obawy, panienko – odpowiedział wesoło. – Nigdzie się nie wybieram.

Uśmiechnęła się odruchowo w ciemności i już pewniej przeszła od jednego łóżka do następnego, lepiej szacując dzielącą je odległość. Szkot wciąż przeklinał, przynajmniej był przytomny. Obok leżało dwóch pacjentów po operacjach, jeszcze w narkozie. Odszukała w mroku ich nadgarstki i najlepiej, jak potrafiła, sprawdziła funkcje życiowe, bez zegarka – przynajmniej stetoskop wciąż miała zawieszony na szyi. Kiedy przechodziła przez namiot, wpadła na Dziadka.

– Przepraszam, panienko – odezwał się łagodnie. Wszelkie ślady szorstkości zniknęły z jego głosu.

Bawiąc się w ciuciubabkę, znalazła ostatnie dwa łóżka polowe. Jeden z żołnierzy spał, ale oddychał chrapliwie i stanowczo za szybko; kiedy go osłuchiwała, z jego piersi wydobył się dźwięk przypominający szelest cynfolii. Ostatni był przytomny, lecz jęczał; czoło miał rozpalone i wilgotne, omal nie krzyknął, kiedy obmacywała mu brzuch. Zatem wstępna diagnoza – wykazująca objawy zapalenia wyrostka – była słuszna. *Dobry Boże, akurat teraz!* Dodała mu otuchy, ale chyba jej nie słuchał; trudno było to stwierdzić w atramentowej ciemności – jego jęki przybierały na sile i słabły bez widocznego związku z jej słowami, prawdopodobnie pod wpływem kolejnej fali bólu. Podeszła do Dziadka próbującego zmierzyć puls jednemu z nieprzytomnych pacjentów.

– Ta sytuacja jest niedorzeczna, panno McMahan – zaczął, po czym znalazłszy w mroku drugi nadgarstek, przerwał, by policzyć puls, ale stracił rachubę i się poddał. – Pacjenci, z wyjątkiem Szkota, którego wygląd... to znaczy odgłosy... ani trochę mi się nie podobają, wydają się stabilni, nawet jeśli cierpią w różnym stopniu. Zamiast rozbijać sobie głowy po ciemku, sugerowałbym, by została pani przy jego łóżku, a ja będę krążył pomiędzy tymi dwoma i majorem. Tak, to major, powinni go zabrać w pierwszej kolejności. Ma silne zapalenie wyrostka.

Był to przynajmniej jakiś plan. Jakieś zajęcie, zanim ciężarówka wróci, nieważne, kiedy to nastąpi. Jo przysunęła się w mroku do swojego pacjenta, łatwo było go znaleźć. Zaczęła się zastanawiać, czy jego bełkot to naprawdę szkockie przekleństwa, czy też produkt uboczny gorączki – a może jedno i drugie. Usiadła na twardej ziemi. I przypomniał jej się Gianni.

Próbowała przestać o nim myśleć, starała się zapomnieć o nim, przegnać go z głowy za każdym razem, gdy chciał się wynurzyć na powierzchnię z oszpeconym

ciałem i krwią z otwartych ran rozlewającą się w zimnej wodzie jej świadomości. Nie miała już siły, by walczyć z bratem. Czasami, gdy tempo wojny sprawiało, że funkcjonował tylko dzięki pamięci i wyuczonym odruchom, przychodziło wytchnienie; Gianni wciąż był obecny, lecz na dnie jej umysłu, ukryty w ciemnym kącie namiotu, na noszach w ambulansie. Jednak podczas godzin przeznaczonych na sen albo teraz, w chwili przymusowej bezczynności, brat powracał w całej swojej grozie i w całej swojej chwale. Kochała go i nienawidziła za to, że ją nawiedzał. Chciała, by ją zostawił w spokoju, i czuła, że umarłaby, gdyby to zrobił.

– Coś ty sobie wyobrażała, Josie?

Znowu zobaczyła, jak spogląda na nią z góry. Ciemna, oliwkowa cera, jeszcze ciemniejsze oczy przepełnione gniewem, oczy, które już zawsze miały ją kochać i ranić, i obwiniać.

– Coś ty sobie wyobrażała?

Chwycił ją szorstko za ramiona i trzymał – potrząsał nią, potrząsał sobą. Musiał być teraz odważny i nie potrafił – nie potrafił, ponieważ zrobiła coś strasznego, ponieważ ona również wyjeżdżała.

– Mnie wzięli z poboru, nic na to nie można poradzić. Ale kiedy ty wyjedziesz, mama i tato zostaną zupełnie sami. Jak mogłaś się zgłosić? – I ponownie tonem wymówki: – Coś ty sobie wyobrażała?

Wyjąkała coś o wojnie i o obowiązku, że apelowali o pielęgniarki, tysiące pielęgniarek, armię pielęgniarek, że inne dziewczyny się zgłosiły, że tak trzeba. W marzeniach (tych na jawie i tych w snach) jej słowa się zmieniały, przeobrażały w mamrotanie, stawały się wypaczone, zniekształcone. Nie miało to znaczenia – Gianni nie usłyszał ich wtedy, nie słyszał teraz.

A potem się rozplakał. Nigdy nie widziała, żeby płakał, przynigdy, nawet gdy złamał rękę w parku, gdzie nie wolno im się było bawić, w bogatej dzielnicy. Pobladał wtedy z bólu i chciał krzyczeć, ale milczał ze względu na wystraszoną małą siostrzyczkę wpatrującą się w niego wielkimi niebieskimi oczami, z których jedno przecinała brązowa smuga.

– Nie chodzi tylko o mamę i tatę – zaczął, ale nie zdołał dokończyć.

Przestał nią potrząsać i przytulił ją do siebie, płacząc, targany szlochom, co wydawało się gorsze niż gniew, bo było pożegnaniem. Byli dla siebie wszystkim. Ich rodzice (małżeństwo zaaranżowane bez miłości) postarzeni się przedwcześnie od niekończącej się harówki w stocznich marynarki i warsztatach, dwójkę imigranckich przybłąd wychowały siostry dominikanki od Świętej Cecylii. Czułości, współczucia, poczucia bezpieczeństwa w tym dziwnym nowym świecie Gianni i „Josie” (tak zdrabniał jej imię – dla wszystkich pozostałych była zwykłą „Jo”) szukali zawsze tylko u siebie nawzajem: dwie istoty o jednym umyśle, zawsze zgodne, zawsze razem. Teraz, nagle, mieli zostać rozdzieleni.

Zatem w jej snach umiera. Umiera na jej rękach. Rodzice wchodzą do ciasnego mieszkania, wyglądają starzej niż kiedykolwiek, patrzą znużeni i mamroczą, że chcieliby przyjść na pogrzeb, ale muszą rano pracować: nadliczbowa zmiana, co poradzisz; jeśli się nie stawimy, stracimy robotę. Oczywiście to tylko koszmar. Ale to również marzenie, bo

Gianni umiera wtedy – nie później, nie na lotniskowcu, nie z setkami innych chłopców wrzeszczących i krztuszących się, ześlizgujących się z pokładów mokrych od krwi, wody i benzyny, gdy samoloty ryczą nad głowami i huczą wybuchy, a oni zostają ciśnięci w morze i on ginie, zanim zdąży uderzyć w wodę. Tonie zmiażdżony niewiarygodnym ciężarem, z ustami pełnymi słonej wody tłumiącej ostatnie słowo, które wypowiedział do niej teraz, to, które powtarzał zawsze.

„Josie”.

Ocknęła się. Wcale nie zasnęła, ale nie znajdowała się w namiocie, nie siedziała w zimnie i w ciemności. Szkot próbował wstać z łóżka, pytał po angielsku o swoje buty, potem znowu jego słowa się splątały, nonsensowne w każdym języku. Podniosła się i pchnęła go z powrotem. „Pchnęła” to zbyt mocne określenie; był tak słaby, że gdy przyłożyła dwa palce do jego piersi, jęknął w malignie i opadł na posłanie.

Gianni nie żył, nie żyli też jej rodzice – nie było jej w kraju, gdy zmarli. Jakie to miało znaczenie? Śmierć była wszędzie, a tam, dokąd nie dotarła, już nadciągała. Jo zauważyła, że na zewnątrz bombardowanie przeszło w ostrzał. Kapitan nie wrócił. Z pewnością miał pełne ręce roboty, broniąc tego bezużytecznego skrawka Francji – czy może Niemiec? – jedynie ze swoim plutonem. Również ciężarówka nie wracała całe wieki. Minęła godzina? Dwie? Jo nie potrafiła określić upływu czasu – jej rojenia trwały niekiedy zaledwie sekundy, kiedy indziej cała noc upływała jej na patrzeniu, jak Gianni umiera wciąż od nowa. Ciężarówka mogła przybyć dopiero za wiele godzin, nawet jeśli drogi nie zostały zniszczone, nawet jeśli zdołali objechać bagna, błoto i Niemców. Spróbowała sprawdzić godzinę na zegarku, obracając go, by pochwycić najśłabszy poblask światła, ale na próżno, ciemności ogarnęły ich całkowicie. Namiot otoczyła bańka mroku i deszczu, nie było już błyskawic przecinających niebo.

Po dłuższej chwili zrobiło się cicho. Przez jakiś czas ostrzał się oddalał, aż Jo pomyślała, że został zupełnie przerwany albo utrzymywał się w jakimś wąwozie czy dolinie zbyt głębokiej lub zbyt oddalonej, by dał się słyszeć. Szkot chyba się modlił, o czym mogła świadczyć kadencja jego słów. Jo słyszała pewnego rodzaju prośbę, wysiloną przerwę na oddech, potem odpowiedź. Dla niej mamrotanie brzmiało zupełnie bezsensownie, ale może Bóg w niebie zdoła je rozszyfrować. Czymkolwiek jednak było, wydawało się ważne dla żołnierza. Próbowała zgadnąć, co to takiego. Litania? Różaniec? Niewątpliwie coś głęboko zakorzenionego, stanowiącego część tego człowieka, skoro wypłynęło na powierzchnię, gdy zawiodły go wszystkie zmysły. Podczas gdy intonacja głosu żołnierza wznosiła się i opadała w rozpaczliwych błaganiach, Jo wymacała chlebak, wyjęła różaniec i zamknęła w dłoni wytarte paciorki, ścisnęła je w palcach, aż ból na krótkie мгновение rozjaśnił jej w głowie. Na jej ustach nie pojawiła się jednak żadna modlitwa – w każdym razie nie *Ojcze nasz* ani *Zdrowaś Mario*, jak oczekiwała; modlitwy, którymi błagała Boga dawniej: gdy przyszedł telegram i dowiedziała się, że Gianni zginął w walce; gdy jej życie się skończyło, lecz, co okrutne, ciało nadal musiało udawać, że żyje. *I nie wódź nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego*. Od zła. Zło ją otaczało, było wszędzie. W Niemczech tuż przed nimi i w Japonii na drugim końcu świata. Kryło się na

dnie morza, gdzie mroczne stwory pożerały zwłoki zaginionych, i w górach, dokąd uciekali zdrajcy, dezercerzy i kochankowie.

Ale czaiło się przecież również wśród nich. Tego wieczoru kapitan wydawał się złym człowiekiem – a może wciąż pozostała naiwna mimo wszystkich doświadczeń, może tak wyglądał teraz realny świat, o którego ocalenie walczyli. Może to najlepsze, co ich czeka, jeśli siły Osi zostaną ostatecznie pokonane, może alianci stali się niewiele lepsi od tego, co zamierzali zniszczyć. Ostatecznie co takiego wydarzyło się w Dreźnie? Mimo ścisłej cenzury poczty i radia wiedzieli, że było to coś ohydneho, haniebnego i niemoralnego, coś niepodobnego do nich – czy raczej niepodobnego do ich wyobrażeń o samych sobie. To, co się stało w Dreźnie, przypominało rzeczy, jakich dopuszczała się druga strona – nie oni, nie obrońcy sprawiedliwości i wolności, nie wyzwolicieli, nie ci dobrzy.

Czy Jo pozostała dobra? Czy ktokolwiek był jeszcze dobry? To było piekło bez nadziei na raj. Zobaczyła siebie jako małą dziewczynkę z bujną czupryną surowo splecioną w ciasne warkoczyki, w mundurku z drugiej ręki wrzynającym się pod pachami. Klepała odpowiedzi z katechizmu przed siostrą Jonathan, której zakonny kwef skrywał siwe włosy rozdzielone przedziałkiem. „Wojna to kara za grzechy, proszę siostry”, wyrecytowała z pamięci pośród setki innych odpowiedzi. Kara za grzechy. Cóż za potworny grzech popełnił jakiś głupiec, skoro tak wyglądały jego konsekwencje? A może zawinili zbiorowo? Czy to skondensowane grzechy każdego z osobna, nienawiść każdego z osobna, wszystkie drobne, powszednie, głupie występki zebrane razem, przemnożone milion milionów razy – pożądanie i zawiść, chciwość i zdrada – przerwały tamę? Czy cały świat wygłosił swoje samobójcze wyznanie nienawiści, żądzę zemsty, mordy, władzy, śmierci? Aż w końcu ta bezbożna modlitwa została wysłuchana i ogniste pociski posypały się z nieba?

Wiatr na zewnątrz przybrał na sile i uderzył w namiot. Jo przemarzła na kość. Jeśli ciężarówka nie zjawi się wkrótce, będzie zmuszona ponownie rozpalić piecyk na ropę i sanitariusze będą kląć, ładując go na pakę wciąż gorący. Szkot płakał, nie jak mężczyzna, lecz jak wyczerpany maluch odłożony za karę do kołyski, żaloszny, kwilący i mały. Major krzyknął, lecz urwał w połowie; musiał ugryźć się w rękę, by pohamować jęk. Dziadek uciszał zamroczonych pacjentów pytających, gdzie są, co się stało, gdzie jest Bobby, Joey, Ted. Deszcz siekł ścianę namiotu, przesiąkał pod płótnem i wlewał się do butów Jo. Zdawało się, że minęła wieczność, zanim usłyszeli na zewnątrz hałas – początkowo słaby szelest wśród wiatru, potem niedające się pomylić z niczym kroki żołnierzy otaczających namiot, podchodzących bliżej. Jo na próżno próbowała się zorientować, czy przytłumione rozmowy są prowadzone po angielsku, czy po niemiecku. Zastanawiała się, co stałoby się z nimi wszystkimi, gdyby trafili do niewoli na tak późnym etapie wojny. Konwencja genewska wciąż obowiązywała – na papierze – i ona, i Dziadek jako niebiorący udziału w walce byli chronieni. Ale żywności – pierwszej i najpotężniejszej broni, gdy jej odmówić – brakowało. W obozie jenieckim pod koniec zimy nie byłoby jej prawie wcale. Jo nie była zachwycona perspektywą takiej śmierci: odseparowana od pracy, od umierających rodaków, od konającej sprawy.

Kłapa namiotu została odrzucona i w wejściu ukazała się sylwetka z podniesionym

karabinem oraz zapaloną latarką. Na moment wszystkich oślepiło ostre światło. Równie szybko zgasło, a postać rzuciła się na przeciwny koniec namiotu i uniosła drugą klapę. Po chwili, która zdawała się wiecznością, wyczuli, że widmo się odprężyło, i usłyszeli, jak wraca na środek namiotu, zapala latarkę i stawia ją pionowo na zimnej żelaznej płycie piecyka. Był to amerykański kapitan.

Spojrzał kolejno na Jo, doktora i sześciu rannych, w zamyśleniu pocierając zarośnięty podbródek niczym kupiec na aukcji bydła. Gdy wzrok Jo zaadaptował się do światła, przebiegła wzrokiem po noszach, rejestrując odruchowo, komu należy odłączyć kroplówkę, komu poprawić gips. Jeden z pacjentów pooperacyjnych patrzył prosto w światło z rozszerzonymi źrenicami, oszołomiony, lecz niezdolny odwrócić głowy. Tymczasem kapitan wciąż milczał. Zdawało się, że nie wie, jak zacząć.

– Sprawa jest taka – przemówił i znowu umilkł.

– Kapitanie Clark! – zawołał ochryple jeden z jego ludzi spod klapy do namiotu, podszedł i szybko wymienił z nim szeptem kilka zdań.

Po odejściu żołnierza dowódca zaczął znowu.

– Okej, no cóż, nic się nie da poradzić. Czyli jest tak. Walki chwilowo oddaliły się na południe. Trudno powiedzieć, jak długo to potrwa, i w każdym momencie mogą się przesunąć w tę stronę. Ale chwilowo, a przynajmniej przez następnych parę godzin, a może dni, powinno być okej.

Zachowanie kapitana wydało się Jo niezgodne z (względnie) dobrymi nowinami, które przyniósł: wciąż spoglądał pod nogi lub na klapę namiotu, lecz ani razu wprost na nią ani na Dziadka. Obejrzał się niemal ze złością, gdy któryś z pacjentów krzyknął z bólu; unióś rękę, jakby chciał coś powiedzieć, szybko potrząsnął głową i się odwrócił.

– Kiedy możemy wyjechać? – zaryzykował Dziadek, obawiając się, że kapitan znowu zniknie wśród nocy.

– Co? – zabrzmiała zakłopotana odpowiedź kogoś myślącego o czymś zupełnie innym, sprowadzonego raptownie na ziemię wbrew własnej woli. – A, wyjechać. Nie, nie. Nic podobnego. To znaczy nie możecie. Droga jest zablokowana. Prawdę mówiąc, już po niej.

Zaczął się przechadzać tam i z powrotem, wbijając wzrok w pacjentów, jak gdyby siłą woli mógł ich podnieść z polowych łóżek i pozbyć się odpowiedzialności za nich.

– Nie mogę pozwolić, żebyście tu zostali – mruknął niemal do siebie. – Wystarczy, że któryś z tych tutaj krzyknie, choćby przez sen, i zabawa skończona. Szwabymy mogą być wszędzie, może właśnie w tej chwili jesteśmy otoczeni i nie mamy o tym pojęcia.

Zatrzymał się.

– Ale wspomniał pan, że droga jest zablokowana – przypomniał Dziadek. – Na jak długo? Kiedy oni ją oczyszczą?

– Oni? Nie... nie ma żadnych onych, tatusiu – wyjąkał kapitan. – Jestem tylko ja. To znaczy tkwimy właśnie w kurewsko wielkiej czarnej dziurze. – Zdjął hełm i przesunął dłonią po jasnych włosach, mimo woli podnosząc głos. – To znaczy zdaje się, że jakimś cudem po prostu się, kurwa, przedarli przez sam środek naszych sił. Nie pojmuję tego. Cholera, mam nadzieję, że gdzieś trzymamy front, może na końcach, ale nie tutaj... nasze linie kompletnie zniknęły. Tutaj nie powinno być nikogo, to znaczy z naszych, już nie.

Żadni „oni” nie przyjdą... chyba że Niemcy. A jeśli oni się zjawią... – Głos mężczyzny ścichł stopniowo, gdy nakładał hełm.

Jo zaczęła się zastanawiać, jak postąpiłaby Queenie. Nieokrzesany żołnierz nie spodobałby się jej ani trochę, lecz zawsze wiedziała, co powiedzieć w danej chwili. Dodałaby mu otuchy – dodałaby otuchy wszystkim – jakąś historyjką, że na pewno wróg przesunie się daleko na południe, a jeśli nie, to z pewnością poradzą sobie świetnie tu, gdzie są, ona i doktor zajmą się rannymi, a odważny kapitan mimo przewagi liczebnej wroga obroni ich wszystkich.

Jo spojrzała na kapitana, który wolną ręką zakrył teraz oczy zatopiony w myślach, z karabinem wycelowanym bezsilnie w ziemię. Spróbowała poczuć się tak, jak czułaby się Queenie; przywołać w myślach patetyczny podkład muzyczny, jak umiała kiedyś. Ona też potrafi być nieugięta. Potrafi się zmusić do nieugiętości właśnie dlatego, że ludzie tacy jak Queenie istnieli i zawsze będą istnieć w Stanach Zjednoczonych Ameryki oraz we wszystkich miejscach na kuli ziemskiej, dokąd obywatele tego kraju udawali się bronić wolności. Dowiedzie, że słusznie jest postępować słusznie – *mimo Drezna, nie myśl o Dreźnie; Drezno tak naprawdę w ogóle nie mogło się zdarzyć* – i że sprawiedliwość zatriumfuje. Ona może tego nie dożyje, ale wojna jest niemal skończona. I w końcu dobro zwycięży.

Mimo bólu ściągnęła zmęczone barki i wyprężyła kręgosłup, stając na baczność, powracając do życia pierwszy raz od dawna. Dowódca otrząsnął się jak terier, jakby w tym momencie podjął jakąś decyzję, i zwrócił się do wyjścia namiotu.

– Kapitanie – rzucił Dziadek w przelocie, idąc ku jednemu z żołnierzy leżących na łózkach polowych. – Co zablokowało drogę?

– Hmm? – Przez moment pytany zdawał się szczerze zbity z tropu, jakby już wyjaśnił kluczowy fakt, lecz nie został zrozumiany. – Och, nie powiedziałem? Konwój medyczny. Dostali się pod ostrzał. Dotarliśmy tam w końcu, ale wszyscy nie żyli.

– Wszyscy żołnierze nie żyli – poprawiła go Jo z nerwowym uśmiechem i podeszła. Poczowała skurcz w żołądku, wyobrażając sobie leżące do góry kołami płonące ambulance, spiętrzone na poboczu nieistniejącej drogi.

W jej wizji pielęgniarki wciąż biegały od jednego żołnierza do drugiego, jak było zawsze dotąd i jak będzie zawsze w przyszłości, pod przewodem Queenie z twarzą pokrytą sadzą, z rozwiązanym ręcznikiem, spod którego w porywistym wietrze wysypały się w nieładzie ciemne włosy, wyglądającej dziko, pięknie i promiennie w czerwonym blasku ognia, nawołującej dziewczęta, by jej pomogły, uśmiechniętej.

– Zginęli wszyscy żołnierze. Kierowcy.

Spojrzał na nią, jakby była małą dziewczynką, bardzo głupią i męczącą dziewczynką zarzucającą bezmyślnymi pytaniami śpieszącego się człowieka. W jego pustych oczach pojawiło się coś, co można by uznać za współczucie, lecz w istocie było głęboką irytacją. Z ogromnym wysiłkiem pohamował drugi wyraz planowanej odpowiedzi i rzucił jedno słowo:

– Wszyscy.

Odrzucił klapę namiotu i wyszedł w noc.

KAY ELLIOTT

MAJ 1942, TUNEL MALINTA, CORREGIDOR

Kay biegła, biegła nieustannie i biegła w tej chwili. To, ku czemu zmierzała, to była śmierć – mroczna, dławiąca śmierć bez powietrza, bez światła i nadziei – lecz to, przed czym uciekała, było jeszcze gorsze. Pędziła w dół zbocza z sercem walącym w piersi. Wąska spódnica przeszkadzała jej w ucieczce, krępowała ruchy, obciskała uda przy każdym kroku; nigdy nie biegła równie szybko, musiała biec szybciej, wciąż nie biegła dostatecznie szybko. Szorstka trawa i pnącza złośliwie smagały ją w przelocie po gołych nogach, skórę miała pociętą krwawymi kreskami. Za jej plecami zaczęła krzyczeć małpa, a może człowiek. Po dżungli poniósł się potężny wybuch, potem następny, żar osmalił odsłonięty fragment jej karku między kołnierzem a włosami zwiniętymi w fale, które jakimś cudem, nedorzecznie, cały czas się trzymały. Pot lał się jej po twarzy, promienie słońca iskrzyły się na wilgotnych rzęsach, zniekształcając obraz, który miała przed oczami. W uszach pulsował przerażający, budzący mdłości dźwięk dolatujący poprzez okrutny śmiech małp i huk pocisków wybuchających za jej plecami – rżenie kogoś próbującego złapać oddech, szlochającego i ponownie ciężko dyszącego. Z szyją obolałą od bijącego szaleńczo pulsu uświadomiła sobie, że słyszy samą siebie. W górze i przed nią małpy skakały z pnącza na pnącze, drwiąc z niej – a może też się bojąc, uciekając przed holokaustem swoich gniazd? Zabrział kolejny wybuch, silniejszy niż poprzedni, i wyrzucił ją w powietrze niczym skoczka w dal, wierzgającą nogami w powietrzu, a potem dżungla rozsypała się na miriady drobnych, wielobarwnych klocków. Wraz z nią w niebo pofrunęły czarne węże, tańcząc; drzewa wybuchły milionami szklanych drzazg, które zawisły w powietrzu. Kiedy próbowała krzyknąć, odkryła, że nie ma w płucach powietrza. Była martwa.

A potem się ocknęła. Kiedy otworzyła oczy, trudno jej było stwierdzić, że żyje, że otaczająca ją nieprzenikniona ciemność różni się czymś od ostatecznego unicestwienia. Usiadła, boleśnie ocierając czołem o zakrzywioną ścianę tunelu wyginającą się nad jej górną pryczą, i z rozpaczą przewyższającą rozpacz Persefony uświadomiła sobie, że wciąż przebywa w Hadesie. Tylko że tutaj nazywali go Malintą. Darzyła Malintę nienawiścią bardziej przytłaczającą i duszącą niż powietrze, którym musiała tu oddychać. Malinta. *Linta* – „pijawki” w języku tagalskim. *Ma* – „pełny”. Wolałaby, żeby w długich korytarzach tunelu mieszkaly te wysysające krew pasożyty zamiast okropności, które czaiły się tam naprawdę, wolałaby, żeby to one wysysały z niej życie – a nie smród, brud i nudna nieuniknioność śmierci.

Wysoko nad głową usłyszała grzmot, olbrzymia góra zadrżała i odbite dźwięki w końcu dosięgnęły ją skrytą w nekrotycznych trzewiach. Wryta głęboko w litej skale niedostępna twierdza, niezdobyta forteca, lada moment miała upaść. Poddali się Japończykom przed dwudziestoma czterema godzinami. Wszystko skończone, czemu

więc tamci nieustannie ich bombardowali, już od wielu tygodni? Na zewnątrz czekała ich pewna śmierć – w wypadku kobiet być może najpierw gwałt, a potem śmierć głodowa, przy odrobinie szczęścia zamiast tego szybka kula w głowę – lecz Kay czuła, że to niemal uczciwa cena, jeśli wcześniej zdoła zaczerpnąć haust świeżego powietrza.

Odór w tunelu był nie do zniesienia. Od kwietnia tkwili niczym szczury w pułapce. Z początku sądziła, że ze swoją klaustrofobią nie przetrwa pierwszej nocy, że się udusi. Przeżyła, ale oddychała powietrzem w dużej mierze tym samym co wtedy, gdy zamykali się żywcem w tym grobie. Fetor z odgałęzienia, gdzie szlachtowano zagłodzone muły, skondensowane dieslowskie wyziewy ambulansów pędzących korytarzami, smród uryny, wymiocin i gnicia unoszący się z tysiąca szpitalnych łóżek – takie było powietrze, które wciągali do płuc, którym się dusili, które wyrzucali z siebie, omal nie wymiotując, i wdychali ponownie. Takie było powietrze, w którym spali, jedli, próbowali myśleć, powietrze, w którym płakali i które wypluwali z odrazą, czując metaliczny posmak w ustach. Bez względu na to, jak było odrażające, brudne i zużyte, ich ciała domagały się, by je wdychali wciąż od nowa, wbrew własnej woli. Pamiętała, jak główny chirurg – lubiła go, naprawdę lubiła; porządny gość z Nowej Anglii, piegus z wydatnym jabłkiem Adama, z młodą żoną w kraju i pierwszym dzieckiem w drodze – pewnego dnia wpadł nagle w szal, wyrwał im się i ignorując nawoływania, by się zatrzymał, odryglował drzwi tunelu i wypadł na zewnątrz po to tylko, by natychmiast zginąć od kuli.

Po tamtym wypadku Japończycy zezwolili pielęgniarkom i oficerom na „dwadzieścia minut na zewnątrz każdego dnia”. Z początku nie chcieli wierzyć, już sama myśl, że poczują znowu pacyficzną bryzę, poczują na twarzach słońce, choćby przez krótki czas, napełniła ich nadzieją... którą wkrótce zastąpiła groza tego, co zobaczyli. Nie tylko wzdęte ciało chirurga, lecz także setki innych martwych i rozkładających się zwłok z podrywającymi się z nich chmarami much, z gryzoniami uczującymi na spieczonym od słońca mięsie; niekończący się dywan rzezi ciągnął się wzdłuż drogi prowadzącej do Malinty. Trupy wojskowych leżały rozciągnięte obok cywilów – mężczyzn, kobiet i dzieci, uchodźców, którzy uciekali do Amerykanów, do ostatniego bezpiecznego miejsca, lecz przybyli po zamknięciu wielkich wrót. Wszyscy zostali bezlitośnie zbombardowani przez wroga, a teraz ich rozkładające się szczątki napełniały powietrze odorem gorszym niż ten panujący w najbardziej odrażających zakamarkach tunelu. Kay zapamiętała szerniałą, gnijącą buzię niemowlęcia spoglądającego na nią nieistniejącymi oczami, wciąż przywiązanego do martwej matki niedorzecznie piękną pomarańczową chustą. Zwymiotowała, przeklinając Japończyków za okrucieństwo, przeklinając siebie za to, że wciąż żyje. Tak wyglądała ich wspaniałomyślność, taki był demoralizujący cel dwudziestu minut swobody. Gdy Japończycy odrzucili prośbę Amerykanów o możliwość pogrzebienia trupów – zagrozili, że każdy, kto tego spróbuje, szybko zasili szeregi zmarłych – wielkie wrota zamknięto i zaryglowano. Kay nie wypuściła się na zewnątrz nigdy więcej. Wolałaby umrzeć.

Jej życzenie wkrótce miało się spełnić.

Nie potrzebowała się ubierać po zejściu ze swojej pryczy; miała na sobie ten sam pielęgniarski uniform (pokręciła głową na myśl o tym), który włożyła jeszcze w 1941 roku. Gdzieś w górze zabrzmiał kolejny wybuch. Podciśnienie przyklepiło jej spódnicę do

nóg, zatkało uszy, aż musiała poruszyć szczęką, by je przetkać. Ruszyła w kierunku odgałęzienia szpitalnego, gdzie ranni żołnierze zapełniali setki łóżek polowych ustawionych w szeregi, coraz mniejszych w świetle lamp niczym w upiornym studium perspektywy. Po drodze minęła dwóch podporuczników dłubiących przy sprzęcie telegraficznym w żarze i jaskrawym blasku wielkiej stojącej lampy, dostrajających pokręta i pociągających kable. Kay, która w kraju, w Mount Carmel, pracowała w wakacje w biurze telegrafisty, zdołała rozszyfrować: „Nadchodzą stop pozdrowcie ode mnie stop”.

Stop. Myśl, że jej życie lada moment zostanie zakończone, że egzystencja poza Malintą okaże się jeszcze bardziej „odrażająca, zwierzęca i krótka” niż wegetacja w tunelach, powinna budzić w niej przerażenie, lecz nie budziła. *Coś musi być ze mną nie w porządku*, pomyślała ospale i wzruszyła ramionami. Tak wiele rzeczy było z nią nie w porządku, że najlepiej, jeśli wszystko rychło się skończy; jej – jej życia – nie dało się uratować.

Ci spośród pacjentów, którzy wciąż jeszcze żyli, gdy dotarła na miejsce tamtego ranka – musiała wezwać sanitariuszy, by wynieśli ciała przyklejone do łóżek polowych własną krwią – byli wystraszeni; dotarła do nich wiadomość o poddaniu. Zdejmowali obrączki i wciskali jej w ręce, udzielając szczegółowych instrukcji. „Proszę to oddać Pamelii Murphy z Reading w Pensylwanii... Eloise Drew z Rapid City w Dakocie Południowej... Proszę jej powiedzieć, żeby sprzedała farmę... wyszła ponownie za mąż... dała mu na imię Hank... żeby mnie pamiętała... żeby o mnie zapomniała... Proszę jej powiedzieć, że ją kocham”. Uspokajająco kiwała głową, kiedy wymieniali niezliczone imiona i miejsca. Lista gorączkowych ostatnich życzeń, niewysłuchanych, nie została zarejestrowana przez jej świadomość. Co ci ludzie sobie wyobrażają? Że Japończycy odeślą pielęgniarki do kraju zdrowe i całe, obwieszone ich srebrnymi szkaplerzykami, złotymi zegarkami i setkami pierścieni uczelnianych niczym właścicielki lombardów?

Nigdy później nie potrafiła sobie przypomnieć, jak udało jej się przetrwać tamten dzień. Jak wykrzesła z siebie ostatnie okrucieństwa i człowieczeństwa, które, jak sądziła, zostały z niej wykorzenione – jak wykrzesła z siebie i okazała tym ludziom. Ale to zrobiła. Może dlatego, że i ona, i inne pielęgniarki, nieważne, jak straszny czekał je los w rękach wroga, miały absolutną pewność, że to ostatni dzień życia ich pacjentów. Japończycy nie brali do niewoli rannych; jeńców niezdolnych stać lub maszerować. Tak więc Kay i inne pielęgniarki z tysiącem pustych uśmiechów na twarzach złożyły tysiące pustych przysięg – że pojedą po wojnie do Jersey City, że pocieszą matkę w żałobie, że odwiedzą starego przyjaciela, wuja, siostrę, kochankę. Powiedzą bratu, że otrzymał wybaczenie, i wyznają Rosie, że mimo wszystko to jego dziecko. Że pieniądze są schowane w gabinecie za egzemplarzem *Lucji z Lammermooru*... że testament jest w spiżarni, ukryty w mące... że klucz do sejfu znajduje się w starym wypróchniałym dębie, tym pośrodku dolnego pastwiska, tuż obok potoku. Kay obiecała zrobić tysiąc bezsensownych, bezużytecznych rzeczy, których nie miała nigdy uczynić i których nigdy nie zdołałaby spamiętać, dawała na to słowo honoru. Wysłuchiwała, nie słysząc, urywków tysiąca niedokończonych biografii, wysłuchiwała, czego nie powiedzieli lub nie zrobili w przeszłości i już nie powiedzą ani nie zrobią. Niestrudzenie zmieniała bandażę, jakby

to miało znaczenie, jak gdyby zostało wystarczająco wiele czasu, by przesiąkły znowu i by rozwinęły się w nich infekcje. Rozdała ocalale dawki leków, sulfonamidów, wszystkiego, co zostało – to była ostatnia posługa, nie pielęgniarstwo. Rozdała wszystko, wszystko oprócz maleńkich szklanych fiolek morfiny.

Te zabrała. Ona i pozostałe pielęgniarki pod koniec nocnej zmiany zgromadziły tyle fiolek, ile zdołały, i w posepnym świetle odgałęzienia sypialnego ukryły je w zwiniętych w loki włosach. Fiolki były małe, przezroczyste, kruche. Kobiety ostrożnie pomagały sobie nawzajem ukryć je w swoich blond, czarnych i kasztanowych lokach. „Splatajcie porządnie i ciasno, dziewczęta”, pouczały się ponuro, naśladując siostrę przełożoną, która rok wcześniej instruowała je żartem: „Jedzcie bułeczki, dziewczęta, na wypadek gdyby Japończycy wzięli was do niewoli”. Śmiały się z tego nieprawdopodobnego pomysłu, oddając nietknięte maślane bułeczki, najedzone po posiłku, obfitym dzięki niekończącym się dostawom tropikalnych ryb, owoców i tłustych orzechów. Martwiły się, że nie wcisną się w suknie wieczorowe i nie pójdą na galę w ambasadzie, na tańce u oficerów, na bal pielęgniarek. Kay przypomniała sobie te bułeczki i po jej ziemistych policzkach potoczyły się łzy.

– Przecież to zło – zauważyła nieśmiało Rosaria. Była smagłą, drobną pielęgniarką z baczkami, której włoski akcent ujawniał się, gdy była przestraszona. – Zabić siebie to grzech.

W głębi ducha wszystkie się z nią zgadzały – katoliczki, żydówki, białe protestantki. To było zło, coś zakazanego i nigdy by tego nie uczyniły – skazałyby się na wieczne potępienie. Ale potem przypomniały sobie gwałty nankińskie, to, co spotkało tamte setki, tysiące kobiet oraz dziewcząt, młodych dziewcząt, z rąk Japończyków – i wpięły dodatkowe szpilki.

Skoki ciśnienia powtarzały się całą noc. Zabawne, myślała Kay, teraz, gdy się poddali, w korytarzach i bocznych odgałęzieniach zrobiło się znacznie ciszej. Żadnej bieganiny, żadnych jeepów trąbiących hałaśliwie i skręcających gwałtownie, by wyminąć pielęgniarki, zatrzymujących się o kilka centymetrów od głów żołnierzy leżących niewzruszenie na łóżkach ustawionych rzędami wzdłuż ścian, śpiących snem kamiennym z kompletnego wyczerpania, który sam w sobie jest rodzajem śmierci. Tego wieczoru panowała cisza – ludzie modlili się lub wspominali bądź szeptali w małych grupkach, zbierając siły na rano, który miał nadejść, jak wszystkie tu w dole, w totalnej ciemności.

Kay przesunęła palcami po niezapisanych kartach gorączkowych zabranych wcześniej ze szpitala – na ich pustych stronach napisze list do Jo McMahan, swojej najlepszej przyjaciółki z kraju; list, którego nigdy nie wyśle, ale który mimo to musi powstać – by rozjaśnić jej w głowie, by wreszcie mogła rozwikłać poplątane myśli. Nie mogłaby umrzeć bez tego. Na pisanie będzie mnóstwo czasu później – tej nocy nikt nie zaśnie.

Wróciła myślami do chwili, gdy dostała szansę na opuszczenie Malinty. Japońcy nie odkryli jeszcze tajnego doku dla łodzi podwodnych i chciano podjąć rozpaczliwą próbę wydostania ludzi. Nie wszystkich oczywiście zamierzano uratować, lecz tych ważniejszych w istniejącej hierarchii. Przyjaciół i rodzinę ambasadora. Kobiety alianckich sojuszników, rozdzielone z mężami i ojcami. Samego Douglasa MacArthura.

Mieli odpłynąć z pielęgniarkami, wyruszyć w morze, by nigdy więcej nie oglądać Malinty. Kay rozważała wyjazd – zastanawiała się, jak by to było jeść i pić, myć się i spać znowu, żyć jak istota ludzka, a nie jak robak – ale nie potrafiła się do tego zmusić. Nie dlatego, by żywiła szczególne uczucia – prawdę mówiąc, jakiegokolwiek uczucia – wobec pozostałych; była kompletnie odrętwiała. Koniec końców wraz z pięćdziesięcioma innymi pielęgniarkami postanowiła zostać, by opiekować się rannymi, asystować przy operacjach, podłączać kroplówki i zdejmować gips. Czas, jaki im pozostał do śmierci, zamierzały wypełnić obowiązkami. Nagle zdała sobie sprawę, że zawód pielęgniarki wojskowej to jedyne, co jej zostało na świecie, i nie potrafiła się z nim rozstać.

Zastanawiała się, gdzie jest teraz Jo. Żałowała, że przyjaciółka nigdy nie otrzyma jej listu, nie usłyszy przeprosin za to, jak Kay przechwalała się przydziałem świetnej misji na Pacyfiku. Świetnej misji! Jaka wściekła była Jo – w nowojorskim szpitalu, gdzie pracowały – że musi zostać i dokończyć drugi rok pielęgniarstwa, zanim zostanie zakwalifikowana do służby za granicą. Kay wciąż widziała przyjaciółkę w wykrochmalonym białym uniformie, tupiącą nogą z bezsilnej złości, z jednym wspaniałym, lśniącem lokiem wyzwolonym spod czepka. „To niesprawiedliwe”, krzyczała niemal, gdy wziął górę jej podwójnie gorący, irlandzko-włoski temperament, syjąc z oczu błyskawice, w gniewie jeszcze piękniejsza niż zwykle. „To niesprawiedliwe, że jedziesz beze mnie”.

Nie, powinnam zostać z tobą, Jo, razem byłyśmy silniejsze. Nauczyłaś mnie być silną. Razem stawiliśmy czoło wszystkiemu.

Kay zamknęła oczy i poczuła silną woń środka odkażającego, dotyk zimnego metalu półek, gdy w wyobraźni lekko przesuwała po nich dłońmi. Znowu znajdowała się w pomieszczeniu gospodarczym. Była zima, przypomniała sobie, w piwnicy położonej zbyt daleko od pieców panował ziąb. Dygotała w swoich bladych, białych pończochach. Zeszła na dół sama. Obiecywały sobie z Jo, że tego nie zrobią, że będą się trzymać w parze, dla bezpieczeństwa – ale przewód od zbiornika z tlenem przetarł się i skruszył w dłoni przełożonej pielęgniarek, a ta poleciła Kay biec po zapasowy, przynieść go natychmiast. Kay była na dole; żarówka pod sufitem w składziku brzęczała cicho, skręcone włókno się żarzyło, łańcuszek z metalowych koralików wciąż się kołysał po tym, gdy go pociągnęła. A potem nie znajdowała się już sama, on był obok. Czowała jego zapach, słyszała oddech. Jakim cudem się za nią zakradł? Nawet ona nie wiedziała przecież, że zejdzie do piwnicy, biegła całą drogę – lecz był tutaj, blokował jej wyjście z magazynu na leki. Półki naparły na nią, zaczęły naciskać mocno, nie mogła oddychać. Widziała jego oczy – zdawały się czerwone... nie, czarne – ale przez moment. W następnej chwili był tuż przy niej, za blisko, by mogła skupić wzrok; mroczna, twarda masa przyciskająca jej plecy do betonowej ściany, do twardych półek. Zaszamotała się, *nie, po prostu nie*, ale słowa nie wydobyły się z jej ust, bo nie mogła oddychać. Próbowwała go odepchnąć, czując jego gorący oddech na swojej szyi, szorstkie dłonie manipulujące przy jej podwiązce. I właśnie kiedy sięgnął, by szarpnąć łańcuszek, przerwać ciche brzęczenie, zgasić słabe światło i pogрузić ich oboje w mroku, z tyłu rozległ się jakiś dźwięk, a gdy się obejrzał, zobaczył Jo ze skrzyżowanymi na piersi rękami, z kolejną pielęgniarką u boku, i Jo powiedziała spokojnie, chłodno „Doktorze”, tylko to jedno

słowo: *doktorze*.

Utkwił w niej pusty, pełen nienawiści wzrok.

– Nic siostra nie powie, nic, jeśli siostra wie, co dla niej dobre. Przypomnij sobie, co spotkało pielęgniarkę, która zaczęła paplać. Nikt jej nie uwierzył. Masz tylko swoje parszywe słowo przeciw mojemu i jesteś niczym, jesteś nikim. Jeśli zaczniesz gadać, nigdy nie znajdziesz pracy w tym mieście.

Odepchnął Kay, jakby zmienił zdanie, po czym przeobraził się w mgnieniu oka, maska wróciła na miejsce. Nagle niemożliwością było uwierzyć, że ten dostoyny mężczyzna poprawiający krawat, gotowy roztoczyć blask swojej reputacji i boskich umiejętności, jest bydlakiem sprzed paru chwil. Szybko wyminął pielęgniarki, zapinając długi biały fartuch; jego wypastowane buty stukały dźwięcznie na malowanej betonowej podłodze. Kay osunęła się po ścianie z szorstkiego kamienia, przycisnęła kolana do piersi, a Jo była tuż obok, tuliła ją i gładziła po włosach; tuliła ją, płacząc cicho i powtarzając: „Coś poradzimy, kochanie, coś poradzimy. Musimy coś wymyślić”.

Wzdrygnęła się. Nie mogła o tym myśleć: o tym, co wydarzyło się później, co związało je ze sobą tak mocno, że nawet teraz, na przeciwnych krańcach świata, każda nadal była obecna w życiu drugiej. Jo trwała u jej boku, przeprowadziła ją przez tamto. Pomagały sobie, dawały nawzajem oparcie, lecz później Kay wyjechała za granicę. Jo miała rację: to nie było sprawiedliwe, że Kay trafiła na Pacyfik.

I listy, które stamtąd przysyłała – na poły z przyjaźni, na poły z chęci zaimponowania – też nie były w porządku, prawda? Plaże z wulkanicznego piasku, rozkołysane palmy, piękny błękit Pearl Harbor. „Właśnie tutaj stacjonuję, Jo”, bazgrała pośpiesznie, przygryzając z podniecenia pióro między jedną myślą a drugą. „Z powodu upału mamy tylko czterogodzinne zmiany i uwierzysz, Jo, nie musimy nosić pończoch!” Wydawało jej się to dostatecznie nieprzyzwoite, zresztą doszła do końca strony. Zabrakło miejsca, by napisać o bungalowach stojących jak bociany nad połyskującym, krystalicznym morzem, o służących i prywatnych chatkach, o cowieczornych balach i oficerach zachwyconych świeżą transzą Amerykanek – miała trzech kandydatów do każdego tańca. „Biedna Jo, tkwi w okropnym Nowym Jorku”, westchnęła, starając się ze względu na przyjaciółkę zachować powagę – na próżno, zaraz roześmiała się z samej siebie i swojego niewiarygodnego szczęścia, dzięki któremu z biednej dziewczyny z północnej Pensylwanii rozkwitła niczym Kopciuszek w łące rajskiej scenerii. Gdyby jeszcze tylko potrafiła się zdecydować, czy na bal włożyć suknię z niebieskiego szyfonu, czy z organdy.

Był czas, kiedy to stanowiło jej największy problem.

Schodząc ze zmiany, minęła jedną z pielęgniarek.

– Wszystko okej, Elliott? Masz jeszcze trochę czasu.

– Hmm? Tak, wiem. Po prostu chciałam się przejść. Nie mogę spać.

Ruszyła bez celu korytarzami, w których nie mogła zablądzić; zdążyła poznać je tak dobrze, że miały w niej tkwić już zawsze – niczym nowotwór, ukryty głęboko i złośliwy. Wędrowała tunelem zbudowanym z użyciem maszyn firmy Baguio

przeznaczonych dla kopalń złota, przekłętego sproszkowanego TNT pakowanego w stare gazety oraz rękami tysiąca skazańców z więzienia Bilibid. Cały ten koszmarny labirynt został stworzony przez inżynierów Korpusu Inżynieryjnego Armii Stanów Zjednoczonych, którym ani przez chwilę nie przyszło do głowy, że będzie po nim przemykać w ciemnościach podobna do zjawy kobieta czekająca na śmierć o poranku. Nie wyobrażali sobie ani przez chwilę, że wzniesiony przez nich bunkier magazynowy stanie się ostatnim bastionem oporu przeciw Cesarstwu Wielkiej Japonii (do diabła, to właśnie od Japończyków inżynierowie Korpusu kupili cement na budowę obiektu).

Kay minęła kilku idących szybko urzędników, niosących w objęciach stopy dokumentów z nagłówkami „FEAF” (Far East Air Force) i „U.S. Air Force Far East”. Większość tajnych materiałów została już spalona – te musiały być ostatnie. Minęła mężczyźni otwierających przeterminowane puszki z sardynkami, rozdzierających z wysiłkiem paczki sucharów zaplombowanych szczelnie dla ochrony przed tropikalną wilgocią. „Chce panienska kilka?”, zaproponowali. „Lepiej, jeśli my je zjemy dzisiaj wieczorem niż japońcy jutro”. Uśmiechnęła się i pokręciła głową, czując nagłe mdłości i zawrót głowy, a oni powrócili do swojej ostatniej wieszery. Pomyślała o łodziach podwodnych zatopionych podczas prób dostarczenia im żywności – sześciu lub więcej, które zaryzykowały, zdołała się przebić tylko jedna. Podśluchiwała marynarzy opowiadających, jak usuwali wszystkie torpedy z wyjątkiem znajdujących już się w wyrzutniach, by załadować na pokład czterdzieści do sześćdziesięciu ton żywności. Czterdzieści do sześćdziesięciu ton. I wszystkie tak wyposażone okręty podwodne oprócz jednego zostały zniszczone przez Japończyków. Pomyślała o nieosiągalnych dla nich paczkach, pudełkach, puszkach pełnych mięsa, ryżu, kawy i czekolady, które z pewnością ocalały, nawet jeśli próbujący je dostarczyć ludzie zginęli; o żywności, która została wyrzucona na brzeg jakiejś odległej wyspy albo wciąż jeszcze kołysała się na wodzie, bezużyteczna, pośrodku Oceanu Spokojnego.

Zatrzymała się na otwartej przestrzeni głównego tunelu, który przez pierwszych kilka dni służył w Malincie jako rampa wyładunkowa. W półświatle lamp zobaczyła, że beton ciągle jest poplamiony krwią. Pielęgniarki czuły się zdruzgotane. To było gorsze niż panika i chaos siódmego grudnia. Tak wielu żołnierzy, tak wielu rannych, ciężko rannych. Pamiętała, jak krzyczała na pół oszalała: „Przynoscie tylko żywych!”, pochylając się nad wciąż ciepłymi i krwawiącymi zwłokami. I pamiętała przebiegających obok w milczeniu uchodźców, z dzikim wzrokiem wlewających się do tunelu, zanim zamknięto wrota; setki młodych, starych, niemowlęta podskakujące na plecach starszego rodzeństwa, ciężarne matki wlokące za rękę maluchy, szurające bosymi stopami i błogosławiące swoje szczęście, że zdołały umknąć przed Japończykami, dotrzeć aż tutaj. Oczywiście nie mogli wiedzieć, co ich czeka za kilka miesięcy; nie mogli wiedzieć, że Japończycy nie tylko byli świadkami ich ucieczki do Malinty, lecz także ją umożliwili, nakazując rozstąpić się swoim szeregom, by przepuścić zdesperowane ludzkie potoki, przekonani, że miłosierny wróg głupio wpuści zbiegów do swojej twierdzy, a każda dodatkowa gęba pchnie Amerykanów do podjęcia decyzji o poddaniu.

Nawet w ich litości czaiło się okrucieństwo.

Rampa wyładunkowa była teraz pusta, uchodźcy kulili się w innym odgałęzieniu,

modląc się do swoich bogów i do Boga przyniesionego przez misjonarzy, do każdego bóstwa gotowego ich ocalić, wysłuchać, pochylić się nad tymi pogrzebanymi pod wielką skałą zwaną Corregidorem. Kay przypomniał się pierwszy raz, gdy zeszła pod ziemię; jak jej pierś ścisnęła się z paniki na widok tego nienaturalnego świata. Jej ojciec przepracował wiele lat w kopalni węgla – za grosze, za które cudem utrzymywał rodzinę. Ale aby ogrzać swój dom, wraz z bratem Kay wykopała po przeciwnej stronie miasteczka piracki szyb rozpoczynający się na działce wuja i wgryzający się w pomniejszą żyłę. Któregoś upalnego lipcowego dnia brat zabrał Kay na dół, do chłodnego korytarza. Początkowo w blasku ojcowskiej latarni, we wsączającym się w ich kości chłodzie wszystko wydawało się w porządku. Jednak w miarę jak zstępowali niżej, Kay straciła poczucie proporcji i perspektywy, w uszach zaczęło jej dzwonić, piersi przytłoczył ciężar. „Muszę stąd wyjść, Pete”, oświadczyła piskliwie. Najpierw nie potraktował jej poważnie, powiedział, żeby nie była babą. Ale klaustrofobia, irracjonalny lęk – nie przed tym, że chodnik się zawali, nie przed nietoperzami ani szczelinami, ani nawet przed trującym gazem; żadna rzeczywista obawa, którą potrafiłaby wskazać palcem i zwalczyć, lecz lęk, którego nie umiała nazwać ani opanować – schwycił ją, opętał, tak że odwróciła się i na oślep rzuciła do ucieczki. Brat wołał, by poczekała na niego, na latarnię, by przestała się zachowywać jak beksa, żeby się uspokoiła, bo zrobi sobie krzywdę. A ona – z sercem walącym w gardle, bez słów, próbując złapać oddech – pieła się ku skośnym promieniom popołudniowego słońca. Atak paniki nie ustępował jeszcze długo po tym, gdy wilgotny upał ponownie owiał jej twarz, skręcił blond kosmyki. *Muszę stąd wyjść.*

Teraz, po wielu tygodniach pogrzebania żywcem, miała wyjść. Tym razem wiedziała, że kiedy się wynurzy z atramentowej ciemności, nie będzie na nią czekać rozpalone Mount Carmel, senne pensylwańskie miasteczko posadowione wysoko w górach, nie będzie cebulastej kopuły ani ostrej iglicy, z której rozlegnie się bicie dzwonów, by ją wyrwać z koszmaru, nie będzie pylistej drogi prowadzącej do miejsc, które znała i kochała całe życie.

To była wojna. A Kay Elliott miała zostać jej kolejną ofiarą.

JO MCMAHON

WIOSNA 1945, FRONT ZACHODNI

Jo rozsunęła klapy namiotu, by wpuścić do środka pierwsze słoneczne promienie świtu. Deszcz ustał, lecz płótno wciąż było wilgotne; gdy rozwiązywała sznurki nad głową, lodowata woda pociekła jej po rękach. Zastygła jak wrośnięta w ziemię, zagapiona na szorstki materiał, nie chcąc się odwrócić, niezdolna zmierzyć się z nowym dniem. Wszyscy nie żyli. Kapitan powiedział, że wszyscy nie żyją. Pacjenci, których z takim trudem starali się uratować, chirurdzy ze swoimi wprawnymi dłońmi, teraz znieruchomiały, pielęgniarki zmiażdżone ciężarem samochodów, kamieni, ziemi i gruzu. Wiadomość złamała Dziadka, chwycił się za serce i zasłabł. Jo ocuciła go, mimo że jej również świat wirował przed oczami. Chociaż doktor był już na nogach – tego stalowoszarego ranka zerwał się z łóżka jeszcze przed nią i cicho chodził od pacjenta do pacjenta – nie był sobą. Dwa razy spytał, kiedy przyjedzie kolejna partia rannych i co zatrzymuje chirurgów. Za jego czasów, oznajmił, lekarze nie mieli w zwyczaju się objąć. Przyłapała go na rozprawianiu o bitwie nad Sambrą, jakby toczyła się teraz.

– Przecież to było podczas poprzedniej wojny, doktorze – zauważyła cicho, patrząc w jego małe oczka ukryte za okularami.

– Nie waż się mi mówić, którą wojnę mam na myśli, ty mała... – lecz zaraz się zreflektował, w przeblysku jasności uświadomił sobie pomyłkę.

Nie minęła jednak godzina, jak oświadczył, że dość się napracowała i jej zmiana się skończyła, ma pójść po którąś z pozostałych pielęgniarek, by przejęła dyżur; musi wypocząć, inne dziewczęta się lenią.

Stała nieruchomo jak kamień. Słyszała, jak doktor mruczy półgłosem jakąś melodyjkę; słyszała szelest płótna, gdy wychodził z namiotu Bóg wie dokąd; słyszała, jak chorzy zaczynają się poruszać, jęczeć i utyskiwać na swoich łóżkach. Byli głodni, zmarznięci, wymagali zmiany opatrunków, opróżnienia basenów, podania leków, niektórzy również powinni zostać zoperowani – a wszyscy potrzebowali cudu, by wydostać się stąd żywi. Jo nie była już zdolna do żadnych cudów.

– Panienko – rozległ się drżący głos. – Panienko.

Przelknęła ślinę. Nie potrafiła zmusić się do tego, by się odwrócić. Nie ujrzy w namiocie nikogo z personelu, a chciała, by znowu był pełen ludzi i krzątaniny. Chciała zobaczyć sanitariuszy, chirurgów, dentystów, lekarzy, pielęgniarki – nade wszystko pielęgniarki, zastępy pielęgniarek dzięki swoim umiejętnościom i czystej determinacji niepozwalających duszom odłączyć się od ciał. Zerknęła kątem oka i zobaczyła Gianniego obserwującego ją w zamyśleniu z kciukiem przyciśniętym do ust, niecierpliwie czekającego. Tkwił tam całą noc, krążył tuż poza jej zasięgiem, nie wyświetlał jej jak zwykle ostatnich chwil swojego życia, lecz czekał niecierpliwie. Czekał na nią. Queenie i pozostałe pielęgniarki już do niego dołączyły, a kaprysem losu nie ona, nie

Josie. Czekał na Josie.

– Panienko. – Głos stał się wyższy, pełen bólu.

Czego od niej chcą? Jej młodość, uroda i zdrowie przeminęły, opuściła ją nawet wola przetrwania. Jakie znaczenie miało teraz, czy Niemcy zwyciężą? Czy zmieniliby to tak wiele? Byli równie zmarznięci, zagłodzeni i umierający jak Amerykanie. Ich kobiety straciły dzieci, ich matki straciły synów. *Czy zginiesz tutaj, czy umrzesz w kraju, będziesz tak samo samotny... przyjdź do mnie, przyjdź tu, gdzie nigdy więcej nie będziesz samotny.*

Zadrżała. Nie od zimnego powietrza napływającego przez wywietrzniki, nie od wody, która krętymi strumyczkami spływała jej po rękach i rozlewała się, tworząc ciemne koła pod pachami spłowiałej zielonej bluzki. Jo dygotała na całym ciele, zęby jej dzwoniły, trzęsły się dłonie. Mocno zacisnęła powieki, odsuwając od siebie świat. Była stracona. Straciła wszystkich bliskich. Ameryka przegrywała wojnę. Jeśli Jo zginie, nie zrobi to najmniejszej różnicy – nikomu. Wszyscy, których by to obeszło, nie żyli. Nagle znów znalazła się poza własnym ciałem, myśląc o sobie w trzeciej osobie. Zobaczyła siebie jako szlachetną, tragiczną bohaterkę obciążoną poza granice ludzkiej wytrzymałości. Tak łatwiej było myśleć o tym wszystkim, znacznie łatwiej. Nie bolało już wcale, bo nie była drobną, zagubioną postronną osobą, ale postacią ze sztuki, której należało współczuć, biedactwu. Dreszcze minęły. Odetchnęła głęboko. Podjęła decyzję. Zrobi to, skończy ze sobą. Dołączy do niego. Gianni uśmiechnął się i ruszył w jej stronę swoim patykowatym, długim krokiem. Zmartwiła się przelotnie jedynie tym, że wśród żywych nie został nikt, kto za nią zapłacze. Obróciła się do brata.

– Panienko.

Tym razem był to właściwie skowyt. Zirytowana okręciła się na pięcie, gotowa zakląć, że znowu jej przeszkadzają.

– Dobry Boże na niebie! – wykrzyknęła zamiast tego.

Scena, jaką zobaczyła, wydałaby się komiczna w każdym innym miejscu i każdym innych okolicznościach. Jonesy odczepił z drutu zagipsowaną nogę i leżał w połowie na swoim łóżku, w połowie na łóżku sąsiada. Próbował się odepchnąć od przeklętego Szkota, który wśród majaczeń postanowił dać astmatykowi nauczkę i raz po raz walił bezbronnego nieszczęśnika basenem. Ten, rżąc donośnie, osłaniał się przed furią napastnika uniesionymi rękami, milczący i zdeterminowany. Major na sąsiednim łóżku chwilę obserwował obu szklistym wzrokiem, potem zwymiotował i niezainteresowany przekręcił się na drugi bok. Jeden z pacjentów pooperacyjnych wpatrywał się w sufit, poruszając cicho wargami w modlitwie albo w halucynacjach; drugi, z zabandażowaną głową i oczami, próbując opuścić łóżko, potknął się o zestawy chirurgiczne wciąż jeszcze spiętrzone na podłodze i leżał jak długi. Dziadka nigdzie nie było widać.

– Panienko – zawołał znowu gorączkowo Jonesy.

Może wcale nie było to zabawne, lecz bezbrzeżna absurdalność sceny podziałała na Jo niczym chluśnięcie zimnej wody w twarz. Pielęgniarski instynkt poderwał ją do akcji: siłą zawlokła Szkota na jego łóżko, pomogła Jonesy'emu ułożyć się na pościeli, podniosła niewidomego żołnierza i sprzątnęła po majorze. Gdy się zmagala z gigantycznym gipsem, ciężkim i nieporęcznym, próbując go podwiesić z powrotem na drucie, Jonesy paplał jak nakręcony swoim spokojnym, śpiewnym głosem.

– Przepraszam, że panienkę wezwałem, widziałem, że potrzebuje panienka chwili, ale nie miałem jak powstrzymać tego przeklętego... wybaczy panienka... piekielnego Szkota. Co on sobie wyobrażał, ha, tego nie wie nikt. Biedaczysko, pewnie sobie uroił, że walczy z samym Führerem. Lecz jak mawiała moja mamusia: póki życia, póty nadziei. Mało to oryginalne, myślałem w swoim czasie, ale Boże, odkąd zobaczyłem kawałek tej wojny, zrozumiałem, że miała świętą rację. Życie jest najważniejsze, słowo daję. To znaczy nie dbasz o nie, dopóki jakiś głupiec co chwila nie próbuje ci go odebrać. Kiedy mnie trafili w nogę, sądziłem, że już po mnie, słowo daję. Ale nie. To jeszcze nie koniec, jak długo mam coś w tej sprawie do powiedzenia. No, wpadliśmy wszyscy jak śliwka w kompot przez tę wojnę, bez dwóch zdań. Ale ja się jeszcze nie poddałem, uważa panienka. – Zrobił przerwę na oddech i uśmiechnął się szeroko. – Mimo wszystko cieszę się, że panienka się odwróciła. Potrzebowałem tego.

Umocowała gips i odsunęła się od łóżka. Gdy usłyszała, jak Jonesy porównuje wojnę światową do kompotu, ścisnęło ją w gardle, lecz słowa, że jej potrzebuje, rozstrzygnęły, co ma robić. Oto sześciu ludzi, którzy jej potrzebują. Zapewne nie znaczy to wiele wobec losów świata. Nawet nie znają jej imienia. Ale gdyby jej zabrakło, tym sześciu mężczyznom zrobiłoby to różnicę. Dla nich miałoby to znaczenie. Jeśli chciała oddać hołd Queenie i wszystkim wartościom, jakie wyznawała przyjaciółka, mogła to uczynić tylko tak. Nieważne jak mało znaczące się to wydaje: oto coś, dla czego może żyć.

Nie stracę tych sześciu żołnierzy, przysięgła sobie i powtórzyła na głos:

– Nie stracę ich.

– Słucham, panienko? – Do namiotu wszedł Dziadek, trzymając pod pachami ciemnozielone puszki i tuląc w ramionach rozmaite pudełka i paczki. – No, pomóż mi z tym wszystkim.

– Gdzie pan był? – spytała, patrząc na zapasy: mięso w puszkach, suchary, ryż, fasolę.

– Na łowach, panienko, na łowach – odpowiedział niemal radośnie. – Mamy szpital na utrzymaniu i niech mnie diabli, jeśli jakaś kapitańska blotka zatrzyma całą żywność dla swoich ludzi.

Uśmiechnęła się z niedowierzaniem.

– Ale jak go pan zmusił, by się podzielił?

– Kaszka z mleczkiem, panienko. Szeptali i uciszali się nawzajem, i dawali mi znaki bronią, żebym padł na ziemię. Chyba się ukrywają przed tym lub owym. No cóż, nie przyłączyłem się do tych błazeństw. Oznajmiłem, że przychodzę po racje i nie ruszę się, i będę wrzeszczał ile sił w płucach, aż czegoś nie dostanę. – Zarechotał zachwycony tym wspomnieniem. – Powinna panienka zobaczyć, jak się rzucili po jedzenie. – Z trudem rozerwał opakowanie gotowych do spożycia sucharów, sypiąc okruchami na wszystkie strony. – Boże Narodzenie! – wołał do chorych, przechadzając się dumnie niczym satyr. – Pałaszujcie, przyszły święta!

– Doktorze – zaczęła Jo. Jeśli wróg znajdował się w pobliżu, hałas był ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowali. Nic dziwnego, że kapitan tak szybko podzielił się zapasami. – Doktorze.

– Cóż, nie musi panienka jeść, skoro nie jest głodna. – Dziadek nagle stał się niemły. Cisnął suchary na ziemię. – Jeśli nie pani, doceni je następna zmiana. Panno McMahan, proszę przygotować majora do operacji. Ten wyrostek należy wyciąć.

Pierwszy raz od początku wojny Jo poczuła prawdziwy strach. Oczywiście bała się wcześniej, podczas pierwszego desantu – nie w Normandii, nie, w Normandii nabrali już rozumu. W Afryce Północnej. Bała się, gdy wyładowano pielęgniarki razem z piechotą: drobne dziewczęta tonęły pod ciężarem plecaków ważących tyle co one i żołnierze nurkowali po nie, holowali je na powierzchnię. Potem piekło na plaży: pielęgniarki nie do odróżnienia od wojskowych w męskich mundurach, niezgrabne i niezręczne, zmagaly się z falami przyboju niczym zmokłe koty. Pamiętała świszczące kule, czyjś krzyk „Padnij!”, ostrzał z dział i to, jak ktoś rzucił się na nią całym ciałem, przygważdżając do ziemi, ratując jej życie. Jak leżała całą nieskończoność pośród soli i krwi, przytłoczona ciężarem, czekając, aż ostrzał ustanie. Jak postanowiła schronić się wśród drzew i gdy podziękowała żołnierzowi za ochronę, uświadomiła sobie, że jest martwy od chwili upadku. I jak ukryta w brudnej, zawszonej willi mającej służyć za szpital, czekając beczynn timer następane dwa dni na przybycie pierwszej fali rannych, znowu poczuła strach – pierwszy rzeczywisty strach podczas tej wojny. Tak więc bała się w Afryce Północnej, ale wtedy jeszcze czuła i myślała. Gianni wciąż żył – na swoim lotniskowcu gdzieś na morzu; pielęgniarki wciąż śpiewały, gdy ich ciężarówki ze zgaszonymi reflektorami toczyły się z warkotem przez jałowe ziemie i pustynie. Czuła wtedy lęk, lecz zawsze dotyczył świata zewnętrznego: bała się, co tamci mogą zrobić jej, innym dziewczętom lub żołnierzom. Nigdy nie obawiała się szkód, jakie mogą wyrządzić sami sobie. Ale teraz była przerażona i nie wiedziała, co odpowiedzieć Dziadkowi.

Jeśli wyrostek nie zostanie szybko usunięty, major umrze – to było pewne. Gorączka nie spadała, brzuch miał napięty i bolesny. Nie pozwalał się już nawet zbadać, obronnym gestem chwytając ją za nadgarstki, gdy próbowała odsunąć koc. Tyle że Dziadek nie był zdolny do przeprowadzenia operacji, porwany w inny czas, w jednej chwili wściekły, w następnej niepoważny. Nie zdołałby przeprowadzić zabiegu. Jeśli jednak go nie przeprowadzi, jej pacjent – jeden z pacjentów, których dopiero co przysięgała nie stracić – umrze.

– Tak, doktorze – wymamrotała, próbując zyskać na czasie. – Proszę tylko pozwolić, że najpierw sprawdzę stan pozostałych pacjentów. Muszę się nimi zająć.

Proszę mi dać sekundę na zebranie myśli. Muszę się zastanowić. Podeszła do zabandażowanego mężczyzny i usiadła.

– Przepraszam, żołnierzu, nie miałam wolnej chwili. To wszystko musi być dla pana bardzo trudne do zrozumienia – zaczęła. Trudne do zrozumienia dla niego? Sama nie ogarniała tego wszystkiego. – Będziemy... przez jakiś czas będziemy zajęci operacją. Mogę wcześniej coś dla pana zrobić?

Ranny wyciągnął okaleczoną rękę i macał wzdłuż jej przedramienia, aż ujął dłoń. Co właściwie mogła zaoferować człowiekowi pozbawionemu twarzy, oszpeconemu i prawdopodobnie oślepiionemu do końca życia? Nawet gdyby miała do dyspozycji cały szpital ogólny, nie zdołaliby mu pomóc w żaden sposób.

– Owszem, panienko – brzmiała cicha odpowiedź. – Tak sobie leżałem i myślałem,

że jest jedna rzecz...

Wzdrygnęła się w duchu. *Nie. Nie prosź, żebym cię pocałowała. Żebym odwinęła bandażę i pocałowała tę bezkształtną, poskręcaną miazgę. Queenie nie zrobiłaby tego nawet w szczytowej formie. Błagam, Boże, tylko nie to...*

– Zastanawiałem się – podjął nieśmiało, niemal przeprasząc. – Czy mogłaby mi panienka opisać, gdzie się znajduje?

Jej szalejący umysł skamieniał z zaskoczenia. Ranny ciągnął wolno, z namysłem.

– Rozumie panienka, nic nie widzę. Zdaję sobie sprawę, że może tak już będzie zawsze. Ale najgorsze jest poczucie bezradności: że nie wiem, co się znajduje dokoła, gdzie jestem. Dzięki temu nie czułbym się też kompletnie bezużyteczny. W zasadzie nie jest ze mną tak źle, to znaczy co do reszty. Wydaje się, że miała tu panienka pełne ręce roboty. A ze mnie niewiele teraz pożytku. Ale chciałbym przynajmniej wiedzieć, na czym stoję. – Bandaże napięły się lekko, jakby się pod nimi uśmiechnęły. – Dosłownie.

Jo była wstrząśnięta zwyczajnością prośby. W panującym wokół chaosie byłaby to ostatnia rzecz, jaką uznałaby za ważną.

– Znajduje się pan w szpitalu polowym, żołnierzu... jak panu na imię?

– James, panienko.

– James. Znajduje się pan w szpitalu polowym, James, a dokładnie... w tym, co z niego zostało. Były jeszcze inne namioty, ale... nieważne. Najbliższe wyjście jest niecałych pięć metrów od pańskiego łóżka w tę stronę. – Obróciła jego ciało. – Po obu stronach ma pan po jednym łóżku polowym i trzy po drugiej stronie przejścia. Żołnierz obok pana... no cóż, w tej chwili roją mu się różne zwidy, to nie jego wina, wszystko przez tyfus. Postaramy się mieć go na oku, ale nie jest zbyt silny, więc gdyby pana zaczepił, niech go pan po prostu trzyma na dystans, aż będę mogła podejść, okej? Pacjent po pańskiej prawej jest w kiepskim stanie, spadochroniarz z typowymi obrażeniami. Muszę zaraz do niego zajrzeć, ale panu nie powinien sprawiać kłopotów. Naprzeciw leży trzech ludzi: ten, którego będziemy operować... zwykle usunięcie wyrostka („zwykle”, pomyślała – *dobry Boże*), jeden mający lekkie problemy z oddychaniem i ostatni ze złamaną nogą. To angol, ale naprawdę w porządku facet. Został tylko jeden lekarz i ja, nie wiem, czy pan słyszał... – Jej głos ścichł.

– Tak, panienko, podsłuchałem mimo woli. Przykro mi.

Podjęła szybko.

– Zdaje się, że Niemcy wdarli się ostatnio całkiem głęboko w nasze linie w tej okolicy, więc staramy się zachowywać najciszej jak to możliwe, aż drogi zostaną... no cóż, aż będziemy mogli wszystkich stąd ewakuować. *À propos*, z pewnością pan to wyczuwa, ale piecyk stoi dokładnie na wprost pańskiego łóżka, przy maszcie namiotu. Niech pan go omija, James.

– Tak, panienko, starczy mi oparzeń.

Ścisnęła go za rękę. Jak mógł dowcipkować? Świat się kończy, a on stroi sobie żarty. Z jakiegoś powodu poczuła się z niego ogromnie irracjonalnie dumna, jak z małego chłopca, który wyrecytował trudny wiersz bez żadnego błędu. Znowu machinalnie uścisnęła jego dłoń i podniosła się z łóżka, nie zauważając, że skrzywił się pod bandażami, gdy jego wdzięczność i czułość wobec pielęgniarki zmieszały się

z potwornym bólem oparzonej ręki.

– Halo, żołnierzu – zaczęła Jo, siadając swobodnie w nogach następnego rannego. Spojrzała jeszcze raz w jego kartę i zerwała się pośpiesznie. – Przepraszam. Proszę księdza.

Nie zauważyła wcześniej skrótów przed nazwiskiem. Nie chciało jej się wierzyć, że leżący przed nią chłopak może być kapłanem wojskowym. Tak jednak brzmiała informacja uzyskana przed operacją – ksiądz katolicki, urodzony 4 czerwca 1920 roku. Spojrzała raz jeszcze na jego okrągłą, upstrzoną piegami twarz wieśniaka, na mały zadarty nos. Wyobraziła sobie, że w czasie pokoju jego krótko ostrzyżone włosy wciąż jeszcze by się kręciły, policzki przez okrągły rok pozostałyby rumiane od słońca. Pohamowała chęć, by zwrócić się do niego „synu”, i zamiast tego powtórzyła: „Proszę księdza”. Po czym dodała:

– Mogę coś dla księdza zrobić?

Wcześniej w blasku zapomnianej przez kapitana latarki zmieniła mu bandaż. Przypomniała sobie rozległe obrażenia brzucha wyglądające, jakby został poszatkowany, poharatany mnóstwem noży. Załatali go najlepiej, jak umieli, i nafaszerowali penicyliną, licząc, że w szpitalu ewakuacyjnym lekarze zdołają zrobić więcej. Istniała spora szansa, że z tego wyjdzie – fizycznie. Leżał jednak przed nią wyprężony i milczący, z rękami starannie splecionymi na piersi, jakby został przygotowany do pochówku, wpatrzony wprost przed siebie, lecz nie na Jo – nawet nie odwrócił głowy, kiedy się odezwała. Zajrzała mu w oczy – źrenice regularne, równe, okrągłe, reagowały normalnie na światło latarki, gdy sprawdzała wcześniej. Zatem uszkodzony był nie mózg, lecz coś ważniejszego, coś głębiej. Zapewne nazwałby to duszą. Położyła dłoń na jego ręce i jego ciało niemal niezauważalnie zeszywniało.

Przechodząc przez namiot, Jo unikała patrzenia na majora, który jęcząc, leżał skurczony pod kocem. Przysiadła na łóżku jego sąsiada, by osłuchać klatkę piersiową.

– Jakim cudem dostał się pan na tę wojnę? – spytała bez ogródek.

– Nakłamałem – brzmiała równie bezpośrednia odpowiedź.

– Rozumiem. Zapewne miał pan tę astmę od zawsze, już jako mały chłopiec?

– O tak, panienko. Straszylem matkę, aż odchodziła od zmysłów.

Tu musiał zrobić przerwę, by nabrać powietrza szybkimi, płytkimi haustami; praktycznie nic nie wdychał ani nie wydychał, tlen nie docierał do jego skurczonych naczyń krwionośnych.

– Byłem w służbie ochrony przed nalotami, ale po prostu wydawało się, że to za mało. I mnie, i mojej dziewczynie. To znaczy ludzie zaczęli plotkować, czemu nie wypełniam obowiązku wobec ojczyzny...

– Przecież to niedorzeczność. Nie nadaje się pan do służby, skoro nie może nawet oddychać.

– Właśnie to odkryłem, panienko. – Jego sine wargi skrzywiły się ironicznie. – Całkiem nieźle się maskowałem, póki byłem zdrowy. Ale odkąd złapałem ten...

Nie mógł mówić dalej. Z piersią unoszącą się i opadającą raptownie przypominał rybę wyjętą z wody i tonącą w morzu powietrza, z którego nie mogła się napić.

– Na tym skończymy... Williamie? – spytała, zaglądając w jego kartę.

– Bill, jeśli panienka pozwoli. Billy, jeśli można.

– Zobaczą, co da się zrobić. No dobra, jest parę rzeczy, którymi muszę się najpierw zająć, ale przy pierwszej okazji przyniosę panu gorącej wody. Jak byłam nastolatką, opiekowałam się parką koszmarnych bliźniaków od sąsiadów. Regularnie chorowały na krup, więc ręcznikiem i odrobiną pary potrafię wiele zdziałać.

Spróbował się uśmiechnąć. Jego ciemne wargi wyglądały upiornie na bladej twarzy. Poklepała go po stopie okrytej kocem i ruszyła dalej.

– Nadal wszystko okej, Jonesy? – spytała.

– Tak jest, panienko. Mogę coś dla panienki zrobić? – Spojrzał w górę wyczekująco jak spaniel.

– Bóg ci zapłać, Jonesy, owszem. Proszę – odparła, zbierając rozsypane po ziemi owoce zapobiegliwości Dziadka. – Nie wiem, kiedy zdobędziemy znowu coś do jedzenia, więc to się nie może zmarnować. Czy zechciałbyś otworzyć kilka paczek? Każdy, kto może, powinien coś jeść. Ty też, Jonesy.

– Och, jadłem dwa dni temu, panienko. – Wyszczrzył się od ucha do ucha, po czym radośnie zaczął sortować puszki i pudełka na swoim kocu.

Jo próbowała sobie przypomnieć czasy, kiedy tego rodzaju ripostę można było uznać za żart – bez sukcesu.

Potrzebowała więcej czasu. Jeśli nie zamierzała szafować życiem majora, oznaczało to, że pozostał jej tylko jeden pacjent. Sięgnęła po kartę i przeczytała głośno nad nieruchomą postacią Szkota:

– David MacPherson. No cóż, niezłe nam dałeś w kość, Davidzie, bez dwóch zdań.

– Nie tak bardzo jak ty – brzmiała natychmiastowa odpowiedź.

– David? – spytała zaskoczona, siadając obok i odciągając mu powiekę. – Słyszysz mnie?

– Nie tak jak ty, Bumpy. Jesteś sto razy cięższy. Złaż i pozwól mnie spróbować.

Westchnęła. Nie, penicylina nie mogła poskutkować tak szybko, nawet w wysokich dawkach, jakie mu aplikowała całą noc. W pudełku, które wciąż nosiła w kieszeni spodni, zostały tylko cztery tabletki – czy to wystarczy? Kolejne pudełko mogłoby pomóc, ale nie miała więcej. Penicylinę spakowali na samym początku. Jak major poradzi sobie bez niej po operacji, nawet jeśli przeżyje usunięcie wyrostka? Pomyślała, że bardzo zmieniło się ich życie od roku 1943, kiedy z Waszyngtonu zaczęto przysyłać ten cudowny lek. Z początku nie zdawali sobie sprawy, ile może zdziałać, traktując go jako zamiennik sulfonamidu, środek pomocniczy do zwalczania infekcji. I zanim się obejrzel, leczyli nim wszystko – rany postrzałowe, choroby zakaźne, pooperacyjne, weneryczne, a współczynnik umieralności cudownym sposobem spadł do czterech procent. Czterech. To oznaczało, że jeśli zdołali ściągnąć żołnierza z pola walki, miał dziewięćdziesiąt sześć procent szans na przeżycie. Niewiarygodne. Jo pokręciła głową, z uczuciem bliskim nabożnej czci gładząc palcami zniszczoną tekturę. Jeśli zdołają wygrać tę wojnę, będą to zawdzięczać w znacznym stopniu małym tabletkom grzechoczącym w pudełku – „sekretną bronią”, której Niemcy pragnęli rozpaczliwie, lecz której na razie nie zdołali skopiować.

– No, Davidzie, zróbmy to jeszcze raz. – Objęła ramieniem jego głowę i przysunęła

mu do ust swoją manierkę.

– Nie, Kit, powiedz Bumpy’emu, że teraz jego kolej.

Dzisiaj mogła przynajmniej zrozumieć jego słowa, nawet jeśli nie pojmowała znaczenia. Niebieskie oczy miał otwarte i gapił się raczej przez jej twarz niż na nią, gdy spoglądała na niego z góry.

– W porządku, w porządku, Davidzie, dobrze, ale dopiero gdy to połkniesz.

– Nie, nie chcę. Niech Bumpy połknie.

– Okej, on dostanie następną, obiecuję. Tylko otwórz usta.

– To jest obrzydliwe, nie chcę.

– Wcale nie było obrzydliwe, Davidzie – odparła, łagodnie opuszczając jego głowę na poduszkę, kiedy usłuchał. – Możliwe, że właśnie uratowało ci życie.

Przywykła zajmować się na jednej zmianie dziesiątkami, a nawet setkami pacjentów i praktyka sprawiła, że nabrała nadmiernej sprawności. Potrzeby pięciu chorych zostały zaspokojone o wiele za wcześniej jej zdaniem, a Jonesy rozdał wszystkim skromne racje. Pozostał już tylko pacjent do operacji. Każda komórka jej ciała, jej wyszkolenie, jej zdrowy rozsądek protestowały donośnie, że nie powinna narażać go na takie ryzyko. Jednakże próba uniknięcia jednego zagrożenia spowodziłaby inne, znacznie gorsze. Musiała porozmawiać z Dziadkiem, ocenić rozmiary szoku psychicznego i przekonać się, czy istnieje jakakolwiek szansa na sukces operacji.

W jednym z rogów namiotu pielęgniarki rozwiesiły trzy prześcieradła – „trzy ćwierci do śmierci”, komentowała Queenie z szelmowskim uśmiechem. Jedno przypięto pod sufitem – jak płachty mocowane nad stołem operacyjnym – a dwa pozostałe zwisały pod kątem prostym, tworząc niewielką zamkniętą przestrzeń: „pokój pielęgniarek”, jak ją nazywały, choć przypominało to bardziej przebieralnię w sklepiku charytatywnym. Tutaj mogły rozmawiać z dala od uszu pacjentów i lekarzy, omówić harmonogram pracy, doradzić sobie w trudnych przypadkach. Tu mogły się też na chwilę ukryć w tym odartym z prywatności świecie, zakląć pod nosem, zmówić cichą modlitwę, poprawić opadające ramiączko biustonosza, by po wyjściu stawić czoło wszystkiemu, co je czekało. Obecnie przybytek zaanektował Dziadek: siedział na wielkich skrzyniach załadunkowych, na których Jo spała niespokojnie poprzedniej nocy. Bębnił piętami w zielone metalowe pudła niczym chłopiec przy ladzie sklepiku z lemoniadą. Z wysiłkiem przełknęła ślinę i stanęła przed nim, nie wiedząc, jak zacząć.

– Czy major został przygotowany do operacji, panienko?

– Doktorze. – Zawahała się. – Wiem, że wybaczy mi pan to, co powiem, ale zastanawiam się, czy jest pan w stanie przeprowadzić zabieg.

W rzeczywistości wcale nie miała pewności, czy daruje jej zniewagę. Ostatecznie jak ona, porucznik („to jedynie odpowiednik stopnia, panienko – niech mnie kule biją, jeśli będę tytułował kobietę «porucznikiem»”), ośmielała się podważać kompetencje jego, lekarza? Ku jej zdumieniu jednak przestał bębnić w skrzynię, spojrzał jej w oczy i uśmiechnął się, zachichotał dobrodusznie.

– Cóż, może ma panienka rację. Nie pamiętam, kiedy czułem się równie zmęczony... po prostu kompletnie wyczerpany.

Po chwili zdawało się, że nieco się rozpogodził.

– Była panienska w Savannah? Nie? Hm, wielka szkoda, doprawdy wielka szkoda. Ściśle rzecz biorąc, pochodzę z wyspy Tybee, panienko, oszczędzonej wraz z Savannah przez Jankesów. To tak zwana wyspa barierowa. *Tybee* oznacza „sól” w euchee, starym indiańskim narzeczu. Cudowne miejsce, panienko. Wiele o nim dzisiaj rozmyślałem.

Jo badawczo spojrzała w twarz starca, szukając oznak psychicznego rozchwiania, ale od chwili pierwszego szoku nie wydawał się równie przytomny. Jakby czytając w jej myślach, uśmiechnął się dobrodusznym, ojcowskim uśmiechem.

– Nie, panienko. Wiem, gdzie się znajduję. Jestem z panienką tutaj, w piekle. Nie na plażach mojej młodości, gdzie obserwowałem wyskakujące z wody delfiny i stare pelikany nurkujące w morzu. Nie jestem małym chłopcem pływającym z żółwiami morskimi ani biegającym przez piaski do Fortu Screven i obrywającym od murzyńskiej niani za późny powrót. Wiedziała panienska, że pierwszy raz oddano strzał z armaty o gwintowanej lufie właśnie na wyspie Tybee? Jedenastego kwietnia tysiąc osiemset sześćdziesiątego drugiego roku? Ostrzeliwano Fort Pulaski, który poddał się po trzydziestu godzinach... Po trzydziestu godzinach, niech panienska tylko pomyśli... I od tego dnia ceglane umocnienia odeszły w przeszłość.

Oczy starca zabłyśły na myśl o militarnym sukcesie, jakby wydarzył się niedawno, jakby miał jakiegokolwiek znaczenie. Przytrzymał dłoń Jo, nakrywając jej pokryte bliznami palce swoimi pomarszczonymi, i uspokajająco poklepał ją po grzbiecie.

– No, niech się już panienska nie zadręczą z mojego powodu. Sądzę, że wykrzeszę z siebie siły na jeszcze jedną operację. A teraz proszę iść przygotować pacjenta. Będzie tak, jak w tym wierszyku, który zawsze powtarzała moja niania.

Umilkł, uśmiechając się ciepło na wspomnienie.

– Co mówiła, doktorze?

– Hmm? A, niania? Porządna kobieta z niej była, muszę przyznać. Cóż, miała taką rymowanekę, szczególnie ulubioną, zobaczmy, czy zdołam ją paniencie wyrecytować. Zaczynała się: *Kiedy chcesz od stołu odejść...* Jedną minutkę, pani porucznik, zaraz sobie przypomnę.

Jo wyszła z ciasnego przepierzenia. Panował tam większy zaduch, niż się spodziewała. Na zewnątrz, w namiocie, było znacznie chłodniej. Poczowała się jak w dzieciństwie, gdy bawiła się nakryta prześcieradłem tak długo, aż zużyła cały tlen i zrobiło się zbyt gorąco i parno, by mogła wytrzymać, a wtedy odrzucała nakrycie i z ulgą chwytiała wielkie hausty świeżego powietrza. Ruszyła w stronę majora rzucającego się niespokojnie na łóżku. Może przeżyje operację. Może Dziadek zdoła mu pomóc. Może mimo wszystko Jo go nie straci.

Zza prześcieradeł słyszała doktora potykającego się o wersy starej dziecięcej rymowanki.

– *Kiedy chcesz od stołu odejść, odsuń stół jak najostrożniej...* nie, to bez sensu. *Odsuń krzesło najostrożniej...* tak, to bardziej prawdopodobne. A dalej jak? *Kiedy chcesz od stołu odejść, odsuń krzesło najostrożniej...* och, halo, panno Carroll, pora się stawić na swoją zmianę.

Zesztywniała, upuszczając zestaw chirurgiczny, który właśnie podniosła z ziemi. Błyskawicznie obróciła się w miejscu ku osłoniętemu kątowi, dygocąc gwałtownie.

Wydawało się, że czas stanął. Wszystko wokół wydawało się przesadnie wyostrome – tabliczka wisząca dawniej przed namiotem, teraz niedbale rzucona w kąt, „Zostawiać broń przed wejściem”; szmer paznokci Jonesy’ego drapiącego z desperacją gips; dzwonięcie w jej uszach, stukot jej serca w piersi. Zrobiła chwiejny krok naprzód.

– *Bo gdy huknie o podłogę... to co, do cholery?*

„Poruczniku”, przypomniało jej się nagle i ugięły się pod nią kolana. *Nazwał mnie „porucznikiem”*.

– Dziadku! – zawołała, a własny głos zabrzmiał obco w jej uszach, jakby należał do kogoś innego i dobiegał z wielkiej odległości; stopy odmówiły jej posłuszeństwa, pierś ścisnęła panika. – Dziadku.

Jonesy przestał się drapać i zaniepokojony podniósł wzrok.

– *Bo gdy huknie o podłogę, nikt nie weźmie cię za żonę* – zakończył triumfalnie obłąkanym głosem doktor.

A potem – jakby przewidziała, co się wydarzy, jakby była to scena z podrzędnej sztuki rozgrywająca się za kulisami – rozległ się wystrzał i biel prześcieradeł splamił krwawy rozprysk. Na ten odgłos nogi nagle znowu zaczęły słuchać Jo. Rzuciła się biegiem i ujrzała starca z ciemną krwią sączącą się ze skroni jak melasa, z pistoletem wciąż zaciśniętym w pomarszczonej dłoni, a tymczasem słowa dziecinnej rymowanki tańczyły szaleńczo w jej głowie.

KAY ELLIOTT

MAJ 1942, TUNEL MALINTA, CORREGIDOR

*Kochana Jo,**Nigdy nie przeczytasz tego listu, ale muszę go napisać.*

Zaadresowanie go do Ciebie pomaga mi udawać, w każdym razie jeszcze przez kilka godzin, że o mnie usłyszysz. Że to, co mnie spotkało – co mnie wkrótce spotka – ma znaczenie. Bo oczywiście go nie ma. Ani dla Ciebie, ani już dla nikogo więcej. Nawet dla mnie. Lecz jak wspomniałam, pomaga zachować pozory. Nie mogę tak umrzeć, bez choćby chwili na zastanowienie. Muszę przynajmniej na papierze ujrzeć swoje poplątane życie rozwikłane, choćby na sekundę, zanim zwinie się znowu, a potem węzeł zostanie przecięty i umrę. Kochana Jo, dzięki Bogu, że tu nie trafiłaś.

Kay wyteżyła wzrok w półmroku, chcąc przeczytać, co napisała. Generatory rzeziły całą noc, to przyśpieszając gwałtownie, to zwalniając, aż nagle wyłączyły się całkowicie. Spostrzegła, że tym razem nie słyhać skarg i przekleństw towarzyszących zwykle awariom. Jak gdyby już się znaleźli w grobie.

Nie widziała nic, nie mogła więc pisać dalej, ale wróciła myślami do ostatniego roku, do swojego przyjazdu. Zobaczyła samą siebie schodzącą po trapie, oszołomioną jaskrawym błękitem Pearl Harbor, migocącym na wodzie słońcem, znowu poczuła wsączające się w kości gorąco, lecz pod tamtą intensywnością doznał krył się spokój. Pisząc do domu, wiedziała, że brzmi jak autorka powieści groszowej, ale bryza naprawdę całowała jej twarz, miękka, wilgotna i delikatna, zdawało się, że woda figlarnie liże palce jej stóp. Była młoda i piękna, biegła po plażach, śpiewając i krzycząc z czystej radości. Co ona sobie wyobrażała, do diabła? Śmierć czaiła się tuż za rogiem. Wtedy jednak nikt o tym nie wiedział.

Szpital, do którego ją przydzielono, bardzo się różnił od tego, gdzie pracowała z Jo. W Nowym Jorku grzejniki parowe syczały gniewnie pod zamkniętymi szczelnie szarymi oknami, gdy wilgotny ziąb październikowego deszczu próbował się wdrzeć do wnętrza. Tutaj przeszywające słońce zakradało się przez szpary w drewnianych okiennicach. Olbrzymie wentylatory wirowały leniwie pod sufitem, tak wolno, że widać było obracające się skrzydła. Dziewczęta chodziły z gołymi nogami i pracowały na skrócone zmiany z powodu wysokich temperatur. Niektóre przesypiały najgorętszą porę dnia, ale nie Kay. Pędziła nad wodę przy każdej okazji, opaliła jasną cerę na brązowo, pływając w kipiącej życiem dżungli, w niczym niepodobnej do zimnych, martwych wyrobisk w miejscu, gdzie dorastała. Kołyszące się wodorosty, ryby zwane idolkami mauretańskimi, wielkie manty i tysiące ostryg, od których zatoka wzięła nazwę. I to właśnie na plaży go poznała.

Teraz już mogła myśleć o Aaronie. Teraz, gdy miała umrzeć. Tylko dlatego potrafiła to znieść. Wiedziała, że tak naprawdę Jo nigdy nie przeczyta listu, że tak

naprawdę nikt nigdy go nie przeczyta, więc to było w porządku: przywrócić mu życie, raz jeszcze uczynić go rzeczywistym. Nie mogła umrzeć, nie pomyślałszy o nim ostatni raz. Pozwoliła sobie odpląnąć w przeszłość, wspomnieć część tamtej historii, tylko drobny fragment. Ten, kiedy poznali się na plaży, wśród piasku i słońca.

Napisała wtedy do przyjaciółki pocztówkę z tancerką hula na odwrocie. Zaczęła: *Jo, poznałam pewnego mężczyznę*, ale nie wyszła poza tę pierwszą linię, bo w tej właśnie chwili wszedł do pokoju, wziął ją na ręce i poniósł do sypialni bungalowu, który wspólnie zajmowali. Fale rozbijały się o sterczące wysoko nad wodą długie, bocianie nogi, wydając dźwięki głośniejsze od nich obojga.

Jo, poznałam pewnego mężczyznę. I to jakiego! Każdego dnia od pierwszego spotkania czekał na pylistej, spieczonej słońcem ulicy, aż Kay skończy zmianę. Był tak bardzo niepodobny do innych oficerów, z którymi pracowała, śmiała się i tańczyła co wieczór. Aaron przypominał kolegów tylko z wyglądu – przystojny w codziennym mundurze khaki, olśniewający w białym smokingu – lecz brakowało mu ich wyrafinowania, ciętego języka, do jakiego przywykły pielęgniarki, debutantki na lśniącej wyspie, na której życie wypełnione było balami w ambasadzie i oficjalnymi kolacjami. Pragnął jej. Nie chciał jej zabierać na długie przejażdżki brzegiem morza. Nie chciał dreszczyku pogoni. Pragnął Kay desperacko, z namiętnością, której początkowo nie pojmowała. Gdy stał przed szpitalem i patrzył, jak schodzi wolno po szerokich kamiennych schodach, jego twarz rozjaśniała się, jakby doznał widzenia. Gdy podawał jej przyniesiony tropikalny kwiat i jego wielka dłoń muskała jej drobną dłoń niemal z czcią, Kay dosłownie czuła iskrę przeskakującą między ich palcami. „Pragnę cię, Kay”, mówił. Tylko tyle. Tak po prostu.

Ona jednak nie była gotowa, by dać się złowić. Zawsze żartowały z Jo, że nie ustatkują się zbyt szybko. „Trzeba najpierw skosztować chleba z kilku pieców”, śmiały się, „rozejrzeć się na rynku”. A pieców nie brakowało. Mężczyźni szaleli na punkcie nowych pielęgniarek – co wieczór inne przyjęcie, kolejne tańce, nowa okazja do rozrywki, flirtu. Uderzyło im to do głów. Żarty i przekomarzanki. Powabni smagli cudzoziemcy z ugrzecznionym akcentem całujący opalone dłonie dziewcząt. Bezpośredni amerykańscy oficerowie zawsze gotowi postawić drinka. Szacowny ambasador i roziskrzony krąg jego egzotycznych przyjaciół. Kay była dziewczyną z prowincji, ale nikt o tym nie wiedział. Wydawała się wyrafinowaną Amerykanką, wręcz piękną, pociągającą i pożądaną na sali, gdzie na każdą kobietę przypadało dziesięciu mężczyzn. Tymczasem właśnie wtedy, gdy uległa temu wszystkiemu, gdy urosła od pochlebstw, na drugim końcu sali spostrzegła Aarona – wpatzonego w nią tęsknie, łapczywie. Serce w niej zamarło na widok tego nieskrywanego pożądania, tego widocznego w jego oczach bólu, że Kay do niego nie należy. Światła przygasły, brzęk kryształów i gwar gości ścichły. A potem byli tylko we dwoje, biegli ku morzu w ciemniejącym zmierzchu; zgubiła w piasku szpilki; weszli po pas we wzburzone fale, całując się jak szaleni. Mokra suknia balowa oblepiła jej ciało, ciężar materiału ciągnął ją w dół, lecz silne ramiona Aarona przytrzymały ją, unosiły w górę ku jego stęsknionym ustom. Byli zakochani.

„Wyjdź za mnie, Kay”, poprosił w listopadzie, zanim minął miesiąc. Jest kapitanem, odłożył trochę pieniędzy, ma odziedziczyć w Kalifornii należące do rodziny

winnice czy coś w tym rodzaju. Kogo obchodziły słowa? Uświadomiła sobie, że choćby żyła tysiąc lat, nie znajdzie mężczyzny pragnącego jej równie mocno. Że Aaron chce obudzić w niej coś, z czego istnienia nawet nie zdawała sobie sprawy. Zgodziła się i ich radość eksplodowała. Próbując się połączyć z kapłanem, przez cały czas odsuwał ją wolną ręką – „Krażą pogłoski o wojnie, pastorze, czy moglibyśmy się pobrać już teraz, a nie dopiero po zwolnieniu ze służby? Tak, pastorze, wytrzymam”.

Wzięli zatem ślub. Zaczęła pisać o tym przyjaciółce, ale Aaron porwał ją na ręce i poniósł ze sobą, a potem nie było czasu na pisanie, bo ich świat się skończył, a Pearl Harbor płonęło.

Kochana Jo, dzięki Bogu, że tu nie przyjechałaś.

Światła zamigotały na sekundę i zgasły ponownie, gdy czytała tę linijkę. Czowała, że musi o tym wszystkim pomyśleć, przypomnieć to sobie, pożałować tego wszystkiego ostatni raz.

Żałowała każdego momentu. Każdego momentu spędzonego na tańcach z innymi mężczyznami, każdej wypowiedzianej błahostki, niemądrych, pustych, głupich rozmów. Wszystkich dowcipów, z których się śmiała. Każdego razu, kiedy w ostatniej chwili odwracała twarz, drażniąc się z niedoszłym zalotnikiem i nie pozwalając się pocałować. Żałowała każdego przyjęcia i każdego tańca, i każdej kolacji, kiedy nie była z Aaronem. Żałowała, że nie przespaa się z nim w momencie, kiedy oboje zrozumieli, że pragną się z wzajemnością; żałowała, że nie poszła do niego tamtego pierwszego dnia, nie oddała mu się całkowicie, że nie zbiegła po schodach i nie rzuciła mu się w ramiona. Na co czekała? Nigdy wcześniej nie kochała w taki sposób – nikt jej tak nie kochał i nikt już nie miał tak kochać. Była głupia, że czekała kilka dni. Ale skąd mieli wiedzieć, że pozostało im tylko kilka dni?

Pozwoliła sobie na wspomnienia o Aaronie, tylko migawki. Jego śmiertelna powaga, jego twarz, kiedy jej pragnął, jego twarz, kiedy ją miał, nagłe przyływy humoru, gdy stawał się swawolny niczym uczeń – czekając, by protestancki duchowny podszedł z powrotem do telefonu, śmiał się niepohamowanie i próbował opanować śmiech, po czym dał jej klapsa w pupę, besztając ją, by zachowywała się porządnie. Takie scenki przywołała w pamięci.

Potem były inne rzeczy, których nawet teraz, nawet w obliczu śmierci nie mogła, nie chciała sobie przypominać.

I rzeczy, które wołałaby zapomnieć, bo zwiastowały zagładę, choć wtedy o tym nie wiedziała. Jak wtedy, kiedy pozwolił, świeżo po ślubie, by umyła mu włosy; siedział po pachy w mydlanej kąpieli, wielkie, kościste kolana sterczały z ciasnej wanny, trzymał w dłoni szczotkę z długą rączką niczym różdżkę i perorował o wojnie: „To nie jest prawdziwa wojna, nie ma znaczenia, nigdy tu nie dotrze”. Zupełnie jakby rozprawiał o baseballu albo o swoim ulubionym gatunku papierosów, albo o czymkolwiek – „Opowiadaj dalej, kochanie”.

Daleko w głębi tunelu rozległ się jakiś hałas, głosy, a potem ktoś krzyknął. Słowa były zbyt stłumione, by je rozróżnić, ale Kay wiedziała, co oznaczają. Dotarła do trzeciego zdania, kiedy światła zapaliły się znowu, sprawiając, że jej źrenice skurczyły się i na sekundę przestała widzieć, lecz pisała, pisała, dopóki się dało.

Mój czas się kończy. Nie wyjdziemy z tego. Nie muszę już pisać więcej, Jo, nie muszę Ci mówić, gdzie jestem ani jak tu trafiłam, ani gdzie Aaron jest teraz, ani jak Japończycy zniszczyli nasze siły powietrzne jednego ranka, ani jak miotaliśmy się po lotnisku w Clark, ściągając z płyty płonące zwłoki, ani jak żałuję, że nie jestem w kraju, jak żałuję, że nie jestem już martwa i nie będę musiała patrzeć, jak dosiada mnie jakiś Japończyk, plugawiąc mnie niczym chińską wieśniaczkę, i mam nadzieję, że żyjesz i jesteś bezpieczna i że wygrasz tę wojnę i nigdy tu nie przyjedziesz. Albo przyjedziesz znacznie później, Jo, przyjedziesz z całą armią i powstrzymasz tych ludzi. Bo są bezwzględni i okrutni i ponieważ się boję, i nie sądziłam, że w ogóle mogę jeszcze czuć strach, ale się boję. Mój świat się kończy, Jo. Słyszę ich w tunelu. Nadchodzą.

JO MCMAHON

WIOSNA 1945, FRONT ZACHODNI

Jo wykonała pierwsze nacięcie. Wcześniej zgoliła kędzierzawe włosy porastające tułów majora Donahue, pomalowała wzdęty brzuch jodyną. Skalpel był ostry jak brzytwa. W ślad za jej ruchem pojawiła się jasnoczerwona kreska – krew przez moment trwała zawieszona w czasie, nieruchoma, potem pod wpływem grawitacji spłynęła drobnymi strumyczkami po bokach mężczyzny, plamiąc prześcieradła, bezgłośnie ściekając na ubitą ziemię.

Jonesy przytrzymujący maskę z eterem wyglądał, jakby miał zwymiotować, czy na widok krwi, czy od wzywień, nie potrafiła powiedzieć. Przecięła naskórek, otwierając drobne naczynka. Głębiej znajdowała się warstwa tłuszczu. Jo poczuła, jak skalpel zagłębia się w niego niczym w masło. Potem mięśnie. Ostrze zatrzymało się na czymś nierównym i włóknistym. *Cholera, sieć większa, zrobiłam cięcie za wysoko.* Wiedziała, że tnie wysoko; wiedziała, że może natrafić na grubą warstwę tłuszczu, tkanki limfatycznej i łącznej, ale miała do wyboru albo to, albo zaryzykować uszkodzenie tętnicy biodrowej wewnętrznej. *Jedno draśnięcie i byłoby po nim. Bóg wie, gdzie się teraz przemieściła.* Wiedziała, że tętnica powinna przylegać do zdrowego wyrostka, ale ponieważ był silnie obrzmiały i powiększony, mogła się przesunąć w dowolne miejsce. *To jak spacer po polu minowym,* pomyślała Jo i przełknęła ślinę, czując, jakby gardło miała pełne tłuczonego szkła.

W namiocie panowała cisza. Kapitan i jego ludzie odeszli. Na huk wystrzału wbiegli z wyciągniętą bronią i zastali Jo stojącą nad martwym mężczyzną, nieruchomą, milczącą. Nie pamiętała pytań, jakie zadał jej Clark, nie słyszała, jak rozkazał żołnierzom zabrać ciało, nie słyszała znajomego zgrzytu szpadla o ziemię i kamienie, gdy kopano nowy grób. Teraz skupiła się na czym innym.

Zerknęła znowu na Jonesy'ego, który pozieleniał, i na Jamesa, wciąż z zabandażowaną głową, trzymającego lampę chirurgiczną. *Ślepi wiodą ślepych,* pomyślała w roztargnieniu, dziwiąc się, kto na miłość boską poprosił go o pomoc. W końcu doszła do wniosku, że choć tego nie pamięta, musiała to zrobić sama.

Zastanawiała się nad wykonaniem drugiego nacięcia niżej, ale już nadwreżyła mięsień, a kolejna rana tak blisko pierwszej trudno by się goiła – zakładając, że pacjent dożyje rekonwalescencji. Poszerzyła otwór, pociągając brzegi, i poprosiła Jonesy'ego o haki. Kiedy nie drgnął, wyjaśniła niecierpliwie:

– Takie coś podobne do nożyczek, skrzyżowane pośrodku... szybciej.

Zdawało się, że się ocknął, podając jej narzędzia, jedno po drugim, dłonią w rękawiczce. Pociągnęła mocno, zapięła je i zajrzała do środka. Tętnicę biodrową minęła o pięć centymetrów, lecz zbliżyła się niebezpiecznie do większej prawej tętnicy wspólnej. *Boże, z deszczu pod rynnę.* Ale ominęła obie.

Przypomniała sobie pierwszy zabieg usunięcia wyrostka, jaki obserwowała jeszcze podczas szkolenia w Tennessee. Dostali już przydział, a Jo nie asystowała jeszcze przy takiej operacji, więc przełożona pielęgniarek załatwiła jej wypad do „kolorowego” oddziału w bazie, gdzie obowiązywała segregacja rasowa. Pamiętała, jak wszyscy gapili się na nią, białą pielęgniarkę, która przyszła do ich części obozu. Pamiętała ciemne twarze mężczyzn leżących na łózkach, kontrast między białymi, wykrochmalonymi uniformami pielęgniarek a ich hebanową skórą; czarnych lekarzy: młodych, ostrzyżonych przepisowo na jeża, i starszych, z kręconymi siwymi włosami sterczącymi pionowo na głowach. Włożyła strój chirurgiczny i stanęła w kącie maleńkiej sali operacyjnej. Pamiętała postaci stłoczone wokół pacjenta, nie do odróżnienia od ludzi, z którymi pracowała codziennie, jeśli nie liczyć ciemnej skóry widocznej nad maskami, bo resztę ich ciał spowijała niepokalana chirurgiczna biel. Nie zobaczyła wiele z operacji i z pewnością nie nauczyła się wystarczająco dużo, by samodzielnie przeprowadzić podobną. Wciąż jednak pamiętała swoje szczerze zaskoczenie, że istnieje szpital w szpitalu – równoległy świat, który z wyjątkiem tamtej szczególnej okazji nigdy nie przeciął się z jej światem i o którego istnieniu do tamtej chwili nie wiedziała. Czarny żołnierz leżący na stole operacyjnym tamtego wieczoru przeżył dzięki wprawnym dłoniom, a ich kolor nie miał dla jego losu najmniejszego znaczenia. Białe palce Jo były teraz niepewne, drżały.

Kiedy spojrzała na wyrostek, w pierwszej chwili go nie rozpoznała: tak bardzo był wielki i zniekształcony, zamiast ukryty schludnie przy kątnicy jak na tablicach anatomicznych w szkole. Do połowy czarny i ze zmianami martwiczymi. Zamrugowała wolno. Jaskrawe światło lampy wypalało jej mózg. Poczowała suchość w ustach. Wyjęła przez otwór śliską, trzęsącą się bryłę, szukając dotykiem jej podstawy – miejsca połączenia z krezką. W każdej chwili wyrostek mógł pęknąć, wylewając swoją zabójczą zawartość do jamy brzusznej. Jedno draśnięcie, jeden nieostrożny ruch i wszystko stracone. Jonesy odwrócił wzrok, wtulił twarz w rękaw, gdy przytłoczył go operacyjny smród – drobiazg, na który Jo przestała zwracać uwagę. Co czuł James pod warstwami bandażu, nie sposób było zgadnąć. Jej palce dotarły do końca oślizgłego kształtu, do miejsca zawierającego nerwy i naczynia krwionośne, które należało podwiązać w pierwszej kolejności.

– Jonesy – ponagliła; ręce jej się trzęsły.

Była oszołomiona, ale nie z powodu operacji – z pewnością już nie z tego powodu, asystowała przy setce znacznie gorszych zabiegów. Urwane ręce, rozerwane twarze, niewybuch pocisku z pancernicy wklonowany w nogę, operacje żołnierzy, w których żołądkach i jelitach pełzały swobodnie białe robaki – lekarze przerywali jedynie na moment, by wybrać pasożyty wchodzące im w paradę, i na powrót zaszywali setki innych w zakażonych brzuchach. Nie, Jo dygotała, ponieważ była tak blisko. Tylko minuty dzieliły ją od chwili, gdy pacjent zyska realną szansę przeżycia. A Jonesy nie reagował.

– Jonesy, wiem, że to trudne, jeśli się nie jest przyzwyczajonym – w tym momencie zwymiotował – ale potrzebuję pomocy jeszcze tylko przez chwilę. Potrzebuję czegoś, co wygląda jak pętla, jak szczyt z nicią.

Chciał zwymiotować znowu, ale żołądek miał pusty, więc tylko kilka razy targnęły nim suche torsje.

– I potrzebuję tego natychmiast, Jonesy.

W końcu podał jej instrument, który chwyciła pośpiesznie. Błyskawicznie założyła na cienką kreskę dwie ciasne pętle i zaciągnęła mocno, odcinając dopływ krwi. Potem wystarczył jeden zręczny ruch skalpela i wyrostek był usunięty. Rzuciła go lekceważąco do stojącej na podłodze miski, gdzie eksplodował, napełniając namiot odorem śmierci. Wypuściła powietrze. I zabrała się do zszywania.

Połączyła starannie powięzi i tkanki, zrobiła to z automatyzmem zrodzonym z wyczerpania i szoku. Szwy były idealne, piękne, wszystkie dokładnie takie same. Podczas gdy mechanicznie kończyła kolejne warstwy, Jonesy na jej polecenie posypywał wszystko sulfonamidem w proszku. Całą uwagę skupiła na zadaniu, jakie miała przed sobą, lecz zarazem znajdowała się gdzie indziej; przeżywała przeszłe zdarzenia, a jej obciążone rękawiczkami palce zakładały szwy, dociągają je i szyły dalej.

Myśli napływały losowo. Nie mogła znaleźć mieszkania. To znaczy Kay nie mogła. Tak się poznały. Jo i Kay właśnie zdały pierwszy egzamin praktyczny. Jo wychodziła, kiedy zauważyła cichą dziewczynę nadal siedzącą przy stole laboratoryjnym.

– Hej, wszystko w porządku? Jestem Jo.

– O, cześć – odparła tamta powściągliwie, zerkając niepewnie na wywoskowaną podłogę i przyglądając pasmo rudoblond włosów. Potem podniosła wzrok, jakby nagle zebrała się na odwagę. – Prawdę mówiąc, nie. Myślałam, że mam mieszkanie, wszystko było zaklepane, ale okazało się, że nie, więc od dwóch dni myję się przed zajęciami tutaj w toalecie, i nie wiem, co robić.

Wydawała się zaskoczona swoim zachowaniem. Nie zamierzała powiedzieć aż tyle.

– I jestem Kay, tak przy okazji. Mam na imię Kay.

Tak się to zaczęło. Początkowo obyta nowojorczanka jedynie współczuła dziewczynie z prowincji, dezorientowanej i zagubionej w wielkim mieście. Ale później – gdzieś między szukaniem mieszkania a sobotami na Coney Island, uczeniem się do egzaminów końcowych i opowiadaniem sobie rodzinnych historii – coś zaiskrzyło. Stanowiły nieprawdopodobną parę, dziewczyny z różnych światów, które zetknął ze sobą los. Jo знаła najlepsze miejsce, gdzie można dostać kanapkę z konserwową wołowiną, i wiedziała, które muzea kiedy można zwiedzać za darmo. Z niewyczerpaną cierpliwością objaśniała Kay zagmatwany system linii metra, którego ta za nic nie umiała pojąć. To Jo odgryzała się gwizdzącym za nimi facetem, zamykając im usta ripostami w dwóch językach. (Kay była tym zdumiona i nieco zszokowana). Niemniej Kay również otworzyła przed Jo nowy świat. Była osobą, która nawet nie pamiętała, kiedy jej rodzina przybyła do Stanów: „Chyba po prostu zawsze byliśmy Amerykanami”. Stało się to tak dawno – „Mój pra-pra-pra-pra-taki czy inny krewny, Jo, zapomniałam” – że imiona, daty, wszystko poszło w zapomnienie. Mieszkali tu od zawsze, wyjaśniła Kay, bezpieczni wysoko w górach. Chodzili do kościoła i uprawiali ziemię, aż otwarto kopalnię – od tamtej chwili uprawiali ją nadal, tylko pod powierzchnią. Obserwowali nieustanne zmiany pór roku, a sami pozostawali niezmienni. Kay była dla Jo tym, kim ona sama była, lecz nie potrafiła być – Amerykanką. Amerykanką, która traktuje swoją tożsamość niemal jak rzecz oczywistą. Która porusza się z pewnością siebie, wewnętrznym spokojem, jakiego

Jo brakowało, nieważne, jak bardzo się starała. Jo czuła, że każdego dnia musi walczyć, by dowieść, że jest równa innym. Że jest wystarczająco dobra. Że w istocie jest Amerykanką. Zawsze zazdrościła Amerykanom znajdującym tylko jeden język, jedną ojczyznę i jeden sposób życia – i zawsze sądziła, że ich nienawidzi. Kay sprawiła, że owi Amerykanie stali się wrażliwi na zranienie. Że stali się realni.

A potem obie wstąpiłyśmy do armii. Co myśłyście sobie wyobrażały? Że to będzie zabawa?

Jo przypomniała sobie ciężki rejs przez Atlantyk. Odkąd Kay wyjechała na Pacyfik, to, co zaczęło się dla Jo jako przygoda, szybko stało się monotonne, wręcz niebezpieczne; pamiętała, że ktoś zmarł z powodu choroby morskiej. Niecierpliwe oczekiwanie w Anglii. Rejs do Afryki Północnej i widok stosu amputowanych kończyn pozostawionych przez niemieckie siły, na które nacierali – nawet nie spalonych, lecz gnijących w pustynnym słońcu. Boże Narodzenia, które próbowali świętować, papierowe dekoracje i samodzielnie wycinane gwiazdy betlejemskie, jedyną ładną sukienkę, którą dziewczęta wkładały na zmianę, gdy urządzały świąteczne tańce; kiedy przyszła jej kolej, Jo musiała wypchać stanik chusteczkami. Jak brnęli przez afrykańskie równiny i obie strony ogłosiły rozejm, by znieść rannych z pola bitwy – niczym dzieci bawiące się w berka, które wołają nagle „raz, dwa, trzy, zamawiam!”. Czołgi – niemieckie panzery o ogromnym zasięgu i amerykańskie „pukawki”, będące właściwie łatwopalnymi zbiornikami gazu na gąsienicach – przerwały walkę i sanitariusze obu armii odciągnęli setki okaleczonych i krwawiących żołnierzy w bezpieczne miejsce. Po czym pozostali znowu zaczęli się zabijać.

Pomyślała o grzebaniu zwłok, „najgorszej robocie w armii”, jak mawiała Queenie, robocie przydzielanej ciotom, czyli homoseksualistom, którzy zdołali się prześlizgnąć przez selekcję i komisje poborowe. Byli stróżami wojny zamykającymi wlokące się tyły, zbierającymi zmarłych przeoczonych przez sanitariuszy. To oni zrywali jeden z bliźniaczych blaszanych identyfikatorów (by go wysłać do Waszyngtonu, gdzie wprawiał w ruch złoty telegram niszczący życie kolejnej rodziny), a drugi pozostawiali przy zwłokach – jeśli zostały zwłoki. Jeśli nie, rozpoczynali makabryczną zgadywanekę, próbując dopasować torsy do leżących w pobliżu rąk i nóg. Składali „ciała” z kilku żołnierzy i ładowali je do worków, przezornie licząc kończyny, by nie odesłać bohaterów na miejsce wiecznego spoczynku ze zbyt dużą liczbą członków. Jo zastanawiała się, jak udawało im się znosić tę robotę i jej kompletną beznadziejność, jak mogli się tym zajmować dzień za dniem i nie oszaleć. Potem przypomnieli się jej kapelani rozmaitych wyznań, którzy skrzyknęli się i oddali grabarzom swoje racje alkoholu, by tamci mogli się upić i na chwilę zapomnieć o wszystkim.

Zamknęła ranę.

Jej ręce pracowały cały czas i nawet tego nie zauważając, zaszyła cięcie. Spojrzała na Jonesy'ego i skinęła lekko głową. Zdjął pacjentowi maskę z eterem i w powietrzu rozszedł się mdlący, słodki zapach. Tylko tyle mogła zrobić. Penicylina się skończyła. Jonesy, który skonstruował sobie prowizoryczny fotel inwalidzki z wózka na kółkach i połamanego krzesła, wolno potoczył się do wyjścia namiotu, chwytając wielkie hausty powietrza. Jo zdjęła rękawiczki i odebrała lampę Jamesowi. Nie potrzebował już jej

pomocy, by znaleźć drogę powrotną do swojego łóżka. Odruchowo chciała wyjąć zakrwawione prześcieradła spod pacjenta, ale zmieniła zdanie. Major potrzebował spokoju i czasu, by się obudzić lub nie – wóz albo przewóz. Zrobiła dla niego wszystko, co mogła.

Wszyscy inni spali. Billy oddychał lżej dzięki namiotowi parowemu, David zachowywał się cicho, choć nadal majaczył w chwilach przytomności, ksiądz („O. Justus Hook”, widniało w karcie) wreszcie rozplótł ręce, lecz we śnie jego twarz bardziej niż kiedykolwiek przypominała trupią.

Poszła do kąta, w którym doktor odebrał sobie życie, i zaczęła zrywać białe prześcieradła wciąż spryskane krwią, zaschniętą teraz i brązową. Zebrała je wraz z pościelą, która nagromadziła się w namiocie, i wyszła na zewnątrz, w mroźne światło dnia. Ludzi kapitana nigdzie nie było widać; znów ruszyli na patrol, szukali wroga, sami pozostając w ukryciu. Włożyła pościel i ręczniki do wrzątku, który podgrzała wcześniej w kotle – starej beczce opalanej resztkami drewna i porzuconymi skrzyniami transportowymi. Dodała wybielacza oraz mydła i wolno zamieszała ciężką zawartość kawałkiem deski niczym czarownica z bajki.

Gdy patrzyła na wirującą, zabarwioną na różowo wodę, jej myśli opuściły Afrykę Północną i popłynęły do Włoch na pokładzie HMS Newfoundland, białego i z widocznym z daleka olbrzymim czerwonym krzyżem, oświetlonego jak choinka w świecie zaciemnień na znak, że jest statkiem szpitalnym. Jak niezwykle oficjalne i wyrefinowane zdawały się angielskie siostry jankeskim pielęgniarkom, nawet nazwa ich oddziału – Imperialna Pielęgniarska Służba Wojskowa imienia Królowej Aleksandry – brzmiała, jakby należały do królewskiego rodu. Jak łatwo przebiegał początkowo rejs z jedynie dwoma pacjentami. Potem nastąpiły upały, niemal tropikalne jak na wrzesień. Na pokładzie dawały się znieść dzięki wiatrowi, lecz pod pokładem rtęć w termometrze doszła do końca skali. Pielęgniarki dusiły się, rzucały się w nocy, nie mogąc spać.

– Queenie – poskarżyła się któraś. – Nie dam rady zasnąć. Tu jest goręcej niż w Alabamie. Kiedy się kładłyśmy, było czterdzieści osiem stopni.

– To zdejmij ubranie, kotku.

Część dziewcząt zachichotała nerwowo.

– Mówię poważnie. Jesteśmy tu same dziewczyny, zresztą i tak ciemno choć oko wykol.

– Jesteś goła, Queenie?

– Jasne, że tak.

– A ty, Jo?

Jo rozebrała się do bokserek.

– Prawie, Ellie. Idź już spać. Albo nie. Tylko przestań zrzędzić, że ci gorąco. Za jakąś godzinę wstanie świt i...

W tym momencie trafiła ich bomba. Dziewczęta pod pokładem nie słyszały samotnego nadlatującego samolotu, nie widziały, jak nadciągał nad rozświetlony cel. W jednej chwili burta znajdowała się tam gdzie zawsze, ciemna i nieprzenikniona, zamykając w swoim wnętrzu żar i powietrze, a w następnej chwili rozległ się huk i świst, aż Jo pękł bębenek w uchu, i wszystko, co nie było przymocowane, zostało wysrane na

zewnątrz przez zionącą w kadłubie dziurę. Uruchomiły się alarmy, zabrzmiały gwizdki, żołnierze krzyczeli na pokładzie nad ich głowami. Zapanowały hałas i zamieszanie, a ponad wszystkim niósł się głos Queenie krzyczącej na swoje dziewczęta, żeby ustawiły się w szeregu.

– Nasze ubrania! – zawołała któraś.

W otaczającą ciemność zaczął się wsączać dym. Słyszały, jak mężczyźni na zewnątrz kaszlą.

– Zapomnijcie o szmatkach, już po nich – warknęła Queenie, popychając je przed sobą w kierunku wyjścia.

– Ale nasze ubrania!

Także dziewczęta zaczęły kasłać, czarny dym mieszał się z czernią nocy, żar rozprzestrzeniającego się pożaru zwiększał panujący wokół upał.

– Mój różaniec! – zawołał piskliwie inny głos, po czym któraś z pielęgniarek odłączyła się nagle od kolumny i ruszyła do miejsca, gdzie wcześniej stało jej łóżko polowe.

Jo chwyciła dziewczynę za rękę; dym szczypał ją w oczy.

– Kupimy ci inny w Rzymie, skarbie. Wracaj do szeregu.

Wspinały się po drabinie i chwiejnie wynurzały w czarny poranek; skromność walczyła w nich z instynktową potrzebą zaczerpnięcia powietrza. Stały na pokładzie stłoczone, krzyżując ręce na białych piersiach, odwrócone bokiem, ku grodzi, ku rufie, gapiąc się na olbrzymią kolumnę dymu pnącą się w niebo tuż za mostkiem, na ogień wijący się jak wąż po całym statku. Queenie ukazała się ostatnia. Trzymała rękę pod dziwnym kątem i chyba nie mogła nią poruszać.

– Jo, ktoś musi tam wrócić i upewnić się, że wszystkie wyszły.

Nie było innego sposobu, by to sprawdzić. Nie wiedziały, ile pielęgniarek znajdowało się na dole, gdy spadła bomba. Co chwila któraś wychodziła do toalety albo wstawiała po szklankę wody. Kapitan tego zakazał, lecz upał doprowadził niektóre z nich do takiej desperacji, że ułożyły się do snu na rozkołysanym pokładzie, ryzykując, że niezauważone stoczą się do ciemnego morza.

Jo wyraźnie widziała dym ulatujący przed luk, słyszała, jak któraś z dziewcząt rzuca nerwowo: „Dostaniesz za to Purpurowe Serce, Jo”, i już po chwili znalazła się pod pokładem, w wodzie sięgającej kostek, schylona pod warstwą dymu, macała za przewróconymi łózkami polowymi, w kątach i nawoływała każdego, kto mógłby ją usłyszeć. Gardło bolało ją od krzyku i dymu, ale nie wspięła się po drabinie, dopóki się nie upewniła, że wyszły wszystkie. Kiedy wyszła na pokład, żołnierze przebiegali obok z wiadrami i wężami, oglądając się na dziewczęta, niepewni, czy coś im się nie przywidziało w migotliwym blasku ognia.

– Dzięki Bogu, że wszystko z tobą okej, Jo. Tak czy siak jesteś bohaterką. – Queenie skrzywiła się lekko z bólu. – Schodzimy ze statku. Dziewczęta pierwsze. Ognia raczej nie uda się ugasić. Śmiało, moje panie.

Ruszyła przodem, podtrzymując zranioną rękę, unosząc głowę wysoko, jakby nie była goła, jakby właśnie na taką sytuację przygotowało ją szkolenie. Dołączyło do nich kilka brytyjskich pielęgniarek, również zmierzających do szalup ratunkowych,

rozczochranych, dezorientowanych i wystraszonych. I wtedy usłyszały krzyk.

Była to jedna z sióstr. Jej kabina płonęła – wybuch całkowicie strząsał drzwi. Nie miała się jak wydostać, więc wysunęła głowę przez iluminator i krzyczała. Ogarnięte zgrozą pielęgniarki stanęły jak wryte. Znajdujący się w pobliżu żołnierze porzucili gaszenie ognia i wykrzykiwali rozkazy, próbując się przedostać do drzwi, ale zostały one pogrzebane pod toną powykręcanej stali i lin. Do kobiety nie dało się dotrzeć. Wciąż krzyczała. Był to najbardziej przerażający dźwięk na świecie, najgorszy, jakiego kiedykolwiek musiała słuchać istota ludzka. Dziewczęta zapomniały o swoim strachu, o nagości i bezbronności i stały skamieniałe, wrośnięte w pokład bosymi stopami, niezdolne płakać, modlić się ani krzyczeć, jedynie patrzyły przerażone, zahipnotyzowane, nie mogły odwrócić wzroku.

– Drzwi nie ma, zniknęły, nie mamy się jak dostać, a okno jest za małe.

Jakiś żołnierz przed iluminatorem próbował rozmawiać z uwięzioną, wyjaśniać, czemu nie mogą do niej dotrzeć, gestykulując dziko i wskazując. Obok niego stał chłopiec kabinowy, najwyżej czternastoletni, z wytrzeszczonymi oczami i ustami otwartymi w panice. W tym momencie do pielęgniarki dotarł ogień. Jej krzyki przybrały na sile, gdy włosy zajęły się płomieniem. Chłopiec kabinowy porwał leżącą na pokładzie kantówkę, uderzył kobietę w potylicę i wybuchnął płaczem. Nie żyła.

Popiół sypał się dziewczętom do oczu, zmuszając je do mrugania, do ustawienia się tyłem do wiatru.

– Do łodzi ratunkowych – rzucił ktoś szorstko; brzuchaty mężczyzna w okularach z grubymi szklami, które co chwila zdejmował, przecierał połą koszuli i nakładał z powrotem, nieświadomy, że to łyzy przesłaniają mu wzrok.

Opuszczano łodzie z pierwszymi kobietami. Brytyjskie siostry rozpaczały, Amerykanki milczały w szoku. Po tym, jak zapalił się zbiornik z ropą, rozległ się kolejny wybuch, który wstrząsnął statkiem. Jo chwyciła się takielunku, kiedy łódź ratunkowa, której spuszczenie obserwowała, uderzyła ostro w burtę statku. Rozejrzała się po pokładzie. Nie dostrzegła żadnego z lekarzy. Nikt już nie miał ich ujrzeć: ich łóżka znajdowały się pod mostkiem. Odrętwiałe pielęgniarki czekały w kolejce; pierwsze światło brzasku ukazało ich ciała niczego niepodważającym żołnierzom. Jo poczuła, że pali ją twarz.

– Proszę, panienko – odezwał się stojący obok marynarz, zdejmując koszulę.

Wszędzie wokół żołnierze ściągali bluzy, spodnie i przekazywali je nagim dziewczętom, które ubierały się pośpiesznie, nie ośmielając się nawet podnieść wzroku w chaosie gniewu zmieszanego ze wstydem.

– Dziękuję – mruknęła.

Jej palce z trudnością zapinały guziki. Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że są poparzone.

– Nie ma za co, panienko. Podeślą angoli, by was wyłowili, a niech mnie diabli, jeśli bym pozwolił, żeby moją siostrę wyciągali... w takim stanie, panienko.

Jo przerwała mieszanie, wyciągnęła ciężkie prześcieradła i wyżeła je w rękach. Zdawały się raczej szare niż białe, kiedy je rozwieszała na grubej linie – sznurze do bielizny zapomnianym w pośpiechu ewakuacji. Potem ręczniki, myjki – poparzyła dłonie,

wyławiając ostatnie sztuki prowizoryczną kijanką. Nie była już u wybrzeży Salerno, nie była tamtą młodą pielęgniarką spuszczaną w szalupie ratunkowej, w męskiej koszuli cuchnącej potem i tytoniem; nie słyszała już rozpaczliwego wycia nieszczęsnej pielęgniarki ani żalosnych szlochów dzieciaka, który ją zabił. Była tutaj, na brudnym placu, gdzie woda ściekająca z prześcieradeł tworzyła na ziemi małe strumyki. Zginęła tamta siostra, zginęła Queenie, większość dziewczyn duszących się w upale tamtej nocy na Newfoundlandzie także zginęła – kilometr od miejsca, gdzie Jo patrzyła teraz na brudne mydliny i rozrzucała kopniakiem resztki ogniska. Mgłiście przypomniała sobie o majorze. Zastanawiała się, czy umarł. Próbowwała wykrzesać z siebie tyle energii, by pójść to sprawdzić, ale bez sukcesu. Zamiast tego tkwiła nieruchomo zapatrzona na pustą przestrzeń, gdzie tak niedawno stacjonował cały szpital polowy, leżącą na krawędzi wojny, którą przegrywali. Wydawało się nie w porządku, że ona wciąż żyje – nie w porządku, ale nie smutne. Nie, nic już nie było smutne. Zamknęła się w sobie – albo raczej odcięła się od tej części siebie, która była miłą, która była nią. Bo kobieta stojąca pośród wilgotnych prześcieradeł nie była nią. Była kimś, kto zdołał oszukać śmierć, lecz zarazem nie wygrał życia.

– Trzeba ich stąd wypieprzyć.

– Jasne, tylko jak?

Zza namiotu medycznego wyszli dwaj żołnierze: młody człowiek o opadających powiekach i skrzywionych pogardliwie wargach oraz kapitan. Na jej widok rozdzielili się, wymieniając jakiś gest, którego nie potrafiła rozszyfrować. Clark podszedł bliżej.

Jo spojrzała na niego; powinna patrzeć z podziwem, z nabożnym szacunkiem. Gdyby to był film wojenny – podniosły, heroiczny obraz propagandowy, jakie potrafiono kręcić tylko w Hollywood – w rolę kapitana wcieliłby się Cagney, Gable albo Grant. Oto odważny żołnierz, nieustraszony dowódca broniący wysuniętej placówki w beznadziejnej sytuacji. Choćby za to Jo powinna go pokochać – lecz nie pokochała. Roztaczał aurę pewności siebie, brawury i wojskowej siły, podczas gdy życie jej podopiecznych – sześciu bezwartościowych żołnierzy, rannych, zatem obecnie bezużytecznych – nie znaczyło dla niego nic. Ludzie byli niczym. Cele wojskowe, zdobywanie i utrzymywanie pozycji, wykorzystywanie i poświęcanie siły żywej – to były dla niego sprawy mające znaczenie, realne. Ale nie żołnierze jako tacy; ci dla niego nie istnieli. A skoro tak, to opiekująca się nimi rozczochna, na pół obłąkana pielęgniarka znaczyła jeszcze mniej. Jo patrzyła, jak Clark zbliża się do niej wsparty pod boki i spluwa, wyraźnie szykując się do rozmowy z nią – uświadomiła sobie wtedy, jak bardzo została uwarunkowana przez filmy, jak bardzo zmanipulowana. Uwierzyła, że wszyscy amerykańscy żołnierze na niebezpiecznych placówkach będą właśnie tak szczerzy, szlachetni, unikający wulgaryzmów, dobrzy i nieskazitelni jak ci z ekranu. Tymczasem miała przed sobą Amerykanina, który z całą pewnością znajdował się w beznadziejnej sytuacji. I mimo to był łajdakiem.

– Musicie się stąd wynieść. Wy wszyscy, to wszystko. – Szerokim gestem objął namiot.

Gapiała się tępo.

– Macie się stąd zabierać – powtórzył, marszcząc brwi. – Nie utrzymam tej pozycji

z wami na głowie. Na miłość boską, a ty urządzasz tu sobie pranie, niech to szlag jasny trafi!

Wzdrygnęła się lekko, jakby próbowała nie zasnąć.

– Mamy w namiocie przypadek tyfusu, kapitanie. Odwyszawiliśmy żołnierza, kiedy do nas trafił, ale wie pan, jak to się roznosi.

Po namyśle dodała kolejne „kapitanie”, jakby właśnie sobie uświadomiła, że nie mówi do siebie.

– Mam w dupie tyfus. Jeśli o mnie chodzi, mogą wymrzeć wszyscy. Ich obecność stwarza zagrożenie dla moich ludzi i tylko to mnie obchodzi. – Spojrzał prosto w jej nieprzytomne oczy. – Jedynie to.

Gość był męczący, po prostu męczący. Jak mogła kiedykolwiek uznać go za łajdaka? Miał takie zabawne uszy. Był pocieszny. W tym rzecz. Korciło ją, by wybuchnąć śmiechem. Śmiać się i śmiać, i nigdy nie przestać. Jej usta wygięły się w prowokacyjnym grymasie adresowanym nie do stojącego przed nią mężczyzny, lecz do obłędu, na którego granicy balansowała. Wciąż uśmiechnięta szeroko, skierowała się w stronę namiotu. Kapitan złapał ją za ramię i okręcił w miejscu tak, że znalazła się kilka centymetrów od jego twarzy.

– Z czym masz problem, kurwa?

– Proszę nie przeklinać w obecności damy – rzuciła bez namysłu. Tak brzmiała jej kwestia; wypowiedziane przez nią słowa stanowiły sygnał.

Potrząsnął nią, mocno, aż przed jej oczami pojawiły się czarne plamy i skrzywiła się z bólu.

– Będę pilnował języka, jak zobaczę jakąś damę.

Wyrwała mu się resztką sił. Ból i gniew sprowadziły ją na ziemię. Odwróciła się energicznie i ruszyła do namiotu.

– Nie pozwoliłem ci odejść, pani porucznik.

Użył jej stopnia, mrużąc oczy, jakby miał to być żart, jakby miała to być obelga.

Nie oglądając się, odparowała:

– Spytałem o pozwolenie, jak zobaczę jakiegoś oficera.

– To niesubordynacja – warknął, starając się nie podnieść głosu, zamiast tego cisnął hełm na ziemię.

Podeszła do niego szybko, głos miała ochryply i napastliwy.

– I co pan robi, kapitanie? Odwoła mnie z posterunku?

Po tych słowach wróciła do namiotu. Ciężkie prześcieradła wciąż zwisały bezwładnie na sznurze, mniejsze ręczniki trzepotały na wzmagającym się wietrze.

KAY ELLIOTT

ZIMA, POCZĄTEK 1945 ROKU, OBÓZ INTERNOWANIA SANTO TOMAS,
MANILA, FILIPINY

Kay wyjrzała na dziedziniec poniżej. Wokół niego nadal rosły palmy, przez ozdobnie rzeźbione okna wciąż widać było prostokątny plac porośnięty niegdyś bujną trawą bermudzką, gardeniami i ylang-ylang. Teraz zmienił się w ubite klepisko, wygładzone i udeptane przez tysiące bosych stóp. Pośpiesznie wzniesione budy niczym grzyby wyrosły w miejscach dawnych ławek, na których studenci uczyli się, dyskutowali i wyśmiewali profesorów twierdzących, że życie jest ciężkie, a idee mają konsekwencje. Taki był Santo Tomas.

Ze znużeniem odwróciła się od okna. Z dołu doleciały hałaśliwe cienkie głosy – brudne dzieci odziane tylko w majtki kłóciły się z powodu zabawy, do której potrzebne były patyki.

- Teraz nie twoja kolej!
- Właśnie, że tak, poprzednio ty byłeś!
- Wcale nie.
- Wcale tak.
- Poskarżę się.

Jej oddział był pełen – jej oddział zawsze był pełen – młodych, starych, dzieci, chorych na dyzenterię, chorych na dengę, wycieńczonych z głodu... głodowali wszyscy. Nie było już lekarstw, zresztą na to nie istniało remedium. Zasadniczo można było wyróżnić dwie postaci śmierci głodowej: mokrą i suchą. Codziennie widziała ludzi konających z zagłodzenia – tutaj nazywano to chorobą beri-beri – lecz mimo to nie potrafiła rozstrzygnąć, która jest gorsza. Mokra beri-beri przebiegała szybciej. Mijało się kogoś na dziedzińcu, rzucając „dzień dobry”: jednego dnia wyglądał w porządku, a następnego puchł nie do poznania – ręce, nogi, twarz, płyn zbierał się również we wnętrzu, powodując powiększenie serca, upośledzając przepływ krwi do płuc, prowadząc do ataku serca. Człowiek chwycił się za pierś albo za ramię, padał i było po wszystkim. Sucha odmiana przebiegała bardziej podstępnie. Widziało się, jak pacjent na oddziale czy sąsiad w kolejce po jedzenie gaśnie. Zauważało się sterczące obojczyki, dające się policzyć zębra; nagle człowiek marniał dosłownie w oczach, kurczył się w sobie, osuwał się i padał oszołomiony. Wyglądał, jakby zasypiał, ale to nie był sen. Po wszystkim nie chciało się wierzyć, że pozostało cokolwiek do pogrzebania: zdawał się tak kruchy, że wiatr powinien rozwiać jego szczątki niczym piasek. *Prochem jesteś i w proch się obrócisz*. Tak było w Santo Tomas.

Cztery tysiące cywilów, osiem budynków uniwersyteckich, sześćset prowizorycznych szałasów. Pielęgniarki dzieliły piętro w głównym budynku z trzema setkami kobiet. Miały do dyspozycji trzy prysznicze, pięć misek i pięć toalet. Jedna

z dziewcząt potrafiła się ocknąć o dowolnej porze, budziła więc pozostałe o piątej rano, by miały szansę wziąć prysznic. Mimo to pod każdym kranem tłoczyło się kilka kobiet walczących o każdy skrawek miejsca; ktoś wywiesił na pośliskim skrawku papieru pouczenie: „Pragniesz prywatności, zamknij oczy”. Kay wymacała w kieszeni cztery listki papieru toaletowego, które jej wydzielono tego dnia, upewniając się, że są na miejscu. Wiedziała, że to nie wystarczy, ale w tym momencie przypomniała sobie, że mężczyźni otrzymują dwa.

Przechodziła od łóżka do łóżka – czy raczej od jednego hamaka z prześcieradła do drugiego; w każdym tkwił zawieszony konający, wycieńczony przedstawiciel rodzaju ludzkiego. Aplikowała zimne okłady, dawała im się napić odrobiny brudnej wody, trzymała ich podobne do szponów dłonie w swojej, której kości uwydatniały się coraz bardziej, a błękitne żyły ukazywały się coraz plastyczniej z każdym dniem. Pielęgniarki stawiały się na dyżury niczym chłopcy bawiący się w wojsko, niczym dziewczynki bawiące się w dom, chociaż w drodze na oddział przewracały się po kilka razy. Kay wiedziała, że to tylko kwestia czasu, kiedy upadnie i nie zdoła się podnieść.

Za jej plecami zrobiło się zamieszanie i na oddział weszło kilku japońskich oficerów. Wszyscy zamarli. Dosłownie. Jak w grze w posągi. Jakże drażniło to Kay zaraz po przybyciu w to miejsce – przymus kłaniania się, bicia czołem lub stania bez ruchu całymi godzinami przed tymi ludźmi, gdy wyczytywali listę albo przeprowadzali inspekcję, podczas niekończących się komunikatów i obwieszczeń. Więzień musiał zastygnąć tam, gdzie się znajdował – z jedną stopą na stopniu, w drzwiach, z rękami zanurzonymi w zlewie. I trwać nieruchomo, nie siadając, nie kucając i nie padając bez względu na to, jak był wyczerpany; nieważne, czy świat mu pływał lub wirował przed oczami. Kay była świadkiem, jak pewną łagodną misjonarkę ścięto na oczach własnych płaczących dzieci, widziała sprzedawcę ubezpieczeń postrzelonego w brzuch i pozostawionego, by się wykrwawił na śmierć – *przez cały dzień, dobry Boże, jak mogło to trwać cały dzień?* – za próbę zerwania papai dla ciężarnych więźniarek. Wiedziała, jak tu jest. Wiedziała, jacy są ci ludzie. Zdążyła poznać Santo Tomas.

Wydawało się jednak, że tego dnia wizyta potrwa krócej niż zwykle. Nie była to inspekcja ani konfiskata, lecz przesłuchanie głównego oficera medycznego.

– Te świadectwa zgonu, które pan podpisał! – wrzasnął japoński oficer idealną angielszczyzną; skończył studia licencjackie w Kalifornii. – Podaje pan: „Przyczyna śmierci: zagłodzenie”. Nie można tak pisać.

Doktor próbował stanąć prosto przed obliczem wroga, ale zdołał jedynie trochę mniej się zgarbić. Kay widziała, jak z trudem skupia wzrok na przesłuchujących, jak otwiera i mruży oczy, wyciąga szyję, na próżno starając się ich zobaczyć wyraźnie.

– Ale dlatego umarli.

– Nie aż tylu. Nie może pan twierdzić, że aż tylu zmarło z tej przyczyny. To nieprawda.

Lekarz zamrugał znowu, podsunął okulary wyżej na nosie i przełknął ślinę. Rozejrzał się po oddziale. Nawet swoim osłabłym wzrokiem widział kości – łopatki, obojczyki, mostki, żebra, kości krzyżowe – sterczące przez obwisłą skórę pacjentów. Wykonał bezradny gest.

– Oni umierają z głodu, panie oficerze. Wszyscy konają z głodu.

Przez moment zdawało się, że Japończyk uderzy doktora z trudem trzymającego się na nogach.

– To nie zagłodzenie. Wy, Amerykanie, jesteście po prostu słabi. Tęsknicie za krajem. Od tej pory jako przyczynę śmierci ma pan wpisywać „nostalgię”.

Kay zerknęła nerwowo na doktora. Nie potrafiła odgadnąć, co on myśli, co się dzieje w jego głowie. Uśmiechnął się nieznacznie i szepnął prawie niedosłyszalnie:

– Nostalgię?

– Tak. W przyszłości będzie pan wpisywał „nostalgię” jako przyczynę śmierci.

Japończyk spojrzął znacząco na Kay i z powrotem na lekarza, który zrozumiał niewypowiedzianą groźbę. Powtarzała się sytuacja z początku internowania, gdy jednemu z pacjentów udało się zbiec. Japończycy pojмали chorych leżących po obu stronach pustego łóżka i powiesili na cały dzień za kciuki. Po tym zdarzeniu na każdym piętrze szpitala umieszczono ostrzeżenie, że w wypadku kolejnej ucieczki nie będą tak „pobłażliwi”. Jeśli to się powtórzy, pacjenci leżący z obu stron zbiega – oraz pielęgniarka z danego piętra – zostaną rozstrzelani. Od tamtej pory nie było prób ucieczki.

– Nostalgię, panie oficerze – powtórzył tępo lekarz i, pokonany, wolno pokręcił głową, omal nie tracąc równowagi.

Japończycy wyszli równie szybko, jak się zjawili. Oddział powrócił do życia. Kay zbliżyła się śpiesznie do doktora, pomogła mu usiąść na krześle.

– Słyszała pani, panno Elliott? Nostalgia.

– Tak, doktorze, słyszałam. Wszyscy tęsknimy za krajem.

– Ale nie na tyle, żeby... nie tak bardzo, żeby porządny posiłek nie... – Nie mógł dokończyć zdania.

– Nie, doktorze, nie aż tak.

Westchnął i zabrzmiało to jak jesienny wiatr potrząsający zeschniętymi liśćmi osiki. Kay zadrżała, poznając, że bardziej podstępna postać „nostalgii” właśnie naznaczyła kolejną ofiarę.

Spojrzała przez okno na błękit nad oceanem. Jedyne niebo pyszniło się pięknem w tym świecie plugastwa, brzydoty i śmierci. Przypomniała sobie, jak jego blask niemal oślepił pielęgniarki, gdy wynurzyły się z tunelu w Corregidorze; zasłaniały chusteczkami nosy i usta, przestępując nad trupami lub je obchodząc, i podnosiły wzrok, zmuszając się do spojrzenia na niebo, ponieważ nie mogły patrzeć w dół. Kiedy wspominała pierwsze dni po poddaniu, zdawały się nieostre – przerażenie jeńców, gdy Japończycy po wkroczeniu do tunelu przerywali operacje, przesłuchiwali oficerów, a ich strażnicy odziani tylko w przepaski biodrowe w środku nocy przeprowadzali inspekcje sypialni pielęgniarek. Zmieszanie i konsternację Amerykanów, kiedy Japończycy pewnym krokiem ruszyli do jednego z odgałęzień – z pozoru identycznego z pozostałymi – i rozbili gipsową ścianę, po czym skonfiskowali olbrzymie skrzynie mąki kukurydzianej, puszkowanego mięsa, warzyw, owoców, słodkiej wody z Czerwonego Krzyża – wraz z kompletnym szpitalem polowym wyposażonym w cenne lekarstwa i sprzęt – o których uwięzieni nie mieli pojęcia i które mogły odwlec ich poddanie się, a może nawet do niego nie dopuścić, gdyby alianci przybyli w porę. Pielęgniarki przeżywały udrękę, gdy musiały

odejść od pacjentów, pozostawiając ich w tunelu. Kay z rozbitej skrzynki sporządziła prowizoryczną ramę, udrapowała na niej moskitierę i nakryła najciężej chorego; chmary niewielkich najeźdźców wdzierały się już do otwartego tunelu, obsiadały żołnierzy zbyt słabych, by się przed nimi bronić, przynosząc ze sobą dengę, malarię oraz śmierć niemal tak pewną jak ta przyobiecana przez Japończyków.

Zeszła ostrożnie po schodach – od niedawna zaczęła się mocno trzymać poręczy, by nie stracić równowagi – i wynurzyła się na nędzny dziedziniec. Przypomniała sobie czas, gdy do obozu wpuszczano handlarzy oferujących na sprzedaż jedzenie pozwalające uzupełnić skąpe obozowe racje, dostarczających owoce, warzywa, jajka. Ponieważ jednak pielęgniarki przed wzięciem do niewoli otrzymały od dowództwa rozkaz spalenia pieniędzy i czeków, musiały się zadowalać bardzo małymi porcjami wydzielanej żywności – mamałygi, gnijących ryb, ryżu obłuszczonego z bogatych w tiaminę plew. To nie wystarczało. Dlatego za pośrednictwem systemu podziemnych powiązań – który zaledwie trzy lata później zdawał się czymś niewyobrażalnym – cywilni dyrektorzy i prezesi uwięzieni wraz z dziewczętami zaciągnęli w swoich firmach kredyty i zaczęli wydawać amerykańskim pielęgniarkom odręcznie pisane skrypty dłużne. Wynagrodzenia, które pielęgniarki miały otrzymać po oswobodzeniu – o ile przeżyją wojnę i o ile Ameryka przetrwa jako kraj – czyniły z nich rokujących dłużników. Dlatego pożyczwały, nie żałując sobie, by pozostać przy życiu – płaciły po siedemdziesiąt centów za jajko, dolara za pół kubka orzeszków ziemnych, siedemdziesiąt pięć dolarów za mleko. (Cukier nie był osiągalny za żadną cenę). Żywność była warta tak horrendalnych pieniędzy: jeden posiłek, nawet niepełny, mógł zaważyć o życiu lub śmierci. Kay przypomniała sobie dwie paczki żywnościowe, które dostała z Czerwonego Krzyża; były darem niebios – kawa, mięso, czekolada. Przywróciły ją do życia, sprawiły, że znowu poczuła się człowiekiem, choć wciąż nie wystarczały; nic nie wystarczało. Przypomniała sobie mężczyznę, który sprzedał swoją przesyłkę za trzy tysiące dolarów. Pochowali go w następnym miesiącu.

Była pewna, że Japończycy kradną paczki żywnościowe, tak jak kradli lub niszczyli ich listy, tak jak podobno konfiskowali na nabrzeżu skrzynie oznaczone „Squibb, Parke Davis” i „Amerykański Czerwony Krzyż”, by następnie sprzedawać bezcenne leki amerykańskim lekarzom i pielęgniarkom – jak gdyby ci ostatni mogli sobie na nie pozwolić, jakby zostały im jeszcze jakieś pieniądze albo mogli zaciągać kredyty, jak gdyby w świecie śmierci głodowej istniała inna waluta poza żywnością. Manila upadała. Ludzie uciekali do obozu internowania.

W żaden sposób nie mogli się zorientować, co się dzieje w świecie zewnętrznym. Kay otrzymała tylko jeden list: od Jo, który czytała wciąż od nowa i kartkowała, aż pot z jej palców pobrudził papier i zatarł krawędzie skreślonych odręcznie liter. Pożałowała, że nie ma u boku przyjaciółki, i zaraz zbesztła siebie – oczywiście nie chce, by Jo trafiła tutaj, do tego piekła. Myślała tylko: *Tak wiele przeszłyśmy razem.*

Starła się nie wracać myślami do przeszłości, ale kiedy najmniej się tego spodziewała – kiedy najmniej tego chciała – przypominał jej się Nowy Jork i tamten lekarz, tamten człowiek, krótko mówiąc: tamten prześladowca. Gdy go poznały w ostatnim roku szkolenia, wydawał się przystojny, czarujący. Wciąż widziała idealne

brwi przecinające idealnie gładką, nienagannie szlachetną białą twarz i nienawidziła siebie za pamięć o tym, że istniał czas, zanim go przejrzały, gdy jeszcze nie zdawały sobie sprawy, z kim mają do czynienia. Kay nie była jedyna. Nie licząc przełożonej pielęgniarek – jaką miał nad nią władzę, że przymykała oczy? – każda z dziewcząt nauczyła się pracować w lęku przed nim. Jo rozcięła sobie wargę, broniąc się w damskiej toalecie, Kay miała siniaki, które tłumaczyła rzekomym upadkiem. Ale tak było, gdy maska opadła. Zdawał się wcześniej wcieleniem troskliwości, ponadto był chłodny, opanowany i niewątpliwie atrakcyjny; nowym pielęgniarkom miękły kolana, gdy na niego spojrzały. Przynosił im drobne upominki: orzeszki, cukierki albo bułeczki, wciąż gorące, prosto od piekarza. Potrafił być przymilny, dowcipny, zabawny, zdobywał sympatię dziewcząt wytwornym ubiorem i wytwornymi manierami. Był niewątpliwie dżentelmenem, lekarzem w każdym calu, zbawcą z ich świata, dlatego początkowo darzyły go szacunkiem, oddaniem, wiernością należnymi tej roli.

Miał rację: nikt by im nie uwierzył. Był znakomitym chirurgiem, najlepszym w ich tętniącym życiem szpitalu, zdaniem niektórych najlepszym w całym mieście. Wywodził się z wyższych sfer, był rozrywany jako mówca, wykładowca, gość na przyjęciach w najlepszych domach. Nikt nie uwierzyłby głupiej pielęgniarce, zapewne żywiącej jakąś niską urazę. „Wiecie, jakie są te dziewczęta, chcą tylko zwrócić na siebie uwagę, zabłysnąć. W ogóle nie powinny pracować. Żadna przyzwoita dziewczyna nie zostaje pielęgniarką. Tylko na nią spójrzcie, kiedy idzie – pewnie sama się prosiła”. Jedyna, która się poskarżyła, została zwolniona. Kay ją знаła, wiedziała, że nie mogła znaleźć pracy w ich szpitalu, w żadnym szpitalu. Wyjechała z miasta, wróciła do domu. Doktor miał rację – były nikim, łatwo dało się znaleźć kogoś na ich miejsce. Nawet teraz słyszała w głowie jego szurający krok w zimnych korytarzach; miał jeden defekt: zdeformowaną stopę, nie do końca skorygowaną mimo kilku operacji, upośledzającą chód. Wydawało się to ironią losu – chirurg ze zniekształconą stopą. Żartowano za jego plecami, ale spuszczano oczy, kiedy przechodził obok. *Błagam, Boże, tylko nie ja.*

Kiedyś przyłapał Jo i Kay w bocznym korytarzu, gdy dawały jedzenie biednie ubranej kobiecie, która zebrała przemoczona, z włosami przylepionymi przez deszcz do bladej, niemal fosforyzującej twarzy. Wrzasnęła: „Wyrzucicie ją stąd! Co wy sobie wyobrażacie, że to burdel?!”. W tym momencie zwróciły uwagę na jej brzuch, krągły i twardy; sukienkę miała tak mokrą i ciasno opiętą, że dało się dostrzec zarys wypukłego pępka. Wydało im się dziwne, że potrafi być aż tak brutalny, że z taką złością wyrzuca ją w ciemność. Spojrzała na niego jakby ze współczuciem. Podobno za wzory najpiękniejszych Madonn służyły ulicznice; za pieniądze pozowały spokojnie ze swoimi bękartami na kolanach, by malarze mogli stworzyć dzieła podziwiane przez tłumy. Ta kobieta mogła być jedną z nich. Matką Boską Współczującą. Matką Boską Cierpiącą. Matką Boską Bolesną.

„Uważajcie na tego człowieka”, rzuciła tylko i odeszła, schwyciwszy bułkę z dłoni Kay i jabłko z ręki Jo. To nie pielęgniarki przemówiły pierwsze, lecz tamta obca, zmarznięta, przemoknięta kobieta. Ostrzegła je, zanim odeszła. Znała go. Wiedziała.

Nie teraz, błagała Kay samą siebie. *Przestań wspominać. Przestań myśleć.* Minęła puste klasy szkolne, gdzie w czasach, gdy internowani mieli dość energii, by się nudzić, profesorowie oferowali czterdzieści sześć kursów. W bibliotece panował dawniej ruch, książki – zarażone już pluskwami – wypożyczano po pięć centów za sztukę, zbierały się liczne komitety: Komitet Zdrowotny, Komitet do spraw Rozrywki, Komitet Higieniczny z kampanią „Zabij tę muchę”. Kay minęła szopę na gryzonie, obecnie zamkniętą z rozkazu Japończyków. Bez dostępu do środków chemicznych i łąpek, które przynajmniej pozwalały utrzymać populację na stałym poziomie, szkodniki mnożyły się jak szalone. Myszy i szczury roiły się wszędzie, na oddziałach, pod przyszcicami. Kiedy znalazła utopioną mysz w swojej porcji mamałygi, po prostu odsunęła ją na bok, wcześniej jednak starannie zeszkrobała i zjadła drobiny kaszy z boków zwierzęcia. Czy śmierci nie dość było wokół i Japończycy musieli wspierać jeszcze coś takiego? Szczury roznosiły pchły, a pchły roznosiły tyfus, dżumę oraz Bóg wie jakie inne choroby stworzone w laboratoriach przez ich naukowców. Kay zadrżała na myśl o tym, co Japończycy rozumieją przez „etykę medyczną” oraz kto lepiej nadaje się na „obiekty badań” od niepotrzebnych, dręczonych „nostalgia” jeńców wojennych.

Znowu przypomniały jej się puste obietnice składane Amerykankom po opuszczeniu Malinty. „Tak, dołączycie do transportu. Tak, będziecie z amerykańskimi żołnierzami”, oświadczyli ich nadzorcy, po czym wysłali je do cywilnego obozu internowania w Manili, z dala od żołnierzy, z dala od ich pracy. Kazano im szorować łazienki niczym zwykłym praczkom, dopóki przełożona nie dała jasno do zrozumienia: są pielęgniarkami, dobrze wyszkolonym personelem. Skoro Japończycy nie pozwalają im wypełniać obowiązków wobec armii amerykańskiej, niech się zgodzą, by przynajmniej pomogły setkom chorych cywilów schwytyanych bez sensu w krzyżowy ogień wojny. I właśnie w tej zarekwirowanej uczelni Kay i jej koleżanki po fachu służyły od trzech lat. Ale Japończycy nigdy nie uznali kobiet za oficerów. Jakże by mieli? Nie uważali ich nawet za istoty ludzkie.

Dochodziła pora apelu o 17.30, gdy spostrzegła mężczyznę wymykającego się ukradkiem z szałas. Szybko odwróciła wzrok, jakby jej spojrzenie mogło go wydać japońskim strażnikom. W ramach prymitywnej kontroli urodzin małżeństwom zezwalano przebywać razem pod dachem jedynie od godziny dziesiątej do czternastej. Partnerów kobiet, które zaszły w ciążę, bito, więziono albo jedno i drugie.

Pomacała w kieszeni i wyjęła bon żywieniowy, brudny skrawek papieru, który każdego dnia musiała pokazać i skasować, by otrzymać odrobinę pożywienia. W jego górnej części znajdowały się trzy rzędy podzielone na dwadzieścia kolumn i oznaczone odpowiednio AM, NN lub PM dla porannego, południowego i wieczornego posiłku; wzdłuż dolnej krawędzi zaznaczono kolejnych dwadzieścia dni. Pośrodku, niemal zupełnie zatarta przez brud i pot, widniała linia, na której należało umieścić imię i nazwisko, numer sali oraz numer kartki żywnościowej i podpis; z lewej strony wykreślono starannie kategorie „mężczyzna” i „dziecko”, pozostawiając „kobieta”. Kay raczej przypominała sobie, niż odczytała te słowa; od kilku tygodni litery przepływały bezsensownie przed jej oczami albo umykały szybko, gdy próbowała skupić na nich wzrok.

Usiłowała się skoncentrować, by zapanować nad myślami, lecz z każdym dniem stawało się to trudniejsze. Przypomniła sobie Dot, ich ponowne spotkanie wkrótce po przybyciu na Filipiny. W kraju odbywały razem szkolenie, ale nie widziały się od miesięcy. Kay wpadła na Dot, gdy ta wybiegała bocznym wyjściem ze szpitala.

– Dottie! – zawołała i chwyciła ją za rękę, bo wyglądało, że wzburzona koleżanka nie zamierza się zatrzymać. – Dottie Kimble, żebym tak zdrowa była!

Dot spojrzała zaskoczona, niemal wystraszona. Gdy rozpoznała wołającą, jej twarz się odmieniła.

– Kayak! – powitała Kay pieścizotliwym przezwiskiem, miażdżąc ją w potężnym, niedźwiedzim uścisku.

– Żeby wpaść na ciebie akurat tutaj – zaśmiała się Kay. – Co tu robisz?

Dot spuściła oczy, poczerwieniała.

– Gdzie ty się podziewałaś, Kay? – zmieniła temat.

– Byłam na Hawajach. A ty?

– Trwoniłam czas tutaj. Obijałam się. Myślę, że wojna nigdy nie wybuchnie.

– Cóż, to chyba dobrze? – Kay zaśmiała się wesoło.

– Zależy, po której jesteś stronie. – Twarz Dot spochmurniała. Po chwili dodała ciszej: – Ja... wracam do domu, Kay.

– Nie! Nie teraz! No coś ty – zaprotestowała. – Mają tu mnóstwo świetnych posad, a ty jesteś najlepszą pielęgniarką. Umiałabyś podłączyć kroplówkę z zamkniętymi oczami. Pamiętasz, jak...

Zza rogu wyszła pielęgniarka w średnim wieku, z włosami skołtunionymi od tropikalnej wilgoci. Spojrzała surowo na obie kobiety i ostentacyjnie wycofała się, skąd przyszła.

Na twarz Dot znowu spłynęły rumieńce, ale Kay nie zrozumiała.

– Musisz zostać, Dot. Jesteśmy tu tylko we dwie. Nawet jeśli nigdy nie zobaczymy walki, w gruncie rzeczy to bez znaczenia. Możemy się świetnie bawić razem i...

– Kay, nie mogę...

– Nonsens. Stacjonuję tutaj. Znajdź mnie, to pogadamy. Tak się cieszę, że cię spotkałam.

Objęła koleżankę.

– O co chodzi, Dot? – spytała, gdy po twarzy koleżanki popłynęły strugi łez.

– Panno Kimble – burknęła spocona starsza pielęgniarka.

Kay nie zauważyła jej powrotu. Podkradła się chyłkiem i stanęła tuż przy nich.

– Dot?

– Do widzenia, Kay.

Dot wyswobodziła się z jej objęć i odbiegła pylistą gruntową drogą, przez pustynną trawę wyrastającą między koleinami wyjeżdżonymi przez ciężarówki.

Kay stała chwilę zbита z tropu, śledząc wzrokiem oddalającą się postać.

– Zna pani tę kobietę? – zainteresowała się starsza pielęgniarka.

Kay nie spodobał się nacisk, z jakim tamta zapytała o „tę kobietę”.

– Tak, to moja dawna przyjaciółka.

Tamta prychnęła.

– I jedna z najlepszych pielęgniarek, z jakimi pracowałam – dodała Kay.
– Nie wątpię – rzuciła wyniośle pielęgniarka.
– Zaraz, o co tutaj chodzi? – Kay chwyciła nieznajomą za ramię.
– Proszę mnie puścić! – rozkazała tamta lodowato. – Z tego co wiem, może pani być taka sama.

– To znaczy jaka?
– Mogłabym złożyć na panią doniesienie. Doprowadzić do tego, by również pani została wydalona. Owszem, właśnie w tym celu przysłała tutaj pani „przyjaciółka”.

– Wydalona? To znaczy zwolniona dyscyplinarnie?

– Owszem. Zhańbiła mundur i swoją profesję.

– Co pani mówi? Dot to najlepsza...

– Dot. – Pielęgniarka uśmiechnęła się drwiąco, wygładzając swój biały uniform. – Wiem, że jest tu pani nowa, ale nie radzę kusić losu. Ja takich nie lubię.

– Jakich?

– Lesb.

– Co?

Starsza kobieta zostawiła Kay stojącą w upale z otwartymi ustami. Czy to możliwe, że Dot...? Słyszało się o podobnych rzeczach – tutaj i w kraju. Właściwie tylko pogłoski. Mówiono, że to nienaturalne. Mówiono, że to nieludzkie. Ale one były ludźmi. Kay знаła Dot. Kochała ją tak jak wszyscy na szkoleniu. Dot była dobrą koleżanką i świetną pielęgniarką. Chociaż wyobrażenie sobie takiego stylu życia przerastało Kay (nie potrafiła tego zobaczyć, poczuć; starała się, ale na próżno wyteżała umysł), dla niej niczego to nie zmieniało. Kochała Dot. Nie w taki sposób, jak insynuowała nadęta starsza pielęgniarka. To była głęboka przyjaźń, więź. Rodzaj miłości trwającej całe życie. Miłości, której się nie wstydziła.

Co się dzieje z Dot? Odesłali ją do domu, „wyplenili”, zwolnili dyscyplinarnie, próbowali zniszczyć jej życie. Wróciła do kraju przed bombardowaniami, przed poddaniem. Nie wycofywała się przez Bataan, nie kryła się w Corregidorze jak schwytane w pułapkę zwierzę. W przeciwieństwie do Kay wymknęła się, zanim zdążyli ją uwięzić w Manili na dziedzińcu cuchnącym odpadkami, niemytymi ciałami i gnijącym jedzeniem.

Kay pomyślała o jedzeniu. Wciąż myślała o jedzeniu. Ani na chwilę nie przestawała myśleć o tym, co jadła ostatnio, kiedy być może znowu coś zje. W zeszłym tygodniu znalazła banana i pochłonęła go w całości, ze skórką i całą resztą. Przypomniała sobie, jaka była wybredna w Nowym Jorku, gdy niepewnie podnosiła do ust *anguilla marinata* – marynowanego węgorza na ostro (Jo poczęstowała ją w przerwie na lunch, roześmiała się na widok skrzywionej miny koleżanki i nazwała ją niunią). Wspominała wszystko, czego dawniej nie uważała za jadalne, a co teraz pochłonęłaby w mgnieniu oka: twarde *camotes*, podrzędną odmianę słodkich ziemniaków; *dilis*, nędzne drobne rybki długości niespełna cala; *sapsaps*, rybki odrobinę większe, lecz błyskawicznie gnijące i niezdatne dla ludzi, karmili nimi zagłodzone kaczki. Teraz zarówno po *sapsaps*, jak po kaczkach nie zostało śladu. Zniknęły też wszelkie zwierzęta domowe i bezpańskie, jeśli miały pecha, wszelkie liście, korzenie i chwasty, wszystko, co organiczne, wszystko, co choćby w najmniejszym stopniu nadawało się do jedzenia. Poprzedniego lata Japończycy

przestali wywozić z obozu śmieci, kazali je zakopywać internowanym, teraz jednak leżały na widoku, a więźniowie szturchali je niepewnie patykami albo noskami znoszonych butów, wypatrując czegokolwiek jadalnego lub choćby nadającego się do spróbowania. Przychodzili do szpitala błagać pielęgniarki o łyżeczkę oleju rycynowego; połknąwszy obrzydliwy płyn, z rozkoszą oblizywali wargi, tak byli spragnieni tłuszczu. Dzieci więźniów przegnano z japońskich kantyn pod groźbą śmierci, nawet bezduszni żołnierze nie byli zachwyceni, że muszą spożywać posiłki pod czujnym spojrzeniem żywych szkieletów.

Rozmyślania o jedzeniu nie pomagały, lecz Kay nie potrafiła myśleć o niczym innym. Czy może coś wykombinować? Czy zostało jej coś na wymianę? Czy jakimś sposobem potrafiłaby zdobyć jeszcze odrobinę żywności i przetrwać odrobinę dłużej?

– Ty. Pielęgniarka. Przyjść.

Obejrzała się i zobaczyła niewielką grupkę dziewcząt pilnowanych przez dwóch japońskich żołnierzy trzymających karabiny z nastawionymi bagnetami. Podeszła wolno, pytając podnosząc wzrok na pozostałe kobiety oficerów i zastanawiając się, czy wybiła godzina, by wykorzystać fiołki z morfiną, które wciąż nosiły we włosach.

Nikt z obecnych nie zaprotestował krzykiem. Nikt z przechodzących nie zaczął się domagać informacji, dokąd kobiety są zabierane. Nikt nie rzucił się im na ratunek ani nawet nie spojrzął w oczy strażnikom – lecz dziewczęta absolutnie ich za to nie winiły. Byłoby to głupotą, przyśpieszyliby jedynie własną śmierć. W obozie internowania nie było bohaterkich czynów i nie było bohaterów. A jeśli już, bohaterami byli ci mający dość hartu, by każdego dnia wstawać z łóżka i wypełniać swoje obowiązki bez nadziei na wynagrodzenie, ratunek czy ocalenie. Ci, którzy, choć ukrywali szklane fiołki z wyzwoleniem, wciąż nie decydowali się ich użyć.

– Ty iść z nami. Teraz.

Poszła. Nic nie można było poradzić. Jedna z pielęgniarek pracujących na tym samym piętrze lekko ścisnęła palec Kay, zanim strażnicy coś zauważyli, i niemal natychmiast opuściła dłoń. Kay zrozumiała. To było pożegnanie. Poprowadzono je do głównego budynku i dalej przez główną bramę, zawsze zamkniętą, na niewielki trawnik, nedorzecznie zielony w mieście z brązowego kamienia, błota i gruzu.

– W szeregu! – zabrzmiał wywarczany rozkaz.

Jedna z dziewcząt przeżegnała się powoli, z wielkim skupieniem, jakby wiedziała, że wykonuje znajomy gest ostatni raz. Ustawily się rzędem przed olbrzymim pęczem obsypanym kwiatami w odcieniach fioletu i fuksji, obscenicznie pięknym w skośnych promieniach słońca, ściągnęły ramiona i przeciwstawiając się pokusie, by wbić wzrok w ziemię, w swoje stopy, spojrzaly w nieczułe oczy wrogów. Wystąpił sam dowódca i zbliżył się energicznie, w galowym mundurze. Tuż za nim podążał filipiński fotograf dzwigający niezgrabnie ekwipunek, przepraszając i starając się dotrzymać mu kroku. Dziewczęta miały zatem posłużyć za temat kolejnej wypaczającej rzeczywistość fotografii, która zostanie wysłana do Ameryki – a tam, oczywiście, usunięta przez cenzurę z gazet, lecz obejrzana przez wojskowych. Na pierwsze strony mogła trafić wiadomość o śmierci pielęgniarek, ale nigdy fotografia zakrwawionych kobiecych ciał rozciągniętych na zielonej trawie, rąk i nóg rozrzuconych pod nienaturalnym kątem – śmierci na tle

piękna kwitnących pnączy.

– Wziąć każda po jednej.

Kay była zaskoczona. Japończycy zwykle nie rozdawali opasek do zasłonięcia oczu przed plutonem egzekucyjnym.

Tymczasem otrzymała filiżankę z delikatnym wzorem.

Dziewczętom rozdano podobne, różniły się jedynie deseniem – Royal Worcester, Wedgwood, porcelana drezdeńska, z motywem miniaturowych róż, obejmujących się nimf, błękitne, złote i różowe. I wszystkie te bezcenne naczynka były puste.

– Wyślemy fotografię waszej armii. Pokażemy, jak dobrze jesteście traktowane. Pijecie herbatę z oficerem.

Dowódca upozował się pośrodku grupy z własną kruchą czarką, jedynie on dostał również spodek. Nienaganny, z odgiętym lekko małym palcem, spojrzął w obiektyw, mając po obu stronach rozczochrane, konające z głodu kobiety wpatrzona w dno cennych filiżanek – bezwartościowych w ich oczach, bez herbaty, śmietanki i cukru, które wystarczyłyby im za cały posiłek, utrzymałyby je przy życiu kolejny dzień. Usłużny fotograf okrążał grupę, kłaniając się i drapiąc między pstrykaniem kolejnych ujęć; uśmiechał się i kłaniał, dziękując dowódcy za zaszczyt, za przywilej, że nie został zamordowany wraz z resztą swojej rodziny. Kay nie czuła nic, nawet patrząc na łzy spływające po twarzy uśmiechniętego mężczyzny. Wkrótce było po wszystkim: filiżanki zabrano, dziewczęta zapędzono z powrotem do obozu. Przedstawienie było skończone.

Kiedy wchodziły na dziedziniec, trwał apel. Ich nieobecność trwała dłużej, niż Kay sądziła. Zająły swoje miejsca i stały cicho, nieruchomo. Otaczający je więźniowie zerkali pytająco, lecz nie mogłyby niczego wyjaśnić. Pielęgniarkom pod karą śmierci zabroniono kontaktu z wszystkimi oprócz personelu medycznego. Pod karą śmierci zakazano im noszenia spodni i (tym bardziej) szortów. Nie wolno im było rozmawiać z pacjentami, osobami z zewnątrz czy kimkolwiek innym, nie wolno im było nic robić ani mówić, ani w ogóle być. Wszystko było zakazane, za wszystko groziła śmierć.

Na moment Kay ogarnęła wściekłość – na to, że wciąż żyje, że słucha coraz krótszej listy znajomych nazwisk. Czemu jej nie zabili przed chwilą? Czemu jej nie zabili na Corregidorze? Po co w ogóle się urodziła? Żeby zaznać kilku tygodni szczęścia z mężczyzną, którego nie zobaczy już nigdy, z mężczyzną, który uczynił jej życie wspaniałym i bezcennym, a przez swoje odejście jeszcze bardziej bezsensownym i rozpaczliwym? Nazwiska rozbrzmiewały monotennie – „Gallagher Aimee. Gallagher Thomas” – gdy patrzyła na otaczających ją więźniów. Na dzieci ze złamanymi rękami na temblakach ze strzępów starej sukienki, bo nie było gipsu na opatrunki; na kolejny przypadek mokrej beri-beri, którego nie zauważyła na apelu o ósmej rano: ramiona mężczyzny ledwie się mieściły w rękawach znoszonej bluzy od munduru; na jedną z pozostałych pielęgniarek dwa rzędy dalej, która zachwiała się z krańcowego wyczerpania, osunęła i została szorstko pochwycona przez starsze kobiety po obu stronach, podpierały ją, podtrzymywały, starając się rozpaczliwie nie zwrócić uwagi patrolujących strażników na siebie, na swoje dzieci.

Jaki jest sens tego wszystkiego? Czemu ich wszystkich nie wypuszczą? Albo czemu nie wymordowali ich zaraz po wzięciu do niewoli, zamiast kazać im wystawać

godzinami, aż umrą z głodu, padną albo oszaleją? To było szaleństwo. To było jak zły sen – albo jak dobry sen śniony przez sadystę. Japończycy wynaleźli najskuteczniejszą metodę, by torturować, okaleczać, niszczyć ducha i ciało, wszystko naraz: brud, nędza, izolacja oraz – przede wszystkim, nade wszystko – głód, cały czas głód. Przez udawaną herbatkę na trawniku dziewczęta straciły wieczorny posiłek. Trzydzieści gramów mięsa i sto czterdzieści gramów bezwartościowego ryżu lub zjełczalego kleiku kukurydzianego teraz wydawało się ucztą. Kay nie była pewna, czy przetrwa noc. Albo resztę dnia. Albo resztę apelu. „Jackson, Jacobs, Jamison”. Umierała. Umierała i nie mogła nawet usiąść, nie mogła nawet położyć się i skonać, ponieważ... Dlaczego? Czemu nie mogła jeszcze umrzeć? Czemu nie mogła otworzyć fiolki? Jaka cienka nić wiązała ją z Santo Tomas, z tym światem, z ludzkością?

Z jej oddziału szpitalnego na piętrze doleciał płacz niemowlęcia. Trwał niemilkący, nieposkromiony: krzyk jedyne go więźnia sprzeciwiającego się i niedającego się uciszyć, rzucającego wyzwanie niesprawiedliwości i nieludzkiemu traktowaniu samym swoim istnieniem. Nedorzecznie i zarazem roztropnie domagającego się wysłuchania, domagającego się życia. Nie milkł ani na chwilę – uparty, na całe gardło, aż w duszy Kay coś drgnęło. Tego ranka odebrała poród – wśród wszechobecnej śmierci pojawiło się życie i to ona przyjęła je na świat. Tego dnia pomogła matce dziecka oraz dwóm setkom innych ludzkich istot: wszystkim równym, wszystkim po równo zasługującym na współczucie, przyzwoitość i ludzkie traktowanie, nawet jeśli tylko to mogła im ofiarować. Umierali z braku pożywienia, właśnie tak, jak wpisywano dawniej na kartach zgonu. Kay mogła jednak zadbać o to, by dopóki żyją, nie zabrakło im dobra ani czułości – jak długo sama zdoła się podnieść z łóżka. Albo uczynić krok. Albo stać bez ruchu całymi godzinami. „Lambert, Landon, Langley”. Dziecko wciąż płakało i ten odgłos utrzymywał Kay przy życiu. Jak gdyby krzyczało, płakało i protestowało w jej imieniu, w imieniu ich wszystkich, w imieniu wszystkich zmuszonych do milczenia i uległości. Ale nie na zawsze – przysięgła sama sobie Kay – nie na zawsze. Wytrzyma jeszcze trochę dłużej. Mimo wszystko przetrwa apel. Doszli już do litery L.

Wystarczy stać.

JO MCMAHON

WIOSNA 1945, FRONT ZACHODNI

Major nie umarł. Przez dzień lub dwa wyglądał, jakby miał umrzeć, potem jednak gorączka spadła i jego oczy przestały być szkliste. Nagle wiedział, gdzie się znajduje i co się stało, a gdy opowiedziano mu o operacji, nie mógł się nadziwić, że ją przeżył. Również Billy miał się nieźle, jeśli tylko nie ruszał się za wiele, szczególnie gdy Jo zdołała mu zrobić inhalację. „Wiem, że wyglądam jak śmierć”, żartował; wargi miał matowe i ciemne na bladej twarzy, „ale naprawdę już się nie czuję jak ona”. Jonesy dumnie wydzielał zdobytą przez Dziadka żywność, jeżdżąc po ciasnym namiocie w swoim zwariowanym fotelu, z nogą sterczącą w przód niczym dziwaczny taran. James któregoś dnia poprosił, by go ubrać – „Jeśli nadal ma panienka moje łachy. Nie jestem chory, właściwie nie zostałem ciężko ranny, jeśli nie liczyć dłoni, rozumie panienka. Co do oczu, no cóż, nie mogę z tego powodu tkwić w łóżku przez resztę życia”. Wyjęła zatem spod jego łóżka brudny węzełek i teraz siedział wyprężony jak struna w osmalonym mundurze polowym, ze śladami zwęglenia sięgającymi niemal trójkolorowej naszywki na rękawie.

Widoczne rany ojca Hooka powoli się goiły, lecz Jo nie potrafiła do niego dotrzeć. Wodził oczami po namiocie, zamiast wpatrywać się w jeden punkt, i odpowiadał monosylabami – „Tak” na pytanie: „Czy ból jest do zniesienia?”, „Nie” na pytanie: „Czy ksiądz czegoś potrzebuje?”. Gdy tylko próbowała wykrzesać z niego coś więcej, zadając pytanie otwarte (albo dotyczące jego przeszłości, czy to odległej, czy niedawnej), zastygał, jego dusza i ciało sztywniały na długie godziny. Miewała wcześniej do czynienia ze wstrząsem pourazowym, ale widok księdza w takim stanie wytrącał ją z równowagi. W jej wyobrażeniu duchowni powinni służyć innym i nie mieć żadnych własnych potrzeb. W kraju, na Brooklynie, odwiedzali obskurne czynszówki, niosąc ostatnie namaszczenie umierającym, karmili głodne tłumy ciałem swojego Boga, wysłuchiwali w tajemnicy wyznań tysięcy zatwardziałych grzeszników i nigdy nie sprawiali wrażenia przytłoczonych czy też ogołoconych ze swoich niewyczerpanych zasobów, ze swojej mocy uzdrawiania. A oto miała przed sobą człowieka, który jej zdaniem powinien być niezłomny, zdolny pokonać własny szok i ból. Powinien dźwignąć swój krzyż, przyjmując go radośnie jak ktoś, dla kogo jarzmo jest słodkie, a brzemię lekkie, zaczerpnąć z głębi swojego bezbrzeżnego wnętrza i ofiarować im wszystkim – ofiarować Jo – słowa nadziei, miłości i zbawienia, za którymi tęsknił ten konający świat. Tymczasem on sam był przerażony.

I jeszcze David. Jo widywała przypadki tyfusu, lecz z tym nie potrafiła sobie poradzić. Czasami wydawało się, że chory dochodzi do siebie. Gorączka spadała, mógł spać – choć niespokojnie – i chyba był na drodze do wyzdrowienia. Potem, najczęściej wieczorami, choroba wracała ze zdwojoną siłą: rzucał się i jęczał na długim, wąskim łóżku polowym, z gęstymi włosami przylepionymi do spoconego czoła. Przyzywał matkę,

wołał o karabin po angielsku i po szkocku. Prężył sztywno kręgosłup, odginając w tył głowę – typowy symptom końcowego stadium przerażającej choroby – lecz rankiem jakimś sposobem wciąż trwał. Jego życie wisiało na włosku, ale nadal walczył. Siadała obok niego i odgarniała mu ciemne, splątane włosy z wysokiego, gładkiego czoła. Jedynie sine, zapadnięte kręgi pod oczami zdradzały, jak bardzo blisko śmierci dotarł.

„David, David, David”, mamrotała, zamykając oczy, by wytrwać; próbując podtrzymać jednego z tych mężczyzn, których przysięgła zachować przy życiu; wspominając inne przypadki tej strasznej choroby. Na Sycylii tyfus pustoszył całe wsie: konające matki przynosiły jej martwe dzieci, by je obejrzała, starcy z płaczem błagali lekarzy, by uczynili coś dla ich żon, córek, wnucząt. *Sądzili, że jesteśmy bogami, że zdołamy wyleczyć wszystko.* Tyfus. Dżumę. Dur brzuszny. Przypomniała sobie, jak we Włoszech wycofujący się Niemcy niszczyli systemy nawadniające i kanalizację – burzyli studnie artezyjskie, rozbijali mury liczące dwa tysiące lat, wysadzali starożytne akwedukty. Picie wody stało się śmiertelnym zagrożeniem, lecz co innego mogli począć mieszkańcy w tamto długie, upalne lato, jak nie pić wodę, która przez tysiąclecia utrzymywała przy życiu ich miasteczka i rodziny? Chorowali więc najpierw na dur, a następnie na cholereę, potem w kałużach stojącej wody załęgły się komary i w tragiczną egzystencję Włochów wkroczyła także malaria. Jo pamiętała pielęgniarki o skórze pożółkłej od dającej ochronę chininy, kieszenie żołnierzy wiecznie zaplamione przez zdolne rozstroić najodporniejszy żołądek tabletki, których nie chcieli łykać.

Gładząc w roztargnieniu włosy konającego żołnierza, przyłapała się na tym, że nuci temat z *Jasia i Małgosi*. Zaledwie kilka lat wcześniej – teraz, w tym bezimiennym miejscu, zdawało się, że przed wiekami – uczyła się śpiewu operowego. U signora Luigiego. Cóż to był za drażliwy *bastardo*, lecz uwielbiał jej głos. Dawał jej lekcje praktycznie za grosze, wrzeszczał na nią i klął, czyniąc wszystko, co w swojej mocy, by przeobrazić jej *voce argento* (srebrny głos, jak go nazywał) w *voce d'oro* (złoty głos). Jednakże Jo rozpoczęła zajęcia w szkole pielęgniarskiej i podjęła pracę na noc, a później wybuchła wojna i Gianni dostał powołanie do wojska. Nauka poszła w ką, gdy świat wokół Jo zaczął się walić. Ale muzyka nadal w niej żyła, nawet teraz – stłumiona i niemal zagłuszona, ukryta gdzieś głęboko. Wyrywała się na powierzchnię w najmniej spodziewanych momentach, jak teraz – *Papageno, Abendsegen, O mio babbino caro* – po niemiecku, po włosku, po angielsku, w językach, w jakich obecnie krzyczano na siebie na całym kontynencie. Muzyka ze świata marzeń, ze świata pokoju, ze świata, który już nie istniał.

*Abends, will ich schlafen gehn,
Vierzehn Engel um mich stehn:
Zwei zu meinen Häupten,
Zwei zu meinen Füßen,
Zwei zu meiner Rechten,
Zwei zu meiner Linken,
Zweie, die mich decken,*

*Zweie, die mich wecken,
Zweie, die mich weisen,
Zu Himmels-Paradeisen.*

Nawet o tym nie myśląc, cicho zanuciła te słowa Davidowi – jak kołysankę, jakby mógł je słyszeć – a jej myśli błądziły swobodnie. Czas zwolnił, jego upływ znaczyły jedynie narastający głód i narastające zimno, każda chwila trwała bez końca, ponadczasowa, nierealna. Jo przypomniała sobie pierwszy wojenny film, jaki obejrzała, *Zagranicznego korespondenta*, wyświetlany jeszcze przed przystąpieniem Ameryki do wojny. Wciąż widziała tamten blichtr i polor, pociągające akcje szpiegowskie i nieustraszone bohaterki, prawdziwą odwagę w szytym na miarę kostiumie, na wysokich obcasach i z trwałą ondulacją. Przypomniała jej się scena, w której bohaterowie zakradają się do starego budynku, i jej myśli pobiegły ku czynszowej kamienicy, gdzie dorastała i gdzie samotnie przechodziła wszystkie dziecięce choroby. Przypomniał jej się odór tłustych potraw gotowanych w pomieszczeniach bez wentylacji, odgłosy domowych kłótni w trzech różnych językach na dwóch piętrach, dotyk najeżonych drzazgami poręczy, twardego metalu schodów przeciwpożarowych, na których sypiali latem, gdy wydawało się, że żar całego miasta został zamknięty w ich jedynym pokoju. Miała nadzieję, że do tej pory tamto miejsce zostało wypalone do gołego gruntu, ze szczurami i całą resztą. Na myśl o szczurach jej bystre oko dostrzegło cień przeciskający się pod płótnem namiotu. Obróciła głowę i zobaczyła przemykającą tam i z powrotem maleńką mysz... dwie myszy... pięć myszy. Nie było tu dla nich nic do jedzenia. Uciekały jedynie z zimna w zimno i wracały na zewnątrz, z mroku w światło.

Skończyła śpiewać po niemiecku i przeszła na angielski, jak niezliczenie wiele razy wcześniej, gdy występowała dla chorych i rannych dzieci wszelkich narodowości wziętych na cel przez wojnę, dzieci, które przynoszono krwawiące, zmiażdżone i zmalretowane; dla tych, którym mogła pomóc, i dla tych, którym pomoc nie mógł już nikt. Nucąc kojące melodie kołysanek przekraczające granice języków, dawała tym niewinnym istotom jeśli nie uzdrowienie, na jakie zasługiwały, to przynajmniej chwilę wytchnienia, ukojenia i bezpieczeństwa w świecie, który oszalał.

*Gdy się na noc do snu kładę
Tłum aniołów przy mnie staje
Dwa przy łóżka głowach
Dwa przy moich nogach
Dwa przy prawej ręce
Dwa tam gdzie serce
Dwa mnie nakrywają
Dwa nade mną czuwają
Dwóm zaś dbać o to trzeba
By mnie doprowadzić do nieba*

Jo pomyślała o kilkuletniej włoskiej dziewczynce, której amputowano stopę zmiądzoną przez ciężarówkę. Dziecko przyniesiono kilka dni później, by obejrzała ranę, błagano ją o antybiotyki. „Kto przeprowadził operację?”, spytała po angielsku, patrząc na nierówne, prymitywne szwy. Mała wierciła się, próbowała się zsunąć ze stołu. Wiedząc, że sycylijski dialekt jej rodziców zostanie zrozumiany tutaj, na południu półwyspu, powtórzyła pytanie. Wystąpił stary wiejski dentysta, mnąc w drżących rękach filcowy kapelusz. Dziewczynka wybuchnęła płaczem. Jo pozwoliła jej zeskoczyć na podłogę i mała pokuśtykała byle dalej od staruszka, dla równowagi przytrzymując się sprzętów pulchnymi rączkami.

– Już mnie nie lubi – wyjaśnił, potrząsając smutno siwiejącą głową. W popołudniowym słońcu na jego twarzy widać było zjeżoną białą szczecinę. – Odkąd odjąłem jej stopę.

– Czego pan użył jako znieczulenia? – spytała, wiedząc, jak trudno cywilnym lekarzom zdobyć leki.

– *Abbiamo avuto niente* – odparł po prostu.

„Nie mieliśmy nic”. Omal nie zwymiotowała ze współczucia. Pulchna mała, bawiąca się radośnie przewróconym pudełkiem szpatulek, była w pełni przytomna, gdy ucinano jej zmiądzoną nóżkę. Patrząc na uśmiechniętą buzię, Jo widziała rysy dziewczynki wykrzywione w bolesnym skurczu; słuchając jej zachwyconej paplaniny na widok nowej zabawki, słyszała krzyk przerażenia, udręki i oburzenia na niesprawiedliwość wojny. Gdzie podziewały się wtedy anioły tego dziecka?

Od tamtej pory zobojętniała. Wciąż jeszcze przejmowała się trochę – na przykład odbierając poród jakiejś wieśniaczki albo pomagając żołnierzowi pierwszy raz stanąć o kulach – ale z każdym dniem coraz mniej, tak że teraz potrafiła przeczesywać czule wilgotne włosy przystojnego żołnierza i nucić mu zaczarowane słowa o miłości i pokoju, czując nie więcej niż kapitan zabezpieczający posterunek albo Jonesy zliczający racje żywnościowe i dzielący je przez jednocyfrową liczbę, by sprawdzić, na jak długo starczą. Ogołociła swoje serce, chcąc mieć pewność, że nie pozostała żadna szczelina, przez którą mogłyby się zakraść miłość lub inne uczucie; żadna szpara, przez którą mógłby się wdrzeć ból. A jeśli zostały jakieś słabe punkty, bezustannie – czuwając i śpiąc, świadomie i nieświadomie – dokładała wysiłków, by je załatać, zasklepić, żeby za życia pogrzebać swoją duszę. Tylko w ten sposób mogła przetrwać kolejne tygodnie i miesiące, a być może i lata wojny.

Ile czasu minęło, odkąd Dziadek się zastrzelił? Odkąd zginęła Queenie? Kapitan zjawiał się niekiedy, przekazując jej bezużyteczne, nic nieznaczące informacje o ruchach frontu, o liniach zaopatrzenia i łańcuchach dowodzenia; posiłki miały nadejść w przyszłym tygodniu, za dwa miesiące, z tyłów, z punktu dokładnie przed nimi. Zaminował pole za namiotem na wypadek ukradkowego ataku Niemców, wysłał trzech zwiadowców na południe, by sprawdzili, czy zdołają nawiązać ponowny kontakt z dowództwem. Jego nieistotne doniesienia zmieniały się codziennie, plany nigdy się nie powtarzały, zresztą i tak brzmiały bezsensownie dla Jo troszczącej się wyłącznie o los

pacjentów. Wojna skurczyła się do życia tych sześciu ludzi – tylko ono ją obchodziło, tylko ono było realne. Czowała satysfakcję, że major przeżył – nie radość, szczęście czy zachwyty, jakich by doświadczyła jako młoda studentka pielęgniarstwa, gdyby jej ktoś oświadczył, że przeprowadzi udaną operację i uratuje życie oficerowi. Nie, czowała satysfakcję. Satysfakcję, że Jonesy wyzdrowiał, a James siada na łóżku, że Billy’emu odblokowały się drogi oddechowe, że tego ranka ksiądz trochę zjadł, że David spał, był stabilny i gorączka mu nie podskoczyła. To były jej jedyne zmartwienia. I absorbowały ją na tyle, na ile na to pozwalała. Angażowały jedynie jej mózg, ręce i połączenia nerwowe między nimi. Troska o życie tych sześciu ludzi omijała jej serce i duszę. Bo miłość oznaczała potencjalną stratę. Bo miłość równała się stracie. A Jo McMahon straciła wystarczająco dużo.

Podniosła się z miejsca i wróciła za przepierzenie, które odtworzyła za pomocą tych samych trzech prześcieradeł – ciągle je prała, lecz w wyobraźni wciąż widziała rozpryski krwi Dziadka, wyraźny wzór niedostrzegalny dla nikogo oprócz niej, wryty w jej mózgu. Wiedziała, że tam są, i wiedziała, że ich nie ma, i świadomość tego pierwszego w najmniejszym stopniu nie wpływała na świadomość drugiego. We względnej prywatności tej swojej celi zakryła twarz dłońmi, a potem potarła ją mocno, jakby próbując się ocknąć z niekończącego się błędnego koła obowiązków. Spojrzała w pokryte smugami i odpryskami lustro zawieszane krzywo na gwoździu i nie poznała twarzy, którą zobaczyła. Jej cera o odcieniu kości słoniowej (tak cenionym wśród Włochów z południa) stała się szara i bez życia, włosy splątane i skołtunionie, zwinięte w nędzny kok, by ukryć ich bylejąkość. Lekko przesunęła palcami po szyi, obojczyku, po ramionach – każda część ciała wydawała się zbyt długa, zbyt chuda, zbyt koścista. Spuściła wzrok na dłonie. Żyłki na ich grzbietach były opuchnięte i pod dotknięciem wily się niczym żywe stworzenia. Ani jedna część jej ciała nie pozostała piękna, ani jedna nie pozostała nia, ani jedna nie była choćby czysta czy schludna. Spojrzała na leżącą na wilgotnej ziemi wystrzępioną koszulę nocną pokrytą plamami zaschniętej krwi: był to efekt niedoboru pieluszek, jedynej namiastki pod pasek, jaką dziewczęta mogły zdobyć. Nienawidziła tego, że jest zmarznięta, głodna i brzydka, włosy na nogach i pod pachami budziły jej odrazę. Przysięgła sobie, że jeszcze tego wieczoru włoży szlafroczek z kontrabandy – delikatny, jedwabisty i uroczy – choćby po to, by poczuć się znowu kobietą, a nie posługaczką sprzątającą po męskiej orgii śmierci i zniszczenia. Zrobi tak.

Z zewnątrz dobiegł jakiś hałas – nie stłumione szepty plutonu kapitana, lecz rozmowa. Potem wrzask. Nieznajome głosy zbliżające się coraz bardziej. Jo pośpiesznie wyszła z za prześcieradeł akurat w chwili, gdy do namiotu wtargnęło sześciu żołnierzy, komandosów. Wyglądali w jej oczach jak nadludzie, każdy piętnaście centymetrów wyższy od Clarka – który zjawił się w ślad za nimi – z naszywkami w kształcie błękitnych i żółtych rombów wyróżniającymi ich jako elitę. Oto mężczyźni, którzy potrafią stawić czoło wszystkiemu, zwyciężyć w najbardziej beznadziejnej sytuacji, oto nareszcie mężczyźni, którzy ją uratują i, co ważniejsze, ocalą jej pacjentów.

Gdy jednak spojrzała na nich ponownie, uświadomiła sobie, że nie przybyli z odsieczą, nie przybyli, by ją wyrwać z otchłani śmierci i beznadziei. Przeciwnie, oto

byli kolejni mężczyźni domagający się od niej pomocy.

– Lekarz! – krzyknął któryś.

Był pokryty krwią, lecz nie własną. Wraz z kolegą podtrzymywał z dwóch stron to, co pozostało z ich towarzysza broni – miał opaski uciskowe na obu nogach i jednej ręce (czy raczej na ich resztkach), głowę owiniętą byle jak zakrwawionym bandażem. Oczy uciekały mu do góry w delirium wyznaczającym kres bólu. Spojrzała na niego raz i już wiedziała. Niemal niezauważalnie pokręciła głową, patrząc na jego przyjaciół, na tych, którzy pokonali kto wie jakie przeszkody, szukając dla niego pomocy. Dla chłopaka nie było ratunku.

– Nie mamy lekarza. A nawet gdyby... – Jej głos ścichł.

– Cholera, panienko, dotarliśmy tak daleko... Na pewno coś da się zrobić.

Podwijali rękawy, oferując krew, jak gdyby ten dzieciak potrzebował więcej krwi – był od niej cały czerwony. Nie mogli, nie chcieli uwierzyć, że to koniec, że jego ciało przestaje funkcjonować, że nikt – nawet komandos – nie może stracić tak wielu części siebie i przeżyć. Gdy ranny zaczął się miotać w drgawkach, ponownie zaczęli wołać o pomoc, o doktora, o kogoś, kto nareperuje to, co się zepsuło, i przywróci ich towarzysza do życia. I wtedy kobieta – dobrze wykształcona kobieta, umiejąca załatać niemal wszystko, lecz świadoma, że tego nie zdoła naprawić, że tego nikt nie zdoła zreperować – uczyniła to, czego nie mógł dokonać żaden mężczyzna. Wspięła się na jedyny pozostały stół operacyjny, zrzuciła trzewik i podwinawszy pod siebie prawą nogę, dała znak, by ułożyli rannego w jej ramionach. Początkowo sprzeciwiali się z oczami pełnymi łez, którym żaden komandos nie pozwoliłby popłynąć, nie godząc się, by śmierć pokonała ich po tylu trudach. Ale ciałem ich towarzysza wciąż targały drgawki, dlatego w końcu ustąpili. Oszałałe oczy chłopaka skupiły się na czymś ostatni raz, skupiły się na ostatnim, co spodziewałyby się znaleźć tak daleko od domu, na tym, czego nie miał nadziei zobaczyć nigdy więcej: na ciemnych, wilgotnych oczach amerykańskiej kobiety spoglądających na niego z góry jak oczy matki, jak oczy kochanki, jak oczy anioła. Widział, że jest realna, że nie jest wytworem jego bólu, czuł jej rzeczywiste, podtrzymujące go ramiona i po chwili została tylko ona. Wszystko inne rozmyło się, zamgliło. Wojna, namiot, nawet kumple, którzy byli mu bliżsi niż rodzina, rozplynęli się: została tylko ona. Spoglądająca na niego jak w niebie. Nagle nie bał się już i nie cierpiał, i nie martwił się nawet tym, że umiera (wiedział, teraz już wiedział, że umiera), bo ona była przy nim i była realna, i tuliła go, więc teraz wszystko będzie dobrze, nawet jeśli to koniec.

– Już dobrze, dziecino – mówiła, delikatnie odgarniając pasmo włosów opadające mu na oczy. – Już, kochanie.

Były to słowa, jakich używała jego matka, i znowu poczuł się bezpieczny.

– Już, skarbie – szepnęła, przytulając go mocniej do swojego miękkiego, ciepłego ciała, i stała się jego kochanką, więc choć uchodziło z niego życie, jego ciało zareagowało; pożądał jej i darzył ją uczuciem, wyzdrowieje i będzie się z nią namiętnie kochał, i już zawsze będzie szczęśliwy, bo to nie była byle tania paryska dziwka, którą przeleciał w Paryżu dla zabicia czasu, lecz kobieta jego marzeń, prawdziwa kobieta, i teraz wszystko będzie dobrze. Zamknął oczy i zmęczony oparł się o nią, kołysząc się lekko, ledwie zauważalnie, na twardym stole, którego dotyku nie czuł, w zimnym

namiocie, którego już nie widział. Ruch jej ciała odprężył go i podniecał równocześnie, czuł się bezpieczny, wojna się skończyła, wszyscy razem wracali do domu. „Kochanie, kochanie, kochanie”, szepnęła, muskając wargami jego zakrwawione ucho, a jego ciało zalała fala czystej rozkoszy, obscenicznej przyjemności, podniecenia, energii i siły. Szybował z hurysą w muzułmańskim raju, znowu miał osiemnaście lat, całował się z Katie Sue, która ściskając w drobnej dłoni jego pierścień uczelniany, płakała i powtarzała, że będzie na niego czekać (ach, ta radość) i że za niego wyjdzie, gdy wróci do kraju. I nagle, bez bólu, był w domu.

W namiocie zapadła cisza. To byli mężczyźni. Nie mogli płakać, nie mogli przekroczyć granicy, jak zrobiła to Jo – uczynić tego pozbawionego znaczenia gestu, który jest wszystkim, którego żaden mężczyzna nie rozumie, lecz którego każdy mężczyzna pragnie i za który nienawidzi kobiet, bo pragnie go i potrzebuje, bo sam nie potrafi nim obdarzyć i nie potrafi bez niego żyć. Pacjenci gapili się z rozchylonymi ustami, pożądając pieśczoć, jakimi obsypywała tego obcego, a którymi ich nigdy nie miała obdarować. Komandosi, twardzi mężczyźni ze stali i żelaza, trwali bezradni wokół kobiety, która dała ich poległemu towarzyszowi tylko to, co miała, tylko to, czego potrzebował. Patrzyli na nią tak, jak przed chwilą martwy chłopak – jak na wcieloną łaskę, na czystą miłość, a przede wszystkim jak na bezpieczną przystań w niewyobrażalnie przerażającym świecie. Patrzyli na nią i byli zdumieni jej łagodnością, jej dobrocią, jej ciepłem.

Ale Jo nie miała żadnej z tych cech, już nie. Chłopak skonał, przedstawienie dobiegło końca. Straciła go ze zdrętwiałych kolan, przód kombinezonu miała przemoczony i ciepły od jego krwi. Wyślizgnęła się spod przygniatającego ją ciężaru niczym prostytutka spod klienta po stosunku. Po czym z szorstkością, na której widok wzdrygnęli się nawet komandosi, obojętnie upuściła martwy przedmiot na stół, aż głowa żołnierza z budzącym mdłości łomotem uderzyła o zimny, twardy metal.

KAY ELLIOTT

ZIMA 1945, OBÓZ INTERNOWANIA SANTO TOMAS, MANILA, FILIPINY

Kay trzymała w dłoniach wiotki przedmiot. Nie poruszała się. Nie mogła. Siedziała jedynie zapatrzona, pełna niedowierzania, zdezorientowana, zdumiona. Co im powiedziano w kraju? Jak sobie wyobrażali sytuację tutaj? Pomyślała o ścinaniu głów, wbijaniu na pal, rozstrzeliwaniach i topieniu, o małych dzieciach i starych kobietach, które z desperacji oddawały się prostytutce, gwałconych, lecz nieotrzymujących zapłaty, w zamian za swój ból i cierpienie niezyskujących nic prócz ciosu bagnetem albo szybkiego kopniaka posyłającego je w ciemny kąt, gdzie leżały dręczone wyrzutami sumienia i wstydem.

Wróciła myślami do Malinty, przedsionka piekieł, gdzie zostali pochłonięci, a następnie wypluci w jeszcze gorsze miejsce. Pierwszy raz od dawna wróciła pamięcią do czasów sprzed Malinty: do pielęgniarek przepływających Zatokę Manilską pod osłoną nocy, do mężczyzn odwożących je łódkami ku Corregidorowi i fałszywej nadziei, jaką oferował, do płonących budynków i składów amunicji oświetlających wszystko nienaturalnie jaskrawym, czerwonym blaskiem. Znowu ujrzała wokół siebie niewielkie łódki – wojskowe nadmuchiwane tratwy ratunkowe i kutry rybackie, śmieci i prowizoryczne tratwy, ludzi chwytających się beczek, skrzynek związanych liną, niemających się czego uchwycić i próbujących dotrzeć na wyspę wpław. Tracących siły w połowie tej drogi. Tonących. Wołających o pomoc. Chwytających się wszystkiego, co unosiło się na powierzchni: czepiających się drewna, metalu, skrobiących paznokciami o burty, wywracających, obciążających nad miarę, zatapiających każdy pływający przedmiot swoim ciężarem. „Proszę nie patrzeć, panienko”, poradził kierujący ich łódką sierżant, a ona usłuchała i zamknęła oczy. Czuła, że wiosłowanie ustało, czuła, jak łódka się zakołysała, gdy mężczyzna wstał, słyszała świst powietrza, kiedy zamachnął się wiosłem nad ich głowami i uderzył mocno w coś zanurzonego w wodzie, co jęknęło cicho, wypuściło powietrze jakby ze znużeniem i umilkło. Naraz łódka wydała się lżejsza, podskakiwała na krótkich falach, a sierżant zaczął wiosłować znowu, szybko wypłynął na głębie i oznajmił, że Kay może znowu patrzeć – już w porządku, a gdy dotrą do Corregidoru, będą bezpieczne.

Dotknęła nowego materiału kościstymi jak u szkieletu palcami. „Lastek”, widniało na metce. *Widocznie już nie stosują wełny*. Był gładszy niż wełna, znacznie bardziej śliski i rozciągliwy, nie tak szorstki, zapewne nie drapie, nie ociera pod pachami i w kroczu. Zastanawiała się, czy równie szybko ocieka z wody. Pod tym względem wełna była niezrównana.

– Co tam masz, Elliott?

– Hmm?

Umysł Kay stał się powolny. Powolny i głupi. Spojrzała znów na metkę, ale litery

zaczęły pływać. „Latesk. Lt. Esk. Lkatse”.

– Widziałam, że przyszła paczka, po takim długim czasie. Wierzyć się nie chce. Z pewnością japońcy przepuścili ją tylko na pokaz. Co dostałaś z domu? Co ci przysłali?

Kay pomyślała o wszystkich przydatnych rzeczach, o wszystkich przedmiotach, jakie mogłaby jej przysłać rodzina – jakie z wielkim prawdopodobieństwem przesyłała przez te wszystkie lata jedynie po to, by zostały skonfiskowane przez Japończyków na drugim końcu świata. O puszkach tuńczyka. Słoikach masła orzechowego. Sucharach. Mleku zagęszczonym. Kawie. Czekoladzie. Żołądek skurczył się jej boleśnie. Zamknęła oczy, zacisnęła zęby, starając się opanować. Minęło długie pół minuty, zanim je otworzyła ponownie.

– Kostium kąpielowy. Przysłali mi kostium kąpielowy.

– Co?

Przestała gładzić jedwabisty materiał. *Z pewnością myślą, że wciąż mamy tu raj, że to dla nas jedne długie wakacje, że dostajemy ich paczki i listy, nawet jeśli sami nigdy nie otrzymują naszych. Widocznie powiedziano im coś, co to tłumaczy, widocznie coś zmyślono. Moi bliscy mnie kochają. Nigdy nie przysłaliby mi tej bezużytecznej, głupiej szmatki, kiedy ja tu umieram, a oni mają tak wiele – masło, śmietanę i jajka z farmy, o Boże, nigdy by o mnie nie zapomnieli. Nie zapomnieli o mnie*, krzyczała i krzyczała, aż rozboleła ją głowa. A przynajmniej tak jej się wydawało. W rzeczywistości mruknęła tylko:

– Mhm.

Przyglądała się pielęgniarce obok starannie malującej usta resztką czerwonej szminki. Obserwowała ją z zaciekawieniem. Jak zdołała ocalić ten podejrzany drobiazg tak długo? Odkąd Kay pamiętała, Kelly – a może Kathy? Kitty? imiona tańczyły w jej pamięci, wymiennie, nie miała pojęcia, kim jest ta kobieta – malowała wargi nawet w tym piekle. Zastanawiała się, jak tamta zdołała się oprzeć oleistej konsystencji kosmetyku i go po prostu nie zjadła. Ciągłe się malowała – czerwoną, tłustą szminką wyglądającą teraz krzykliwie na wychudłej twarzy. Musiała mieć ich ze sobą z dziesięć, setkę, kiedy ją wzięto do niewoli. Po co je zabrała? Kogo obchodziło, jak wygląda? Ją samą? Czy zdawała sobie sprawę, że wciąż powtarza ten rytuał, zawsze w taki sam sposób, zawsze dokładnie tak samo? Przesuwała nieśpiesznie wzdłuż prawej połowy górnej wargi, idealnie obrysowując pochyłą krzywiznę. Potem malowała równie starannie drugą połówkę, korygując ślad paznokciem małego palca, jeśli był zbyt szeroki. Następnie wolno, z namysłem, dolną wargę, jednym ruchem z lewa na prawo, rozciągając ją na bok – wargę odzyskiwała kształt, gdy tylko nacisk ustawał – po czym chowała szminkę i zaciskała wargi. Cmokała kilka razy w jałowych pocałunkach, aż usta wyglądały idealnie, aż całe zostały pokryte kolorem, aż stały się piękne i tak upiorne, jak to tylko możliwe. Kay miała ochotę uderzyć ją w tę głupią, pustą twarz, nierealną i cudaczną, wykrzywioną w uśmiechu będącym jedynie kolejną maską śmierci.

– Kay?

Spojrzała na swoją towarzyszkę i przez moment widziała ją znowu. Na moment stała się na powrót sobą.

– Kay, skarbie? Zdawało mi się, że odpłynęłaś.

Pomyślała, że to prawda, ale nie miała sił odpowiedzieć.

– Czas na naszą zmianę, kochanie. Trzeba się zbierać do roboty.

W Kay obudził się sprzeciw. Buntowała się każda komórka jej ciała, buntowała się kobieta, jaką się stała obecnie, kobieta, jaką była dawniej. Mała dziewczynka z Mount Carmel, która obudziwszy się w piękny, zaskakująco upalny wrześnieowy ranek, nasłuchiwała ptaków za oknem, próbując zdecydować, czy się wybrać na ryby, powłóczyć się czy wypróbować nowy przepis na pączki z kwaśną śmietaną, jedynie po to, by sobie uświadomić, że musi iść do szkoły, że cały dzień będzie tkwiła uwięziona w klasie. Nie chciała iść. Nie pójdzie, nie i już. Była wściekła wtedy i czuła wściekłość teraz. Nie ma siły się ruszać, ledwie może stać. Japończycy przenieśli pielęgniarki do innego budynku, naprzeciw szpitala. Tylko kilka kroków dalej, ale ich pokonanie zdawało się niemożliwością – było niemożliwością: deszcz zalał długi rów między budynkami, więc musiały brodzić w brudnej wodzie. Brak jej sił, absolutnie nie da rady, nie potrafi. Chciała się zwinąć w kłębek tam, gdzie siedziała, i zasnąć z powrotem. Uda, że jest chora, uzyska od matki zgodę na opuszczenie dzisiaj lekcji w szkole i mimo wszystko usmaży sobie pączki.

Dziwne wrażenie ogarnęło ją na jakąś minutę, po czym naraz nie była już małą dziewczynką, tylko znajdowała się w Nowym Jorku, w szpitalu. Jak tam trafiła? Wszystko zdawało się wyraźniejsze, mgła się podniosła. Jaskrawe światła na suficie, lekka woń wybielacza w powietrzu, jej skórzane buty zostawiające ciemne ślady na wyfroterowanych woskowych podłogach. Pojawiła się Jo. Weszła do pokoju socjalnego, zamknęła za sobą drzwi, a potem stanęła w milczeniu przed Kay ze wzrokiem wbitym w ziemię. Potrząsała głową – nieznacznym ruchem tam i z powrotem, tam i z powrotem – i mamrotała coś, lecz z jej ust nie wydobywał się żaden dźwięk. Kiedy Kay wstała zza stołu i podeszła, Jo wyciągnęła rękę, ale nie po to, by dotknąć przyjaciółki. Odrzącała ją, odsuwała od siebie.

– Jo. Jo, kochanie.

Ale tamta ściągnęła brwi, jakby nie było to jej imię, jakby Kay je przekręciła. Energiczniej poruszyła głową, jakby wzburzona czymś, co widziała, co odtwarzała wciąż w pamięci. Zbyła przyjaciółkę na w pół przytomnym gestem. Kay była zbędna.

– Jo, co się stało?

Minęło zaledwie pół godziny... nie, mniej. Razem przetransportowały na trzecie piętro pacjenta z kardiologii, potem Kay, która czekała na operację, skoczyła na szybką kawę, a Jo oznajmiła, że oprowadzi po oddziałach nową pielęgniarkę, pokaże co i jak, śmiała się. Kiedy to było? Kwadrans temu? Niewiele więcej, lecz gdy Kay teraz na nią patrzyła, przyjaciółka zdawała się inną kobietą, sprawiała wrażenie całkowicie nieobecnej duchem. Dotknęła lekko jej ręki i Jo się wzdrygnęła, wzdrygnęła się, jakby nie zauważyła stojącej przed sobą Kay, jakby widziała ją pierwszy raz w życiu. Gapiała się nachmurzona prosto w oczy przyjaciółki, patrzyła przez nią na wylot, a potem nagle ją poznała i jej twarz skrzywiła się w udręce.

– Och, Kay – szepnęła.

Próbowała usiąść na drewnianej ławce, ale poderwała się – za bardzo ją bolało – i wtedy Kay zrozumiała, objęła ją i w kółko powtarzała: „Boże, nie, Boże, nie”, aż gniew

i ból tak ją oślepiły, że ich cierpienie zlało się w jedno, że to dotknęło ich obu.

– Mój Boże, Jo, jak?

Usta przyjaciółki poruszały się bezgłośnie, nie wydobyło się z nich ani jedno słowo, wciąż potrząsała głową.

– Zamierzam o tym donieść – oświadczyła Kay ochryple, wciąż obejmując Jo, czując jej puls w swoich skroniach, dudniący szmer w uszach. Ale jeszcze zanim Jo wydyszała: „Nie”, Kay zrozumiała, że tego nie zrobią, że się nie odważą.

Obie ledwie przetrwały Wielki Kryzys, nie potrafiły rzucić pracy w kraju z dziesięciomilionowym bezrobociem. Głód i niedostatek z okresu dzieciństwa nadal je paraliżowały. Sądziły, że razem będą bezpieczne, że zdołają się nawzajem ochronić, lecz na próżno. Dlatego widząc, jak przyjaciółka zaczyna się zamykać, wycofywać z życia, Kay przysięgła:

– Okej, Jo, dość tego. Znajdziemy jakiś sposób. Przysięgam, że to się więcej nie powtórzy.

I wreszcie nadarzył się dobry moment. Poród. Nie Jo (dzięki Bogu, nie Jo), ale charytatywny, za darmo. Rodziła tamta nieszczęsna kobieta, która przyszła w deszczu pewnego wieczoru – omal nie wykrwawiła się na śmierć, lecz ją odratowali i w końcu urodziła chłopca, zdrowego, nie licząc zniekształconej stopy, dość mocno zniekształconej, prawdę mówiąc. To był ciężki przypadek. Wezwano kilku specjalistów, zamierzali go przebadać w akademii medycznej. Tego właśnie potrzebowały. Kay wciąż miała przed oczami Jo ściskającą ją za rękę, gdy wchodziły do jego gabinetu. Jej samej trzęsły się kolana, ale zdecydowały, że to zrobią, przysięgła, że to zrobią, razem.

– Nigdy więcej nie będzie pan napastował żadnej pielęgniarki w tym szpitalu... – zaczęła bez wstępów.

– Co? Jak się pani nazywa? Elliott? Zwalniam panią, nigdy więcej nie znajdzie pani pracy w tym...

– ...w tym mieście. Tak, wiem. Ale... – zdobyła się na ledwie dostrzegalny uśmiech – ...nie sądzę, by pan się na to zdecydował, doktorze.

Wciąż miała w uszach jego oburzony wrzask.

– Jak pani śmie?! Obie jesteście zwolnione, Elliott i McMahon. – Nabazgrał na recepcie ich nazwiska. – Awanturnice. Postaram się, żebyście trafiły obie na czarną listę...

– Jeśli pan to zrobi... – odezwała się Jo, walcząc, by jej głos brzmiał równo i mocno, ściskając dłoń Kay – ...jeśli wpisze pan na czarną listę Kay albo mnie, albo nas obie, jeśli się dowiemy, że choćby otarł się pan o jakąś pielęgniarkę, idąc korytarzem, rozpowiemy o pańskim dziecku.

– O moim dziecku? Zwariowała pani?

Maska spadła, nie był już mężczyzną zza biurka, zajęтым pracą, lekceważącym je, zirytowanym, że mu przeszkadzają; przeobraził się w podlejszą istotę, pełną nienawiści i urazy, i palącego, żrącego bólu.

– Pańskim, tym, którego poród przyjął pan na oddziale położniczym dzisiaj wieczorem. Urodzonym przez żebraczkę. Tamtego wieczoru dziwiłyśmy się, czemu pan nie chciał, byśmy jej pomogły, czemu chciał się jej pan pozbyć. Ona pana знаła. Widziałam to w jej oczach.

– Nikt wam nie uwierzy, nic na mnie nie macie... – Groźnie podniósł się z krzesła.

– Widziałyśmy to w jej oczach... a każdy może to dojrzeć w stopie pańskiego syna.

Kay przypomniała sobie, że przestał się odgrażać, przestał im grozić. Słuchał oparty o biurko, pół siedząc, pół stojąc, z górną wargą drgającą nerwowo.

– Zabawnie się składa z tymi zniekształceniami stóp – ciągnęła, nabierając odwagi.

– Są w tak wielkim stopniu dziedziczne. I takie rzadkie. Gdyby tamta kobieta chciała dowieść, że jest pan ojcem albo nawet pana oskarżyć...

– Nie ośmieli się...

– Nie? Nie wyobrażam sobie, żeby traktował ją pan lepiej niż nas. Ale nie, nie sądzę, by pana oskarżyła. Myślę, że panu wybaczyła...

Zdawało się, że na tę wiadomość się odprężył, usiadł na powrót i wolno wypuścił powietrze. Odzyskiwał kontrolę.

– Ale my nie zapomnimy. My nie wybaczymy. Powiedziałyśmy każdej pielęgniarce w szpitalu, czyje to dziecko. Każda ma teraz nad panem władzę. Wystarczy, jeśli któraś pójdzie do zarządu... albo do pańskiej żony. Możliwe, że nam nie uwierzą, jeśli zjawimy się bez żadnych dowodów. Ale dziecko ze zniekształconą stopą urodzone przez prostytutkę, z której usług pan korzystał... nie sądzę, by pomogło to panu w karierze, doktorze.

Siedział bez słowa, wpatrując się w nie zwężonymi oczami.

– Wynoście się z mojego gabinetu... – zaczął wreszcie, lecz Kay widziała, że prześladowca został pokonany, że wyraźnie stracił pewność siebie.

Widziała to w jego twarzy, w opadniętych ramionach, w spojrzeniu skaczącym nerwowo z przedmiotu na przedmiot na zagraconym biurku, w tym, że nie podnosił wzroku, nie patrzył na nią.

Pamiętała, że w tamtym momencie kolana przestały jej drżeć. Pamiętała, że wyprostowała się na całą wysokość obok Jo. Od władzy, jaką nad nim miała, poczuła, że głowa jej się rozpalila i zaraz wybuchnie. Poczuła niesłychaną lekkość teraz, gdy wreszcie się od niego uwolniły. Jo z czasem dojdzie do siebie – już było z nią coraz lepiej. Połączyły siły i w końcu się obroniły. Gdy odwróciły się do wyjścia, stopy Kay ledwie dotykały ziemi. Zupełnie nie czuła podłogi.

– To szantaż! – zawołała za nimi postać zza biurka, atakując na oślep, plując gniewem.

– Nie. – Kay objęła Jo ramieniem w talii, szukając oparcia, podtrzymując je obie. Odwróciła się do niego szybko, z płonącym wzrokiem. – To nie szantaż. To nasze zwycięstwo. Nigdy więcej nie wolno panu nas tknąć.

Wciąż miała w uszach huk zatraskiwanych drzwi.

– Kay, skarbie.

Pielęgniarka o czerwonych ustach potrząsała nią delikatnie, ale uparcie. Towarzyszyła jej każdego dnia od czasów Clark Field, była jej najbliższą przyjaciółką i kimś obcym, i teraz Kay pomyślała, że może mieć na imię Frances. Przez „e”.

– No chodź, dziecino.

Spróbowała wstać i upadła, objijając się boleśnie. Frances (a może Emily) pomogła jej się podnieść na nogi, poprowadziła do drzwi, a potem na zewnątrz, podała jej uniform obwiązany starym sznurkiem.

– Przebierzemy się na oddziale. Najpierw musimy pokonać ten koszmarny rów.

Ubrane w najkrótsze szorty, weszły do stojącej wody, niosąc na głowach czyste stroje, dla zachowania równowagi przytrzymując się liny uwiązanej do budynków po obu stronach. „Żaden szorty, żaden spodnie”, oświadczyli kobietom Japończycy. „Tylko spódnica. Tylko sukienka”. Kay miała przed oczami oburzoną twarz oficera, znowu słyszała jego wrzaski jak podczas ciągnącej się w nieskończoność lekcji ukłonów, jakimi je zadreżczano. Osiemdziesiąt procent więźniów konało na beri-beri, resztę wykańczały dyzenteria i wyczerpanie, a one musiały wysłuchiwać szaleńca paplającego bez końca o rozmaitych odmianach szacunku, jakie kobiety są winne jemu, wszystkim Japończykom, wszystkim mężczyznom.

– Pieprz się – oświadczyła widmu i jej towarzyszka, stojąca po pas w wodzie, uśmiechnęła się bez oglądania za siebie, świadoma, że Kay walczy z wyobrażonymi demonami. Pokrzepiła ją ta demonstracja siły ducha przyjaciółki, ale cieszyła się, że żaden japoński oficer tego nie słyszy.

Kay nie pamiętała, jak zmieniła ubranie, ale oto znajdowała się na swoim oddziale sucha i w uniformie, z trzęsącymi się dłońmi. Próbowowała napełnić czajnik, chlapiąc wodą na wszystkie strony. Dodała wysuszonych liści guajawy, pomagających łagodzić objawy bakteryjnej dyzenterii, lecz połowę herbaty wylała na siebie, na pacjentów. Resztę leku rozdzieliła wśród chorych cierpiących na czerwonkę pełzakową, w każdym razie zdawało jej się, że to odmiana pełzakowa. Tak napisano na kartach, kiedy jeszcze była w stanie je odczytać. Kto mógł to teraz wiedzieć, do diabła? Był środek dnia, lecz gdy pięć minut później spojrzała na stary zegar klasowy, wskazywał szóstą po południu i przez okna wpadały skośne, żółte promienie słońca.

Jedno z niemowląt zaczęło płakać, potem zaśmiało się, a w końcu przemówiło ochryłym głosem starca. Nie, to był żandarm z Kempeitai, japońskiego Gestapo, gestem coś jej nakazywał, a może zakazywał – nie miała pojęcia. Potem widocznie upadła, bo patrzyła z podłogi, spod jednego z hamaków, z którego musiała się stoczyć. Zobaczyła zbliżającego się szczura i pomyślała, że lepiej będzie wstać. Kiedy w końcu się podniosła, była noc i ten sam lekarz, którego zastała, przychodząc na swoją zmianę, siedział zgarbiony przy pracy. Sądziła, że umarł, ale żył, po prostu pisał, nie wiedziała co. Nie, po dokładniejszym przyjrzeniu się mimo wszystko okazał się martwy. Znowu zobaczyła szczura, więc złapała miotłę, chcąc go przepędzić, a wtedy potruczał bez przekonania do sąsiedniego pomieszczenia. Poszła za nim, lecz zatrzymała się na progu.

Salę wypełniały zwłoki. O tym właśnie mówił ten z Kempeitai: „Żadnych więcej indywidualnych pochówków”. Zresztą więźniowie byli za słabi, by kopać groby lub dźwigać ciała, dlatego zmarli siłą rzeczy trafiali w to miejsce. Schludnie ułożeni na stołach, rzućni bezładnie na podłogę – i wszędzie wśród nich roiły się szczury. Niepokoiły Kay bardziej niż stosy zwłok, bardziej niż spiętrzone niedbale przed nią szczątki jej towarzyszy. Nie mogła znieść myśli, że gryzonie nie są już głodne, że obżerają się na niekończącej się uczcie. Zdychały z przejedzenia, ich przekłete brzuchy dosłownie

pękały, lecz orgii nie było końca, zmarłych wciąż przybywało.

Kiedy wycofywała się z sali, zawadziła o jedno z wiszących łóżek i strąciła szczura, który spadł ciężko na podłogę. Spojrzała na pacjenta, palce u rąk miał pogryzione. Przebiegła wzrokiem pozostałe łóżka – tu i tam jeszcze jeden ogon znikał pod prześcieradłem, wąsaty pysk wysuwał się spod wychudzonego ramienia. Szczurom nie wystarczali już zmarli, zaczęły się dobierać do żywych, do półżywych – zbyt osłabionych, by się bronić – do pacjentów spoglądających niewidzącym wzrokiem na pożerające ich za życia gryzonie.

Oni jeszcze nie umarli, pomyślała i wezbrała w niej mieszanka uczucia grozy, szoku i dodającego energii szaleństwa.

– Jeszcze nie umarli – powtórzyła na głos.

Potrząsnęła następnymi noszami, wypadł tłusty gryzoń i czepiając się małymi pazurkami u tylnych nóg, wdrapał się z powrotem na brzeg hamaka. Szarpała raz po raz, aż spadł. Wzdrygnęła się z obrzydzenia i odeszła kilka kroków.

– Jeszcze nie – powtórzyła znowu, przechodząc do kolejnego łóżka, na którym jakieś dziecko z płaczem próbowało strząsnąć mysz gryzącą jego palce.

– Jeszcze nie! – wrzasnęła.

Nie była już sobą, nie była już pielęgniarzką, lecz wariatką miotającą się od pacjenta do pacjenta, potrząsającą nimi, bijącą ich, walącą ich miotłą, uderzającą otwartymi dłońmi.

– Jeszcze nie umarli... jeszcze nie!

Ktoś próbował ją powstrzymać, lecz brakło mu sił. Szaleństwo dodawało jej mocy i energii, zmieniła się w postrach gryzoni, bezsilnego anioła śmierci wywijającego – zamiast ognistym mieczem – starą palmową miotłą. Myszy i szczury miotały się pod nogami, deptała ich mięsiste ogony, a one piszczały z oburzeniem, zmierzając ocieźale ku sali zmarłych i łatwiejszej zdobyczy. Mijając biurko doktora, wciąż ściskającego w lewej dłoni zatemperowany ołówek, zobaczyła monstrualnego szczura, rozdętego nad miarę, spokojnie obgryzającego serdeczny palec nieboszczyka. Dotarł do ślubnej obrączki. Szybka jak błyskawica, Kay chwyciła ołówek i wbiła w sam środek gigantycznego, spęczniałego stwora. Piszczął, rzucał się i wił, atakował ją i gryzł, ale nie ustąpiła. Ściskała ołówek wbity głęboko w tekowe drewno blatu, krew tryskała na wszystkie strony, a ona ze śmiechem mówiła do lekarza: „Proszę, Jim, upolowałam go dla ciebie... proszę, Jim, to już coś”, a kiedy się ocknęła wiele godzin później, ołówek wciąż trzymała w zaciśniętej dłoni.

Zdawało się, że jest popołudnie – którego dnia, tego Kay nie wiedziała. Jej zegarek zdawał się wskazywać trzecią, chyba że był to ranek, bo wtedy mogła to być na przykład dziewiąta; a może chodziło o zupełnie inną porę – zbyt trudno było to określić. Nie było pobudki, bo Kay nie słyszała muzyki przez głośnik. Zastanawiała się, czy uznano ją za zmarłą, czy pozostał ktoś żywy, kto mógłby ją uznać za zmarłą. Pomyślała, żeby usiąść, ale wydawało się to zbyt skomplikowane. Znowu leżała na swoim łóżku, nie była już w szpitalu. Jak się tu dostała – przez zalany wodą dół, w górę po schodach – nie wiedziała,

nie potrafiła sobie przypomnieć. Zresztą i tak nie miało to znaczenia. Czy warto byłoby się poczołgać na dół (musiałaby się czołgać, nie było innego sposobu) po ćwierć kubka ryżowego kleiku niemającego żadnego smaku? Po jedyną uncję obrzydliwego mięsa, którą być może otrzyma? I co by to było za mięso? Dzień wcześniej Japończycy rozkazali więźniom zabić ostatnie *carabao*, zagłodzone, niedomagające stworzenia. Nie mając broni, internowani musieli uwiązać zwierzęta i walić je po głowach, aż skonały. Zapamiętała starszego profesora, jak uderzając raz po raz kamieniem milczące stworzenie, płakał i błagał – zarówno je, jak i Boga – o przebaczenie. Ale za dzień lub dwa resztki mięsa *carabao* także się skończą i nie zostanie już nic. Tak, lepiej będzie wstać. Lepiej się zmusić do wstania. Inaczej umrze tu, gdzie leży, na swoim łóżku. Myślała całą minutę – a może godzinę – i ostatecznie zdecydowała, że wstanie. Za chwilę. Za momencik...

Kay wycinała bożonarodzeniowe ozdoby: papierowe anioły trzymające się za ręce. Przygotowała ich całe rzędy i teraz spinała razem, zamierzając stworzyć jedną olbrzymią girlandę do ozdobienia szpitalnych drzwi. Zastanawiała się, co podarować Aaronowi na pierwsze wspólne Boże Narodzenie – jej myśli pobiegły frywolnie ku bieliźnie, rozważała pewne widziane na targu nieprzyzwoite kimono, niezakrywające praktycznie niczego. Nie, nie może tego zrobić, to chrześcijańskie święta. Lepiej kupić mu coś praktycznego, na przykład rękawiczki. I krawat. I bieliznę, na sam koniec, zapakowaną w drukowany papier ryżowy przewiązany czerwoną jedwabną wstążką. Wyobraziła sobie wyraz jego twarzy, gdy otworzy pakunek. Złożyła kolejny kawałek papieru w harmonijkę, tam i z powrotem, tam i z powrotem, przesunęła po miejscach zgięcia krótko obciętym paznokciem kciuka, by linie stały się wyraźne. Nie musiała już rysować konturów, zaczęła wycinać głowę, skrzydła, skraj anielskiej szaty stylowo rozkloszowanej z obu stron. Znowu pomyślała o Aaronie. O tej porze z pewnością jest na pasie startowym w Clark Field albo w przestworzach. Przybyli na Luzon zaledwie kilka dni wcześniej: on – by przeprowadzić inspekcję samolotów, ona – żeby kontynuować pracę w szpitalu. I sypiać z Aaronem. Po to przyjechała. Po to przyszła na świat. Podniecała ją sama myśl o nim, nie mogła się skupić na pracy. Była świeżo po ślubie i zakochana, więc o Aaronie przypominało jej wszystko – zapach morza, odurzający aromat kwiatów, wiatr, który wpadł przez otwarte okna i zmierzwił jej włosy pod pielęgniarzkim czepkiem, zdmuchnął puste kartki ze stołu, tak że długie szeregi obejmujących się postaci pofrunęły i zatrzepotały w pacyficznej bryzie, trzymając się za ręce, czepiając się siebie.

Zdażyła przywyknąć do samolotów ryczących nad głową. Tego dnia Aaron miał przeprowadzić lot testowy sprawiającą kłopoty maszyną. Lubił swoją pracę. Stanowiła rodzaj gry, w której uczestniczył, by wieczorem wrócić i rozbierać Kay, zanim ona zdaży postawić kolację na stole. Oblała się rumieńcem na wspomnienie tego, jak poprzedniej nocy siedział przy stole goły niczym święty turecki. Pomruk silników zlewał się z niemilknącymi nawoływaniem owadów, ptaków i innych parzących się stworzeń, a ona stanowiła część tego świata, przepelniona nim po brzegi. Zdawało się jej, że jest w ciąży, ale było zbyt wcześnie, by to stwierdzić. Na samą myśl jej ciało zaczęło pulsować.

Pragnęła tego szaleńczo, pragnęła Aarona. Będzie z nim sypiać, aż urodzi mu dwunastu synów. Od licznych ciąż stanie się gruba i zwiotczała – nie dbała o to, jak długo on będzie do niej wracał po więcej, wciąż więcej. Za kilka tygodni zyska pewnośc, a kiedy mu powie o dziecku, jego radość z tego, że ją zdobył, stanie się pełna i będzie się z nią kochał, lecz nie szorstko – delikatnie, ostrożnie, nie umiając powstrzymać się całkowicie, niemniej z czułością jeszcze większą niż ta, jaką okazywał jej teraz, z nową odmianą namiętności, szacunkiem, nabożną czcią. Za trzy tygodnie jest Boże Narodzenie. Do tego czasu będzie wiedziała. Tak, powie mu w Boże Narodzenie.

Sandy, najlepsza przyjaciółka Kay, weszła na oddział z tacą strzykawek, które naostrzyła (igły tępiły się od ciągłego użycia i żołnierze się skarżyli). Jej czerwone wargi odcinały się od bladej, piegowatej twarzy, lecz usta nie uśmiechały się jak zwykle, były ściągnięte w ciasny, czerwony supeł.

– Co jest, Sand? Wyglądasz, jakby ci się zbierało na płacz – zaśmiała się Kay, wciąż rozpromieniona wewnątrznie swoją tajemnicą.

Sandy była jej współniczką w przestępstwie: pomagała ukryć małżeństwo z Aaronem przed przełożoną. Kay wiedziała, że gdy w końcu zostanie zdemaskowana, będzie musiała zrezygnować ze służby (żadnych zamężnych pielęgniarek w męskiej armii), wykombinowały jednak, że wspólnymi siłami zdołają utrzymać sekret dość długo.

Nie otrzymawszy odpowiedzi na pytanie, na ułamek sekundy zstąpiła na ziemię, by nawiązać kontakt ze zwykłymi śmiertelnikami zamieszkującymi jej rajski ogród.

– Sandy? O co chodzi?

Czerwone usta zadrżały na moment, białe zęby przygryzły dolną wargę tak mocno, że aż zabarwiły się szminką.

– O Pearl Harbor, Kay. Zbombardowali je.

Kay nadal się uśmiechała. Tego promiennego poniedziałkowego ranka tuż za linią zmiany daty nic nie mogło zmącić doskonałości jej życia, jej przyszłości. Słowa Sandy odbiły się nieszkodliwie od bariery jej błogiej nieświadomości.

– Co ty bredzisz? – spytała niemal z irytacją. – Kto co zbombardował?

Nie mogło to być nic poważnego, może przypadkowy wybuch, ktoś znowu palił za blisko zbiorników z paliwem, jacyś durnie bawili się niestabilnym materiałem wybuchowym, próbowali pozbyć się go szybko w porcie i w pośpiechu wysadzili się w powietrze. To nic poważnego, na pewno.

Zobaczyła, jak po skrzydełku zadartego nosa Sandy spływa pojedyncza łza i jak więźnie w zagłębieniu obok prawego nozdrza.

– Japończycy. Zbombardowali Pearl Harbor. Podobno są tysiące zabitych, Kay. Okręty wojenne, samoloty, wszystko zniszczone.

W jednej chwili Kay była królową panującą w otoczeniu wyciętego z papieru dworu, w następnej wiatr przybrał na sile i rozwiął anioły po sali, pozbawiając ją poddanych.

– Zaatakowali nas. To znaczy, że w następnej kolejności mogą przylecieć tutaj. Mamy wyjąć maski przeciwgazowe i...

Kay nie słuchała dłużej. Pragnęła Aarona. Potrzebowała Aarona. Jeśli Japończycy to zrobili, jeśli niewyobrażalne w końcu się wydarzyło, musiała zobaczyć Aarona. Chciała

zobaczyć, jak biegnie w stronę szpitala od pasa startowego, chciała raz jeszcze poczuć, jak obejmuje ją w talii silnymi ramionami, chciała usłyszeć z jego ust, że wszystko będzie dobrze, że wygrają. Potrzebowała przynajmniej jednego, ostatniego pocałunku, potrzebowała się z nim pożegnać, zanim odleci w błękit, by uratować świat dla ich nienarodzonego dziecka. Ale Aaron nie przybiegł. Syreny wyły, ludzie biegali tu i tam, a on nie przychodził. Włożyła maskę przeciwgazową zaprojektowaną dla dorosłego mężczyzny. Boki nie dały się dopasować do jej skroni, jakkolwiek mocno ciągnęła za paski. Nosila ją w upale, pocie i niepewności – pielęgniarki miały pozostać na stanowiskach, miały się udać do schronów, miały nie robić nic, dopóki nie otrzymają dalszych rozkazów. Cały czas stała przy oknie, oddychając powietrzem cuchnącym sparciałą gumą i pleśnią, wypatrując Aarona, tęskniąc za Aaronem, ale Aaron się nie zjawiał.

Potem usłyszała samoloty.

Nasłuchiwała ich nieświadoma, że to robi, lecz gdy tylko doleciał ją dysharmonijny dźwięk, odmienny od ryku amerykańskich silników, do jakiego przywykła, wiedziała, co to takiego. Zanim dojrzała nisko lecące sylwetki na popołudniowym niebie, zanim zobaczyła je w surowym szyku nad pasem startowym, wiedziała, co to takiego. To była śmierć.

Budynek techniczny obok szpitala wybuchł pierwszy. Eksplozja wstrząsnęła Kay, zaskoczyła ją, tak była głośna, tak bliska. Poczula żar na twarzy. Przebiegła na drugą stronę pustej sali szpitalnej i spojrzała w górę. Japońskie maszyny zwalniały, zataczały łuk, powracały, by zaatakować ponownie. „Samoloty, dobry Boże, samoloty!”, krzyczał ktoś, lecz nie chodziło mu o nadciągające vale i zera. Amerykańskie P-40 stały zaparkowane w równych rzędach na pasie startowym, każdy dokładnie na swoim miejscu, niczym kostki domina czekające, aż je ktoś przewróci. Nie pozwolono im wystartować, nie zostały ewakuowane, przecież Ameryce nie wypowiedziano wojny, a teraz było za późno, zajęły się ogniem. Japońskie bomby sypały się falami jak deszcz, trafiając w pedantycznie rozstawione cele, niszcząc je kolejno z niemal elegancką precyzją. Zdawało się, że w ciągu kilku sekund wszystkie maszyny stanęły w płomieniach; piloci nie zdążyli dobiec na pas startowy i stali w połowie drogi oniemiałymi, niezdolnymi wykonać jakiegokolwiek ruchu.

Ziemię pokrywały ciała ofiar. Dziewczęta odczekały, aż ostatni samolot przeleci nad nimi i zacznie zawracać, zanim wybiegły. Gołymi kolanami klękały na płonącym asfalcie, wołając o nosze, własnymi siłami ściągnęły rannych żołnierzy z pasa. Japończycy wrócili po trzech minutach, lecz okazali się tak skuteczni, że zostało niewiele do zniszczenia. Zrzucili ładunek i odlecieli w stronę Formozy, pozostawiając po sobie jedynie dym i ogień.

„Widzieliście Aarona?”, dopytywała Kay, pytała wszystkich – rannych, których opatrywała, inne pielęgniarki, jego kumpli od kieliszka, podwładnych, żołnierzy, którzy nigdy o nim nie słyszeli. Zobaczyła przed sobą płonący, poskręcany wrak B-17. Aaron wspomniał przy śniadaniu, że ma lot próbny na jednym z nich, prawda? Nie pamiętała, nie poświęciła tej informacji uwagi. Nie, to nie mogła być jego maszyna, nie mógł zginąć. Kay rozboleł brzuch i była pewna, że zaraz zwymiotuje, lecz wtedy jej mignął – *dzięki*

Bogu, dzięki Bogu – widocznie mimo wszystko nie wystartował. Widziała go miotającego się po płonącym lotnisku, wykrzykującego rozkazy, układającego żołnierzy na noszach. Nie zauważył jej przez dym, a ona nie mogła do niego dotrzeć, tylko płakała – zanosila się płaczem czystej radości pośród śmierci i zniszczenia, które wciąż jeszcze jej nie dotknęły, które wciąż jeszcze nie były realne, bo on żył. Żył i jak długo pozostanie wśród żywych, Kay wiedziała, że zdoła znieść wszystko – absolutnie wszystko.

Przetoczyła się na bok i zsunęła z łóżka. Następnie wolno, centymetr za centymetrem, zaczęła się czołgać w stronę drzwi sali sypialnej, klatki schodowej, na dziedziniec z jego uwodzicielskim aromatem gnijącego jedzenia.

Była Wigilia, gdy się ewakuowali, wycofywali, pozostawiając wszystko za sobą. Wyglądało na to, że przegrywają. *Jak możemy przegrywać? Jesteśmy największą armią, największym narodem na świecie, a jednak uciekamy.* Pielęgniarki załadowały rannych, zapasy, wszyscy siedzieli na ciężarówkach, w ambulansach zmierzających w kierunku Bataanu, gdziekolwiek się znajdował, a stamtąd na jakąś wyspę, do jakiejś twierdzy pod ziemią, jak słyszała, do miejsca, gdzie będą bezpieczni. Musieli przejechać przez dżunglę. Dziewczęta ściągnęły moskitiery znad łóżek, okryły rannych, upychając dodatkowe siatki do plecaków, do kabin ciężarówek, do kieszeni. Przydadzą się tam, dokąd jada. Tamtego ranka Kay widziała Aarona, ale tylko przez moment. Ledwo potrafiła go poznać – z długimi i zmierzwiionymi włosami, z oczami podsiniawymi od bezsennych nocy spędzonych na planowaniu strategii z innymi oficerami i dowództwem, by znaleźć drogę wyjścia, ocalić swoich ludzi. Obecnie już nie tylko mężczyzn, lecz także kobiety, pielęgniarki schwyte w krzyżowy ogień. I to nie pierwsze lepsze. Próbował znaleźć sposób, by ocalić Kay.

Jej obecność – sama świadomość jej istnienia – sprawiała, że wszystko stawało się trudniejsze, wiedziała o tym. Miał dość na głowie, nawet gdy serce nie wyskakiwało mu z piersi, ilekroć wyobrażał sobie – nie mógł o tym myśleć, ani przez moment nie potrafił myśleć o niczym innym – jak Japończycy odrywają od niego żonę, gwałcą ją i ciskają na skraj drogi, przebiwszy jej brzuch bagnetem. Miał jednak rozkazy, obowiązki, były jego priorytetem... właściwie najważniejszym priorytetem. Starał się nie patrzeć na nią, gdy wsiadała do ciężarówki. To zbyt wiele żądać od oficera, od jakiegokolwiek mężczyzny, by postawił życie swoich ludzi ponad życie ukochanej kobiety. Wystarczająco straszne było prowadzić podkomendnych na niepewność i śmierć nawet bez uczeptionej u ramienia żony. Dlatego Aaron próbował zmienić swoje serce w kamień, odsunąć Kay na bok, stać się odległy i wyniosły, lecz na próżno, poniósł sromotną klęskę, jeśli chodzi o chronienie siebie, nie zdołał poskromić potrzeb swojej duszy. Ten jeden czy dwa razy, gdy zdołali się wymknąć, kochał się z nią rozpaczliwie, do wyczerpania i zasypiał, tuląc ją do siebie, oplatając ze wszystkich sił rękami i nogami, aż ramię cierpło jej pod jego ciężarem, mimo to leżała nieruchomo, zamykając jego ciało w objęciach, jakby go mogła ochronić, jakby go mogła nigdy nie wypuścić.

Ale się wycofywali. Za dnia ciężarówki toczyły się z grzechotem wyboistym szlakiem, rzucając nimi, objając przez całą drogę. Musieli dotrzeć do Bataanu, do Corregidoru, zanim będzie za późno. Posuwali się wolno. Ich marszruta przecinała się z trasami innych jednostek, innych żołnierzy, grzęzli w błocie i byli z niego wyciągani przez wieśniaków, przez uchodźców, przez misjonarzy schodzących ze wzgórz, by spytać, co to za zamieszanie. Drogi były rozmyte, nieprzejezdne z powodu błota, porzuconych bawołów *carabao* lub dzieci błagających, by pozwolono im stanąć na stopniach, uwiesić się z tyłu jeepa, cokolwiek – „Weźcie nas ze sobą, żołnierze”. Gdy napotykali rannych Amerykanów, zarządzali postój, rozstawiali namioty i operowali, a Japończycy, widząc z powietrza czerwone krzyże, urządzali naloty, jakby nie było to zakazane, jak gdyby konwencja genewska tego nie zabraniała. Japońskie maszyny nadciągały i ostrzeliwały ich, rozrywając na strzępy rannych, których dopiero co udało się polatać, a pielęgniarki wybiegały na zewnątrz, wrzeszcząc w niebo, wygrażając pięściami i przeklinając. Potem nadszedł dzień, gdy partyzanci walczący u boku Amerykanów zorientowali się, że gra skończona, i wrócili do swoich wiosek, do żon i dzieci, by zginąć z nimi zamiast u boku białych żołnierzy. Nikt nie próbował ich zatrzymać. A potem Aaron nakazał oficerom zerwać emblematy wojskowe, pozbyć się wszystkiego, co mogło ich wyróżniać jako cele dla snajperów. Pielęgniarki w stopniu podporuczników miały zrobić to samo, jego żona miała zrobić to samo.

Zostali zbombardowani w dżungli i odtąd Kay wiedziała już, że należy otwierać usta – w przeciwnym razie podciśnienie uszkodzi jej bębni w uszach. Zszywały żołnierzy, a Japończycy rozpruwali ich z powrotem. Przypominało to niekończący się koszmar. Kay nawet w snach kreśliła na czołach żołnierzy literę „M” ich własną krwią, podobnie na jawie. Identyfikatory się skończyły i tylko w ten sposób można było zaznaczyć, kto dostał morfinę, a kto nie.

Mieli grupę filipińskich pielęgniarek, które służyły z nimi w Clark, a wcześniej na Hawajach. Jeden z majorów podziękował im chłodno za służbę i oświadczył, że muszą odejść, nie są już potrzebne, niech na własną rękę próbują wrócić na wyspy, z których przybyły. Płakały, błagały żołnierzy, by ich nie zostawiali. Chciały jechać z nimi do Corregidoru, a nie zostać wydane na gwałty i tortury. Przekonywały, że też są Amerykankami, że nie wolno ich tak porzucać. Ale major pozostał nieugięty – Ameryka nagle skurczyła się dla niego do czterdziestu ośmiu graniczących ze sobą stanów. Nie jest za nie odpowiedzialny, oświadczył, zresztą nie są prawdziwymi Amerykankami i muszą sobie radzić same.

Wtedy dziewczęta z Kentucky i Teksasu, z Luizjany i Maine usiadły i odmówiły odjazdu. „Zabierzcie nas wszystkie albo zostawcie wszystkie”, oświadczyły. Kay też wzięła w tym udział; odłożyła zestaw do szycia, który niosła do namiotu operacyjnego, i wraz z innymi siadła na błotnistym gruncie, krzyżując ramiona. Gdy na sekundę wyzywająco podniosła wzrok, zauważyła, że Aaron na nią patrzy, i przez tę sekundę miała wrażenie, że uśmiechnął się do niej samymi oczami, jakby kochał ją jeszcze bardziej niż dotąd. W następnej sekundzie uśmiech zniknął, a on stał się na powrót jednym z oficerów rozwścieczonych na uparte kobiety, a przynajmniej udającym rozżłoszczonego. Major wrzeszczał i w gniewie rozwaliał kopniakiem jakąś przybudówkę, lecz koniec końców był

zmuszony zabrać wszystkie, musiał załadować „przeklęte” kobiety z powrotem na ciężarówki i ewakuować, od tej małej klęski zaczął kroczyć ku poważniejszym, majaczącym przed nim w Bataanie. Drobna Filipinka siedząca na pace obok Kay ujęła jej dłoń i pocałowała.

Ów incydent wyznaczył początek końca. Odtąd pociski sypały się na nich jak deszcz niemal każdego dnia, a często kilka razy dziennie. Stracili wiele samochodów, wielu z nich pieszo pokonało długą drogę na południe, ku półwyspowi. Ranni krzyczeli, gdy ocalałe ciężarówki i jeepy wpadały w dziury na drodze, objijając ich, wstrząsając nimi, budząc na nowo ból, otwierając rany.

Potem Aaron został trafiony odłamkiem – nie zabity, jedynie draśnięty, lecz w dżungli pełnej błota, potu i zarazków nie minęło wiele czasu, jak nie był w stanie maszerować bez jej pomocy. A później nie mógł iść w ogóle.

Kay wsadziła go na ciężarówkę, częściej niż trzeba zmieniała mu opatrunki, sypała na ranę sulfonamid, ale na jej oczach otwarte różowe brzegi zaczerwieniły się, następnie sfioletowały i barwy te rozlały się na cały tułów. Twarz Aarona też nie wyglądała tak jak powinna, był zlany potem od gorąca, wilgoci i gorączki.

– Jesteśmy prawie na miejscu, skarbie – zapewniała, uśmiechając się nieco zbyt promiennie, gdy szła obok ambulansu, bez trudu nadążając za jego żółtym tempem. – Bataan już blisko. Zanim tam dotrzemy, rozstawią dla nas prawdziwy szpital, nie musisz się obawiać, kochany, ani trochę. Wszystko będzie czekało w gotowości.

Co mogło czekać w gotowości? Z pewnością mogli oczyścić ranę, dać mu świeżej wody do picia, a ona mogła siedzieć u jego boku i wachlować go dla ochłody. Ale co tak naprawdę mogli zdziałać w takiej sytuacji? Co ktokolwiek mógł poradzić na infekcję, która objęła cały organizm chorego? *Jest 1941 rok i dobry Boże, nadal nic na to nie mamy, nic jak świat długi i szeroki.* Jako pielęgniarka oceniała, że Aaron umrze. Jako kobieta nosząca jego dziecko (nie miała okresu od trzech miesięcy) wiedziała, że nie umrze nigdy, że nie może umrzeć przed narodzinami syna, nie może umrzeć, zanim ich dwunastu synów nie narodzi się, nie dorośnie i nie otoczy go kręgiem, wciąż przystojnego z siwymi włosami, każdy piętnaście centymetrów wyższy od niego.

Rozejrzała się wokół i nagle wróciła na ziemię. Od chwili kiedy zeszła z trapu w Pearl Harbor – w czasach, gdy ta nazwa oznaczała jedynie port pośredni – żyła w innym świecie, nie dotykając stopami gruntu. Tamten świat ze snu legł w gruzach. Nagle stała się brudna, rozczochrana, ociekająca potem. Była głodna i spragniona, i tak zmęczona, że miała ochotę położyć się na gruntowej drodze, by spać, spać i nigdy się nie obudzić. To wstrząsające w swojej nagłości objawienie uświadomiło jej, że wszyscy wokół czują to samo, że czują to od wielu tygodni, od miesięcy, brnąc przez dżunglę ku śmierci. Wcześniej nie zdawała sobie z tego sprawy, bo była kimś szczególnym; była bezpieczna, zakochana, a żadna siła nie mogła rozdzielić dwojga ludzi kochających się tak mocno jak ona i Aaron. To znaczy żadna oprócz śmierci. Teraz rozumiała, że śmierć może tego dokonać, że śmierć rozdzieliła miliony kochanków przed nią i rozdzieli kolejne miliony długo po tym, gdy ona i Aaron odejdą w zapomnienie. Nie była nikim szczególnym. Zaledwie przez kilka miesięcy kochała mężczyznę, który prawdopodobnie umierał, i nie mogła uczynić nic – co najwyżej iść obok niego i być może towarzyszyć mu w ostatniej

chwili. Miała przynajmniej to – tego przynajmniej mogła się trzymać. Zostanie z nim do końca.

Kay umierająca z głodu w Manili z wielkim trudem poczołgała się w dół ciemnej klatki schodowej. Natrafiła na coś blokującego jej drogę. Szturchnęła ciężką masę i ta przesunęła się odrobinę. Zaparła się obiema nogami, jęcząc i pchając ze wszystkich sił, aż rozdęty trup stoczył się po schodach w dół, w mrok.

Wycofując się na południe, dotarli do szpitala numer 2, jednakże leki już się skończyły i poradzono Kay, by spróbowała kawałek dalej, w Little Baguio – może tam coś jeszcze mają. Little Baguio i tak leżało po drodze, wszyscy zmierzali na południe. Corregidor stanowił ostatnią nadzieję. Japończycy znajdowali się zaledwie w odległości pięciu kilometrów – dobrze uzbrojeni, wyposażeni i syci, w sile ćwierci miliona nacierali szybko z północy. Powiodła wzrokiem po łóżkach polowych i noszach ustawionych rzędami, gotowych do transportu – oszacowała, że czeka tu cztery tysiące żołnierzy i zapewne co najmniej drugie tyle w Little Baguio, ostatniej placówce przed tunelem. Jak zdołają przewieźć wszystkich? Jak się wszyscy pomieszczą? Co ją to obchodzi, jeśli tylko znajdzie się miejsce dla Aarona? Poszuka dla niego czegoś – *Czego konkretnie?*, spytał rozum, lecz go uciszyła – a potem dołączy go do transportu, dostarczy go do tego Corregidoru, o którym wszyscy ciągle mówią, jakiejś twierdzy. Dostarczy go tam i wtedy wszystko będzie okej. Chyba. Musiało być okej.

W Little Baguio zdobyła trochę świeżych bandaży (wypranych i wysuszonych na sznurze w słońcu, ale lepsze to niż nic), resztkę sulfonamidu w proszku i manierkę wody zdatnej do picia, tylko tyle. Kończyło się wszystko, trwała mobilizacja, poza własnymi pacjentami musieli się zająć rannymi, których wycofujące się wojska po prostu zostawiły im pod opieką. Ameryka robiła odwrót, spowalniana przez osiem tysięcy zakrwawionych żołnierzy czepiających się mankietów jej spodni, krępujących jej ruchy. Autobusy trąbiły bez przerwy, chociaż jadący na południe stali w korku. Uchodźcy walili w burty pojazdów i wspinali się na dachy, wszyscy krzyczeli, wszyscy płakali, „Proszę, pani żołnierko, weź moje dziecko, weź moje maleństwo”. Kay rozejrzała się i pojęła, że to piekło. Nie trzeba umierać, by je ujrzyć – człowiek stworzył je tutaj sam dla siebie, jeszcze za życia. *Boże, zmiłuj się.*

Wywalczyła miejsce pod drzewem makaranga i teraz Aaron leżał w cieniu. Miał gorączkę. Żałowała, że to nie ostry, palący, ognisty stan, który kazałby mu krzyczeć, z którym mógłby walczyć nawet w delirium. Tymczasem stawał się coraz słabszy i słabszy, „senniejszy i senniejszy”, jak to nazywał, próbując się uśmiechnąć. Chciał odpocząć, położyć się, zasnąć – „Kay, kochana, połóż się przy mnie, pozwól mi spać, skarbie”. Spojrzała na jego zapadniętą twarz i zrozumiała, że gdyby zasnął, już by się nie obudził. Musiała go dowieźć do Corregidoru. Nie mogła go jeszcze stracić.

Bud, najwyższy rangą oficer medyczny, podszedł do niej i garstki pielęgniarek, które stojąc okrakiem nad rannymi, bandażowały, mocowały szyny na połamanych

kończynach.

– Hej! – zawołała jedna z dziewcząt, ale nie odpowiedział jak zwykle ciętą uwagą i uśmiechem odsłaniającym krzywy ząb, zamiast tego zmieszany wbił wzrok w ziemię, potem w czapkę, którą trzymał w rękach. Przełknął ślinę i jego grdyka poruszyła się niezgrabnie; Kay była zdumiona, jak zdołała się przecisnąć przez ciasno zapięty kołnierzyk.

– Generał King właśnie poddał Bataan.

Ziemię, na której stali. Bataan.

– Oficjalnie decyzja wchodzi w życie dzisiaj o północy, dziewczęta. – Tu znowu przełknął z trudem ślinę. – W praktyce wchodzi w chwilę, gdy Japończycy tu dotrą.

Powiodła wzrokiem wokół: po pielęgniarkach z Little Baguio, których nie znała, po pielęgniarkach, które wraz z nią zeszły z pokładu pierwszego dnia, gdy statek rzucił kotwicę w raj. Każda na swój sposób starała się przygotować na to, co może je czekać; widziała to w tysiącu drobnych gestów. Jakaś ruda zagryzła dolną wargę i ostro wciągnęła powietrze. Pulchna brunetka wyprostowała się, zeszywniała po wielu godzinach schylania się nad rannymi i energicznie rozmasowała plecy piegowatą dłonią. Starsza kobieta z namysłem pokiwała głową, jakby wiedziała od początku, że tak się stanie, jakby sam fakt, że najgorsze wreszcie się wydarzyło, stanowił swoistą ulgę. Kilka skrzyżowało ramiona na piersi albo ochronnym gestem uniosło dłonie do gardła.

– *Ready or not here they come* – zażartowała któraś.

Spróbowały się roześmiać.

– Zgodnie z rozkazem macie się natychmiast wycofać – ciągnął sztywno oficer, z roztargnieniem wierząc w ziemi czubkiem buta.

Zastanawiała się, skąd u niego ten nagły formalizm – *Aha, jasne, wycofać się, dobrze wiemy, co to znaczy, Bud.* Jedna z przełożonych zaczęła wykrzykiwać:

– Posegregować nowych rannych, załadować ich do autobusów! Pacjentom ambulatoryjnym rozdać zielone identyfikatory, potrzebującym zabiegów po przybyciu do Corregidoru...

Bud wszedł jej w słowo.

– Nie, pacjenci nie. Wy macie się natychmiast wycofać.

– Co? – Dziewczęta zaśmiały się pogardliwie. – Niezły żart.

Gdy wciąż nie traktowały go poważnie i wróciły do łóżek, do rannych, młody oficer pierwszy i ostatni raz w życiu (miał zginąć zaledwie dwie godziny później) podniósł na nie głos.

– To bezpośredni rozkaz dowództwa. Odmowa jego wykonania będzie karana sądem polowym.

Obejrzały się na niego z niedowierzaniem. Wtedy dodał ciszej, przeproszającym głosem starszego brata rozstającego się na zawsze ze swoją małą siostrzyczką:

– Japończycy są pieprzone cztery i pół kilometra stąd. Nie gińcie tutaj, na naszych oczach. Proszę, wsiądźcie do autobusów.

Wybuchły spory. Grubokoścista, krótkowłosa pielęgniarka wrzeszczała coś do Buda, potem kolejni oficerowie podeszli i powtórzyli to samo co on, lecz teraz japońcy znajdowali się bliżej, w odległości zaledwie trzech kilometrów. Autobusy są u stóp

wzgórza, czekają, dziewczęta dostaną eskortę przy wsiadaniu, żeby zdołały się przedrzeć przez tłum. Któraś oświadczyła, że nie jedzie, inna objęła głowę rękami i szlochała na środku drogi z łokciami wspartymi na kolanach. Kay usłyszała, jak któraś pyta, czy zdąży zdjęć bieliznę ze sznura, a kiedy odpowiedziano, że nie, Kay osunęła się na kolana i ścisnęła Aarona za rękę, aż pobieleły mu palce.

– Ostrożnie, dziecino – wymamrotał półprzytomnie, patrząc na nią.

Lekko rozluźniła uścisk. Nie dosłyszał, o co to zamieszanie. W zamroczeniu wszystko poza Kay zdawało mu się nieistotne, to były przypadkowe światła i dźwięki. Została tylko ona. Uśmiechnął się cieniem uśmiechu i z uwielbieniem spojrział na nią załzawionymi oczami.

– Nie zostawię cię, Aaronie, nigdy cię nie opuszczę.

Powiódł wokół oszołomionym spojrzeniem, pierwszy raz od długiego czasu sięgając wzrokiem poza nią. Potrwało chwilę, zanim skupił oczy.

– Co się dzieje? Wycofujemy się?

– Nie wyjadę. Odsyłają pielęgniarki bez rannych. To nie w porządku, nie zrobię tego, nie zostawię cię.

Zmarszczył brwi, jakby próbował zrozumieć. Gdy potarł w zamyśleniu podbródek z dołkiem i jego blady zarost wydawał swojski, chrzęszczący odgłos, przez mgnienie zobaczyła, jak wyglądałby jako stary mężczyzna.

– Odsyłają pielęgniarki – powtórzył wolno. – To musi oznaczać, że niedługo się poddamy...

– Właśnie to zrobili. To znaczy właśnie to zrobiliśmy. Poddaliśmy się. W każdym razie poddaliśmy Bataan.

Aaron usiadł, próbował wstać. Poderwał się gwałtownie, lecz opadł na posłanie.

– A ty wciąż tu jesteś? Bud, Bud! – zawołał. Jego słaby głos przymuszony do krzyku brzmiał gardłowo, drżąco i ochryple. – Bud, wsadź moją żonę na ciężarówkę.

Oficer wciąż się spierał z rozwścieczoną, gestykulującą dziko pielęgniarką, ale Kay zobaczyła szeregi kobiet oficerów ruszających już ze wzgórza, wsiadających do autobusów.

– Nie, Aaronie, nie zostawię cię. Nigdy.

– Posłuchaj – zaczął.

Była gotowa mu się sprzeciwić, sprzeciwić się całej armii Stanów Zjednoczonych, walczyć zębami i pazurami o prawo zostania u jego boku. Nikt nie zdoła jej zmusić, nikt nie skłoni jej do wyjazdu groźbą sądu polowego, więzienia czy nawet śmierci.

Jednakże nie była gotowa na...

– Posłuchaj – zaczął ponownie, ciszej. – Spójrz na mnie na chwilę, dziecino.

I uśmiechnął się.

Jego spokój zupełnie ją pokonał. Aaron popatrzył na nią i otaczający ich koszmar zniknął; uśmiechnął się niczym święty mistyk, jakby właśnie poznał tajemnicę wszechświata i wszystko okazało się jedynie cudownym żartem, którego puentę zna jedynie on.

– Znaleźliśmy się nawzajem, skarbie.

– Nie, Aaronie, nie...

– Znaleźliśmy się i mieliśmy się nawzajem, nawet jeśli trwało to krótko.

– Przestań, Aaronie...

Rozległ się wybuch i uciekające kobiety wrzasnęły, ale to nie byli Japończycy, jeszcze nie oni – jedynie amerykańscy żołnierze wysadzali zapasy amunicji.

– Nie będę tego słuchać, Aaronie, nie będę.

Zdjęła stare, rojące się od mrówek opatrunki, zasypała sulfonamidem w proszku sączącą się, poczerniałą ranę, płacząc i chwytając haustami powietrze mające teraz posmak prochu. Opatrzyła Aarona, zawijała i odwijala bandaże, zawiązała je, rozwiązała supły, zawiązała znowu.

– Za ciasno ściągnęłam, pozwól mi jeszcze raz...

Chwycił ją za nadgarstki i przytrzymał mocno.

– Kay.

Powiedział to z wielką mocą; natychmiast zrozumiała, z jakiego rodzaju człowiekiem ma do czynienia. Nie doceniła go. Nie domyśliła się siły i stali w jego wnętrzu. Zrozumiała, że gdyby miał szansę przeżyć, okazałby się uczciwym pracownikiem, świetnym ojcem, wiernym kochankiem.

– Kay.

Powiedział łagodnie, myśląc tylko o niej, o jej bezpieczeństwie, o tym, że jego życie nic nie znaczy, dopóki ona nie była bezpieczna.

– Ale... ale Japończycy nie biorą... – zacinała się i potrzasała głową, to nie mogło się dziać, to nie mogło być rzeczywiste. – Nie biorą rannych... – Nie potrafiła dokończyć, oddech wydobywał się z niej dziwnymi, płytkimi zrywami. Jak w dzieciństwie, gdy próbowała jak najdłużej wstrzymać oddech, a kiedy dotarła do kresu możliwości, szybko wypuszczała i wciągała powietrze, i próbowała znowu.

– Kay.

Świat zniknął, a ona zatoneła w oczach Aarona i znowu kochali się na plaży, zatoka przed nimi była srebrna w blasku księżyca.

– Idź, Kay.

Autobusy czekały załadowane, nawet wściekła przełożona pielęgniarek z ociąganiem zeszła ze stromego wzgórza. Trąbili na Kay. Odjeżdżali.

– Idź.

Oddech wydobywał się z niej z jękiem, kiedy zdejmowała z ramienia chlebak, wpychała mu w dłonie buteleczkę z sulfonamidem, resztki jedzenia, swoją manierkę.

Jego niebieskie oczy rozświeciły się ostatni raz, uśmiechnął się znów i powiedział:

– Miałem cię. Jestem największym szczęściarzem na świecie.

Znajdowała się w połowie wzgórza, kiedy eksplodował główny magazyn amunicji. Fala uderzeniowa ścięła ją z nóg, ale Kay poderwała się w mgnieniu oka. Wnętrze wargi krwawiło jej po pocałunku, poczuła smak soli i znowu rzuciła się do biegu, biegła w dół zbocza, musiała biec szybciej, wciąż nie biegła dostatecznie szybko.

2 Parafraza cytatu z popularnej piosenki *Ready or not here I come (Can't hide from love)* zespołu The Delfonics. Notabene jest to anachronizm, gdyż utwór pochodzi z roku 1968.

JO MCMAHON

WIOSNA 1945, FRONT ZACHODNI

Przydałoby im się kilku Włochów. Włosi byli zabawni. Jo zawsze miała wrażenie, że nie traktują wojny zbyt poważnie. Owszem, umieli strzelać, walczyć i wykrwawiać się na śmierć równie dobrze jak wszyscy. W swoim czasie faszystom udało się rozpaść w nich patriotyczny zapal wspierany przez hojne dawki alkoholu i kobiety pragnące ich posłać na wojnę w prawdziwie tradycyjnym stylu. Ale gdy zetknął się z nimi korpus medyczny Jo, serca Włochów były już całkowicie wolne od tego zrywu. Oczywiście nie mieli nic przeciwko przemocy – prawdę mówiąc, ich wspomnienia o bójkach na noże, rodowych wendetach i patrzeniu na krew ojca spływającą do rynsztoka po pojedynku w obronie niesfornej siostry otaczała ta sama złota aura nostalgii, z jaką ich amerykańscy koledzy z Nowej Anglii przywoływali kolacje z indykiem i zestawem przystawek. Jednakże tamte akty przemocy były dla nich zrozumiałe, stanowiły element życia. Byli impulsywni, mściwi, namiętni, brutalni, tak, lecz dawali się ponieść porywowi chwili: ślepy gniew, żar i ogień, eksplozja w głowie, a potem napięcie opadało. Wojna tymczasem – długotrwała, wykalkulowana wojna – nie przypadła im do gustu. Afryka Północna była piekłem. Wycofywanie się przez ojczysty kraj – patrzenie, jak jest bezlitośnie niszczone zarówno przez sojuszników, jak i wrogów – było piekłem. I współpraca z Niemcami była piekłem. Niemcy we własnych oczach mogli uchodzić za półbogów mających z boskiego natchnienia rozprzestrzenić swoje aryjskie nasienie, wolny świat mógł ich uważać za uzurpatorów i rzeźników zmobilizowanych przez fanatycznego przywódcę, lecz z punktu widzenia Włochów byli po prostu nudni do łez.

Niemcy nie byli zabawni, nie czerpali radości z życia – ograniczali się do zasad, rozkazów, przepisów. Na Włochów spoglądali z góry jak na niższą rasę, jak na barbarzyńców, nie rozumieli ich prymitywnych dowcipów – nawet ci władający włoskim. Gdy słuchało się ich ideologii, wydawało się, że chcą pozbawić świat tego wszystkiego, co Włosi uważali za sól życia: zepsucia i ślizgania się po powierzchni, teatralnej przesady, nieokiełzanych hulanków. Tego, że przespawszy się z żoną najlepszego przyjaciela, sączyłeś jego wino i patrzyłeś, jak jego winnice dojrzewają w słońcu, a twój syn dojrzewa w miękkim, sprężystym wzgórkach jej brzucha. Pogadanki niemieckich oficerów o eugenicie i ludobójstwie trafiały w próżnię, zresztą Włosi tęsknili za ojczyzną, byli głodni, chcieli wracać do domu. Kiedy Amerykanie wreszcie ich doścignęli, ciskali karabiny i podnosili ręce, uzyskawszy pewność, że amerykańscy żołnierze uporali się z Niemcami.

Jo przypominała sobie pierwszych włoskich jeńców, jakich napotkali – wiwatujących, machających, gwizdzących za amerykańskimi pielęgniarkami, wyciągających ręce po papierosy, przepychających się, by widzieć lepiej: „*Ciao, beautiful woman, I love you, I kiss you*”. Tego samego dnia wzięli do niewoli Niemców, niektórych

ciężko rannych. Queenie wyklócała się z pacjentem, wyższym od niej ponad czterdzieści centymetrów, by się położył na stole operacyjnym: „Panie oficerze, musimy operować, podać znieczulenie”. Sprzeciwił się łamaną angielszczyzną, twierdząc, że zdoła przetrzymać zabieg z pełną świadomością. Ból jest dla słabeuszy, dla Amerykanów, nie dla mężczyzny takiego jak on. Potem zaczął wrzeszczeć na przestraszonych bawarskich parobków i studentów berlińskiego konserwatorium, by ruszyli się z łóżek i wymordowali pielęgniarki, by unicestwili najeźdźców, by walczyli do ostatniego. Queenie, z pełnym dezaprobaty wyrazem twarzy nauczycielki szkoły podstawowej, rzuciła: „Cholera jasna”, przycisnęła mu do twarzy maskę anestetyjną, przytrzymała, aż Übermensch osunął się na ziemię, po czym huknęła na sanitariuszy, żeby go, kurwa, podnieśli. Włoscy pacjenci ryknęli śmiechem, a kilku zaczęło klaskać.

Jo tęskniła za Włochami. Wzywano ją, by służyła za tłumaczkę. Rozumieli jej dialekt prawie bez problemów, a jeśli nie, i tak się uśmiechali: „*Giuseppina, cara mia, io voglio tanto tanto bene*”. Nie potrafili się skupić na informacjach przekazywanych przez amerykańskich oficerów – o warunkach repatriacji, ich prawnym statusie przez czas wojny. „*We eat? We have cigarettes?*”, śmiali się, klepiąc się nawzajem po plecach, zachwyceni łaskawością losu. „*God bless America*”.

Zapamiętała pewnego żołnierza, którego spotkała na początku; zadała mu zwykłą serię pytań po włosku – nazwisko, skąd pochodzi – na co z idealnym brooklyńskim akcentem poprosił o lucky strike’a.

– Jesteś Amerykaninem? – spytała zdumiona.

– Widzisz, siostró, byłem z wizytą u ciotki, kiedy ni z tego, ni z owego przystąpiliśmy do wojny. Nie mogłem wrócić do kraju, a ciotka nie chciała, żeby mnie rozstrzelali jako Amerykanina, kumasz? Więc koniec końców wzięli mnie do swojej armii. – Gdy na twarzy Jo odbiło się zdumienie, roześmiał się głośno. – Od miesiący strzelam w powietrze i czekam, aż mnie weźmiecie do niewoli.

Brakowało jej śpiewania dla Włochów. Wstydziła się swojego głosu, jeśli miała wystąpić publicznie – nigdy nie śpiewała dla rodziców, Gianni raz czy dwa przyszedł posłuchać, gdy ćwiczyła u signora Luigiego, a mężczyźni i kobiety, z którymi pracowała, zawsze wydawali się jej bardziej biali, bardziej „amerykańscy” niż ona. Dlaczego miałyby to robić różnicę, nie wiedziała, ale robiło, więc w ich obecności jej *voce argento* milczało. Jeden z Włochów przyłapał ją jednak, gdy sama o tym nie wiedząc, nuciła Pucciniego. Kiedy skończyła zmianę, jakimś sposobem wydobył z niej całą historię i nakłonił, by mu zaśpiewała wszystkie znane sobie włoskie utwory (niemieckie opery niezbyt lubił).

*O mio babbino caro,
mi piace, é bello, bello.
Vo'andare in Porta Rossa
a comperar l'anello!*

Śpiewała o marzeniu, by kupić pierścionek, a włoscy żołnierze uśmiechali się

błogo, natomiast wzmianka o rzuceniu się do rzeki Arno wprawiała ich w absolutną ekstazę.

*Mi struggo e mi tormento!
O Dio, vorrei morir!
Babbo, pietà, pietà!*

Wciąż miała przed oczami ich zachwycone twarze, starsi żołnierze płakali otwarcie, oparci o łóżka po dwóch lub trzech, strażnik wyznaczony do pilnowania ich, z karabinem zawieszonym niedbale na ramieniu, grał w pokera z sanitariuszami i przeklinał przegraną. Przypadło mu łatwe zadanie – nikt nie planował ucieczki. Dokąd, na miłość boską, mieliby uciekać?

Mimo to wyjechali – niechętnie – do innego aresztu, innych papierosów i innych racji żywnościowych oraz (na co liczyli) innych kobiet, z którymi można było flirtować. Jo rozejrzała się po namiocie; bez nich wszystko wydawało się szare. Błotnista ziemia wyschła i rozsypała się w szary pył, skóra jej pacjentów miała bledszy odcień szarości. Tworzyła smugi we włosach Jo, wnikała w zmarszczki, niebo na zewnątrz przypominało ciężką szarą płachtę. Pogoda była kapryśna: jednego dnia łudziła nadzieją nadciągającej wiosny, następnego zaskakiwała śniegiem sypiącym za kołnierze mundurów. Kałuże zamarzały, topniały i znowu zamarzały.

Niemcy nie znaleźli ich dotąd, a żołnierze Clarka nie natrafili na wrogie oddziały podczas swoich patroli, lecz czy wróg na nich nacierał, czy otoczył ich całkowicie, czy też minął ich wiele tygodni wcześniej – pozostawało tajemnicą. Komandosi, gdy pośpiesznie pochowali swojego towarzysza, niecierpliwili się, chcieli ruszać (i „uciec od tej stukniętej pielęgniary”, jak mruknął któryś, spluwając). Dwaj najlepsi ludzie Clarka odeszli z nimi, by nawiązać ponowny kontakt, wciągnąć ich z powrotem w przeklętą wojnę i wydobyć ze stanu zawieszenia. Wyruszyli przed pięcioma dniami, ale wieści wciąż nie było. Świat zmienił kolor. Poszarzał.

Jo przypominała sobie podobny monotony, stalowoszary poranek – monotony w inny, znacznie bardziej aktywny sposób: bandażowała i gipsowała ciężkie przypadki ortopedyczne, podwieszała usztywnione kończyny, włączając niekończący się strumień połamanych żołnierzy w łańcuch transportowy. Przez odchyloną klapę namiotu widziała sześcioro żołnierzy stojących w półkolu i najwidoczniej przepytujących nowego rekruta. Młodzieniec wyglądał na zdenerwowanego, palił papierosa, uśmiechając się ulegle. „Nie no, co wy, przestańcie się wygłupiać”, dosłyszała jego słowa. Potem do grupki podeszli kolejni mężczyźni, w tym kilku oficerów. Pozostali zasalutowali i rozstąpili się, oficerowie rozpoczęli przesłuchanie nowego: sanitariusza, który ledwie przed kilkoma tygodniami dołączył do ich jednostki. Sympatyczny dzieciak, o ile zdołała się zorientować, o nic nie trzeba go było prosić dwa razy.

– Nie rozumiem, o co wam chodzi, to obłąd... – mówił.
I znów cichy szmer pytań.

– Co za przekłeta bzdura, kto tak twierdzi?

Jego głos brzmiał teraz wyżej, z irytacją. Chłopak wyglądał, jakby miał się rozplakać lub kogoś walnąć, albo jedno i drugie.

– Nigdy nawet nie byłem w...

Przerwano mu kolejnym pytaniem.

– Pochodzę z Cleveland Heights...

– Tak, tuż pod Cleveland.

– W Ohio, do cholery, za kogo wy mnie macie?

– Boże Wszechmogący.

Ostatkiem sił hamował złość.

– Graniczy z Pensylwanią, Wirginią Zachodnią, Kentucky, Indianą i niewielkim fragmentem Michigan, na miłość boską.

Oficerowie wyprostowali się, drapiąc podbródki. Spojrzeli na siebie poważnie, unosząc brwi. Dzieciak z nadzieją wodził po nich wzrokiem...

– Już okej? Zadowoleni? Mogę wracać do roboty?

Któryś kiwnął głową i półokrąg, stopniowo zaciskający się wokół młodego sanitariusza, lekko się rozstąpił. Chłopak niemal niezauważalnie rozluźnił ramiona i wypuścił powietrze, otarł czoło brudną chustką. Jakby po namyśle jeden z oficerów – major – obejrzał się przez ramię i rzucił:

– Panienko?

– Tak, majorze?

Wolno opuściła ciężki gips, który nakładała.

– Mamy powody uważać, że ktoś tutaj nie jest tym, za kogo się podaje.

– Majorze?

Już dawno zrozumiała, że szacunek to najlepszy sposób postępowania z wysokimi szarżami.

– Wiem, że mogę zaufać pani dyskrecji, więc powiem otwarcie. Sądzymy, że działa tu pod przykrywką obcy agent, być może w pani jednostce.

Wytrzeszczyła oczy – na niego, potem na sanitariusza i znowu na oficera. Czekwała.

– Czy przychodzi pani na myśl ktoś, kto zachowywał się podejrzanie w ciągu ostatnich kilku tygodni? Proszę się dobrze zastanowić.

Była tak zabiegana, tak przytłoczona pracą, że nie zauważyłaby nawet, gdyby Queenie ogoliła się na łyso, lecz odpowiedziała spokojnie, przecząco.

– Nie, majorze, nie widziałam niczego niezwykłego.

Pokręcił głową niczym podążający za tropem detektyw, który z niechęcią porzuca wciąż jeszcze świeży ślad.

– Czy przychodzi pani do głowy coś – spytał, wyrzucając ręce w górę – cokolwiek, czego szwab by nie wiedział? To znaczy, są cwani, muszą to sukinsynom przyznać, świetnie wyszkoleni. Znają wyjściowe rozstawienie Dodgersów, imię dziewczyny Supermana i geografię Stanów lepiej niż moje dzieciaki w kraju. Nic pani nie przychodzi na myśl?

Oficerowie spojrzeli wyczekująco, chłopak o dziecinnej twarzy siedzący na beczce zerknął na nią i uśmiechnął się szelmowsko za ich plecami. Miała zbyt wiele roboty, by

bawić się w łapanie szpiega. Dzieciak pewnie komuś podpadł, zwędził czekoladę albo podebrał dziewczynę, a może po prostu wcisnął się przed niewłaściwą osobę w kolejce po obiad. Z wszystkich komiksowych głupot...

Żołnierze wciąż na nią patrzyli. W ten sposób nigdy nie uda jej się wrócić do pracy.

– Nie wiem – zaczęła i podniosła wzrok, jakby szukając odpowiedzi w nisko wiszących chmurach na zewnątrz. Zdesperowana, chwytając się pierwszej lepszej myśli, rzuciła na odczepnego: – Każcie mu zaśpiewać *Happy Birthday*. Wszyscy to znają.

I wróciła do swoich obowiązków, przepraszając pacjenta za to, że musiał tak długo czekać.

Była odwrócona plecami, nie widziała więc twarzy dzieciaka.

Przestał bębnić bez celu piętami o beczkę, uśmiech spłynął z jego twarzy. Na moment jego oczy stały się wielkie i przerażone, potem zwięzły się, nadając mu niemal nieludzki wygląd. Jo usłyszała czyjś krzyk, lecz nie mogła zrozumieć słów, a gdy się obejrzała, zobaczyła, jak młody sanitariusz wyszarpuje broń z kabury stojącemu obok sierżantowi i trzy razy strzela mu w pierś, zanim sam zginie – wciąż krzycząc, z zaciśniętą wolną ręką, z piegowatą twarzą spryskaną krwią. Po chwili przestał się miotać na ziemi, mimo to nadal z nienawiścią wpatrywał się w Jo oczami, które zastygły i stały się szkliste, ale się nie zamknęły. Znaleźli szpiega.

Błądziła myślami. Leky się skończyły, prawie nie mieli żywności. Pacjenci spali niespokojnie. Czuła się raczej jak monitor kontrolny na sali szpitalnej niż jak pielęgniarka. Siadała przy nich, sprawdzała, czy żyją, czy umarli, trzymała ich za rękę, gdy o to prosili, gdy ból był zbyt silny. Jej ciało tkwiło uwięzione w przestrzeni, lecz umysł szybował swobodnie.

Hełm jednego z żołnierzy potoczył się pod łóżko. Gapiała się na niego z przechyloną głową, nie odrywała wzroku od lśniącej ciemnej zieleni pociętej bliznami i zadrapaniami. Jej myśli pobiegły do pacjenta z nerwicą frontową, którego miała pod opieką przed kilkoma miesiącami; wciąż nie mógł złapać tchu i ciągle mu się zdawało, że się dusi. Trafił z paroma kumplami do jakiegoś wiejskiego domu we Francji, opowiadał, skostniałi z zimna błagali o żywność. Zostali rozdzieleni ze swoją jednostką i miejscowa rodzina przyjęła ich do siebie. Naraz mały synek gospodarzy wpadł przez drzwi, wołając, że drogą nadchodzą Niemcy, *ma mère, mon père*. Wszędzie wokół rozciągały się pola, nie było nawet drzewa ani żywopłotu, by się za nimi ukryć. Amerykanie znaleźli się w pułapce – i rodzina wraz z nimi, za ukrywanie wroga.

Bystra *femme au foyer* poleciła: „Schowajcie się na dole, przysypimy was węglem w piwnicy, zostaniecie tam, aż sobie pójdą. To nie może potrwać długo. *Dépêchez-vous!* Pośpieszcie się!”. I tak zrobili. Pogrzebali żołnierzy pod węglem. „Weźcie głęboki oddech, chłopcy, i nakryjcie twarze hełmami, wykopią nas z powrotem i będzie okej”. Niemcy przybyli i nie znaleźli Amerykanów. Ale nie zjawili się po to, by przeszukać dom albo zrabować żywność i odejść, tylko założyli tymczasową kwaterę, placówkę zwiadowczą. Trzy dni później w końcu odeszli, a na ich miejsce zjawili się Amerykanie w swoich ciemnozielonych ciężarówkach. Gospodyni zatrzymała ich, machając nad głową białym fartuchem, i poprosiła: „Przyjdźcie i wykopcie swoich martwych żołnierzy, leżą u mnie w piwnicy, zabierzcie ich spod mojego węgla”. Nie wszyscy się udusili. Jeden

z chłopaków, gdy go wyciągnęli, położony na zimnej, zmarzniętej ziemi podwórza, kaszlał i łapał haustami powietrze, z czarną twarzą, wypluwając ciemną flegmę i grudkowatą krew. Mimo wszelkich wysiłków nie potrafili mu przemówić do rozumu, przekonać go do otwarcia oczu, nie potrafili go zmusić do odłożenia hełmu, który wciąż przyciskał do twarzy, by móc oddychać.

Jo przebiegała spojrzeniem od łóżka do łóżka, jej oczy odnajdywały twarze sześciu leżących przed nią mężczyzn; patrzyła na nich, patrzyła na wylot przez nich. Ksiądz Hook z włosami domagającymi się strzyżenia, ich końce zaczynały się kręcić przy uszach, z piegami odcinającymi się wyraźnie od bladej skóry, z gęstymi rzęsami, tak jasnymi, że zdawały się przezroczyste, osłaniającymi oczy małego chłopca. Major Donahue, osłabiony i wyczerpany, wiecznie drapiący bliznę na prawym boku. Miał ciemne włosy i ciemne oczy i rozpaczliwie potrzebował golenia – oraz antybiotyków do zwalczania infekcji, z powodu której wciąż był zbyt słaby, żeby usiąść. Westchnął, przewrócił się na drugi bok i zaczął się znowu drapać. Spojrzała na Billa – *Billy'ego*, poprawiła się w myślach – opartego na poduszkach, zrolowanych kocach i złożonych żołnierskich mundurach wepchniętych pod to wszystko, by mu ułatwić oddychanie. Naprawdę był łyśy, widziała to teraz. Wszyscy inni byli rozczochrani i zarośnięci, nawet ona, lecz jego jajowata głowa pozostała gładka i lśniąca. Małe oczka za okularami w złotych oprawkach trzymał zamknięte i oddychał szybko, szybko, wiecznie za szybko. Naprzeciw, po drugiej stronie przejścia, James siedział na łóżku z kolanami podciągniętymi do potężnej piersi, z odwróconą twarzą. W tym tygodniu zdjęła mu bandaż. Skóra się wygoiła – nie była już zaczerwieniona i nie sączyła się, ale ściągnęła się w obłe guzki wokół kości policzkowych i oczodołu. Palce mężczyzny niepewnie badały ten nowy teren, śledziły grzbiety i doliny, bruzdy i szczeliny, jakby w ten sposób mógł powstrzymać proces zmian, przywrócić swoją prawdziwą twarz. I David. David powinien nie żyć. Cała jej wiedza medyczna podpowiadała, że do tej pory powinien umrzeć lub wydobrzeć, zamiast tkwić uwięziony w półświecie między życiem a śmiercią. Tyfus wkrótce miał zaatakować mózg, lecz coś – wtórna infekcja, mutacja choroby, może silny organizm chorego – nie pozwalało mu umrzeć i nie pozwalało wyzdrowieć, pozostawiając go w zawieszaniu. Jo patrzyła, jak leży nieruchomo (zbyt nieruchomo) na prawym boku, z szerokimi brwiami ocieniającymi oczy, z lśniącą czarną czupryną odcinającą się od chłodnej bieli skóry. Przypomniała jej się widziana kiedyś stara litografia Endymiona: wiecznie pięknego, wiecznie śpiącego, wtrąconego w nieprześlony sen, by bogini Selene mogła go odwiedzać i się z nim kochać, i urodzić mu pięćdziesiąt córek, które oglądał jedynie w sennych marzeniach.

– Panienko?

Gwałtownie ocknęła się z rozmarzenia.

– Tak, Jonesy?

Był na drugim końcu namiotu, prezentował się niewiarygodnie prozaicznie – rysy miał grube i nieharmonijne, krzywe zęby i wielkie uszy, nos, zdawało się, zajmował połowę twarzy. Nie było w nim nic niezwykłego.

– Może coś zrobić dla panienki?

– Nie, nic, Jonesy. Ale dziękuję. Chyba po prostu musimy czekać.

– Z całym szacunkiem, panienko, ale na co?

Nie odpowiedziała. Nie oczekiwał tego. Wciąż tylko tym się zajmowali. Czekaniem.

Czy została jakaś nadzieja? To pytanie zadawali niespokojni członkowie rodzin w szpitalu przyjmującym w centrum Nowego Jorku, zadawali je żołnierze, przynosząc rannych towarzyszy, krwawiących i nieprzytomnych, zadawała je samej sobie każdego dnia. Kłopot w tym, że obecnie nie potrafiła na nie odpowiedzieć ani trochę lepiej niż niegdyś. Zmagala się z odwiecznym dylematem każdej pielęgniarki. Czy gdy żołnierz umiera, należy mu o tym powiedzieć? Czy należy mu dać ostatnią szansę na pojednanie się z Bogiem albo z demonami, czy raczej skazać go na udrękę niedokończonego, niepełnego życia? A jeśli balansując na ostrzu noża między życiem i śmiercią, uzna słowa pielęgniarki za przepowiednię? Jeśli jego psychika usłuźnie się dopasuje? Jego serce zatrzyma się za sprawą czystej sugestii? Jeśli pielęgniarka spowoduje więcej szkody niż pożytku? Może istnieje jakaś nadzieja? Jo nie wiedziała. Nigdy nie wiedziała.

I wreszcie jaką rolę miała odgrywać w tym wszystkim wiara? Gdyby ją spytano wprost, Jo przyznałaby, że to wiara ją podtrzymuje. Problem tylko w tym, że już od dawna nie była zdolna jej odczuwać, znaleźć do niej dostępu. Modliła się słowami – pustymi, wyrażonymi przedmiotami grzechoczącymi jej w głowie – albo modliła się samym cierpieniem, lecz prawdziwej modlitwy już w sobie nie znajdowała. Wydawało się, jakby Jo McMahan w ogóle nie potrafiła jej z siebie wykrzesać. Czula się zbyt odrętwiała lub sparaliżowana, a może jakimś sposobem uodporniła się na tę cudowną, straszną siłę, jaką niegdyś miała dla niej modlitwa. Może po prostu była zbyt zmęczona. Zmęczona albo głodna, albo zmarznięta. Może to, co brała omylnie za pobożność w tamtym, cywilizowanym świecie, w rzeczywistości było pochodną dostępu do czystych prześcieradeł, centralnego ogrzewania i przynajmniej jednego porządnego posiłku dziennie. Może jej dobro i wspaniałomyślność zawsze stanowiły jedynie pochodną ogolonych nóg, uczesanych włosów i gorących pryszniców z mnóstwem piany – nie miały nic wspólnego z nią, z osobą, która przypisywała sobie za nie zasługę. Może Bóg krył się w pustce, w zimnie i bólu, w rozpaczach. Może wiarą było odnalezienie Go właśnie tam. Może nadzieją było już samo wyobrażenie sobie, że może się tam znajdować.

Spojrzała znowu na Davida i poczuła skurcz serca. Mruknęła: „Cholera, akurat tego mi trzeba – tylko nie to, nie teraz”. Otrząsnęła się i ruszyła energicznie do kąta namiotu.

– Chyba mimo wszystko może pan coś dla mnie zrobić.

Jonesy z nadzieją podniósł wzrok, wyglądał niczym szkaradny bulterier.

– Zna się pan choć trochę na radiostacjach? Nasza jest zepsuta, ale nie mam pojęcia, na ile poważnie. Może zechciałby pan na nią zerknąć?

Ochoczo przyjął urządzenie z pękniętą na pół obudową i zaczął je obracać w rękach we wszystkie strony.

– Spróbuję, panienko.

Twarz mu promieniała. Tkwił już zanurzony w innym świecie – chłopiec majstrujący przy nowej zabawce. Podała mu stary śrubokręt, a on go wziął, po czym, nie podnosząc wzroku, zaczął delikatnie stukać w skrzynkę, potrząsać nią, unosić do ucha i znowu potrząsać.

Jo potrzebowała zajęcia. Musiała nieustannie się krzątać. Tyle wiedziała.

Opróżniła nocniki, wygładziła prześcieradła i koce. (Nie powinna tego robić, od słodkawego odoru niemytego ciała Davida zakręciło jej się w głowie). Zagotowała wodę na kawę, ale kawa się skończyła, zaczekała więc, aż płyn nieco wystygnie, i dała żołnierzom gorącej wody do picia. James nie chciał się do niej odezwać, nie chciał na nią spojrzeć, zasłaniał twarz ręką, kiedy podchodziła. Gdy jednak po raz setny zapytała księdza Hooka, czy może dla niego coś zrobić, nie zaprzeczył od razu.

– Proszę księdza? Czy coś...?

– Czy mogłaby... czy mogłaby panienka usiąść przy mnie na chwilę?

Przyciągnęła skrzynię do pakowania i powoli usiadła.

– Byłem... było ze mną bardzo źle – zaczął. Jo zmierzyła mu puls i automatycznie położyła dłoń na jego czole, ale uśmiechnął się lekko, naprawdę, i podjął: – Nie, nie, panienko, nie w tym sensie. Nie chodzi o to, że poczułem się gorzej fizycznie. Raczej jakbym się znalazł w bardzo mrocznym miejscu. I... i to było straszne – dodał po prostu. – Ale chyba właśnie dotarłem na drugi brzeg. Zdaję sobie sprawę, gdzie jestem i co się wydarzyło, i że panienka była tu cały czas, pomagając, a ja nic nie robiłem... w każdym razie tak to wygląda, jakbym nic nie robił. – Zapłatał się zupełnie, lecz uśmiechnął się, prostodusznie, do samego siebie. – Niech panienkę za to Bóg błogosławi.

Wciąż wyglądał strasznie – blady, rozczochrany i chory – ale wyraz zagubienia, pustki zniknął z jego oczu. Bardzo cicho zapytała:

– Chciałby ksiądz porozmawiać o tym, co się stało?

Jego twarz spochmurniała na chwilę. Potem westchnął energicznie.

– Nie, ale chyba powinienem, w każdym razie ten jeden raz.

Nastąpiła długa pauza, tak długa, że Jo sądziła, iż zmienił zdanie. Zaczął nagle w połowie zdania.

– I skakaliśmy, tak samo... tak jak zawsze. Młodszych oblatywał strach, „oblatywała religia”, jak mówili. Prosimi, żeby ich wyspowiadał, nawet jeśli nie byli katolikami. Starsi wyśmiewali się z nich i klęli, ale to było okej, wszyscy wiedzieliśmy, że w środku jesteśmy tacy sami. Każdy wierzy w Boga tuż przed skokiem. Więc to zrobiliśmy... to znaczy skoczyliśmy. Nie noszę broni, wie panienka o tym, dlatego zawsze starali się mieć mnie na oku, zawsze jeden albo dwóch trzymało się blisko, żeby mnie osłaniać, jak się zacznie ostrzał. Im ciężiej nagrzeszą, tym cenniejszy się staję – dodał z ironicznym uśmiechem.

Nastąpiła kolejna pauza, zanim podjął, tym razem cichszym głosem.

– Była noc i kiedy znaleźliśmy się bliżej ziemi, pojawiły się podmuchy wiatru. Ciskało mną we wszystkie strony... przez chwilę nie wiedziałem, gdzie góra, a gdzie dół. Potem nagle znalazłem się bardzo blisko paru gości, na tyle blisko, by usłyszeć, jak do siebie krzyczą. Cięli linki, uwalniali się od uprzęży... Spadaliśmy szybko nad wodę, widać było, jak migocze pod nami. Chcieli się uwolnić od spadochronów, zanim w nią wpadną, żeby się nie zaplątać, gdy będą płynąć. Potem nagle do mnie dotarło... pewnie kiedy zobaczyłem budynki tak blisko... i wrzasnąłem, żeby tego nie robili, że to nie woda, tylko asfalt. Asfalt potrafi tak błyszczeć, panienka, kiedy wyjdzie księżyc. Ale było za późno i rąbnęli, to znaczy musieli w niego rąbnąć z prędkością stu kilometrów na godzinę.

Po jego dziecinnym policzku spłynęła łza i Jo podziękowała za to Bogu. *Proszę,*

Boże, pozwól mu opowiedzieć najgorszą część, pozwól, żeby to z siebie wyrzucił.

Wzięła go za rękę, nie cofnął jej.

Uśmiechnął się, lekko skrępowany. A potem zaczął znowu, siąkając i wycierając nos rękawem.

– Jak powiedziałem, było naprawdę wietrznie. Jakimś sposobem mój spadochron poderwał się znowu w górę... nie, raczej w górę i na bok, nie w stronę budynków, ale... rósł tam rząd drzew, naprawdę wielkich drzew, widać było ich czarne sylwetki na nocnym niebie, i otarłem się o jedno... nie całkiem otarłem, jak panienka widzi. – Delikatnie położył swobodną rękę na brzuchu. – Pamiętam, jak krzyknąłem, tak strasznie zabolalo, ale zaskoczyło mnie, kiedy dotknąłem ziemi, to znaczy byłem cały, żyłem i w końcu wylądowałem tak miękko. Jak na materacu.

Patrzył na wylot przez Jo. Była tam, lecz jej nie było, stała się kanałem umożliwiającym mu mówienie, lecz nie potrafiłby już stwierdzić, że mówi do niej, nie potrafiłby już stwierdzić, że Jo w ogóle się przy nim znajduje.

– A potem... podniosłem wzrok. I... wszyscy pozostali nadal byli tam w górze.

Łzy płynęły teraz swobodnie po obu stronach jego perkatego nosa. Płakał cicho i bez skrępowania.

– Byli tam w górze, krzyczeli, wszyscy. Uwięźli... zostali... nabili się na gałęzie. Przechodziły przez ich ciała... szamotali się w górze, wyszedł księżyc, widać ich było wyraźnie... jak się miotają, wyją, wciąż krzyczą... Dobry Boże, panienko – zakończył z dreszczem, nagle zauważając Jo, powracając do niej z piekła, gdzie został uwięziony. Rozluźnił palce, którymi ścisnął jak w imadle jej dłoni. – Dobry Boże – powtórzył cicho, patrząc jej prosto w oczy, przerażony chłopiec płaczący wśród nocy.

Nachyliła się i otarła mu łzy.

– Już po wszystkim, proszę księdza. To już minęło.

– Umarli. Umarli i ja też chciałem umrzeć.

– Ale ksiądz nie umarł. Znajduje się ksiądz tutaj. Nic księdzu nie jest. – Po czym powtórzyła znowu, rozważnie i wolno, jakby mówiła do bardzo małego dziecka, jakby jej słowa mogły sprawić, by stało się to rzeczywistością: – To już minęło.

Była na granicy załamania. Wiedziała o tym. Chodziło nie tylko o jej fizyczne ja, lecz także o tamtą Jo w środku – wiedziała, że jest z nią bardzo źle. Widziała swojego zmarłego brata i omal nie popełniła samobójstwa, a prawdopodobnie najgorsze dopiero ją czekało. Czowała, że nie została jej ani odrobina odwagi czy siły, cień pewności co do przyszłych losów jej, pacjentów, co do przyszłości całego przeklętego świata. Gdy jednak podniosła się i obolała ruszyła do przedniej części namiotu, była pewna jednego: że właśnie zachowała się jak pielęgniarka. Że to było ważne. Spędziła przy pacjencie tylko kilka chwil, ale wiedziała, czego dokonała, kim była. Była pielęgniarką. I zaskoczyło ją, jakie uczucia wciąż budzi w niej ta świadomość.

Dotąd nie była pewna, czy potrafi jeszcze coś poczuć.

Przejrzała ostatnie racje, szukając czegoś do jedzenia. Robiło się coraz ciemniej, więc musiała zapalić niewielką spirytusową lampkę, którą znalazła wcześniej spakowaną. W delikatnym blasku obracała w dłoniach puszkę, by przeczytać etykiety: otwarta racja B (stęchłe suchary i twarde landrynki, bez cukru i kawy, które już wykorzystali), puszka

gulaszu mięsno-warzywnego, puszka mięsa siekanego z warzywami. Wiedziała, że mogłaby zjeść obie i nadal czułaby głód, tymczasem próbowała wykombinować, jak nakarmić cały namiot zaledwie jedną z nich. Drugą musiała zostawić na następny dzień.

Zdecydowała się na siekane mięso i sięgnęła po otwieracz do konserw wiszący jak zwykle na zardzewiałym haku. Przypomniła sobie, jak kiedyś, jeszcze w Anzio, trzymała za rękę pacjenta pooperacyjnego i uspokajała go cichymi słowami, miękkiem dotykiem, podczas gdy któraś z nowych pielęgniarek narzekała, że nie może znaleźć otwieracza. Jo wciąż miała w uszach jej zgrzytliwy, irytujący głos, drażniący, nawet jeśli nie wyszło się właśnie z sali operacyjnej. Długo starała się wytrzymać, w końcu obróciła się do młodszej dziewczyny. „Możesz się trochę uciszyć? Wisi tutaj”, i poczuła, jak dłoń pacjenta nagle zwiotczała, a niemal równocześnie na zewnątrz rozległa się ostra seria z karabinu. Nowa pielęgniarka, wciąż jęcząc, rzuciła się na ziemię, więc Jo spojrzała na nią pogardliwie. Kiedy odwróciła się z powrotem do pacjenta, serce podeszło jej do gardła. Zaraz przy łóżku, na którym leżał wysoko podparty i zaintubowany, ucząc się oddychać, płótno przecinał świeży, równiutki szereg dziur po kulach, przez które wpadał płomienny blask zachodzącego słońca. Kończący się dokładnie w miejscu, gdzie siedziałyby Jo, gdyby się nie odwróciła akurat w tym ułamku sekundy. Pociski przeorały płótno namiotu i szyję mężczyzny, a jego odcięta głowa leżała na ziemi. Trzymała za rękę zdekapitowane ciało. Zerwała się, puszcając martwą dłoń, i potknęła się o wciąż leżącą na ziemi nową dziewczynę. Wypadła na zewnątrz, na drugi koniec namiotu, i wymiotowała, wymiotowała, aż nie mogła więcej.

Jo skaleczyła się w palec ostrą krawędzią wieczka. Wyssała ranek – smakowała solą i cuchnęła karmą dla psów. Zaczęła nakładać porcje do metalowych misek, ale papka skończyła się zbyt szybko, musiała podzielić jeszcze raz od początku. Nie było szans, by podgrzać posiłek – paliwo do piecyka na ropę skończyło się tego popołudnia. Kilka nocy wcześniej Clarkowi wydało się, że coś słyszy, więc palenie ognia zostało zakazane. Temperatura wahała się tuż powyżej zera. Nieokreśloną breję, którą Jo miała przed sobą, pokrywała tłusta, oleista powłoka; była tak głodna, że z największą radością zjadłaby wszystko, wylizła wnętrze puszki, ostre wieczko. Racja była po prostu za mała, by ją rozdysponować na siedem osób. Gdyby ją podzielić na sześć części, być może każdy z żołnierzy otrzymałby kęs pożywienia. Jo nałożyła sześć porcji.

Zadrzała, kiedy uderzył ją zimny powiew. Była odwrócona plecami do wejścia namiotu. W ułamku sekundy, jaki zajęła jej decyzja, by się obejrzeć, po tym gdy strząsnęła resztkę mięsa z łyżki, do głowy przyciśnięto jej lugera.

Nawet czując, jak ktoś od tyłu obejmuje ją ramieniem za szyję i przyciąga do siebie, pilnowała jedzenia i zdołała je ostrożnie odstawić na ławkę. Przepęłniły ją zadowolenie i duma, jak gdyby znajdowała się poza swoim ciałem i obserwowała rozwijającą się scenę. Nie upuściła jedzenia.

Mając obie dłonie wolne, spróbowała odsunąć przedramię mężczyzny. Pod ciemną wełną było silne i twarde jak żelazo. Osiągnęła tylko tyle, że zdołała opuścić podbródek, wklinować go między rękę napastnika a swoje posiniaczone gardło. Zakaszła, przełknęła ślinę i złapała szybki oddech. Krawędź lufy wwierała się jej w skroń. Zatem Niemcy przybyli. Od zawsze wyobrażała sobie ich nadejście – w Afryce Północnej, we

Włoszech, we Francji, tutaj. W jej snach byli potężni, nadludzczy, wysocy, mroczni i bezlitośni. Napastnik ochryple szeptał jej rozkazy, nie ośmielając się podnieść głosu, lecz mimo to Jonesy podniósł wzrok od swojego zajęcia i otworzył usta. Niemiec chwycił Jo mocniej, gwałtownie poruszył łokciem, podkreślając przesadnym gestem, że ma ją pod kontrolą, i z powrotem przystawił pistolet do jej czaszki. Ostrzegając Jonesy'ego, groził mu śmiercią pielęgniarki. Amerykanin nie musiał znać niemieckiego, by zrozumieć. Zamknął usta i gapił się oniemiały. Billy zamrugał, a jego płytki oddech przyśpieszył, major Donahue z wysiłkiem podniósł się do pozycji siedzącej i podobnie Hook – Jo zauważyła, że twarz księdza napięła się z bólu, gdy usiadł zbyt szybko jak na pierwszy raz (*Mam nadzieję, że szwy wytrzymają*, przemknęło jej przez myśl). James zwrócił głowę w kierunku, skąd dobiegł szmer, i spytał, co się dzieje. Hook próbował go uciszyć, lecz tamten powtórzył pytanie donośniej i głos Niemca zabrzmiał z większym gniewem.

– James, po prostu niech pan siedzi spokojnie – odezwała się Jo z takim opanowaniem, że zaskoczyło to ją samą. – Proszę nic nie mówić.

– Ale co...

Niemiec znów rzucił jakiś rozkaz. Powtarzał tę samą frazę raz po raz wolno, dobitnie, rozbijał ją na sylaby, na małe fonetyczne kęsy. Jo pomyślała, że jeden z nich brzmi jak angielskie słowo *why* – dlaczego.

Spuściła wzrok na Davida znajdującego się tuż przed nią. Oczy miał otwarte, ale czy ją widział, czy widział wroga, nie wiedziała – wyraz jego twarzy był nieprzenikniony.

Uderzyła kostką o nogę biurka i mimowolnie zmieniła pozycję, potykając się lekko i wpadając na tors mężczyzny. Poczuła, jak się wzdrygnął, a jego uchwyt na chwilę osłabł. Usłyszała, że ostro wciągnął powietrze.

– Jest pan ranny... – zaczęła.

Podjął swoją recytację, lecz tym razem z zauważalnym wysiłkiem, mamrocząc niewyraźnie niektóre słowa, zaczynając od początku.

Spróbowała się obrócić twarzą do niego. Omal nie krzyknął na nią ostrzegawczo, lecz się pohamował. Głos miał napięty, jakby cierpiał. Poczuła, że jego ciało drży. Uznała z pełnym przekonaniem, że nie zastrzeli jej od razu, i nagłym wysiłkiem przekręciła się w jego ramionach. Znajdowała się teraz przerażająco blisko, wtulona w niego, z głową na wysokości dwóch trupich czaszek na jego kołnierzu. Poczuła, jak przyłożył pistolet do jej lewej skroni, znajdującej się po jego prawej stronie, jak objął ją ciasno w pasie, przyciągając gwałtownie i nieustannie powtarzając coś, czego nie rozumiała, a co koniecznie chciał jej przekazać. Pożałowała, że nie nosi niczego oznaczonego czerwonym krzyżem: służbowego uniformu, czegokolwiek.

– Pielęgniarka – powiedziała, próbując wskazać na siebie, ale ręce miała przyciśnięte do boków.

Odszukała palcami krawędź biurka, wymacała stetoskop, chwyciła go i uderzyła nim o blat, by zwrócić uwagę żołnierza.

– Pielęgniarka. Mogę pomóc.

Mężczyzna umilkł, zerknął szybko na przedmiot w jej dłoni i o coś zapytał.

– Przykro mi. Nie rozumiem niemieckiego. – A potem, z wysiłkiem, próbowała: – *Ich spreche kein Deutsch*. Chyba.

Poluźnił lekko uchwyt, na tyle tylko, by szybko odsunąć się od niej, zerknąć jej w twarz, by ją wysondować. Spojrzała w przymknięte z bólu niebieskie oczy. Gdy odchyliła głowę, jego podbródek z dołkiem znalazł się wprost przed nią. Widziała drobne cętki złotego zarostu. Popatrzyła znowu na niewielkie czaszki na jego kołnierzu – przywodziły na myśl Halloween, dzieci przebrane za kościotrupy, dynie wyrzeźbione w śmiertelne maski, oświetlone świeczkami, śmiechy. Wciąż przyciskając pistolet do jej głowy, żołnierz puścił ją i cofnął się o krok. Mogła zobaczyć, że jego długi płaszcz jest rozpięty, a mundur pod spodem ma odcień głębszej czerni – zasychającą krew i wielką plamę na brzuchu. Szybko wypuściła powietrze i sięgnęła do szuflady biurka. Natychmiast znów znalazła się w śmiertelnym uścisku, żołnierz niemal krzyczał.

– Och, dobry Boże – poskarżyła się, tupiąc nogą ze zniecierpliwienia. – Proszę, niech pan sam otworzy.

Dała gestem znak, by odsunął szufladę. Zrobił to, a wtedy sięgnęła do środka po rolki bandażu i ułożyła je w stos na blacie. Przysunęła bliżej lampkę spirytusową i opadła na kolana, odsuwając pasy zakrwawionego sukna. Z jakiegoś powodu nagle coś wywołało jego cierpienie, złapał ją za ręce, na moment zapominając o broni, po chwili przypomniał sobie i ponownie przycisnął pistolet do jej głowy, lecz nieustannie o coś błagał.

– Nie rozumiem – powiedziała, odsuwając jego wolną rękę, próbując zobaczyć. – Mógłbyś się na chwilę uspokoić? – rzuciła bardziej do siebie, wiedząc, że prośba brzmi dla niego równie niezrozumiale co jego słowa dla niej.

Oczyściła ranę, dotykając jej gazą w półświatle, przemyła ją przegotowaną wodą pozostałą w lodowatym czajniku. Ciągle wsuwał pistolet między nią a światło. Zdesperowana wyrwała mu lugera, jedynie po to, by włożyć mu go w drugą dłoń i unieść z powrotem do swojej głowy.

– Okej, świetnie, zastrzel mnie, skoro musisz, ale nie zasłaniaj światła.

Od tej chwili przestał się skarżyć i stał potulnie ze spuszczonej oczami. Jo uderzyła myśl, że tak właśnie postąpiłaby w takiej sytuacji Queenie, i uświadomiła sobie, że pierwszy raz myśli o przyjaciółce bez wrazenia, że pęknie jej serce; że może o niej myśleć i nawet uśmiechać się lekko, jak gdyby Queenie żyła, jakby miała zaraz wejść do namiotu i zaśmiewać się z opowieści, jak to Jo wyrwała broń jakiemuś Niemcowi, by mu ją zaraz oddać.

Nakryła ranę gazą i zaczęła bandażować. Długimi pasami musiała okrążyć tułów mężczyzny od tyłu, a następnie z przodu. Sięgając za niego, by przełożyć rolkę z ręki do ręki, owijając i przekładając znowu, oparła się o niego policzkiem. Poczowała, że Niemiec drży. Nadal trzymał broń przy jej głowie, lecz pistolet zwisał teraz niezgrabnie, niepewnie, jak gdyby został tam, bo nie wiedział, co ze sobą zrobić. Skończyła i wyprostowała się. Żołnierz wciąż ją przytrzymywał, ale słabo. Broń symbolicznie muskała jej ramię.

– Powinieneś się poddać – rzuciła odruchowo, lecz powiedziała to bez przekonania. Nie wiedziała, co Clark zrobiłby rannemu, komuś, od kogo łatwiej wydobyć informacje.

Dla człowieka takiego jak Clark konwencja genewska znaczyła niewiele. Wzdrygnęła się, nigdy by nie uwierzyła, że może to tak wyglądać: że wróg może mieć twarz, budzić w niej uczucia. Niemiec pokręcił wolno głową, nie rozumiejąc.

– No dobrze – mruknęła i rozejrzała się wokół. – Pewnie umierasz z głodu.

Zerknęła na jedzenie, a on podążył za jej wzrokiem.

– Chyba mimo wszystko mogę to podzielić na siedem części. – Sięgnęła po miskę i mu podała.

Nie drgnął. Patrzył jej prosto w oczy z dziwnym wyrazem twarzy.

– Śmiało, to naprawdę nic nadzwyczajnego – zachęciła z uśmiechem. – W kraju regularnie musiałam opuszczać posiłki.

Wciąż się nie poruszył.

– Boisz się, że ci tutaj zaczną się awanturować? – Uśmiechnęła się znowu. – Myślę, że nic ci nie grozi bez tego pistoletu, ale skoro nie potrafisz się z nim rozstać...

Nabrała trochę jedzenia i podała mu na łyżce. Zjadł łapczywie. Nakarmiła go znowu; drobinka przywarła mu do górnej wargi. Jo zdrapała ją i podała mu kolejną porcję. W misce znajdowało się tylko kilka łyżek potrawy, ale miała wrażenie, jakby czas się zatrzymał. Trwali tak od zawsze: mężczyzna i kobieta zamknięci w dziwnym uścisku, z naładowanym pistoletem zawieszonym bezsilnie między nimi.

W końcu spuściła wzrok. Wróciła do rzeczywistości. Ludzie Clarka mogli wrócić w każdej chwili – na myśl o tym zrobiło jej się niedobrze.

– Lepiej już idź – zasugerowała i stwierdziła, że szepcze.

Wyminął ją, zmierzając do tylnego wyjścia.

– Nie... – zawołała, wyciągając rękę w ostrzeżeniu.

Zawahał się, obejrzał zaskoczony.

– Do jasnej i ciężkiej cholery, jak to będzie po waszemu? – I wyjaśniła, wyteżając mózg, licząc, że angielskie słowo brzmi podobnie: – W tamtym kierunku są miny. Miny lądowe.

– *Landminen?* – spytał Niemiec wstrząśnięty, z szeroko otwartymi oczami.

Zamknęła powieki i cicho podziękowała Bogu.

– Tak, zrozumiałeś. *Landminen*.

Pośpieszył do frontowego wyjścia, lecz nagle się zatrzymał, odwrócił i zdecydowanym krokiem wrócił do niej.

– *Sie sind der letzte wahre Mensch in Frankreich.*

A potem ją pocałował.

Przyciągnął ją do siebie. Znowu poczuła dotyk pistoletu w jego zaciśniętej dłoni, lecz tym razem była to kolba, a on tulił ją i całował. Słyszała przy uchu tykanie jego zegarka i szmery żołnierzy poruszających się ze skrzypowaniem na łózkach. Czuła się odległa, chłodna i zdystansowana, lecz nagle pękła w niej jakaś sprężyna, trybik, kółko zębate, tama, która odcinała ją od myśli, od uczuć, żywą, a przecież martwą przez te wszystkie miesiące. Okowy instynktu samozachowawczego opadły i wszystko powróciło z niepowstrzymaną siłą. Miłość do Gianniego, udręka po jego śmierci, po śmierci wszystkich, których kochała – słyszała Dziadka nucącego swoją rymowankę i widziała roześmianą Queenie, gdy ciężarówka odjeżdżała w noc, trzymała za rękę chłopca, którego głowa patrzyła na nią z ziemi. Każdy obraz i każdy dźwięk, wszystko, czego była świadkiem, lecz czego nie czuła – runęło lawiną, to, co dobre, wraz z tym, co złe. Pocałowała więc tego mężczyznę, swojego wroga, postać, która prześladowała ją w snach

od rozpoczęcia wojny, i przekonała się, że Niemiec jest po prostu drugą zagubioną, zranioną i samotną istotą ludzką. Został odcięty od przyjaciół, od swoich rodaków tak jak ona, był głodny, skostniały z zimna i szukał kogoś tak jak ona. Objęła go za głowę i stwierdziła, że musi stanąć na czubkach palców, by dosięgnąć jego chętnych ust, ale tak zrobiła, i pragnęła go. Pragnęła znowu. Czowała. Potem mężczyzna zniknął, wybiegł z namiotu, a Jonesy wołał Clarka, kogokolwiek, wzniesając alarm.

Jo sięgnęła po najbliższą miskę, która wydawała się nic nie ważyć w jej dłoni; sprawdziła dwa razy, by się upewnić, że w środku coś jest, że naczynie nie jest puste. Przesiedziała przy Davidzie pięć minut, lecz mimo wszelkich jej wysiłków nie chciał jeść. Delirium wracało, był na nią wściekły, obrzucił ją jakimś szkockim przekleństwem, które nawet nie wymagało tłumaczenia. Słyszała swój głos – był to jej głos, lecz zarazem nie jej: zbyt spokojny, zbyt cichy. Chciała krzyknąć, a jedynie szeptała do Jamesa, wkładając mu miskę w dłoń – tak, Niemiec odszedł, nie, nie zrobił jej krzywdy, to był po prostu żołnierz oddzielony od swojej jednostki. Druga miska trafiła do księdza, nachmurzonego i skrzywionego, Może oburzyło go swobodne zachowanie Niemca, a może coś go bolało, nie umiała określić. Major Donahue zjadł i Billy zjadł, a gdy zdołała przekonać Jonesy'ego, by przestał wrzeszczeć i walić metalem o metal – „Chce pan tu ściągnąć całą niemiecką armię?” – on również zjadł. Wciąż szeptała, uciszała rozmawiających mężczyzn. Nie wiedziała, czego nasłuchuje, lecz słuchała. Zebrała miski i umyła je w najdalszym kącie namiotu, przy tylnej klapie prowadzącej na pole minowe. Wytarła je, cały czas biorąc lekkie półoddechy, oddychając płytko, wyęzając słuch wśród ciszy. Złożyła miski – jedna, na niej następna i kolejna – czując, że popada w obłęd, że wszystko zależy od tego, czy ułoży naczynia idealnie równo, geometrycznie. Odstawiła je, sięgnęła po nie znowu i wtedy to usłyszała.

Śmiech. Z początku nie wiedziała czyj – nigdy nie słyszała, by ten mężczyzna się śmiał – lecz był odrażający, złowrogi i znaczący. Doleciała jej uszu stłumiona wymiana zdań, kolejny cichy chichot, a potem słowa: „Ona ma w środku światło, możemy go tam przeszukać”, i wszedł uśmiechnięty Clark – Boże, był taki piękny. Nienawidziła go, życzyła mu śmierci. Dalej kilku jego ludzi dźwigających coś ciężkiego i długiego, ciemnego na tle ciemności panującej na zewnątrz. Jednemu z żołnierzy materiał wymknął się z ręki i niesiony przez nich przedmiot zmienił położenie – były to zwłoki. Ręka opadła bezwładnie i Jo zobaczyła na niej zegarek, usłyszała tykanie przez cały namiot, przez cały dzielący ich wszechświat, upuściła miski, które zadzwoniły dysharmonijnie jedna o drugą, zakłócając ciszę, a potem wrzasnęła.

– Nie dotykajcie go! – Nigdy nie krzychała tak głośno. Dźwięk wyrywał się z jej gardła poza kontrolą, nienawiść paliła jak kwas. – Odsuńcie się od niego, do kurwy nędzy, odejdźcie od niego!

Zauważyła, jak oczy Clarka na moment przebudziły się do życia, stały się ogromne i przestraszone, potem zdezorientowane, zauważyła nawet, że cofnął się o krok.

– Nie, Boże, nie.

Szłochwała bardziej niż wtedy, gdy zginął Gianni, po policzkach płynęły jej łzy rozzwierającej udręki. Rzuciła się na zmieszanych mężczyzn, drapiąc ich jak mściwa furia, wyrwała im ciało z rąk i uczepiła się czarnego płaszcza, czerwonego kołnierza.

Clark oprzytomniał.

– Zabrać go stąd, kurwa, zabrać go na zewnątrz! – krzyknął i chwycił Jo od tyłu, unieruchamiając jej ręce za plecami.

Uderzyła go głową w podbródek. Zaklął, gdy pękła mu warga, i runął na ziemię razem z nią, spróbował ją przygwoździć do podłoża, plując krwią i wrzeszcząc ponownie: „Zabierzcie go stąd!”. Jo miotła się, podczas gdy żołnierze wycofywali się pośpiesznie, upuszczając ciało, wywlekając je na zewnątrz za nogi. Szarpała się, aż siły zupełnie ją opuściły, aż zwiotczała w ramionach Clarka, płacząc i wołając, a potem już tylko skowycząc żałośnie jak wychłostany pies. Puścił ją, odepchnął od siebie nogą z wyrazem grozy i obrzydzenia na twarzy. Rozdzielała ich nieprzebyta otchłań. Zwinęła się w kłębek i leżała, dygocąc, zaciskając w zakrwawionej dłoni przypinkę w kształcie trupiej czaszki.

KAY ELLIOTT

LUTY 1945, OBÓZ INTERNOWANIA SANTO TOMAS, MANILA, FILIPINY

Dzisiaj samoloty. Amerykańskie. Poznają po dźwięku. Proszę, Boże, niech zdążą.

Kay i pozostałe pielęgniarki zeskoczyły z paki ciężarówki i stanęły przed imponującym budynkiem.

– Santo Tomas – oznajmiła radośnie Sandy, przypinając nieposłuszne pasmo włosów wygiętą szpilką. – Był tu wielki uniwersytet. Czytałam o nim w broszurce jakiegoś biura podróży. Wyobraź sobie, Kay, że marzyłaś, by tu przyjechać.

Sandy spojrzała z niepokojem na przyjaciółkę, która gapiała się pustym wzrokiem na balkony, wieżę zegarową, krzyż wznoszący się wysoko ponad wszystkim.

– Dlaczego krzyż wciąż tu jest? Czemu Japończycy go nie zdjęli? – spytała Kay, mrużąc oczy w słońcu. *Może jest za wysoko. Może jeszcze nie zdolali go osiągnąć.*

Dziewczęta przeszły przez główną bramę, lecz żołnierze gestami bagnatów kazali im zawrócić i wejść do innego budynku po przeciwnej stronie ulicy. „Santa Catalina”, głosił napis. „Dormitorium dla dziewcząt”. Pielęgniarki zgromadziły się na parterze. Zanim je popędzono na piętro, Kay mignęły postaci w długich płóciennych szatach, gładkich i przewiewnych, sądząc z wyglądu, być może tradycyjnych lokalnych, wkładanych przez kobiety – ale z jakiej okazji? Co było do świętowania podczas wojny? Kto się stroił na drogę do piekła? Po chwili zrozumiała: oczywiście były to zakonnice, odizolowane i uwięzione tak jak wszyscy. *Zakonnice nie mają innych ubrań.*

Oficerowie skonfiskowali im chlebaki, cały dobytek – przeszukali go i zwrócili, po czym przesłuchali kobiety, każdą osobno.

– Muszę wejść z nią – oświadczyła Sandy, pomagając Kay wstać.

– Czemu? Co z nią nie tak? – dopytywał strażnik, wskazując gestem brzuch Kay i jej głowę.

– Nic, zupełnie nic – zapewniła Sandy i uśmiechnęła się słodko czerwonymi ustami. – Jestem jej najlepszą przyjaciółką, mogę odpowiedzieć na wszystkie pytania, jakie chcielibyście jej zadać. Urodziła się w Mount Carmel...

– Co jest z nią nie tak? Czemu nie odpowie sama?

Sandy przygryzła umalowaną wargę, by nie odparować: „Bo zabiliście jej męża, łajdaki. Zamordowaliście ojca jej dziecka, zapewne przejechaliście mu po brzuchu i zostawiliście, by się wykrwawił na śmierć w dżungli, wy skurwysyny”.

Z jej ust padło jedynie:

– Jest trochę zmęczona po podróży, to wszystko.

Zostały w dormitorium sześć tygodni. Dwa razy dziennie – nigdy z zakonnicami, zakonnice już nie zobaczyły – wolno im było zejść na dół na posiłek złożony zwykle z ryżu,

mięsa bawołów wodnych *carabao* i papai, pierwszego świeżego owocu, jaki otrzymały od wyjścia z tunelu. Nikt nie przybywał i nikt nie wychodził na zewnątrz – otaczające budynek, kryte strzechą chaty z mat *sawali* zmieniały go w izolowaną wyspę, odciętą od reszty Manili, od reszty świata.

– Jak myślisz, czemu nas tu trzymają? – spytała z niepokojem jedna z pielęgniarek.
– Oszczędzili nas, żeby z nas zrobić swoje konkubiny?

– Nie sędzę – odparła trzeźwo Sandy, zakręcając ponownie loki, które oklapły w wilgotnym powietrzu. – Powiedziałabym, że chodzi raczej o przepływ informacji. Pewnie nie chcą, żebyśmy od razu trafiły do wielkiego obozu i rozpowiedziały wszystkim, co widziałyśmy na zewnątrz. – Dziewczęta się wzdrygnęły. – Jakbyśmy mogły zapomnieć.

Kay zaczęła krwawić w trzecim tygodniu uwięzienia. Z początku były to jedynie plamienia. Powtarzała sobie, że miną, że to nic. Położy się i będzie więcej odpoczywać. Czasami krwawi się trochę, gdy dziecko się zagnieżdża, kiedy mości się na dobre. Nie mogła stracić go teraz, nie teraz – w dżungli tak, w zbombardowanym tunelu, rzucona na pace ciężarówki, w jeepie – lecz nie teraz, nie mogła stracić synka tutaj. Nadszedł jednak dzień, kiedy nie ulegało wątpliwości – to krwotok. Pozostałe pielęgniarki usłyszały przez cienkie, ratanowe przepierzenie jej krzyk, jej płacz i zawodzenie, gdy traciła dziecko wraz z krwią. Potem była przy niej Sandy, która powtarzała: „Już, już, skarbie, wszystko będzie dobrze, dojdiesz do siebie”, ale tak się nie stało, nie doszła do siebie, nigdy nie miała dojść do siebie. Jej serce pękło. Dziecko było jedynym, czego się mogła uchwycić, jedynym, co ją trzymało przy zdrowych zmysłach. Teraz, gdy je straciła, straciła siebie.

– Dziecino, dziecino – nuciła Sandy nieświadoma, jak bardzo to słowo rani, zmieniając podkładki z gazy, oceniając rozmiary krwotoku, zerkając na robactwo w kątach brudnej umywalni. – Kto wie, co nas tutaj czeka – dodała, spoglądając na obóz jeniecki. – Nie mogłaś urodzić tego dziecka, to by cię zabiło. Założę się, że będzie tam bardzo mało jedzenia dla jednego, nie mówiąc o dwojgu. Nie płacz, dziecino, tak jest lepiej, tak jest naprawdę najlepiej.

Ale Kay straciła siebie, nie zostało jej już nic.

– To było wszystko, co miałam – wyjąkała, gdy pielęgniarki szybko zmieniały prześcieradła, myły brudne stopy Kay przed ułożeniem jej w łóżku, ratując przyjaciółkę wykrwawiającą się wśród otaczającego ją plugastwa, infekcji i tropikalnego żaru.

– To było wszystko, co miałam – powtórzyła, zaczynając dygotać spazmatycznie.
– Teraz straciłam Aarona. Teraz straciłam go na dobre.

Jeden z samolotów przemknął nad obozem niskim lotem koszącym. Japończycy krzyczeli na więźniów, by wstawali, by się wynosili z dziedzińca, lecz Kay leżała tam, gdzie upadła, uznana niesłusznie za jeszcze jedne zwłoki. Z jej zapadniętymi oczami i sterczącymi kośćmi trudno było ją odróżnić od zabitych.

Nadleciało dziesięć maszyn. Liczyła je starannie na palcach, spoglądając przez liście palm. *Dzięki Bogu, dzięki Bogu*, myślała raz po raz. Nie za to, że przybywali, by ocalić ją czy jej dziecko albo kogokolwiek z uwięzionych. Mieszkańcy obozu wymierali zbyt szybko. *Dzięki Bogu* znaczyło, że istnieją, że są realni, że wreszcie tu dotarli. Przybywali z innego świata. Z wolnego świata. Świata, o którym internowani prawie

zapomnieli.

Coś spadło z nieba, jeden z dzieciaków podbiegł i to podniósł. Trzymał to w rękach całe dziesięć sekund, zanim japońcy go dopadli, chwycili za włosy na potylicy, podrywając z ziemi, a potem odrzucili na bok, skonfiskowali przedmiot i pośpieszyli do wnętrza. Chłopcu nic się nie stało – był małym zabijaką, Kay osobiście dwukrotnie nastawiała mu złamaną rękę – i zdążył przeczytać notkę, w którą owinięto parę amerykańskich gogli. Wieść rozniosła się po obozie niczym pożar w buszu. Za przekazywanie jej groziła śmierć, lecz kto mógłby mówić o czymś innym? Był dopiero luty, a notka głosiła: „Boże Narodzenie blisko. Wpadniemy dziś lub jutro”.

JO MCMAHON

WIOSNA 1945, FRONT ZACHODNI

– Mój wujek jest pułkownikiem – oświadczył Jonesy, podając Jo rolkę bandaża.

Zmieniała opatrunek księdzu Hookowi. Stan zapalny mijał, rany były zaróżowione na brzegach, lecz nie fioletowe, nie czarne. Mógł jeść, mógł pić – wyglądało, że wydobrzeje.

– Doprawdy? – Z trudem koncentrowała się na jego słowach.

Bolała ją skóra, podejrzewała, że złapała tyfus. Wszyscy pacjenci odrzucili koce i rozpięli kołnierzyki, lecz jej było zimniej niż kiedykolwiek.

– W korpusie kwatermistrzowskim.

– Niedorzeczność. Zmyśla pan.

Skrzywił się w swoim brzydkim, krzywozębym uśmiechu.

– Nie, panienko, to święta prawda. Przeszedł wszystkie szczeble kariery. Powinna panienka zobaczyć jego mundur. Puszy się jak paw... bo to nie byle co. Całkiem jak te grube ryby w kronikach filmowych. Nie wspomina tylko, w jakim korpusie służy. Zresztą na widok takiej ilości błyszczącego metalu wszyscy wpadają w popłoch i nie ośmielają się pytać.

Uśmiechnęła się, lecz zaraz przebiegł ją dreszcz. Poruszyła ramionami i każda krostka gęsiej skórki otarła się boleśnie o bluzkę. To sugerowało, że nadciąga choroba.

– Dzięki za pomoc, Jonesy. Z resztą chyba dam sobie radę.

– Panienko. – Pchnął fotel w stronę swojego łóżka.

Kiedy przechodziła przez namiot, bolały ją kolana.

– Jak się pan dzisiaj czuje, majorze?

– Zmęczony, panienko.

– Tak. – Westchnęła, oglądając jego ranę – zbyt długo gapiała się na nią, przez nią na moment odplynęła myślami.

– Wyjdę z tego, panienko? Coś nie tak? – spytał z niepokojem, na pół siadając.

Wróciła do rzeczywistości.

– Nie, wszystko w porządku, majorze. Goi się ładnie. Wdała się lekka infekcja, stąd to zmęczenie. Ale nie ma pan wysokiej gorączki i może pan jeść, co znaczy, że pozszywaliśmy pana jak należy. Jak tylko przybędą posiłki, napakują pana taką ilością penicyliny, że ani się pan obejrzy, jak będzie pan tańczył jiga.

Chyba poczuł ulgę, odetchnął głęboko.

– Nie zapomnę tego. Ocaliła mi panienka życie. Nie jestem pierwszym lepszym żołnierzem – przechwalał się z szerokim uśmiechem. – Dowolny awans, jaki tylko sobie panienka zażyczy, dowolny przydział, pociągnę za odpowiednie sznurki, wystarczy jedno panienki słowo.

Spojrzała na tego mężczyznę drapiącego się w roztargnieniu po wydatnym

brzuchu. Wiedziała, że mówi poważnie, naprawdę zamierzał spełnić obietnicę. Dla niego świat biurokracji wciąż istniał, wciąż się liczył. Sądził, że zrobi na niej wrażenie, że ona dba o to, ile złotych pasków, belek czy liści ozdobi jej galowy mundur. Cholera, pewnie sądził, że ona wciąż ma galowy mundur – że ma inny strój oprócz przesiąkniętego krwią, spranego oliwkowozielonego kombinezonu, który stale nosiła, a który zwędziła z szopy z zaopatrzeniem dla mechaników jeszcze w Tunezji, by móc swobodnie przestępować nad łózkami.

– Billy – zwróciła się do towarzysza majora, przysiadając na jego łóżku.

– Zapamiętała panienka. Billy.

– Tak, nareszcie. Potrzebuje pan czegoś przed zaśnięciem?

– Nie, proszę pani... to znaczy, nie, panienko. Oddychało mi się dzisiaj znacznie lepiej, najgorsze chyba minęło. To znaczy miałem kiepski okres, panienko, po tamtym zapaleniu oskrzeli i tak dalej, ale ani się panienka obejrzy, jak znowu ruszę walczyć na front.

– Jeśli mam tu cokolwiek do powiedzenia, wróci pan do kraju, do swojej dziewczyny i do pracy w ochronie przeciw nalotom – poprawiła.

Uszedł z niego cały entuzjazm. Chciała przejść dalej, zajrzeć do Jamesa i Davida i położyć się spać. Była wyczerpana, choroba ścinała ją z nóg, zjedli ostatnie resztki żywności. *Do diabła z tym, czy muszę ich trzymać za rączkę na każdym kroku?* Poczowała ból za oczami.

– Posłuchaj, Billy. – Skupiła się na nim, na jego wielkich, pełnych urazy oczach. – W domu zajmą się tobą. Nie będziesz chorował poważnie, więc nie będziesz miał ataków, czyli będziesz mógł wychodzić i wypełniać w kraju ważne zadania, które muszą zostać wykonane.

Wciąż wyglądał na zdruzgotanego. Wyteżyła pamięć, by wyłowić z niej urywki haseł, które skądś znała – z filmu? Z plakatu?

– Wszyscy siedzimy w tym razem, Billy. Walka w kraju jest tak samo ważna jak walka tutaj. W twoim wypadku nawet ważniejsza, bo na sto procent wracasz do domu i naprawdę będziesz mógł zdziałać coś dobrego.

To mu dało do myślenia, więc uchwyciła się tej szansy.

– Powiedz szczerze, jesteś gotowy się stąd zwinąć, co nie?

– T-tak, panienko.

– I dalej pomagać naszej stronie wygrać, tak?

– O tak, proszę pani... to znaczy, tak, panienko.

Jego twarz znowu stała się rozświetlona, promienna.

– Doskonale. – Poklepała go pokrępiającą po nodze, wstając.

Przeszła przez namiot, mamrocząc cicho: „Cholera”.

James odwrócił twarz, gdy tylko usłyszał jej kroki.

– Nie potrzebuję niczego, panienko – rzucił szybko, chcąc się jej pozbyć.

Kusiło ją, by usłuchać – wybrać łatwiejszą drogę, zyskać pięć minut snu więcej. Zbliżyła się jednak do jego łóżka i spytała:

– Nie ma pan nic przeciwko, jeśli na chwilę usiądę?

Twarz miał odwróconą pod kątem ostrym, ciało spięte i sztywne. Nie chciał jej

obok siebie.

– Skoro panienka nalega – mruknął.

Usiadła.

Podciągnął kolana do piersi, objął je ramionami, by nie mogła go dotknąć, by nie mogła otrzeć się o niego nawet przypadkiem.

Patrzyła na niego, nie wiedząc, co powiedzieć na widok całej tej rozpacz, gniewu i wściekłości. I nagle zaskoczyła.

– Jest pan piękny, James.

– Co?

Z szoku i niedowierzania zapomniał się i zwrócił oszpeconą twarz w stronę, skąd dobiegał jej głos, jej nedorzeczne, niewiarygodne słowa.

– Naprawdę.

– Ja... jestem potworem.

Jego ból był tak namacalny, że przypominał żywe stworzenie: atakującego węża, który kąsa i nienawidzi, i znowu kąsa.

Jo się zaśmiała.

– Drwi panienka ze mnie?

– Nie, przepraszam, śmieję się z tego, jak bardzo pan się myli. W tej chwili widzi pan jedynie... okej, nie tyle widzi, ile raczej wyczuwa... że jest pan odrażający. Ale to nieprawda. Przyznaję, ma pan bardzo poparzony kawałek skóry, jakieś dziesięć centymetrów na dziesięć, i fakt, być może nigdy nie odzyska pan wzroku. Ale pan skupia się tylko na tym. Na tym drobnym, niewielkim fragmencie. To część pańskiego ciała, James, ale nie wszystko. Reszta jest doskonała, piękna... a nawet gdyby nie była, założę się, że w pańskim wnętrzu również kryją się piękne cechy.

Jego twarz odrobinę się rozpogodziła.

– To trochę jak... Pamięta pan dzień, gdy obudził się pan pokryty krostami ospy wietrznej? Każdy to przechodził. Jednego ranka wyglądasz okej, a następnego jesteś cały w pęcherzach. Wielkich, wilgotnych, przezroczystych... Pamięta pan?

Skinął głową.

– Jasne.

– Stał się pan wtedy potworem? Zmieniło się coś w pańskim wnętrzu?

– Ale to co innego! To dziecięca choroba. Po paru tygodniach człowiek z tego wychodzi, jest jak nowy.

– Fakt, to trochę co innego, James, ale proszę posłuchać.

Zrobiło jej się gorąco, potem zimno i znowu gorąco, w uszach zaczynało jej dzwonić. Zmierzy sobie temperaturę, kiedy z tym skończy, na razie nie chciała jednak rezygnować, bo zdołała coś w nim poruszyć.

– Różnica nie jest tak wielka, jak się panu zdaje. Tamtego ranka spojrzął pan w lustro i zobaczył kogoś wyglądającego przerażająco, ale wiedział pan, że to nie prawdziwy James, ten w środku. No więc gdyby teraz mógł pan siebie zobaczyć, to owszem, ma pan ciężkie poparzenia wokół jednego oka, ale reszta pozostała jak dawniej.

Odwrócił znowu twarz, lecz tym razem nie ze wstydu, nie z wściekłości. Uniósł do ust pięść i przycisnął mocno.

– I nie chodzi mi jedynie o to, że ma pan piękne wnętrze – dodała, podnosząc się sztywno z łóżka. – Bez cienia wątpliwości jest pan najprzystojniejszym facetem w tym namiocie.

Wtedy się rozplakał.

Jo stała już obok ostatniego pacjenta, Davida. A on umierał.

Może zaraziła się tyfusem od niego; spędzała niemal każdą wolną chwilę przy jego łóżku, jedynie siłą woli próbując skłonić najciężej chorego ze swoich podopiecznych, by przeżył. Wyglądało jednak, że na próżno. Puls był nie taki, barwa skóry nie taka, a gdy dotknęła jego czoła, płonęło i nie potrzebowała termometru, by wiedzieć, że gorączka wynosi 40–41 stopni. Umierał – to były jego ostatnie chwile. *Konwulsje, a potem zgon*, pomyślała mimochodem. *Potem zgon*. Przysięgła, że David nie umrze, ale nie była Bogiem, nie była nawet boginią, nie była Selene odwiedzającą go we śnie. Poczula ucisk w sercu i pomyślała: *No, śmiało, zakochaj się w nim teraz, tuż przed końcem, niech zostanie jednym więcej zmarłym, którego kochasz, jednym więcej żyjącym, którego możesz stracić*. Próbowwała to sobie wyperswadować. Nic nie wie o tym człowieku – może jest lubieżnikiem, politykiem z tłustą żoną i szóstką dzieci w kraju, może jest rzeźnikiem sadystą z małego miasteczka, który biją kochankę i pije. Na próżno. Nie potrafiła odtrącić pierwszej myśli, nie potrafiła odtrącić jego. Czemu właśnie do tego umierającego żołnierza, próbującego wymknąć się jej z rąk, czemu właśnie do niego miało przyłgnąć jej serce – teraz, na koniec – nie wiedziała. Nie potrafiła nic na to poradzić. Tak jak nie potrafiła nic poradzić na to, że umierał.

Zakryła twarz rękami. Robiło się późno. Będzie jej potrzebował potem. Od bardzo dawna funkcjonowała wyłącznie dzięki adrenalinie, ale dotarła do granicy wytrzymałości. Musi się położyć, paść na łóżko choćby na kilka minut, by za jakiś czas zbudzić się, wstać i patrzeć, jak David umiera. Poszła do odgradzonej części namiotu i spojrzała na siebie w lustrze. Na twarzy miała krew, zaschniętą krew, czyjaś. Od jak dawna? Od godzin? Dni? Gwałtownie potarła smugę. Niepokoiła ją, sprawiała, że czuła się brudna. Zaczęła zdierać z siebie ubranie, uwalane, brudne ubranie, zdjęła je i cisnęła do kąta. *Dosyć, koniec z tym, nie zniosę tego dłużej*. W dzbanku zostało trochę zimnej wody, wylała ją na siebie, na swoje włosy, zaczęła trzeć kawałkiem wyschniętego mydła, by wytworzyć skąpą pianę. Myła się, myła włosy, rozpuszczone teraz i ociekające, drżała od lodowatej wody i od gorączki, i od świadomości, że traci Davida. Dygotała tak bardzo, że sprawiało jej to ból. Pocałunek Niemca obudził w niej duszę, ale okazała się zbolą i krwawiąca, i nic nie mogło jej uspić na nowo – i Jo wiedziała, że to ją w końcu zabije. Ale porównując ten stan z odrętwieniem, w jakim trwała od dawna, cieszyła się, w pewnym sensie. Była gotowa na śmierć. Wcześniej jednak umyje swoje zwłoki.

Nie pamiętała, kiedy zasnęła. Ubrania zwilgotniały na ziemi, więc powiesiła je na haku. Nie miała nic na zmianę, dlatego na czas ich suszenia włożyła szlafroczek od Queenie. Tyle pamiętała – i to, jak szcztokowała swoje długie włosy i zawijała je w ręcznik. Żołnierze ucichli, usnęli. Czekala, narzuciwszy koc na ramiona. Nie pamiętała, kiedy zasnęła.

Obudził ją krzyk. Z powodu ciemności panujących za przepierzeniem w pierwszej chwili nie wiedziała, gdzie się znajduje. Siedziała na ziemi na pół wsparta o skrzynie do

pakowania, koc zsunął się jej z ramion, ręcznik zniknął i od dawna nie czuła się równie skostniała z zimna. Krzyk brzmiał przerażająco. *Mężczyzna, sądząc po głosie, pomyślała, ale muszę mu zrobić coś strasznego: torturować go, amputować mu nogę bez znieczulenia.* Potem przejaśniło jej się w głowie, usłyszała wołanie Jonesy'ego, pozostałych mężczyzn dyskutujących ze wzburzeniem – i już wiedziała, gdzie jest: w namiocie, musiała zasnąć. *Dobry Boże, to David, koniec nadchodzi, to jest koniec.* Wynurzyła się z za prześcieradeł – *zostawiłam zapaloną lampkę spirytusową, zarejestrowała mimochodem, na przyszłość muszę być ostrożniejsza.* Przez sekundę widziała Davida z wygiętym nienaturalnie kręgosłupem, z piętami i głową wbitymi w szorstkie płótno łóżka polowego. Zrobiła krok w kierunku chorego, a wtedy kłapa namiotu została gwałtownie odrzucona i wszedł Clark, a za nim jego żołnierze. Kapitan ruszył prosto do Davida, wyciągnął pistolet, sycząc cicho:

– Zaraz go, kurwa, zastrzelę.

To się działo zbyt szybko – nie, po chwili zastanowienia doszła do wniosku, że zbyt wolno, przypominało film oglądany w zwolnionym tempie. Rejestrowała wszystko, widziała, jak Jonesy próbuje się podnieść z łóżka, słyszała, jak ksiądz Hook błaga, by, na Boga, tego nie robili. Wydawało się, że nawet ludzie Clarka wahają się, ociągają, któryś spytał, szarpiąc dowódcę za rękaw, „Kapitanie, jest pan pewien? Na pewno, kapitanie?”. Ale pozostali panikowali, oglądali się na wejście do namiotu za swoimi plecami, jakby Niemcy kryli się tuż za nim, jakby mieli się wdrzeć do środka lada moment, jakby było za późno.

– On albo my – warknął Clark z zawziętością, podniósł poduszkę z ziemi, gdzie spadła, zakrył lufę pistoletu i przyłożył do głowy Davida. Na ułamek sekundy przed naciśnięciem spustu obejrzał się przez ramię. I zobaczył Jo.

Nie rozumiała, czemu zastygł jak skamieniały, wpatrzony w nią, jakby jej nie widział nigdy wcześniej. Nie czekała, by sprawdzić, jak długo to potrwa. Praktycznie bez zastanowienia rzuciła się, by osłonić Davida swoim ciałem.

– Zabrać ją – rozkazał kapitan.

Próbowała uciszyć chorego, trzymając jego twarz w dłoniach, próbowała go nakłonić, by skupił na niej wzrok, zauważył jej obecność.

– Kochany, ćśś, kochany.

Na próżno. Przestał się miotać w konwulsjach, ale krzyczał na nią, krzyczał na cały świat, krzyczał na śmierć, która go wlokła, porywała ze sobą. Jo czuła zimne, twarde palce jednego z żołnierzy zaciśnięte na swoim ramieniu, ale uczepliła się Davida, starając się go uciszyć wysiłkiem woli. Nawet w delirium zareagował na dotyk jej ciała tak, jak spragniony kobiety mężczyzna. Jak wszyscy pozostali Jo wytężyła słuch, czy nie doleca jej z zewnątrz odgłosy nadciągającego wroga.

Nie doleciały.

I nie miały dolecieć.

Czekali, a tymczasem David zemdlął albo zasnął. Niemcy nie nadeszli. Po jakimś czasie żołnierze wymknęli się jeden po drugim, z Clarkiem na samym końcu. Wymaszerowując gęsiego, wyglądali na zażenowanych, lecz nie kapitan. Piorunował wzrokiem nagie plecy Jo, która nadal tuliła chorego w oczekiwaniu, aż żołnierze znikną,

aż znowu zrobi się bezpiecznie. Po ich wyjściu zsunęła się z Davida. Zdecydowała, że ułoży się do snu przy nim, obejmie go ramionami i prześpi się, klęcząc. Jeśli chory choćby drgnie, ona zdąży go uciszyć, zanim ktoś się zjawi. Wiedziała, że przed świtem konający ocknie się kilka razy, ale zamierzała przy nim trwać, ocalić go przynajmniej przed Clarkiem.

David przespał jednak całą noc i Jo zbudziło słońce świecące w oczy, zakradające się przez wywietrzniki w górnej części namiotu. Tak bardzo przywykła wstawać w mroku, w szarości, że w pierwszej chwili oszołomiła ją ta powódź światła. Włosy – luźno rozpuszczone i spływające falami – wpadały jej do oczu, lśniły w jasnym blasku jak polerowana miedź, jak złote runo. Naraz znowu mogła widzieć – ktoś je odgarnął, świat ukazał się znowu. Ciągle klęczała przy łóżku Davida, jedną ręką obejmując go troskliwie, lecz teraz opierała się o coś, o kogoś. Czowała, że ktoś podtrzymuje ją ramieniem, chroniąc przed ześlizgnięciem się na ziemię, ktoś, kto przed momentem odsunął z wielką delikatnością pojedyncze pasmo, które spadło jej na oczy.

Opuściła powieki i podniosła je znowu, i wtedy zobaczyła Davida, najwyraźniej skupionego na niej.

– David?

Nie dowierzała – wyglądał na przytomnego, zdawało się, że ją słyszy. Szybko sprawdziła, czy ma gorączkę, ale nie wyczuła niczego, nie zarejestrowała niczego.

– David.

Wciąż nie mogła uwierzyć – gorączka spadła. Żył. Przetrwał.

– Dzięki Bogu – westchnęła i zamknęła oczy, pozwalając, by głowa opadła jej w tył i odsłoniła delikatną szyję, dekolt obnażony po mostek. Oddychała głęboko, wielkimi haustami łapiąc powietrze, łapiąc czystą nadzieję. Wstała wolno, rozmasowała plecy i rozejrzała się po namiocie, robiąc przegląd pacjentów tak jak zwykle.

Pierwszego zauważyła księdza Hooka. Zażenowany, utkwiał wzrok w splecionych rękach, co było dziwne. Podobnie jak reszta – co im się stało? James zdawał się w porządku, lecz czemu wszyscy inni patrzyli na nią, jakby umierali z głodu? Podrapała się po głowie, w czym przeszkadzała jej masa niesfornych loków.

– Czemu moje włosy są...

I nagle przypomniała sobie, zrozumiała...

– Co ja mam na sobie? – jęknęła, uciekając za przepierzenie.

Stan Davida poprawiał się z każdym dniem. Podczas rekonesansu ludzie Clarka natrafili na zapas niemieckich racji. Smakowały równie podle jak amerykańskie, lecz stanowiły jakieś pożywienie: znowu mogli jeść do syta – wszyscy, nawet David. Jo nadal ukrywała swoją chorobę. Miała tylko 39 stopni, co oznaczało brak dreszczy i konwulsji. Fakt, że nie je, maskowała, kręcąc się zawsze w pobliżu żywności, otwierając puszki, wykładając ich zawartość do misek – żołnierze byli szczęśliwi, że nie głodują, i nic nie zauważyli.

Pewnego dnia zjawił się jeden z członków patrolu – zapamiętała go jako tego, który ciągnął Clarka za rękaw, pytając, czy jest pewien.

– Przepraszam, panienko, ale razem z racjami znaleźliśmy trochę innych rzeczy. Pomyślałem, że może się przydadzą.

I zaczął wnosić skrzynkę za skrzynką – w odcieniu głębokiej czerni, starannie oznaczone – z wyposażeniem medycznym wroga.

– Tak sobie leżały, panienko, i nikt nie miał z nich pożytku. Niemcy musieli... oj, przepraszam, zapomniałem, nie wolno mi mówić, co tam widzieliśmy. Kap... niektórzy chcieli je zostawić, ale inni uznali, że mogą się przydać. Widząc, czym panienka musi tu się obywać.

Niemal z szacunkiem dotknęła skrzynek, odpięła zatrzaski, zajrzała do środka.

– Dobry Boże – westchnęła.

Od tak dawna musiała sobie radzić bez tego wszystkiego, że trudno jej było nawet zaakceptować myśl o względnym dostatku.

– Lepiej będę wracał, panienko. – Zniknął za klapą namiotu, zanim zdążyła mu podziękować.

Podczas rejsu wyuczyła się na pamięć podstawowych terminów medycznych po niemiecku, choć teraz zdawało się, jakby to było przed wiekami. *Sprawdźmy, ile zostało mi w głowie.*

Hauptbesteck. Uraz tułowia? Tak, miała rację, oto były opatrunki, gaza, zaciski, zestawy chirurgiczne. *Sammelbesteck* – znowu trafiła: laryngologia. Podniosła mały *truppenbesteck*, chlebak dla lotnych patroli, na tyle mały, by się pomieścił w dziobie motocyklowego wózka. Znalazła też mnóstwo *verbandkasten*, mniejszych zestawów pierwszej pomocy, oraz masek Yankauera do narkozy. Brała do ręki grube pliki przywieszek – *kranke* dla chorych, *verwundete* dla rannych – z krawędziami żółtymi (zgrupować razem żołnierzy z podobnymi obrażeniami) lub zielonymi (dowolny transport). Była zachwycona tym wszystkim, zachwycona, że coś zapamiętała – musiały zdać z tego egzamin. („Co nam zrobiją, jak oblejemy?”, spytała Queenie. „Odeślą wpływ do kraju?”). Urządzały sobie zawody, która zdoła napisać nazwy niemieckich szpitali – *verundetennetz*, *hauptverbandplatz* oraz ten, dzięki któremu wygrała pięć dolarów: *truppenverbandplatz*. Dłonie miała zatłuszczone od podnoszenia pokryw – dla ochrony przed rdzą skrzynie pokryto smarem. Na szczęście Amerykanin przyniósł w skrzynce również izopropanol. W razie potrzeby mogła nim zetrzeć tłustą galaretę.

Davidowi się polepszało. Jo czuła się coraz gorzej, lecz Davidowi się polepszało – podobnie jak pozostałym żołnierzom. Jadł, jakby nigdy wcześniej nie miał nic w ustach, nabierał sił, siedział na łóżku i się uśmiechał, a jego szkocki akcent okazał się właśnie taki, jak Jo sobie wyobrażała na podstawie jego majaczeń, dodatkowo z wibrującym „r” z głębi gardła, którego się nie spodziewała. Nie pamiętał wiele ze swojej choroby. Tyfus ogarnął cały szkocki obóz, w radosnych, pomarańczowych namiotach zrobiło się ciasno od zmarłych i umierających. Musi wysłać listy, oświadczył, do swoich w kraju. Od tak dawna nie dawał znaku życia, że pewnie odchodzą od zmysłów. Zaofiarowała się, że mu je napisze, lecz nie mieli papieru, potem przypomniała sobie o etykietach medycznych. Zatem nad niedorzecznie wyglądającymi pytaniami w stylu *Knochenverletzung?* i *Wundstarrkrampferum?* skreśliła: „Droga Mamo, jestem zdrowy, kocham Cię”. Dyktowane przez Davida listy były proste, bezpośrednie – skierowane do matki, małej

siostrzyczki Kit, starszego brata imieniem Bumpy.

– Bumpy? – zdziwiła się, unosząc brew.

– Naprawdę ma na imię Duncan, *lass*. A może nie powinienem do pani mówić *lass*?

To nie jest niestosowne?

Chciała, żeby ją tak nazywał, uwielbiała dźwięk tego słowa. Czemu więc odpowiedziała chłodno:

– Prawie wszyscy tutaj mówią do mnie „panienko”. Opowiadał pan o Duncanie.

– *Aye*... panienko... jak dostał świnki, spuchła mu cała szyja, zrobiło się wielkie wole. – Zademonstrował gorliwie, pokazując rękami. – I przezwisko przyłgnęło na zawsze.

Ten mężczyzna był jednym wielkim uśmiechem, nigdy nie sądziła, że okaże się taki radosny. Obserwując długo jego umieranie, nie wyobrażała sobie, że jego policzki staną się takie rumiane – że Endymion będzie się śmiał. Dziwnie było kreślić na niemieckich terminach opisujących śmierć i konanie słowa pełne pokoju i miłości.

– „Miałem tyfus, Mamo, ale Bogu dzięki już zdrowieję. Dzięki niech będą Bogu i dzięki niech będą”... jak panience na imię? *Aye*, cudnie... „i dzięki niech będą Josephine McMahan, Mamo, pomódl się też za nią, kiedy się modlisz za mnie, bo sytuacja jest ciężka, wszyscy nasi towarzysze zginęli. Chroni nas tylko łaska boska i Twoja miłość”.

Listy do rodzeństwa były jowialne, pełne pytań o łowienie ryb i golfa, czy targ we wrześniu poszedł dobrze, jaka jest cena zboża i po ile się sprzedaje szkocka wełna, jak Kit radzi sobie w szkole i czy Bumpy od ostatniego listu znowu się zakochał. Jo notowała pilnie, każdy list składał się z kilku niemieckich etykiet; datowała je i utrzymywała w porządku, obiecując wysłać, gdy wszyscy wrócą do szpitala, gdy wrócą do świata.

Pewnego dnia David przerwał dyktowanie, kiedy zamyśliła się ze spojrzeniem utkwionym w twardą, ubitą ziemię, przeżywając na nowo, ożywiając umarłe wspomnienia. Widocznie ich brzemień odbiło się na jej twarzy, bo gdy podniosła wzrok, wciąż trzymając pióro nad papierem, wpatrywał się w nią zwilgotniałymi oczami.

– To było trudne dla panienki.

Próbowała się uśmiechnąć, ale tylko nieprzekonująco uniosła kącik ust.

– Nie ma panienka żadnej rodziny, by do niej napisać? Albo może narzeczonego służącego gdzieś tutaj?

Zasłoniła usta, zasłoniła pół twarzy. Straciła tak wiele. Jak to ująć w słowa, przekazać ten ogrom?

– Nie mam nikogo. Nikt nie został... w każdym razie wśród żywych.

I odwróciła się szybko, licząc, że kątem oka dostrzeże postać brata, ale Gianniego nie było. Nie pojawiał się od tygodni, porzucił ją w dniu, gdy postanowiła zostać ze swoimi chorymi, zamiast odejść do niego. Jej sny były puste, jego duch uleciał. Straciła nawet to.

Poczuła, jak jej ręce ujmuje czyjaś mocna dłoń, muskularna i ogorzała, poczuła dotyk zaokrąglonych opuszek startych niemal na gładko. Spojrzała w niebieskie oczy – miały odcień ciemnego, żywego błękitu, tak niepodobnego do płaskiego turkusowego w oczach Clarka. Były jak letnie niebo o zmierzchu, jak staw odbijający gwiazdę wieczorną.

– Nieprawda, nie wszystkich. Nie wszystkich panienka straciła.

Dni mijały. Jo czuła, że powinna się cieszyć. Jej pacjenci mieli się dobrze, z Davidem było lepiej, tylko ona nie mogła się otrząsnąć z gorączki. Przypomnieli jej się zmarli na grypę rodzice. Dostała jedną krótką wiadomość od matki napisaną szkolnym włoskim, że opiekuje się ojcem, który jest w stanie ciężkim. Potem drugi list od któregoś z sąsiadów. Grypa zabrała ojca, a matka, pielęgnując go, opadła z sił. Kiedy zachorowała, organizm był zbyt osłabiony. Nie przetrwała tygodnia.

Pewnej nocy gorączka się podniosła i Jo nie zdołała tego ukryć. Jonesy zaofiarował się, że będzie czuwał, na wypadek gdyby ktoś potrzebował pomocy – ona miała się położyć.

– Tylko się przewietrzę, Jonesy. Wyjdę na zewnątrz na sekundę. Zbyt długo przebywam tu w środku, a zrobiło się ciepło. Po prostu potrzebuję odrobiny powietrza.

Wyszła z namiotu, zanim zdążył zaprotestować.

Jej świat od dawna był ograniczony płóciennymi ścianami. Stała teraz w nieznanej ciemności, a opuchnięty księżyc wznosił się tuż nad drzewami. Panowała całkowita cisza, lekki wietrzyk tańczył wokół jej kostek, nie wydając najłżejszego szmeru. Pora roku była zbyt wczesna na buczenie owadów czy rechot łączących się w pary żab, nie poruszała się najmniejsza nawet gałązka. Jo słyszała w uszach bicie swojego serca. Potem ono też ucichło, stała w mroku i milczeniu, niemal nie oddychając.

Naraz usłyszała radiostację. Nie wiedziała, że Jonesy ją naprawił, widocznie czekał, by jej zrobić niespodziankę. To było szalone z jego strony, że włączył tak głośno, w dodatku muzykę w wykonaniu big bandu – kompletnie zwariował. Odwróciła się, chcąc go zbesztać, ale gdy wyteżyła słuch, uświadomiła sobie, że muzyka dobiega nie z namiotu, lecz z miejsca położonego kawałek dalej, w głębi niewyraźnej ścieżki, która kiedyś dzieliła namiot pooperacyjny od zabiegowego, gdzie sypiali Clark i jego ludzie.

Ogarnęła ją dezorientacja.

Od swojego przybycia patrol nocował w jednoosobowych pałatkach – niewielkich, bezsilnych wobec wiatru i deszczu zielonych kocach rozpiętych na tyczkach. Teraz jednak zniknęły, a ona zobaczyła przed sobą namiot ogromny jak mesa, jak dawny namiot operacyjny. Skąd go wytrzasnęli? Jak mogła przegapić znajomy dźwięk wbijanych kołków? Wiedziała z doświadczenia, że namiot niełatwo rozstawić i niełatwo złożyć. Gdy ruszyła w jego stronę, nocne powietrze rozcięły dźwięki klarnetu i jakiegoś instrumentu dętego. Musieli się upić, musieli gdzieś znaleźć namiot i alkohol – nie było innego wyjaśnienia. Albo to, albo po prostu chcieli umrzeć.

Radio zabrzmiało głośnie. Zdołała wyłowić melodię *I'll be seeing you*. Znała słowa na pamięć, wszyscy je znali – słyszała z wnętrza nucące do wtóru głosy. Ludzie śmiali się, przysięgłaby, że jej uszu doleciał kobiecy śmiech, ale to było niemożliwe, cała ta sytuacja była niemożliwa. *I'll find you in the morning sun and when the night is new, I'll be looking at the moon but I'll be seeing you*. Jo stała przed wejściem. Drżała mimo ciepłego powietrza, buty miała umazane zeschniętym błotem, kombinezon nie był w stanie ogrzać rozgorączkowanego ciała. Wolno odchyliła klapę, weszła do środka i chłód minął – ogarnęła ją ciepła, wilgotna fala żaru i ulgi. Sztywny materiał opadł za jej plecami;

w wycięciach pantofelków widać było pomalowane paznokcie u stóp, biały skraj sukni żartobliwie muskał jej kostki.

Namiot był piękny. Z głównego masztu niczym kandelabry zwieszały się bożonarodzeniowe lampki – jak w bazie, jeszcze w Stanach, w wieczór przed wyjazdem na wojnę. Panowało ciepło, rozkoszne ciepło sześćdziesięciu, stu ciał. Obnażone ramiona, migotanie biżuterii i lamy wyglądającej, jakby ją namalowano na skórze kobiet. Gładko ogoleni mężczyźni w schludnie wyprasowanych, świeżo wykrochmalonych galowych mundurach. Poczula zapach wody kolońskiej. Wciągnęła głęboko powietrze, gdy odwrócili się, by spojrzeć na nią z aprobatą, i wygięła wargi w prowokacyjnym uśmiešku. Jednym spojrzeniem objęła zatłoczone pomieszczenie.

Queenie, stojąc przy stoliku do bakarata, śmiała się, piła i wiwatowała ze wszystkimi za każdym razem, gdy wygrała. Ludzie tańczyli – muzyka się zmieniła, zabrzmiało *Sing, sing, sing* Goodmana i namiot oszalał. Jo zauważyła Giannię wirującego z filigranową blondynką w różowej sukni. Dziewczyna tańczyła nieźle, lecz ledwie nadążała, obracał ją nieustannie – piruet pod ramieniem, precel, precel za plecami w tył, obrót na zewnątrz...

Dziadek grał w rzutki, popijając z niewielkiego kieliszka. Miał na sobie szyty na miarę mundur konfederacki w gołęzim odcieniu z ozdobnym żółtym sznurem w talii oraz naszytym na rękawach. Lekarze i pielęgniarki zgromadzili się wokół stołu uginającego się od gorących potraw. Wszędzie wokół palono. Papierosów było pod dostatkiem, namiot wypełniał dym, który Jo wciągnęła chciwie – minęło tyle czasu. Włosi śpiewali teraz z klarnetem *da-da-da-da-da-da-da-dada* i śmiali się, klaszcząc do wtóru szalonej melodii, swingowali w parach i śmiali się znowu.

Naraz w głębi namiotu zauważyła Niemca idącego prosto na nią. Zbliżywszy się, zdjął czapkę. Przemknęło jej przez myśl, że będą kłopoty, że go wezmą do niewoli, ale sierżant, który do niego podszedł, jedynie klepnął go po plecach, zaproponował, że weźmie od niego płaszcz, i położył okrycie na pianinie, schludnie złożone w pół, by nie spadło. Twarz Niemca była opalona i gładka, posłał Jo głęboki, szczery uśmiech. Kurze łapki w kącikach dopełniły idealnego wyglądu. Nosił rękawiczki, ale je zdjął, by poczuć dotyk jej dłoni. Muzyka zmieniła się znowu, stała się powolna, rytmiczna i melancholijna – *You'd be so nice to come home to* nie powinno być smutnym kawałkiem, a jednak było. Niemiec trzymał ją blisko, tulił do siebie, lecz tym razem nie miał bronii. Lewa dłoń ścisnęła jej rękę, prawa wolno przesunęła się z jej łopatkę do talii. Jo czuła, jak mężczyzna gładzi gładką biel jej sukni, gęsty szew, ukryty z boku zamek błyskawiczny. Pachniał cudownie. Zamknęła oczy i wtuliła się w niego. Parkiet był tak zatłoczony, panował tak wielki ścisk, że nie dało się tańczyć, ale nikomu to nie przeszkadzało – podniosła powieki i spojrzała w oczy partnera, wciąż się uśmiechając. Drobne włoski na jego marynarce sterczały dziarsko: wełna została wyszczotkowana, Jo zerknęła w dół na jego buty: czarne jak smoła czubki lśniły od pasty. „*You are the last human being left in France*”, powtórzył, ale tym razem go zrozumiała i stanęła na palcach, by pocałować go znowu, by powtórzyć to jeszcze raz i jeszcze, i nigdy nie kończyć. Była w niebie, wróciła do domu.

Jednakże zanim ich wargi się zetknęły, usłyszała, że Queenie krzyknęła coś krótko, cisnęła ze złością karty i wyszła. Jo wyciągnęła szyję, chcąc sprawdzić, co się stało,

i zobaczyła, jak Gianni odpycha od siebie małą blondynkę. Wrzeszczał na nią po włosku – że jest kiepska, „żadnego z ciebie pożytku, wynoś się, nadepnęłaś mi na palce”. Jo spojrzała przelotnie na ziemię, która zmieniała się w błoto. Grzęzły w nim buty jej partnera, czuła, jak zimna masa przeciska się między palcami jej stóp. Światła zaczęły migotać, muzyka rozbrzmiewała i cichła – w jednej chwili było to *You belong to me*, w następnej nowy program informacyjny aliantów, a zaraz potem Axis Sally przekonująca, że ich ukochane w kraju nie są im wierne, że nie będą na nich czekać, aż wrócą – o ile w ogóle wrócą. Wszystko wirowało zbyt szybko. Jo dostrzegła tylko przebłyski. Chirurdzy mieli czepki i maski, naciągali rękawiczki chirurgiczne na mankiety galowych mundurów, radio pękło i leżało na ziemi – ktoś na nie nadepnął, ale Axis Sally nadal mówiła, nadal krzyczała, nadal się z nich śmiała. Pokrywa pianina była zamknięta, ale Jo słyszała, jak instrument gra – jakąś brzmiającą z niemiecka marszową melodię. Potem tylna kłapa namiotu się uniosła i kobiety – umalowane, z czerwonymi wargami, na wysokich obcasach i w kombinezonach – z krzykiem rzuciły się do ucieczki na widok zbliżającej się postaci. Gdy je muskała, zniknęły.

„Nie!” chciała zawołać Jo, lecz głos ją zawiódł. Włosi próbowali unieruchomić mroczną sylwetkę, ale rozwiali się w powietrzu, gdy tylko jej dotknęli. Gianni podbiegł – Jo krzyknęła w duchu, by się zatrzymał – i gdy trafił postać pierwszym ciosem, rozsypał się na atomy, w pustkę, zniknął. Jo obróciła się na pięcie, lecz pielęgniarki i tańczące pary gdzieś się ulotniły. Dziadek zamachnął się szablą, lecz ją upuścił; przycisnął dłoń do serca i osunął się na ziemię, znikając w chwili, gdy jej dotknął.

– Nie dotykaj go, kurwa, nie dotykaj – szeptała Jo ochryple, uczepiona swojego partnera, odpychając go od widma.

Tuż zanim światła zgasły na dobre, zaślnęły jasno na jedno mgnienie i w ich blasku dojrzała, kim jest ciemna postać. To był Clark.

Zapalił w ciemności latarkę i Jo uświadomiła sobie, że nie trzyma w ramionach nikogo. Niemiec zniknął, gdy zapadł mrok. Zrobiło się ciemno, księżyc wznosił się nad pianinem. Skraj jej sukni był ubłocony, lecz miała na sobie solidne trzewiki, mogła bez problemu maszerować przez błoto, po zimnej, twardo ubitej ziemi.

– Co pani tu robi? – spytał kapitan i każde jego słowo było namacalne jak cięte szkło, raniące.

Jo cofnęła się. Na suknię miała nałożoną wojskową bluzę, wiatr przybrał na sile i spódnica wydeła się wokół niej. Cofnęła się, a potem rzuciła biegiem – nie w kierunku swojego namiotu, lecz w stronę pola minowego. Już wiedziała, gdzie wszyscy zniknęli, gdzie na nią czekają. Nie pozwolił się zatrzymać kapitanowi; będzie próbował, wiedziała o tym – zawsze krzyżował jej szyki.

– Stój! – krzyknął Clark i na dźwięk jego głosu namiot zniknął. Nigdy nie istniał. Kapitan obiegał puste pałatki, które Jo wymijała precyzyjnie, nawet ich nie widząc.

– Stój!

Była przeraźliwie zmarznięta, wręcz skostniała, wiatr przewiewał na wylot jej suknię. Wspinając się na wzgórze, zgubiła szpilki, kurtka zniknęła. Suknia nie chroniła przed niczym, lżejsza od powietrza, Jo nie miała pończoch, bielizny, jedynie halkę, prześwitującą chorobliwą bielą w świetle zachodzącego księżyca. Clark był tuż za nią,

słyszała, jak dyszy. Dotarła niemal na szczyt wzgórza, zdołała dobiec do pola przed nim. W chwili gdy osiągnęła grzbiet, usłyszała, jak kapitan odbezpiecza karabin i wrzeszczy:

– *Halt!*

Zatrzymała się.

– Ani kroku dalej, cholerna dziwko.

Ale brzmiało to, jakby płakał. Clark płakał i wskazywał na swój karabin, i próbował ją powstrzymać. Spojrzała w dół. Coś zimnego, twardego i bardzo cienkiego opierało się o jej obnażoną kostkę. *To się jakoś nazywa*, pomyślała, płonąc w gorączce, w delirium, *jakoś podobnie do patyka. Albo tykania*. Nie, już wiedziała. *Poty kac z*. Stała, połykając w świetle księżycy w swojej przejrzystej sukni, w swoim ukradzionym kombinezonie, stała i patrzyła na kapitana, myśląc, że jest taki piękny. Był bogiem, chętnie urodziłaby mu pół setki córek – nie, komuś innemu, pomyliła się. Płacząc, celował w nią z karabinu. *Ciekawe dlaczego, sądziłam, że walczymy po tej samej stronie*.

Potem załapała ją gorączka i upadła na plecy, tracąc przytomność, zanim dotknęła ziemi. Poty kac z lśnił bezradnie w nasilającym się wietrze, biały szal Jo zaczepił o niego na moment i odleciał nad polem minowym ograbionym ze swojego żniwa śmierci.

Jo nie zachorowała na tyfus. Clark odniósł ją do namiotu i ułożył na łóżku Jamesa. Gorączka spadła dopiero po dniu lub dwóch. Zdążyła zapomnieć swój sen – lub koszmar – o czasie spędzonym z tymi, którzy zginęli, do których omal nie dołączyła na polu minowym za namiotem. Wkrótce znowu mogła jeść, odzyskała nagle apetyt, kilka dni później niż pozostali zaczęła żartować: „Boże, to obrzydliwe, mogę dostać dokładkę?”. Wstała z łóżka, ale była tak osłabiona, że musiała się posuwać zgięta niemal w pół. Żołnierze kazali jej jak najwięcej siedzieć. Uśmiechała się – byli dla niej tacy surowi teraz, gdy została ich pacjentką.

– Czujemy się świetnie, panienko – zapewniali na wyścigi. – Wcale panienki nie potrzebujemy.

Nawet James znalazł kij i zaczął wędrować po namiocie, a wkrótce roznosić jedzenie i wodę, o ile odstawiano je na właściwe miejsce. „Gdzie jest cholerny otwieracz do puszek, Jonesy?!”, wrzeszczał, a wtedy Jonesy wyjaśniał, że go przełożył: „Leży tu, przed tobą. Przepraszam, nie zapomnę więcej”. Przynosił pełne miski i odnosił puste. Jonesy z Billym (który również wstawał na krótko z łóżka) nalegali, że basenami zajmą się sami. „Nie chcemy, żebyś się o coś potknął, jak je będziesz dźwigał”, wyjaśniali z ponurą powagą.

Pewnego dnia ksiądz Hook wypowiedział Davida i Jo poprosiła go o to samo.

– Jak to, panienkę? – spytał duchowny z niedowierzaniem.

– Cóż, tak, proszę księdza.

– Nie potrafię sobie wyobrazić, że miałyby panienka cokolwiek do wyznania. Jest panienka... aniołem.

I ten młody chłopak spojrzał na nią z takim oddaniem, z taką wiarą i ufnością, że nie miała serca tego niszczyć, obnażać sekretów swojej duszy, opowiadać mu o pożądaniu, poczuciu beznadziei, bólu i gniewie, które omal jej nie pokonały tak wiele

razy. *Niech wierzy we mnie jeszcze trochę dłużej.*

Jo wydawało się, że wokół namiotu panuje wielkie zamieszanie, większy hałas niż kiedykolwiek.

– Owszem, panienko, patrol nawiązał kontakt – wyjaśnił Jonesy. – Niedługo przyślą po nas ciężarówki. Mosty zostały zniszczone... stąd ta zwłoka. Ale już można normalnie rozmawiać i tak dalej, Niemcy są całe kilometry od nas. Myślę, że wreszcie się wycofują.

Odetchnęła z głębi piersi. *Nareszcie.* Przyjadą ciężarówki, pacjenci są na tyle stabilni, że nadają się do transportu. Odstawi ich do szpitala, do prawdziwego szpitala – nie polowego ani ewakuacyjnego, ale do normalnego – dostaną leki, a potem... a potem, no cóż, może potem znajdzie chwilę, by przyznać się do tego supła głęboko w piersi, który nabrzmiwał i powiększał się przy każdym oddechu, w każdej chwili zastanowienia, przy każdym spojrzeniu w siebie. Nie przypominał niczego, co czuła wcześniej. Pomyślała, że może to szczęście, lecz czy miało związek z Davidem? Z jej uczuciami do Davida? Jeśli tak, nie musiała sięgać myślami daleko w przyszłość. Uporają się z tym później, razem, po powrocie. *Dosyć ma dzień swojej biedy*³, powtarzała zawsze siostra zakonna.

David ćwiczył chodzenie w namiocie.

– Proszę na nas spojrzeć, panienko – śmiał się, spocony z wysiłku. – Dwoje ludzi w kwiecie wieku zgiętych w pół i kuśtykających niczym jakiś *guidshir*... przepraszam... jak starzec, dziadek.

Zasapany przysiadł obok niej i opowiadał, że wkrótce wyjadą.

– Niech mi panienka powie coś więcej o sobie.

– Czeka nas długa droga do szpitala, proszę nie zapominać, Davidzie, i wtedy będzie mnóstwo czasu na pogawędkę. Poza tym już wszystko pan ze mnie wyciągnął. A pan? Co pan będzie robił po wojnie? Zanim spadła gorączka, wyobrażałam sobie, że jest pan... mniejsza o to. Czym pan się zajmie, tak poważnie?

Spojrzał na nią, jakby zaglądał w jej duszę; to było ciepłe i przyjemne doznanie, jakby się znali od zawsze.

– Cóż, panienko, dawniej myślałem, że wrócę prosto na farmę mojego ojca. Już nie żyje, świeć Panie nad jego duszą, ale mama wciąż tam mieszka, i Kit. Bumpy wyprowadził się do miasta, takie życie bardziej mu odpowiada. Ale, *aye*, gdyby tylko mogła ją panienka zobaczyć, choćby raz. Hodujemy owce, łagodne stworzenia, polubiłaby je panienka, najlepsze w całym kraju. Jak się je pędzi na pastwiska w górach, kiedy niebo różowieje o świcie, człowiek wciąga do płuc dobre, czyste, boże powietrze... żadnego prochu strzelniczego, żadnego dymu jak tutaj, panienko... kiedy ostatnie gwiazdy gasną nad głową i... i tylko modli się i śpiewa w duchu z czystej radości, że żyje, że jest wolny i cały, i żywy. Powietrze jest nieruchome i przejrzyste, wzgórza otwierają się na równiny w dole, a jezioro lśni daleko na horyzoncie i ptaki się nawołują, wołają do swoich ukochanych. Widziała panienka coś podobnego?

Jo była oczarowana. To brzmiało jak poezja. Minęła chwila, zanim odpowiedziała jak we śnie.

– Nie, nigdy.

– Potrafi to sobie panienska wyobrazić?

– Tak. *Aye* – roześmiała się – kiedy pan to opisuje. To brzmi jak baśniowa kraina, o których czytałam w książkach. Davidzie, dorastałam w klatce sześć na sześć metrów, z dwudziestoma takimi klatkami na piętrze ustawionymi w stos wysoki na pięć, sześć pięter. Zimą jest w nich zimno, latem cuchną, wokół tylko beton i stal, lampy uliczne i klaksony samochodów, nie ma tam ani odrobiny zieleni, żadnych jezior i żadnego wielkiego, otwartego nieba, o jakim pan opowiada.

– Brzmi okropnie. Jeśli panienska wybaczy.

– Wybaczę, Davidzie.

Trzymali się za ręce.

– Dawniej pan sądził, że tego chce. Zmienił pan zdanie? Woli pan wyruszyć do wielkiego miasta jak brat? – prowokowała.

Twarz mężczyzny spochmurniała na chwilę.

– To zależy – odpowiedział poważnie.

– Od czego? – spytała, wciąż z uśmiechem. – Od ceny wełny? Od stanu upraw? Obawia się pan, że sielskie życie wyda się zbyt nudne po powrocie z wojny? To możliwe, wie pan?

– O nie, panienko.

– Więc o co chodzi?

Poklepał ją po dłoni i wstał.

– Lepiej jeszcze trochę poćwiczyć.

I spacerował tam i z powrotem, aż zabrakło mu tchu, aż musiał się położyć.

Dzień wyjazdu nadszedł wreszcie, a wraz z nim spadł deszcz. Ciężarówki czekały ustawione rzędem, sanitariusze kursowali tam i z powrotem, dźwigając nosze – biegli lekko z pustymi, brnęli z trudem, gdy były obciążone pacjentami. W lepkiej brei musieli posuwać się wolno, co pogarszało sprawę. Peleryny kleiły im się do ciał, przemokły na wylot. Okularnicy nie widzieli nic przed sobą. Jonesy od razu zaprzyjaźnił się z transportującymi go dwoma mężczyznami, był tak szczęśliwy, że widzi nowe twarze, że może zadawać pytania i na nie odpowiadać, tak zachwycony i pełen dobrych chęci, że omal nie zerwał się z noszy, by im pomóc. Major Donahue z miejsca przejął dowodzenie, upewniał się, że nowi żołnierze znają jego stopień i wiedzą, że mają do czynienia z ważną osobistością. „Z życiem, synu, przestań powłóczyć nogami, dalej, rusz się. Teraz lepiej... tak trzymaj”. James wyszedł o własnych siłach, nie godząc się wesprzeć na ramieniu nikogo oprócz Jo.

– Litują się nad ślepcem – dąsał się na sanitariuszy. – Tamten ma taki żalony, cienki głosik, założę się, że to żalony, mały człowieczek. Nie mam racji, panienko? Nie jestem od niego wyższy?

– O, znacznie wyższy... i silniejszy – zapewniła z uśmiechem.

– Tak właśnie pomyślałem. Żałuję, że nie mogę go walnąć prosto w nos.

– Cóż, przytrzymam go przed panem i powiem, kiedy walnąć.

Wtedy pierwszy raz zobaczyła, że James się uśmiecha.

Billy szedł do ciężarówki, osłaniając młodego księdza. W krótkim czasie rozwinął w sobie zamiłowanie do opieki nad innymi.

– Uwaga – uprzedził, rozkładając pelerynę nad głową Hooka, by go ochronić od deszczu, po czym potknął się w błocie i wpadł na sanitariuszy. – Ostrożnie, to bardzo delikatny pacjent, z poważnymi obrażeniami... i w dodatku ksiądz, więc lepiej uważajcie albo wam się dostanie.

– Billy – rzuciła Jo z szerokim uśmiechem – myślę, że byłaby z ciebie świetna pielęgniarka.

– Całkiem możliwe. Nie ma się co śmiać. Może pewnego dnia złączą zatrudniać mężczyzn pielęgniarzy.

Wszyscy oprócz Davida znaleźli się w samochodach. Jo miała ochotę zerwać otrzymaną od sanitariuszy pelerynę, która przed niczym nie chroniła, a cuchnęła chemikaliami i pleśnią. Wróciła do namiotu. *Ostatni raz*, pomyślała. *Ostatni raz*. Tak wiele spędzonych tu tygodni, tak dużo poniesionych strat. To był jej świat. Ale mogła go już opuścić. Uczyniła dobro, które postanowiła uczynić – ocaliła życie sześciu mężczyzn, których przysięgła chronić. Wyjeżdża z nimi. Wyjeżdża z Davidem.

Weszła do środka. Wnętrze namiotu wydawało się dziwnie opustoszałe – puste kozły bez noszy, prześcieradła zdjęte, jej przepierzenie zniknęło. Jo zapatrzyła się w miejsce, gdzie się znajdowało, i po chwili nie potrafiła już go sobie wyobrazić. Dwaj sanitariusze rozmawiali z Davidem, niosąc puste nosze. Oczywiście czuł się wystarczająco dobrze, by przejść do ciężarówki pracującej na jałowym biegu na zewnątrz, to zaledwie kilka kroków, dla pewności Jo weźmie go pod ramię. Stali w namiocie tylko we dwoje – pierwszy raz znaleźli się sam na sam. Spojrzała na niego, na jego oczy ocienione gęstymi brwiami, czarne włosy odgarnięte z czoła, twarz miał bladą, lecz promienną, jakby podświetloną od wewnątrz, rozjaśnioną jakąś tajemną radością. Wydawał się wyższy niż wcześniej i silniejszy w wełnianej bluzie z literami HD wyhaftowanymi pomarańczową nitką na błękitnym tle rękawa. Kilt zniknął. Jo zastanawiała się, od kogo pożyczył spodnie, były na niego za krótkie, ledwie sięgały kostek. Uśmiechnęła się, on również. Włożył okrągły hełm.

– Nie będzie panu potrzebny w ciężarówce – zaśmiała się. – Jedziemy do szpitala, żołnierzu, nie na pole bitwy.

– Wy jedziecie do szpitala – odparł, a jej zamarło serce.

– Nie żartuj, Davidzie.

W odpowiedzi spojrzał na nią spokojnie.

– Davidzie, niech pan przestanie. Proszę wsiadać na ciężarówkę.

– Nie mogę z wami jechać, panienko.

– Oczywiście, że pan może. Co pan wyprawia? Leżał pan z tyfusem Bóg wie jak długo, zanim pana zobaczyłam. Jest pan słaby jak kociak. To znaczy wstał pan dopiero przed kilkoma dniami i...

– Nie mogę się wylegiwać w łóżku, panienko – wyjaśnił, kręcąc wolno głową, starając się mówić cicho i łagodnie, jakby chciał ją oszczędzić nawet teraz. – Na froncie jest wielu w gorszym stanie. Nie mogę zostać na tyłach.

– Davidzie, to nonsens. – Łzy szczypały ją w oczy. Potem tupnęła nogą. – Rozkazuję panu wsiadać.

Uśmiechnął się do niej szelmowsko, niemal samymi oczami.

– Aye, ma panienska w sobie ogień. – Rozpromienił się. – To dobrze. Nie potrafiłbym kochać kobiety, której brak iskry i ognia, bez dwóch zdań.

Jo odebrało mowę.

– Ale chociaż rzeczywiście jest panienska wyższa stopniem – tu zrobił krok i lekko dotknął jej ramienia w miejscu, gdzie powinny się znajdować naszywki – obawiam się, że tego rozkazu nie mogę wykonać.

Nie czuła nic. Nie było to zimne, skostniałe odrętwienie, dobrze jej znane od dawna – raczej odczuwała wszystko tak dotkliwie, tak intensywnie, że nie była zdolna tego zarejestrować. Nigdy nawet nie przeszło jej przez myśl, że David nie wróci z nią do szpitala, w bezpieczne miejsce. Miała mu pomagać, aż w pełni odzyska siły, a potem, z czasem, jeśli wystarczy czasu, cóż, wtedy mogło się zdarzyć wszystko. Ale teraz...

Był w połowie żarliwej tyrady. Dotarło do niej coś o świetle, o potędze i górach, o chwale i o miłości zwyciężającej wszystko. Musiał to przećwiczyć tysiąc razy. Przemówienie było znakomite, ale go nie słyszała – próbowała utrwalić sobie w pamięci jego twarz, oczy, ruch ust, gdy mówi. Chciała to zrobić w drodze powrotnej, w następnych tygodniach, a tymczasem musiała się z tym uporać, zanim David umilknie. Nie potrafiła tego dokonać, to było niemożliwe, nie miała dość czasu.

Skończył monolog:

– ...każdy facet tutaj jest w paniencie zakochany. I ja też.

Jego dłonie znajdowały się teraz w jej rękach. Gładziła kciukami opuszki jego palców, kostki – nie miała kiedy nauczyć się ich dotyku, nie zdążyła.

– Pierwsze, co zobaczyłem, gdy się ocknąłem po tyfusie, to uczezione mnie piękne stworzenie, anioła o miedzianych włosach. Nie wiedziałem, kim panienska jest, nie wiedziałem, jak wiele już dla mnie zrobiła. Wiedziałem tylko, że żyję, że nie umarłem... czułem się taki spokojny i było mi ciepło... i ogarnęła mnie ogromna wdzięczność. Wiedziałem, wiedziałem z całkowitą pewnością, że ktoś mnie uratował.

Jo przysunęła się do niego, chciała poznać jego zapach, dotknąć jego włosów i nie mogła, nie miała dość czasu.

– Ocaliła mnie panienska. Aye, Bóg mnie ocalił... i modlitwy mojej matki... ale Bóg i modlitwy matki zesłały mi panienkę, sprawili, że na panienkę trafiłem... a panienska mnie ocaliła, Josephine.

Pierwszy raz zwrócił się do niej po imieniu, jakby się rozkoszował każdą sylabą, jakby każda smakowała wybornie i napawał się samym ich wypowiedaniem.

– Jest panienska aniołem, pięknym aniołem stróżem. – Dotknął jej kręconych włosów, mokrych i lepiących się do twarzy. – Dała mi panienska wszystko. A ja nie mogę ofiarować nic oprócz swojego serca. I tego...

Zdjął wielki pierścień, który nosili przed nim jego ojciec i dziadek.

– Będzie za duży na panienki drobną rączkę – dodał z uśmiechem, kładąc przedmiot na jej prawej dłoni i zamykając na nim jej palce. – Ale proszę go dla mnie przechować. Proszę go zachować, niczego nie obiecując. Proszę go zatrzymać, żebym

wiedział, że pojedzie z panienką... że moja miłość pojedzie z panienką... bym mógł mieć nadzieję, że pewnego dnia...

Na zewnątrz zabrzmiał klakson ciężarówki, drażniący i okrutny. Czas pędził jak szalony. Za moment się rozstaną, już za moment. Nie mogła nic zrobić, by zatrzymać czas. Oczy Davida były głębokie, spokojne i mądre. Pocałował wnętrze jej dłoni.

– Niech panience Bóg błogosławi, pani podporucznik McMahon. Nawet gdybym miał zginąć, moja miłość nie umrze nigdy.

A Jo odwróciła się bez słowa, bo nie mogła inaczej, bo tak musiała, bo to wszystko się nie działo, bo wszystko działo się naraz.

Deszcz wzmógł się. Nie było wiatru, tylko bezlitosna ulewa przesłaniająca wzrok, utrudniająca oddychanie. Jo ruszyła do ambulansu. Sanitariusz ze środka wyciągnął rękę, żeby pomóc jej się wspiąć na pakę, ale tkwiła wrośnięta w ziemię, spoglądając na tył ciężarówki niewidzącym wzrokiem.

To był prawdziwy potop. Nowi żołnierze niecierpliwili się.

– Zapomniałaś czegoś, skarbie?

Nagle jakby się ocknęła...

– Tak.

Popędziła z powrotem do namiotu. David podniósł wzrok i zdjął hełm. Zaraz potem znalazła się w jego objęciach i zaczęła go całować.

– Niech cię cholera – rzuciła z desperacją między pocałunkami, przerywając, by nabrać powietrza.

Była odsłonięta, naga, była obolała i otwarta na świat, ale wraz z tą bezbronnością powróciły jej namiętność, jej serce i zapalczywość, płonęła – znowu była dawną Jo.

– Nie daj się zabić, Davidzie. Po prostu nie daj się zabić, przeżyj. – Była gwałtowna, niemal wściekła, jej pocałunki paliły.

Potem równie nagle wybiegła w deszcz i bez niczyjej pomocy wskoczyła na tył ambulansu. Sanitariusz uderzył dwa razy w szoferkę i ciężarówka szarpnęła, wrzuciwszy bieg. Opony zabuksowały przez moment i pojazd ruszył, pozostawiając za sobą w błocie dwie głębokie koleiny.

3 Ewangelia św. Mateusza, 6,34, Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, op. cit.

KAY ELLIOTT

3 LUTEGO 1945, OBÓZ INTERNOWANIA SANTO TOMAS, MANILA, FILIPINY

Dwadzieścia cztery centy dziennie. Z początku wydawali codziennie dwadzieścia cztery centy na wyżywienie każdego więźnia. Całe ćwierć dolara. Żywności było tyle, że dało się jej kupić za ćwierć dolara dla każdego mężczyzny, kobiety i dziecka w tym miejscu. A nam się zdawało, że głodujemy.

Notuję wszystko. Wygląda to jak bazgroły. Nie poznają liter, ale tak brzmią słowa, które wypowiadam w myślach, nieważne, czy się prezentują jak trzeba. W Santo Tomas nie wolno nam pisać, palą nasze dzienniki, rozstrzeliwują, jeśli nas przyłapią na pisaniu, ale zamierzam umrzeć tak czy inaczej, więc to mój ostateczny akt spszeciwiu. To się pisze przez „rz”? Zamierzałam poprawić, ale już zniknęło. Tak naprawdę nie ma żadnych słów albo są, ale ja ich nie widzę. W porządku, po prostu założę, że napisałam przez „rz”, to musi wystarczyć.

W górze przeleciały samoloty i w mroku zaciemnionej sali sypialnej Kay usłyszała, jak atakują Manilę. Zastanawiała się, co zastaną Amerykanie, gdy wreszcie zdobędą Santo Tomas. Więźniów zamknięto w pomieszczeniach. Nawet tych z dziedzińca, wyglądających na martwych, zgarnięto i rzucono tuż za drzwiami. Z miejsca, gdzie leżała, skrobiąc piórem po papierze, nie widziała nic. Ktoś jej wspomniał, że na klatkach schodowych ustawiono beczki z benzyną. *Zamierzają nas spalić żywcem*, domyśliła się, *jeśli Amerykanie tu dotrą. A może zanim tu dotrą.*

Japończycy strzelali do więźniów podchodzących do okien, więc nikt nie potrafił powiedzieć, co się dzieje. Dziedziniec był pusty – tyle wiedzieli. Japońcy umieścili na dachach oznaczenia i karabiny maszynowe, czyniąc z budynku cel wojskowy, ale czy kiedykolwiek stosowali się do konwencji? Kay lubiła sobie wyobrazać, że gdzieś w małej rybackiej wiosce daleko od tego wszystkiego sympatyczna, pulchna Japonka buja na kolanie niemowlę, nucąc mu zabawną piosenkę o smokach i zaczarowanych latawcach – bo wszyscy tutaj wydawali się obłąkanymi, okrutnymi, dzikimi szaleńcami. Niszczyli dla samego niszczenia, ponieważ reszta ludzkości nie była ludźmi, nie była taka jak oni. *Nie, spalą nas z zimną krwią jak szczury zamknięte w pułapce.*

Przypomniało jej się, że Japończycy bardzo często rozmawiali z pielęgniarkami o szczurach. Rozkazali zaszczepić więźniów przeciw jakiejś „zarazie”. Mieli nową surowicę. Twierdzili, że ochroni jeńców przed tą chorobą, jak również przed malarią. *Dobry Boże, co ja im dałam w tych zastrzykach?* Teraz tak naprawdę nie wiedziała. Jeden z misjonarzy powiedział jej później – gdy już to zrobiła, wierząc słowom Japończyków – że w Chinach zrzucili tonę pcheł zakażonych prawdziwą dżumą, nawet się nie zawahali. Uczynili z „bezwartościowych Chińczyków” króliki doświadczalne do swoich eksperymentów. Jeśli któryś umrze w trakcie testów, tym lepiej – jeden szczur

laboratoryjny mniej, to wszystko. *Wybacz mi, Boże, to, co być może uczyniłam.*

Zastanawiała się, co się dzieje z resztą świata. Nie miała pojęcia. Wyobrażała sobie, że świat wciąż walczy z państwami Osi – ale jeśli nie? A jeśli Hitler zajął Europę, podbił Wielką Brytanię, jeśli (*dobry Boże*) zajął Amerykę, i to nie ostatnio, lecz lata temu? Jeśli mrok ogarnął już cały świat? Jeśli ten mały, nieznaczący punkt na mapie jest ostatnim miejscem, o jakie trwają walki? Potem będzie po wszystkim. Może japońcy i Niemcy zaczną się spierać przy podziale łupów. Może zaczną się zabijać nawzajem.

W ostatnim liście, jaki Kay dostała od Jo, wciąż jeszcze walczyli, w każdym razie wtedy: parli przez Włochy na północ, ku Francji, ku samym Niemcom – oszaleli? Przeczytała go tyle razy, że znała na pamięć każde słowo.

Droga Kay, mam nadzieję, że to dostaniesz, że traktują Cię dobrze w niewoli, że wrócisz do domu albo przyłączysz się do mnie tutaj na froncie. Szczerze mówiąc, nie zawsze jesteśmy na froncie – czasem znajdujemy się trochę za nim, czasem kawalek przed nim, ale jak się zdaje, nieustannie w jego pobliżu. Niekiedy obrywamy niezłe ciągi i potem zbieramy żołnierzy, zbieramy fragmenty tej tragedii – bo wojna jest tragedią, zimna czy gorąca, sucha czy mokra, na Pacyfiku, w Europie czy w Indochinach. Zostałyście sławne, wiesz o tym, Kay? To reklama obligacji wojennych, jak mi się zdaje – nie, mam ją przed oczami: chodzi o gazetową kampanię na froncie krajowym „Pracuj, by je wyzwolić”, wiesz, jak wyglądają – chociaż nie, pewnie nie wiesz, pewnie żadnej nie widziałaś. No cóż, na pierwszym planie stoi japońiec o podłej twarzy (prezentują się tak groźnie naprawdę czy tylko na plakatach?), a za ogrodzeniem z drutu kolczastego przedstawiono artystyczną wizję „uwięzionych pielęgniarek na Pacyfiku”. Cóż, na pewno ucieszy Cię wieść, że wyglądasz szalowo ze świeżą trwałą ondulacją i nosisz najdziwniejszy strój, jaki sobie można wyobrazić – wykrochmalony czepek oraz biały uniform (jak na rozdaniu dyplomów, pamiętasz? Naprawdę wystrzałowy), białe czółenka i (tylko pomyśl) białe pończochy bez żadnego spuszczonego oczka, a dla ukoronowania tych wszystkich idiotyzmów pelerynę à la Florence Nightingale z poprzedniej wojny. Nigdy nie widziałam czegoś podobnego. Wiem, że padłabyś ze śmiechu na widok tego obrazka, Kay. (Queenie Cię pozdrawia i właśnie śmieje się obok mnie, patrzy na tę gazetę i mówi, że wolalaby umrzeć, niż się pokazać w czymś podobnym). A obie mówimy: głowa do góry, daj nam tylko skończyć tutaj, a zaraz przylecimy z wizytą do Was.

Odgłosy walki znacznie się przybliżyły. Kay zastanawiała się, czego używają Amerykanie. Może czołgów? Spodobala jej się myśl o czołgach. Toczących się w ich stronę, miażdżących gąsienicami kamień i gruzy, jakby były niczym. Zmierzających ku nim. Ku olbrzymiej pułapce na szczury, która wkrótce miała stanąć w płomieniach.

Udawała, że pisze, nie zauważając nawet, że ogryzek ołówka wysunął się z jej dłoni. Nie zauważając nawet, że jej ręka przestała się poruszać.

Mam nadzieję, że tu dotrą, mam nadzieję, że Amerykanie zrównają z ziemią to miejsce, zburzą mury, rozbiją bramy naszego piekła. Mam nadzieję, że przybędą i zakończą wreszcie to szaleństwo.

„Pan postępował przed nimi w kolumnie obłoku za dnia, by ich prowadzić

w drodze, i w kolumnie ognia nocą, by dać im światło, by mogli podróżować za dnia i w nocy”4.

Jest noc. Wystarczy, jeśli pójdziecie za światłem, chłopcy, a nas znajdziecie.

4 Księga Wyjścia 13, 22, Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, op. cit.

Czas pokoju

JO MCMAHON

21 CZERWCA 1945, LONDYN, ANGLIA

Jo podrapała się pod kołnierzykiem galowego munduru. Został uszyty na miarę, nie był za ciasny, lecz nie była do niego przyzwyczajona – do beżowego krawata, który należało nosić przepisowo, do formalnego brązowego zakietu, dopasowanej spódnicy. Siedziała w cichym pomieszczeniu, słuchając niemilknącego tykania ściennego zegara. Deski podłogi lśniły, jakby pokrywała je warstewka lodu. Okna szczelnie zamknięto dla ochrony przed słońcem. Jo czuła, że jej duszno. Poprawiła kołnierzyk i poruszyła się na niewygodnym krześle o twardym oparciu, chowając skromnie skrzyżowane stopy w półbutach na wysokich obcasach. Nogi swędziały ją od pończoch.

Drzwi się otwały i jakaś kobieta o brzydkiej cerze oznajmiła, że może wejść. Wstała pośpiesznie i światło odbite od przedniej szyby samochodu stojącego na ulicy oślepiło ją na moment. Stukając obcasami, przeszła ostrożnie po lśniącej podłodze do ciasnego, zadymionego gabinetu.

– Porucznik McMahan – przywitał ją zza biurka kapitan, na pół podnosząc się z miejsca, gdy weszła i zaszalutowała. Machnął niedbale wolną ręką. – Przepraszam za bałagan – rzucił z uśmiechem, odsuwając na bok olbrzymi stos dokumentów, by zrobić miejsce dla kubka z kawą. – Tak wiele do zrobienia i tak mało godzin w ciągu dnia. Kto by pomyślał, że wygranie wojny spowoduje tyle pracy papierkowej?

Rozpromienił się od ucha do ucha, zachwycony swoim dowcipem, więc uśmiechnęła się uprzejmie w odpowiedzi.

– A więc, panno... – Sprawdził na liście przed sobą; zauważyła nazwiska nieporządnie wykreślone na niebiesko, inne z wielkimi czerwonymi znaczkami. – ...Ach tak, już pamiętam. No cóż, moja droga, mamy pewne dobre wiadomości i mamy pewne złe wiadomości.

To „moja droga” zdradza wszystko.

– Ta dobra jest naprawdę wspaniała – ciągnął protekcyjnie, jakby zwracał się do bardzo małego dziecka. – Wygląda, że nie próżnowała pani po drugiej stronie kanału?

Niczym prezent na urodziny podał jej malutkie tekturowe pudełeczko. Zajrzała do środka.

– Srebrna Gwiazda – wyjaśnił, jakby trzeba jej było odświeżyć wiedzę o wojskowych odznaczeniach. – Zdumiewające. To znaczy nie wiem na pewno, ale możliwe, że jest pani jedyną kobietą w dziejach, która ją otrzymała.

Nie, nie jedyną, pomyślała.

– Uroczysta dekoracja odbędzie się niebawem – dodał ogólnikowo i spojrzał z powrotem na listę.

Zabrzmiał brzęczyk. „Nie teraz, Bessie”, rzucił, krzywiąc się, jakby tamta mogła zobaczyć jego pełną dezaprobaty twarz.

– Wychodząc, może pani spytać o datę sekretarke.

Wyglądało na to, że odprawił Jo, zapomniał o niej i o złej wiadomości, którą miał przekazać. Liczył coś półgłosem, potrząsając głową, jak gdyby wynik się nie zgadzał.

– Mogę spytać, kto mnie zgłosił, panie kapitanie?

– Do tego? Och, jasne, nie ma problemu – odparł tonem sugerującym coś wręcz przeciwnego. Nacisnął guzik. – Bessie, zobacz, czy zdołasz ustalić, kto zarekomendował tę kobietę do Srebrnej Gwiazdy, nie mam tego tutaj. I każ przysłać obiad na górę, okej? Umieram z głodu.

Jo siedziała w milczeniu ze złożonymi rękami, patrząc na kapitana. Miał nadwagę, musiał przepracować za biurkiem całą wojnę. Nie spojrzał na nią ani razu, wciąż coś sprawdzając na swoich formularzach. Łysina na czubku jego głowy lśniła. Przypominał jej Billy'ego. W tym pokoju także znajdował się zegar, bardziej hałaśliwy niż w poczekalni. Tykanie było tak głośne, że zastanawiała się, jak on je wytrzymuje.

– Och – odezwał się, jakby o czymś sobie przypominał, skreślając z satysfakcją kolejne nazwisko. – Została pani również awansowana na pełnego porucznika. Musiała się pani naprawdę starać. – Tym razem w sposobie, w jaki to powiedział, brzmiała sugestia, że awans niekoniecznie był czymś pozytywnym, jakby wydawał się dyskusyjny.

Rozejrzała się po niewielkim gabinecie – dość imponującym, stwierdziła. Znajdowały się w nim dyplomy i medale oraz atrapy mieczy skrzyżowane nad głową kapitana. Panował bałagan: książki i ulotki, niedojedzona kanapka, spod biurka wystawała skórka pomarańczy, niewielki dywanik pokrywały strużyny z ołówka i popiół.

Odchrząknęła.

– A zła nowina, panie kapitanie?

– Och, och tak – odparł i jego głos spoważniał.

Włożył okulary, bez których czytał ledwie przed momentem. Jo wyobraziła sobie, że grube oprawki nosi jedynie dla efektu, by wzbudzać respekt.

– Jak się zdaje, istnieją pewne wątpliwości co do pani... hmm, jak by to ująć... kondycji fizycznej... oraz możliwości dalszej pracy w charakterze pielęgniarki w chwili obecnej.

– Nie ma żadnych wątpliwości, panie kapitanie.

– W porządku, wiem, co pani zaraz powie: że jest zdrowa i może dalej pracować na swoim stanowisku. Bardzo pochwalam takie nastawienie, ale...

– Przepraszam, kapitanie. – Uniósł brwi zaskoczony, że mu przerywa, i okulary zsunęły mu się niżej na nosie. – Chciałam powiedzieć, że nie ma żadnych wątpliwości. Nie nadaję się, by dalej pracować jako pielęgniarka. Powtarzam to od przyjazdu tutaj.

Wydawał się szczerze zdumiony.

– Nie kwestionuje tego pani? Nie zamierza protestować?

– Panie kapitanie, od przybycia proszę przełożoną o znalezienie mi innego zajęcia. Za biurkiem. Przy dokumentach. Czegokolwiek. Ale żołnierzom nie mogę pomagać, kapitanie...

Jej głos ścichł i przez chwilę wydawała się nieobecna duchem, zagubiona.

– Z pewnością wiele pani przeszła...

Co ty wiesz o tym, co przeszłam?

– ...i nikt nie może pani winić, jeśli dojrzała do zmiany.

Zapiekły ją oczy, nie okaże emocji przed tym człowiekiem. Nie był tego wart.

– Nie w tym rzecz, panie kapitanie. Kocham pielęgniarstwo. Kocham żołnierzy. Chodzi... chodzi tylko o to.

Wyciągnęła przed siebie ręce skierowane dłońmi w dół: drżały, trzęsły się nieopanowanie. Twarz mężczyzny pobladła, jakby było to najgorsze, co widział przez całą wojnę, najgorsze, co widział w życiu.

Być może tak jest, pomyślała.

– Nerwica frontowa – wyjaśniła prosto. – Wyczerpanie walką. Bóg wie, że dostatecznie często widywałam ją u innych, by ją rozpoznać u siebie. Nie jestem zdolna... kompetentna... by pielęgnować chorych, świadczyć im pomoc medyczną, panie kapitanie. Powtarzam to, odkąd tu przyjechałam.

Zgarbiła się na krześle, jakby na chwilę zapomniała o obecności kapitana.

– Ja... hmm... nie wiem, co powiedzieć... może jako bohaterce wojennej i tak dalej... – uśmiechnął się słabo – moglibyśmy zorganizować odesłanie do kraju?

– Nie, panie kapitanie. – Usiadła prosto. – Nie, panie kapitanie... to znaczy, proszę, nie. Dopóki nie wygramy w Japonii. Dopóki nie wrócimy wszyscy.

Muszę tu zostać, aż się dowiem, gdzie jest David, aż się dowiem, co się z nim stało. W kraju nie mam nikogo. Nie mam do kogo wracać.

Płonący w niej ogień na moment rozjaśnił obskurny pokoik i zdawało się, że zdołałby rozniecić węgle w duszy tego kapitana, który nie zadał sobie nawet trudu, by się przedstawić. Ale właśnie wtedy przyniesiono na tacy lunch z dwoma rodzajami napojów w podzwaniających szklaneczkach z rżniętego szkła. Mężczyzna spojrzał na nie, potem na Jo. Musiał kończyć rozmowę – było już po dwunastej.

Bessie ciężko postawiła tacę wprost na pliku dokumentów z napisem „Departament Stanu”.

– Nazwisko brzmi Donahue, panie kapitanie.

Spojrzał bezradnie na sekretarkę. *Doprawdy powinna coś zrobić z tą cerą.*

– Nazwisko, o które pan pytał. Osoby, która zarekomendowała ją do awansu.

Wyszła niezgrabnym krokiem, jej ortopedyczne trzewiki nie wydawały żadnego dźwięku.

Oczywiście, że to nie był Clark. Jo wiedziała to, ale chciała się upewnić.

– Zatem ma pani swoją odpowiedź. I, hmm, jeśli jest pewna swojego stanowiska...

– Zerknął tęsknie na tacę, opierając się pokusie, by zajrzeć pod srebrną pokrywę; zapach sugerował indyka. – ...to mamy pracę dla kilku kwesterek, zbieranie pieniędzy na kampanię na Pacyfiku. To naprawdę nic trudnego... chodzenie od drzwi do drzwi, proszenie o datki...

– Wezmę ją – oznajmiła pośpiesznie, podnosząc się z miejsca.

Czuł, że powinien powiedzieć tej kobiecie coś jeszcze, że być może powinien zrobić dla niej coś jeszcze, lecz spojrzał na posiłek. Chyba indyk z sosem.

– Bessie, hmm, zajmie się wszystkimi szczegółami.

– Dziękuję, panie kapitanie. Dziękuję, że mnie pan nie zwolnił ze służby.

Odwróciła się energicznie i ruszyła do drzwi.

– Panno McMahan – rzucił, rozkładając już serwetkę na kolanach – zapomniała pani odznaczenia.

Jo wyszła w blask słońca. Stopy bolały ją, kiedy szybko szła chodnikiem w tłumie pieszych. Spotykało się tu tak wielu Amerykanów – oficerów, żołnierzy. Minęła ją gromadka marynarzy maszerujących ramię w ramię i gwiżdżących donośnie. Nie chciało się wierzyć, że to Londyn – przypominał raczej Piątą Aleję w kraju. Patrzyła na miasto, które już знаła i którego dotąd nie widziała. Niektóre miejsca wyglądały jak z pocztówki, jak z broszury biura podróży, dokładnie tak, jak je sobie zawsze wyobrażała – piekarnie, puby i kamienice, katedra św. Pawła, Piccadilly Circus – obok gruzowisk po bombardowaniach, skorup byłych domów, spiętrzonych wysoko lub rozrzuconych i porozdzieranych worków, z piaskiem wysypującym się na ulice. Przecięła Hyde Park i podniosła wzrok na Łuk Wellingtona z aniołem pokoju zstępującym na rydwan wojny prowadzony przez małego chłopca. Kim był? Hitlerem z okresu dzieciństwa? Hirohito? Jakimś dyktatorem sprzed roku, stu lat, sprzed tysiąclecia? Czy miało to znaczenie, jak długo anioł zstępował? Jak długo przybywał, by okiełznać spłoszone konie, powstrzymać obłąd? *Aniele pokoju, uważaj na Davida.*

– Uważaj! – wrzasnął na nią gniewnie taksówkarz i cofnęła się na chodnik.

Nie miała wieści od Davida. *Skąd miałabym je otrzymać?* uspokajała samą siebie. Wojna w Europie rozstrzygnęła się zaledwie przed miesiącem. Kto wie, gdzie się podziewa, jak długo potrwa, zanim wróci do cywilizacji, do niej? Jak długo potrwa, zanim wieści od niego dotrą do jego rodziny, do niej? Zresztą skąd by wiedział, gdzie jej szukać? Wiedział jedynie, że pochodzi z Brooklynu. Z pewnością będzie jej poszukiwał tam, nie w Londynie. Ale nie mogła wrócić, nie mogła opuścić Anglii, gdy David wciąż gdzieś się błąkał. Zresztą do szkockich gór znacznie bliżej było z Londynu niż z Bay Ridge.

Cieszyła się, że w końcu wyrwie się ze szpitala, cieszyła się, że będzie wychodzić na zewnątrz, wspomagać działania ludności cywilnej na rzecz wojny. Wszyscy jej frontowi pacjenci wyzdrowieli i zostali wypisani. Wielu z pewnością dotarło już do kraju. Rzuciła okiem na sprzedawane na ulicy amerykańskie gazety i przeczytała, że poprzedniego dnia Queen Mary z amerykańskimi żołnierzami zawinęła do portu. Wzięli szturmem Nowy Jork. Do tej pory pewnie wszyscy mają kaca, jak po sylwestrze, tłustym czwartku i Święcie Niepodległości razem wziętych. Nie tęskniła za tym, nie żałowała, że jej tam nie ma. Cieszyła się, oczywiście, że chłopcy wrócili do domu – przynajmniej dopóki nie ruszą do Japonii, cieszyła się, że wojna w Europie się skończyła i wkrótce rozpocznie się odbudowa. Ale nie mogła jeszcze wyjechać.

Sięgnęła do chlebaka – nie starego, płóciennego, lecz do świeżo wyfasowanej skórzanej torby na pasku, błyszczącej i gładkiej – i wyjęła pensa.

– Proszę, synu – zwróciła się do gazeciarza, po czym rozłożyła gazetę.

Nie była w stanie zrozumieć tych fragmentów wojny, które ją ominęły: ostatniej desperackiej ofensywy w Niemczech, w Polsce, w odległych zakątkach, o których istnieniu wolny świat miał się nigdy nie dowiedzieć. Czytała dziwne słowa, takie jak „Dachau”, oglądała zdjęcia wycieńczonych ludzi, stosów trupów – *przecież to zło dla*

samego zła – łzy wezbrały jej w oczach i pociekły na policzki. Kiedy mogła widzieć znowu, zobaczyła na stronie przed sobą grubo ubranych Sowietów. Opuściła teatr działań wojennych, zanim Amerykanie się z nimi spotkali. Ich mundury, ich twarze wyglądały obco – zapomniała, że w ogóle brali udział w wojnie. Ale ich ofiary wśród ludności cywilnej liczone w milionach. Powiodła wzrokiem dokoła po zawałonych wejściach do metra, zrównanych z ziemią bibliotekach i szkołach, patrzyła na zniszczenia, jakie poniosła Anglia, która straciła sześćdziesiąt tysięcy cywilów – niewinnych kobiet i dzieci, starców i staruszek zbombardowanych we śnie, pogrzebanych żywcem, mających się nigdy nie obudzić. Potem spróbowała przemnożyć tę straszną liczbę, by wyobrazić sobie śmierć miliona, dziesięciu, dwudziestu milionów Rosjan, jak szacowano, w miarę jak spływały raporty. Patrzyła na fotografie – szczęśliwi żołnierze całujący dziewczęta na ulicach, nagie cygańskie sieroty płaczące na skraju drogi, szpiedzy państw Osi rozstrzeliwani jak psy, alianccy szpiedzy ginący jako bohaterowie. Oto tłumy wiwatujące na Manhattanie w Dniu Zwycięstwa i tłumy wiwatujące w Mediolanie, gdy wieszano na hakach głowami w dół Mussoliniego i jego kochankę. Jo nie potrafiła się z tym pogodzić, nie potrafiła tego zrozumieć. To był pokój cuchnący wojną i śmiercią, głodem i torturami. Jak można to kiedykolwiek naprostować? Jak Bóg zdoła to naprawić? Jak świat kiedykolwiek zdoła się z tego podnieść? A przecież to jeszcze nie był koniec. Japonia, Pacyfik – wojna się nie skończyła, do tego było daleko. Co tam się działo? Nie miała wiadomości od Kay od czasów sprzed Pearl Harbor, nie wiedziała, co spotkało przyjaciółkę, czy otrzymała którykolwiek z jej listów, czy jeszcze żyje. Z jakimi okrucieństwami stykały się siły amerykańskie, zdobywając jedną skrwawioną wyspę za drugą, wdzierając się w samo serce terytorium wroga? *Błagam, Boże na niebie, niech tam nie będzie gorzej niż tutaj.*

Złożyła gazetę i znowu szła ulicami, patrząc, lecz nie widząc, unosząc stopy, by ominąć dziury, worki z piaskiem – beużyteczne teraz i rozrzucone wszędzie – podążając z ludzkimi potokami wymijającymi leje po bombach, robotników usuwających z drogi stosy gruzu. Przystanęła przed schronem przeciwlotniczym, by zawiązać sznurówkę, i z tej pozycji obserwacyjnej dostrzegła jaskrawą kratę kiltu. Czerwony z białym, zielony i niebieski – dwa kilty, nie, trzy. Kiedy się wyprostowała, mężczyźni niczym się nie odróżniali od innych przechodniów, lecz z dołu byli nie do pomylenia. Zerwała się i pobiegła za nimi.

– Przepraszam, przepraszam! – zawołała.

Ale ludzi było zbyt dużo, hałas zbyt wielki.

Przypomniał jej się David, jego uśmiechnięte oczy, kiedy próbował ją uczyć szkockiego.

„A tak się mówi «cześć», panienko”.

– *Aye, aye, min!* – niemal krzyknęła.

Mężczyźni zatrzymali się jak wryci, aż dwie gospodynie z pakunkami wpadły na nich i spiorunowawszy ich wzrokiem, ruszyły dalej. Rzeka pieszych przepływała obok.

– Dzień dobry, panienko – przywitali się z uśmiechem, kłaniając się jej na samym środku Apsley Way.

– Dzięki Bogu, że was spotkałam, zamartwiałam się okropnie...

Uśmiechnęli się cierpliwie – nigdzie im się nie spieszyło.

– Możemy panience czymś służyć?

– Widzicie, Brytyjczycy nie są zbyt pomocni, gdy chodzi o Szkotów...

– Aye, panienko, zauważyliśmy to już wcześniej.

– Przepraszam. Bredzę bez sensu, wiem. Pewnie wydają się wam śmieszna, że tak was zaczepiłam. Mam na imię Josephine.

– Dzień dobry – powtórzyli unisono.

– Dzień dobry. Czy moglibyście mi pomóc? Muszę kogoś odnaleźć.

– Zapewne jakiegoś Szkota?

– Aye! – niemal krzyknęła znowu, a oni wybuchnęli śmiechem. – To znaczy tak – poprawiła się, czerwieniejąc.

– Wyglądał trochę jak my, spotkała go panienska na wojnie i straciliście ze sobą kontakt?

– Znowu tak. Widzicie, służę w armii amerykańskiej, nie mamy możliwości, by go odszukać. Podobno wszyscy reprezentujecie Zjednoczone Królestwo, ale, dobry Boże, zalicza się do niego Anglia i Australia, i Kanada...

– I my, panienko.

– Aye. – Nie potrafiła opanować podekscytowania. – I jak się zdaje, nikt nie wie, gdzie są pozostali – dokończyła bez tchu.

– Możemy panienkę zaprowadzić do naszego kapitana – zaproponowali. – Sami niedługo wracamy do domu, ale z chęcią panienkę odeskortujemy. Jak się nazywa ten młody człowiek?

I tyle. Jo ruszyła z nimi ulicą, która nie była już taka sama, teraz widziała już lato, dostrzegła upał i słońce, poczuła woń kwiatów – na straganach, w skrzynkach, wyrastających w szparach chodnika. Niebo iskrzyło się, błękitne jak nigdy dotąd. Mężczyźni pytali i udzielali odpowiedzi, a ich śpiewne głosy przypominały Davida. Naprawdę pomogą go jej odzyskać – odnaleźć i zwrócić jego matce. I Bumpy'emu. I Kit. I jej.

Dotarłszy do biura, poczęstowali ją zimną wodą w maleńkich papierowych kubeczkach. Kapitan – rosłe chłopisko, zbyt tęgi na swój kilt, na swój ciasny gabinet – był przyjacielski, oficjalny i uprzejmy. Odbył kilka rozmów przez telefon, rozesał posłańców, przygotował telegramy – żaden trud nie był zbyt wielki dla młodych zakochanych. Zanotował jej adres w Londynie i w Nowym Jorku. „O wielu mężczyznach brak wiadomości, ale bez obaw, panienko, to tylko robota papierkowa, tylko zaległości, nie dajemy rady przerobić wszystkiego, spisać wszystkiego wystarczająco szybko”. Nie czuła się równie szczęśliwa od dawna, nie – tu niespieszny uśmiech odmienił jej twarz – nigdy nie czuła się równie szczęśliwa. Mężczyźni patrzyli na nią życzliwie jak na siostrę, jak na przyjaciółkę mającą wejść do rodziny. To oczywiste, że kocha Davida – czyż nie jest Szkotem? Z ich punktu widzenia to wystarczało, była to najbardziej naturalna rzecz pod słońcem.

Biuro skończyło pracę. Jo zerknęła na zegar – niewielki, cichy, który nie wydawał żadnych dźwięków, spojrzała z wyrzutem na kościelne dzwony wybijające godziny, choć ich nie słyszała. Spędziła cały dzień, popijając wodę z malutkich kubeczków,

rozmawiając o Davidzie i czując się bezgranicznie szczęśliwa. Wstała, przepaszając, że zajęła im czas, ale rozpływali się w uśmiechach – cóż za nonsens. „Niech panienkę Bóg prowadzi, proszę nas zaprosić na wesele”. Wszyscy się roześmiali.

Gdy opuszczali biuro, sekretarka podała kapitanowi jakąś kartkę.

– Właśnie przyszło dalekopisem. Nowa lista.

Spojrzał na papier, Jo nadal się uśmiechała, lecz jego twarz spochmurniała na ułamek sekundy za długo.

– Jak się nazywał ten żołnierz, *lass*?

Wcześniej tak się do niej nie zwracał, więc zdziwiła się, czemu zrobił to teraz.

Wśród nazwisk zaczynających się na „Mac”, bardzo licznych w szkockim wykazie, widniało: „David MacPherson, zaginiony w akcji”.

Wszyscy wciąż narzekali na ciężkie życie, gdy w rzeczywistości wszystko było takie łatwe. Kobieta przed nią lamentowała, że nie sposób dostać dobrej wołowiny. „To jeszcze nic”, przyłączyła się druga. „A cukier można dostać? Prawdziwy cukier? Nie, no właśnie”. Następnie należało przedyskutować niedobory towarów sypkich, świeżych jajek, niegarbowanej skóry, muślinu czy też nowych płyt z muzyką z Ameryki. Ale jeśli się chwilę zastanowić, wszystko było takie proste. Spałaś w łóżku. Budziłaś się. Myłaś twarz. Jedzenia nie brakowało – prawdziwego jedzenia, nie racji wygarnianych z puszek, na pół zamrożonych i zjełczałych. Mogłaś zostać pod dachem. Albo wyjść, wędrować całymi kilometrami. Nikt o tym nie wiedział i nikogo to nie obchodziło, a dopóki wracałaś do dormitorium przed północą, nikt tego nie zauważał. Nigdy, ani przez moment nikt nie próbował cię zabić. Żadnych bomb, samolotów, min. Ruchliwe ulice pełne krzątających się ludzi, kiwających głowami i użalających się z powodu przerwy w kursowaniu metra, kolejki na pocztę i tysiąca innych cywilnych trosk, których Jo już nie rozumiała. Wszystko było takie proste, tak beznadziejnie proste.

Skreśliła z zatłoczonego chodnika ku spokojniejszej części miasta. Lśniące czarne kute ogrodzenia ciągnęły się przed nią bez końca, rzucając w palącym blasku słońca kształtne cienie. Poprawiła czepek, wpięła szpilkę wysuwającą się z włosów; ufarbowała je na oryginalny miedziany kolor, białe i siwe pasma zniknęły.

Domy wokół przypominały pałace, po królewsku odsunięte od ulicy, ze szmaragdowymi trawnikami. Ogrodnicy strzygli żywopłoty, przycinali bujne rododendrony i azalie, podlewali grządki kwiatowe i napełniali baseniki dla ptaków. Niektóre posiadłości wydawały się praktycznie nietknięte przez niedawną wojnę – Jo widziała, jak kabriolety Daimlera zajeżdżają, by wyładować cenny ładunek w postaci jakiejś debutantki i hrabiego, księżnej i magnata przemysłowego, po czym są troskliwie woskowane przez szofera i jego sześciu pomocników pocących się w południowym upale. Przeszła jeszcze kawałek – nigdy nie kwestowała w domach z oznakami żałoby: zaciągniętymi storami, z widocznymi przez okno kobietami we wdowich strojach. Zobaczyła przed sobą georgiańską rezydencję flankowaną z jednej strony przez jakieś szkaradzieństwo w pseudowłoskim stylu, a z drugiej przez wypatroszoną, spaloną ruinę. Zdumiało ją, że wszyscy tu żyją jak gdyby nigdy nic. Rodziny z tych domów musiały się

zapraszać na kolacje, na tańce. Służący musieli się spotykać przy żywopłocie, by palić i wymieniać plotki. Nagle, w mgnieniu oka, chłopiec od rzeźnika dostarczający kotlety z kością, listonosz, który zwlekał o sekundę za długo, chcąc poplirtować z drugą pokojówką, ogrodnik niosący ostatnie bzy z nadzieją, że wystarczą – wszyscy zniknęli unicestwieni na zawsze, a po ich egzystencji, miłościach i zawiściach, małostkowych niechęciach i głupich marzeniach nie został żaden ślad. Chwilę jeszcze patrzyła na gruzy, pchnęła ozdobną bramę sąsiedniej posiadłości i ruszyła długim, idealnie wygrabionym żwirowym podjazdem, statecznie omijającym miejsce zniszczenia jak coś lekko krępującego, towarzyskie dziwactwo, o którym lepiej zapomnieć.

Trzeba żyć dalej.

Blask słoneczny zalewał ziemię, Jo szła, lecz w głowie miała gonitwę myśli. *„Zaginiony w akcji”. To gorsze niż „poległy w boju”. Oczywiście, że nie, jak możesz tak twierdzić? „Poległy w boju” to coś najgorszego, ostatecznego, nie ma żadnej nadziei, nic. Serce może ci pęknąć, możesz umrzeć, nawet popełnić samobójstwo, ale wiesz, na czym stoisz. Twoje życie się kończy. Odszedł. A „zaginiony w akcji”? Och, drobiazg. Naprawdę nic takiego. Zaginiony to ktoś, kto zablądził albo został wyrzucony przez morze, albo tkwi w pułapce, albo jest jeńcem. Za zaginionego możesz zostać uznany, jeśli nie żyjesz, lecz nie odnaleziono twojego ciała, albo żyjesz, ale nikt cię nie szuka, albo ktoś przez pomyłkę wystukał na maszynie „Z” zamiast „P”.*

Wyobraziła sobie Davida w obozie jenieckim na północy Polski, dygoczącego z zimna w czerwcu. Albo konającego z głodu w Niemczech, więzionego przez zbuntowanych wyrzutków, którzy nie chcą się poddać i zamierzają wyładować gniew i wściekłość na alianckim jeńcu. Widziała go powieszonoego w Dreźnie, utopionego w Monachium, błakającego się po Rosji. Tyfus się odnowił i David zmarł na statku transportowym, po czym został wrzucony do morza, zanim ktoś sobie przypomniał, by zerwać skórzany identyfikator. („Jak się nazywał? Kto to wie? Nikt nie będzie tęsknił za nieszczęśnikiem”). Ledwie przekonała samą siebie, że David żyje (zaginął, głoduje albo jest chory, ale żyje), do ataku przystąpiły wątpliwości, szepcząc, że zginął. Kiedy niemal pogodziwszy się z tym faktem, przygotowywała się na jego śmierć, do serca zakradała się nadzieja – denerwująca nikła nadzieja, gorsza od rozpacz. I błędne koło zaczynało się od nowa.

Pani domu nie ma, oświadczył służący. Podziękowała uprzejmie i przemierzyła ponownie podjazd, kierując się do następnego domu i jeszcze następnego, maszerując w słońcu bezmyślnie niczym automat. Głowa bolała ją od upału, od myślenia, od niemyślenia – jedyne, co ją pochłaniało, to ściganie własnych myśli, na jawie, we śnie, w strasznym pogranicznym świecie, gdzie nie potrafiła odróżnić marzeń od rzeczywistości. David był dzielnym mężczyzną, nie tchórzem, ale w jej wyobraźni umierał tysiące razy. Już miała uklęknąć przy grobie, który mu wykopała, zapłakać z twarzą ukrytą w dłoniach, słyszała, jak ją nawołuje z oddali, z miejsca, gdzie tkwił uwięziony, czekając na nią – i jej myśli na nowo zaczynały gonitwę.

Idąc, wymacała w kieszeni zmiętą kulę papieru. Nie potrzebowała go czytać – wiele razy utrzymywała sobie adres w pamięci.

„To jego jedyne adres, jaki mamy, *lass*”, powiedział jak w zwolnionym tempie

szkocki kapitan – jak we śnie obserwowała jego usta poruszające się pod wąsem. „Przesłaliśmy wiadomość na farmę, ale rodzina wyprowadziła się z powodu nalotów. To jakiś jego krewny, wuj, tutaj w mieście. Może panienka zacząć od niego”.

Głos kapitana brzmiał tak smutno. Jo chciała go pocieszyć, pogłodzić po głowie jak małego chłopca, zapewnić, że wszystko będzie dobrze, żeby się nie martwił – ale serce przestało jej bić, gdy usłyszała, że David zaginął. Dlatego wzięła adres, a potem go wyrzuciła. Po czym na kolanach odszukała go wśród skórek pomarańczy i skorupki od jajek, wygładziła, przeczytała, nauczyła się na pamięć. Pójdzie zobaczyć się z wujem, jedynym ogniwem łączącym ją z Davidem. Nie, nie pójdzie. Owszem, pójdzie.

Stopy niosły ją, gdy się spierała z sobą samą. Umysł przekonywał: *Oczywiście, że nie możesz tego zrobić*, lecz ręka pociągnęła wielki dzwonek. Żaden dźwięk nie doleciał jej uszu przez barierę z mahoniem, żelaza i stali, lecz po kilku minutach otworzył jej starszy służący i nie zdradzając żadnych uczuć, stał nieruchomo w wejściu z uprzejmie uniesionymi brwiami.

– Dzień dobry pani.

Czyżby aż tak się postarzała przez wojnę?

– Dzień dobry. Czy mogłabym rozmawiać z panią domu? – To była standardowa kwestia, tak polecono im pytać.

– Z panią? – Głos mężczyzny zdradzał ledwie zauważalny ślad akcentu.

Przełknęła ślinę. Zaschło jej w gardle.

– Albo z panem domu. Właściwie to bez znaczenia.

– Kogo mam zapowiedzieć?

– Porucznik McMahan z armii Stanów Zjednoczonych.

Przyglądał się kolejną chwilę, starannie taksując jej mundur, jakby była oszustką.

– Zechce pani wejść?

Oczekiwała, że olbrzymi hol wejściowy będzie mroczny i chłodny, ale okazał się skąpany w świetle wpadającym z góry. Odblaski iskrzyły się wszędzie – na szybach, na kremowym marmurze klatki schodowej, na ozdobnie rzeźbionych płytkach pod jej stopami promieniujących niczym słońce. Osloniła dłonią oczy, jaskrawy blask je ranił.

– Tędy, proszę pani.

Poczuła wdzięczność, gdy została zaprowadzona do wygodnej biblioteki, ciemnej i kojącej. Służący poniósł jej wizytówkę – wcześniej umieściwszy ją starannie pośrodku wypolerowanej srebrnej tacy – starszemu panu o bujnych włosach i krzaczastych brwiach, który z odchyłoną głową oglądał najwyższy rząd książek. Mężczyzna spojrzął na kartonik, masując plecy przez tweedową sportową marynarkę. W niczym nie przypominał Davida. Może podali jej błędny adres.

– Porucznik McMahan, sir. – Służący wycofał się cicho.

– Witam, panienko – przywitał się zwyczajnie starszy pan. – Zechce panienka usiąść?

Czyżby wychwyciła ślad zaśpiewu? Nie, nazwał ją „panienką”, nie *lass*. Wyobraziła sobie tylko. Pomyliła się.

– Dziękuję.

Zapadła w chłodną miękkość skóry, drewniana żaluzja chroniła przed światłem

wpadającym z ogrodu – Jo dostrzegła między listewkami smugi zieleni, czerwieni i żółci. Na zewnątrz coś metalowego – a może woda – odbijało słońce, więc ukradkiem przesunęła głowę, próbując uniknąć przeszywającego blasku.

– Napije się panienka czegoś?

– Poproszę o wodę.

– Tylko wodę? Sądziłem, że może brandy? Whisky?

– Nie, dziękuję panu. Dużo dzisiaj chodziłam. A teraz zrobiło się znacznie upalniej, niż kiedy zaczynałam.

O tyle więcej słońca.

– Oczywiście.

Podał jej ciężki kryształowy kielich, zupełnie niepodobny do małych papierowych kubeczków, z których częstowali ją Szkoci w najszcześniejszym – i najsmutniejszym – dniu jej życia.

Upiła łyk, ale woda smakowała dziwnie, metalicznie.

– Czy mogę panię w coś pomóc?

Przypomnieli jej się Szkoci spotkani na ulicy i to, że oni również chcieli jej pomóc, że zależało im, by odnalazła Davida, wyszła za niego i wychowała ślicznych małych Szkotów, niesfornych jak ich ojciec.

– Panienko?

– Przepraszam. – Wzdrygnęła się, jakby chciała się rozbudzić. – Służyłam jako pielęgniarka w armii amerykańskiej, a obecnie zbieram fundusze na aliancką kampanię na Pacyfiku.

Muszę się stąd wydostać, to nie rodzina Davida. A jeśli nawet, to kim dla nich jestem? Intruzem, obcą, nic mi nie są winni. Jestem nikim.

– Nie pracuje panienka obecnie jako pielęgniarka? To znaczy tutaj, w Londynie...

Drzwi prowadzące do ogrodu otwarły się gwałtownie i do środka wpadło dwoje młodych ludzi. Światło błysnęło oślepiająco i Jo zmrużyła boleśnie oczy.

– Z pewnością nie zrobiłeś niczego podobnego i wiesz o tym doskonale – zaśmiewała się dziewczyna.

– Obiję cię laską – pogroził młody mężczyzna, co, jak się zdaje, zachwyciło jego towarzyszkę, ze śmiechem chowającą coś za plecami.

– Dzieci... – skarcił ich starszy pan cicho. – Mamy gościa.

Dzieci, które nie były dziećmi, lecz młodymi ludźmi zbliżonymi wiekiem do Jo, uspokoiły się i przez moment wyglądały na zawstydzone, po czym znowu się roześmiały.

– Och, dzięki Bogu – rzuciła dziewczyna, promieniejąc. – Co za ulga, sądziłam, że to pani Youngblood albo ktoś równie okropny. Ta dopiero potrafi gderać. Ale pani wygląda na miłą – zakończyła prostodusznie.

– Moja siostrzenica – przedstawił ją gospodarz przepraszająco – i jeden z jej licznych adoratorów.

– Proszę o wybaczenie, proszę pana, ale nie jestem żadnym „adoratorem”. Ta pańska zarozumiała smarkuła właśnie...

– No, dzieci, dzieci, męczycie naszego gościa. Katherine, idź zobacz, czy twoja matka może zejść na dół. Przekaż jej, że mamy tu kogoś z armii Stanów Zjednoczonych.

– Nie, doprawdy? Jakie to ekscytujące... – Otwarli szeroko oczy i już mieli zasypać Jo gradem pytań, gdy wuj dziewczyny przepędził ich z biblioteki.

Zamknął drzwi na ogród, które ta rozdokazywana para zostawiła otwarte, i pociągnął sznur żaluzji, dzięki czemu światło przesunęło się niżej, na orientalny dywan, z dala od oczu Jo.

– Jeszcze wody? Wiem, że siostra będzie ogromnie zainteresowana wszystkim, co może nam panienka powiedzieć.

– Tak, proszę. Zbyt długo przebywałam na słońcu.

Kiedy brała od niego napełniony ponownie kielich, ręce jej zadrżały i woda połała się na bluzkę, na nogi w pończochach.

Niektóre kobiety tak robiły, wiedziała o tym. Odnajdywały rodzinę wojennego wielbiciela albo nawet zupełnie obcego żołnierza, który zginął – można było uzyskać dostęp do danych osobowych, nazwisk żołnierzy, ich najbliższych krewnych – i podawały się za jego narzeczoną. W ten sposób zdobywały pieniądze, niekiedy dach nad głową, mogły się pozbyć nieślubnego wnuka albo bękarta zupełnie obcego człowieka. „Patrzcie, ma oczy Johnny’ego, identyczny dołeczek. Jakoś cię urządzimy, skarbie, pomożemy ci stanąć na nogi, tylko pozwól nam zatrzymać dziecko”. Na myśl o takich kobietach, jak upiory tuczających się na zmarłych, Jo czuła mdłości. Ona nie była taka, nigdy nie potrafiłaby taka być. Przyszła, bo musiała się dowiedzieć, czy mają jakieś wiadomości, czy wiedzą coś o Davidzie, ale zrozumiała, że postąpiła źle – nie powinna tego robić. Szkocki kapitan miał jej adres, zawiadomiłby ją, gdyby czegoś się dowiedział.

Dopiła wodę. Wciąż smakowała dziwnie – zbliżał się udar słoneczny. Odstawiła kielich na mały stolik ostrożnie, obiema rękami. Pozwoliła im opaść do boków, po czym przypomniała sobie o nich i splotła je ciasno przed sobą. Robiła tak, by ukryć drżenie, czasami krzyżowała ramiona na piersi, a kiedyś, gdy było naprawdę źle, po prostu usiadła na dłoniach, ale zdarzyło się to tylko raz.

– Wspomniała panienka, że jest pielęgniarką.

– Tak, proszę pana.

– Ze Stanów Zjednoczonych.

– Z Nowego Jorku... proszę pana.

Między „Nowym Jorkiem” a „proszę pana” zrobiła pauzę, nie wiedziała dlaczego. Wydawało się, że ma to jakieś znaczenie, ale nie była pewna.

Kolejne drzwi (w tym pokoju było ich tak wiele) otwały się cicho i weszła drobna kobieta. Była otulona czarnym koronkowym szalem, czystym, lecz bardzo znoszonym. Twarz miała życzliwą i szczerą, ale brwi ściągnięte lekko, jakby się czymś martwiła, choć starała się tego nie okazywać.

– Moja droga dziewczynko – przywitał ją starszy pan, obejmując ramieniem i pomagając jej usiąść w fotelu. – To jest pani porucznik z amerykańskiej armii, odwiedziła nas.

Starsza kobieta uśmiechnęła się i jej twarz pokryła się tysiącem zmarszczek. *Mam nadzieję, że będę tak wyglądać na starość*, pomyślała Jo przelotnie. *Jeśli dożyję starości*.

– Witaj, moja droga. – I w tych słowach było coś tak życzliwego, tak serdecznego, że Jo miała ochotę uklęknąć przy tej starszej damie, wtulić głowę w jej kolana i pozwolić

się pogładzić po głowie.

Po twarzy kobiety przemknął nagle cień.

– Nie przyszła w sprawie... – Głos jej się załamał, gdy spojrzała z niepokojem na brata.

Na sekundę całe światło zniknęło z jej twarzy zastąpione drżącym chłodem.

– Nie, nie, Clotilde, skądże znowu. Zbiera pieniądze na... chodziło o Japonię, dziecko?

A Jo wcale nie przeszkadzało, że została nazwana „dzieckiem” – nie przez tych ludzi, przez tych cudownych, ciepłych ludzi. Mogłaby tu z nimi zostać na zawsze.

– Tak, proszę pana.

Wyglądało na to, że kobieta w fotelu z koronkowym zagłówkiem poczuła ulgę, że gdyby nie wysokie oparcie, chętnie odchyliłaby się w tył.

– Myślę o tych dzieciakach tam daleko... proszę mi wybaczyć, ale wszyscy wydają mi się tacy młodzi... panienka wydaje mi się taka młoda... jak o maluchach biegnących z nożyczkami w rękach i żałuję, że nie mogę ich powstrzymać.

Jo także pragnęła ich powstrzymać, pragnęła rozpaczliwie.

– Musi tam być gorąco. Tak okropnie gorąco. Wprost nie do zniesienia.

Nie wydawało się, jakby umysł kobiety błędził, raczej jakby poświęciła tej kwestii wiele czasu, przemyślała ją gruntownie.

– Ona też jest pielęgniarką, moja droga.

– Nie, doprawdy? Kwestujecie oprócz wypełniania zwykłych obowiązków?

– Nie, proszę pani. To nie tak.

Powinna na tym zakończyć, ale kobieta patrzyła jej w oczy z uczuciem, którego Jo nie potrafiła nazwać. Musiała jej powiedzieć. Zaczęła mówić, zanim sobie uświadomiła, co robi.

– Widzi pani, byłam na wojnie, w samym środku tego wszystkiego. – Jej głos załamał się na ułamek sekundy i nienawidziła siebie za to, więc podjęła szybko: – Było bardzo ciężko, czasami, i... wstyd się przyznać, proszę pani. – Spuściła oczy, powiodła nimi za zawitym wzorem na dywanie. – Ja, ja się nie nadaję... moje ręce... – Wyciągnęła je jak zawstydzona uczennica oczekująca uderzenia linijką. – Teraz ciągle się trzęsę, proszę pani. – Głos jej zadrżał, miała ochotę się rozplakać.

To było niedorzeczne. Musiała ich poprosić o pieniądze, by usprawiedliwić swoje zachowanie, poprosić o kilka funtów, o cokolwiek, o garść drobnych, tyle, by starczyło na tabliczkę tropikalnej czekolady Hersheya, która nie topi się w gorącej dżungli.

– Służyła panienka jako pielęgniarka na polu walki?

Przytaknęła głową. Pokój rozmazał się, ale zdołała w porę powstrzymać łzy, by nie spłynęły z oczu. Twarz wciąż miała suchą, choć policzki jej płonęły. Nawet gdyby byli bliskimi Davida, nie powiedziałyby im, nie wspomniałyby, jak cierpiał, jak omal nie umarł od choroby i brudu. Nie kazałyby im przeżywać tego wciąż od nowa, jak przeżywała to sama.

– Moja droga, mamy wobec panienki... wobec wszystkich pielęgniarek... ogromny dług wdzięczności.

Jo złożyła ręce, potem wsunęła je pod pachy, krzyżując ramiona na piersi.

– Widzi panienka, mój syn został ranny i opiekowała się nim amerykańska pielęgniarka.

– Och, bardzo pani współczuję.

To był dla niej sygnał do wyjścia; jeśli nie wyjdzie teraz, za sekundę im powie.

– Nie proszę o datki rodzin, które kogoś straciły. – Wstała zbyt szybko, pokój się zachybotał.

– On nie poległ, skarbie. Jedynie... jedynie zaginął.

Postać kobiety stała się niewyraźna, uśmiechała się słabo przez mgiełkę. Nie była już krewną Davida ani nikim konkretnym. Jedynie matką, która straciła dziecko, najsmutniejszą istotą na świecie. Takich jak ona były tysiące, setki tysięcy. Od wielu tygodni Jo słyszała: „Mój syn... mój siostrzeniec... mój kuzyn... mój brat nie żyje... zaginął... jest ranny”. Oświadczyła przełożonej pielęgniarek, że wykorzystuje tych ludzi bez litości, że oddali już tak wiele. Odpowiedź brzmiała jednak, że każda najmniejsza kwota się liczy, trafia do Japonii, pomaga zakończyć wojnę raz na zawsze. *Proszę, Boże, tym razem już na zawsze.*

Zorientowała się, że kobieta cały czas mówi.

– ...i myślę... to brzmi niewdzięcznie, wiem, nikt mnie nie rozumie, kiedy tak mówię... ale zaginięcie w akcji jest gorsze niż śmierć, nie sądzi panienka?

Jo wydała rozpaczliwy dźwięk, zarazem jęk i westchnienie, próbując zdławić szloch. Zwróciła się ku drzwiom, ale było ich tak dużo, znacznie więcej, niż pamiętała. Wszystkie zamknięte, wszystkie jednakowe – którymi weszła? Któreś otwały się gwałtownie i do środka wpadła w podskokach ta sama młoda dziewczyna, z kanapką w ręce, lecz tym razem nie towarzyszył jej młody adorator.

– Dzięki Bogu, że pani jeszcze jest, myślałam, że nigdy się nie pozbędę Tommy’ego. Chcę usłyszeć wszystko o wojnie. Mój brat w niej walczył, wiedziała pani?

Jo odwróciła się chwiejnie. W uszach rozbrzmiewało jej przenikliwe dzwonienie jak brzęczenie moskitów, które na Sycylii wciskały się do namiotu i krążyły nocą nad ich twarzami. Cichutkie i metaliczne, stopniowo przybierające na sile.

– Emile, zrób coś, jest zupełnie biała na...

Gospodarz ruszył ku niej z wyciągniętymi rękami. Starsza kobieta podniosła się i szła również, drobiąc nogami, jakby nosiła zbyt ciasne buty, przytrzymując się fotela, oparcia sofy. Jak Jo mogła nie zwrócić wcześniej uwagi na ich oczy: takie duże, takie wielkie? Olbrzymie niczym spodki. Musi się stąd wydostać.

Wreszcie znalazła właściwe drzwi. Zaatakowały ją blask słońca, żar i zaduch, jakby weszła do paleniska. Znowu jej uszu doleciał tamten dźwięk, lecz tym razem głośniejszy, jak gwizd czajnika. Nie, bardziej przypominał melodię. Ktoś gwizdał jakiś utwór. Podniosła wzrok. Wygięte schody ciągnęły się w nieskończoność, sięgały nieba. Zalały ją potęga, majestat i światło, tyle światła, nadmiar oślepiającego światła. Poczula na gardle dłonie, zacisnęły się na jej tchawicy, odcinając dopływ powietrza.

Gwizdanie zabrzmiało głośniej – jakiś mężczyzna nucił żwawą, zawadiacką melodię; potknął się na stopniu, poprawiając krawat. Usłyszała trzask w uchu i dźwięk rozległ się głośniej, a potem urwał, gdy mężczyzna ją zauważył i się uśmiechnął.

Był to David.

A może nie, bo zdawało się, że jej nie poznał – oszołomionej i oniemiałej, zagapionej na niego, stojącej pośrodku rozżarzonych płytek i wpatrzanej w niego ze zmieszaniem, z przerażeniem i zdumieniem. Jego uśmiech stawał się coraz szerszy, w końcu szelmowsko puścił do niej oko.

– Witaj, piękna.

Wyciągnęła rękę, szukając oparcia, ale na próżno – zemdląła. Słońce zaszło za chmurę i wydawało się, że ktoś nagle zgasił światło, osunęła się na podłogę, na martwe płytki, wciąż ciepłe, lecz teraz matowe, w cieniu.

Ocknęła się na szeszlunku otoczona przez stłoczoną rodzinę. Nie byli potworami. W ich oczach malował się niepokój, nic więcej.

– Dajcie jej trochę brandy – poradził ktoś.

Jo poruszyła szczęką, aż trzasnęło jej w ucho i słowa nie dobiegały już zniekształcone.

– Przepraszam – odezwała się cicho, próbując wstać.

– Widzi pani, panno McMahan – odparł David, który nie był Davidem – powinno mi bardzo pochwlebiać, że piękna kobieta pada jak ścięta na moje powitanie. Zaczynam wierzyć, że mimo wszystko mam coś w sobie. – Głos brzmiał inaczej, należał i zarazem nie należał do Davida. Szkocki akcent był nieuchwytny albo wygładzony, ukryty. – Ale co się pani stało?

– Pan jest... pan jest Bumpy – wyszeptwała, przypominając sobie fragment jednego z listów, które dyktował jej David.

– Przepraszam, panienko...

– Jesteście Bumpy i Kit, i... zaraz. – Zasłoniła oczy, wyteżając pamięć. – Pan musi być wujem Emile'em.

– Co?

– Skąd ona może to wiedzieć?

Zamiast wyjaśnienia oczy Jo napełniły się łzami.

– Kim ona jest...

– Chwileczkę... czy to możliwe?

– Mój Boże, jakie imię widnieje na wizytówce?

Młody mężczyzna sięgnął w stronę tacy.

– J. McMahan. J. Josephine. Jo?

– Ma pan oczy brata.

Jedli kolację. To było jak sen, ale jedli kolację wszyscy razem, tak jak by to robili, gdyby był wśród nich David, gdyby przyprowadził ją do domu, chcąc przedstawić krewnym. Jo nie milkła ani na chwilę – potrawy na jej talerzu stygły, ale nie przestawała mówić ani na moment, nie mogła. Oto nareszcie miała przed sobą ludzi, którzy znali Davida, którzy go kochali, którzy potrafili zrozumieć jej miłość, ból i niepokój. Teraz, gdy wiedzieli, kim jest, opowiedziała im wszystko – opowiedziała zbyt dużo. Nie wolno

jej było zdradzać, gdzie przebywała ani pod czyim dowództwem służyła, ale Boże, nie dbała o to. Opowiedziała wszystko, nie umiała się powstrzymać – podała nazwiska, daty, miejsca – łaknęli informacji. Opowiedziała o Davidzie – wszystko, co zdołała sobie przypomnieć, wszystko – i mówienie uczyniło go rzeczywistym, przywróciło do życia. Ale opowiedziała im też o innych rzeczach, bo wiedziała, że to będzie dla nich ważne. Widziała w ich oczach, że jest. Kochali Davida i byliby gotowi pokochać ją, dać jej szansę.

Opowiedziała im o Queenie i Dziadku, o Niemcu i o zimnie, deszczu i lodzie. Raz jeszcze upuściła głowę komandosa na stół, lecz tym razem płakała, i w jakimś sensie krzyczała również, choć ani razu nie podniosła głosu. Było tak, jak gdyby grzebała ich jednego po drugim – swoich towarzyszy, swoich przyjaciół, jak gdyby składała ich na wieczny spoczynek, *Proszę, Boże, po tym wszystkim daj im odpocząć w pokoju*. Bliscy Davida wpatrywali się w nią ze zgrozą, z nabożną czcią, jedni tłumiąc emocje, inni płacząc otwarcie. Łzy spływały po twarzy starego służącego, który nie patrzył już na nią jak na obcą; kołysał na kolanie jej ukochanego, zanim przyszła na świat. I wojna się skończyła, lecz się nie skończyła, nie miała się skończyć nigdy, nie miała się skończyć, dopóki David nie wróci do domu, dopóki nie wrócą do domu wszyscy niezliczeni Davidowie. A naturalnie nie miało się tak stać.

Przeszli do biblioteki (było tylko dwoje drzwi, od początku jedynie dwoje), Jo spojrzała na oprawioną fotografię wiszącą w korytarzu i zatrzymała się jak wryta. To był David, prawdziwy David, jej David – lecz taki, jakim go nigdy nie widziała. Znała go tylko chorego, w delirium, na granicy śmierci. Czarno-biała fotografia ożyła – stał przed nią zdrowy i krzepki, z jedną obutą w kalosz stopą zanurzoną w potoku, drugą na brzegu porośniętym bujną trawą. Demonstrował połów, śmiejąc się do fotografa, jakby ten właśnie rzucił jakiś żart. Z roziskrzonymi oczami tłumił kipiący w nim śmiech jedynie na moment, by zapozować. Był młody, zdrowy i szczęśliwy i Jo z szacunkiem sięgnęła palcami do szyby: dotknęła jej, dotknęła jego. Oto nareszcie był jej Endymion.

Clotilde MacPherson podeszła i lekko położyła rękę na jej ramieniu, a Jo wzdrygnęła się, tak głęboko zatoneła w marzeniach. Oczy matki Davida przeniknęły ją na wskroś, sięgnęły szpiku jej duszy.

– Zrobiono je w domu – wyjaśnił Duncan, podchodząc do obu kobiet. – W domu, zanim został uszkodzony w nalocie. David zawsze uwielbiał tam łowić... cały czas przebywał na świeżym powietrzu.

Jo nie słuchała.

– Najbardziej boję się, że zapomnę – powiedziała cicho.

Starsza kobieta ujęła jej rękę w swoje dłonie. Skórę miała miękką i gładką jak dziecko.

– Że zapomnę, jak wyglądał, zapomnę dźwięk jego głosu, słowa, jakie wypowiadał. Gdy je utracę... to znaczy, gdy utracę wspomnienia... stracę go na zawsze.

Stała jak wrośnięta, aż pani MacPherson zdołała w końcu łagodnie poruszyć ją z miejsca, nakłonić, by usiadła znowu, napiła się nieco brandy.

Zegar na kominku wybił dwudziestą trzecią trzydzieści.

– Zamkną dormitorium, proszę pani, muszę wracać.

Starsza pani uparła się, by Duncan odprowadził Jo, a ona uśmiechnęła się na widok tej nieugiętej stanowczości. Czy ta kobieta wie, po jakich dzikich okolicach Jo wędrowała samotnie? Próbowwała porównać Londyn z Afryką Północną lub Sycylią albo z okupowaną Francją, tłumaczyła jej. Ale starsza dama nie chciała o tym słyszeć, a Duncan już wkładał kapelusz i zbędny w tym upale jedwabny szal. Jo została wycalowana przez Kit, wymieniła uścisk dłoni z wujem, a kiedy podeszła do Clotilde MacPherson, ta trzymała w dłoniach fotografię Davida. Jo przyjęła zdjęcie i wraz z Duncanem zeszła po frontowych stopniach. Obejrzała się i podbiegła do jego bliskich – do bliskich Davida – by objąć ich kolejno, tuląc się do nich, płacząc.

– Teraz wiem, czemu was kochał. Ja też bym was pokochała.

Duncan podał jej ramię, lecz minęło tak wiele czasu, odkąd ktoś wykonał podobny gest, że przez sekundę gapiła się na niego tępo. „Och, och, tak, dziękuję”. Ruszyli ulicą, którą przemierzyła wcześniej tego dnia, przestępując ostrożnie nad workami z piaskiem, omijając wyrwy w chodniku, pod wielkimi wiązami, statecznymi i ciemnymi wśród nocy.

– Dobry wieczór, gubernatorze – rzucił ktoś i Duncan dotknął róna kapelusza.

Przy Davidzie Jo miała wrażenie, jakby biegła boso po wrzosowiskach, natomiast Duncan stanowił wcielenie elegancji i wykwinnych manier – ten mężczyzna zawsze wiedział, którego widelca użyć, jak wymawia się skomplikowane nazwy przystawek. Stanowił uosobienie wyrafinowania i Jo nie mieściło się w głowie, że może być synem szkockiego farmera. Wynurzyli się spod zwieszonych gałęzi, które dla niej przytrzymał. Przyłapała się na tym, że przygląda mu się ukradkiem.

– Śmiało, proszę patrzeć – rzucił z lekkim śmiechem.

Zawstydziła się, ale nie potrafiła się pohamować. Była spragniona Davida, bardzo go jej brakowało. Wpatrywała się w Duncana, jakby utrwałała sobie w pamięci każdy centymetr jego twarzy.

Uśmiechnął się i ruszyli dalej – chłoneła jego profil, jego gesty w świetle ulicznych latarni, na tle sklepienia gwiazd. Nie przestawał paplać o Londynie i swoim klubie, gdzie można dostać całkiem przyzwoity stek, oraz o samochodzie marki DeSoto, który zamierzał sprowadzić z Ameryki, kiedy ograniczenia zostaną zniesione i znowu rozpocznie się produkcja cywilnych aut. Patrzyła na niego, na jego usta będące ustami Davida, ale słowa brzmiały zupełnie nie tak i przez moment przemknęło jej przez myśl pytanie, czy David w okresie pokoju również tak by się zachowywał. Wydawało się, że Duncan odgadł jej myśli, bo przerwał w połowie zdania.

– Porównuje mnie panienska z bratem...

Zacząła zaprzeczać.

– Nie, nie, nic nie szkodzi. David był wspaniałym człowiekiem i zastanawia się panienska... Nad czym? Czy przypominałby mnie?

– Przepraszam, nie chciałam...

– Bez obaw, skarbie – uśmiechnął się znowu, unosząc kokietyjnie brwi. – Odpowiem szczerze. Nie, ja i brat byliśmy zupełnie różni.

Proszę, przestań mówić w czasie przeszłym. Błagam.

– Chyba nigdy nie rozwinął w sobie upodobania do tego, co jest w życiu najważniejsze... nie, to niezbyt sprawiedliwe. Cóż, powiedzmy, że ja i David nie zgodziliśmy się w ocenie tego, co jest w życiu najważniejsze.

Znajdowali się niedaleko koszar Jo, zegar na wieży nad olbrzymim budynkiem wskazywał za dwie minuty północ.

– Nie miałem ochoty spędzić życia jako pastuch w szkockich górach. Potrafi to sobie panienka wyobrazić?

Nie potrafiła, patrząc na niego, na wytworne linie szytego na miarę garnituru, perłową biel idealnie zawiązanego szala, nie potrafiła go sobie wyobrazić gwizdzącego na owce, by zeszyły z gór na karmienie i strzyżenie. *Śpiewającego i śmiejącego się w blasku słońca.*

– Ironia losu polega na tym, że z nas dwóch to David był naprawdę wyrafinowany mimo pozorów nieokrzesania. Gdybym miał jedną dziesiątą tego...

Przez chwilę patrzył poza Jo ze ściągniętymi brwiami, potem wzruszył ramionami i wrócił do rzeczywistości.

– Uwielbiał poezję. Poważnie. Uwielbiał śpiewać, rozmawiać o życiu, o tym, co czuł w głębi duszy... Tak, był uduchowiony... w każdym razie bardziej uduchowiony ode mnie, skarbie.

Jo wiedziała, że dlatego kocha Davida, kocha go w czasie terażniejszym. To właśnie dostrzegła pod jego zawszonym mundurem, w listach, które mu pisała. Nawet bredząc w gorączce, modlił się, recytował wiersze, nieważne, czy miało to dla niej sens, ale stanowiło część jego osobowości, nierozzerwalnie z nim związaną, nawet gdyby umarł. Nikt nie mógł mu tego odebrać, nigdy.

Wskazówki starego zegara przysunęły się odrobinę – ustawiły się niemal pionowo.

– Dziękuję, że mnie pan odprowadził.

I że rozmawiał pan ze mną o Davidzie – dziękuję, że mówił pan o Davidzie.

– Mogę panienkę odwiedzić jutro?

Jo ogarnęła panika.

– Nie mogę, Duncanie, to... to byłoby samolubne... nie w porządku. Patrząc na pana, cały czas widzę Davida.

Przysunął się o krok, tak że stali teraz twarzą w twarz. W półmroku jeszcze bardziej przypominał Davida.

– Dziękuję – powtórzyła powoli. – I proszę raz jeszcze podziękować matce. Za zdjęcie. – Niemal szeptała.

Miał takie same oczy, jego oczy i jego usta, bladą skórę pod ciemną czupryną. Czowała, że zaczyna ulegać – była zahipnotyzowana.

– Och, ja też mam coś dla panienki. Od Davida.

Nad ich głowami rozpościerała się Droga Mleczna – smuga czystego światła zajmująca całe niebo.

– Od Davida.

Pocałował ją, zwyczajnie, jak mężczyzna przywykły całować na dobranoc każdą dziewczynę, którą odprowadził do domu. Ale Jo odpowiedziała tak gwałtownie, tak rozpaczliwie, że odruchowo przyciągnął ją do siebie. W mgnieniu oka jej dłoń znalazła

się na jego głowie, wydawało jej się, że dotyka Davida, wsunęła palce w jego włosy – była w namiocie szpitalnym oraz tu i teraz, ciężarówka trąbiła na zewnątrz, deszcz przesiąkał przez płótno, przemaczając ich oboje, gdy stali pod ulewą gwiazd, a on był Davidem i ona należała do niego, przeklinała go i kochała, i powtarzała mu, że ma przeżyć.

Zegar wybił północ, Jo cofnęła się przerażona, zakrywając usta.

Duncan się tłumaczył.

– Nie miałem prawa, przepraszam, ja... ja nie rozumiałem...

Jo biegła już po schodach, nie gubiąc szklanego pantofelka, żaden księżę nie podążał za nią. Biegła i płakała, otworzyła drzwi i bez słowa wyjaśnienia przecisnęła się obok przełożonej dokładnie w chwili, gdy zabrzmiało ostatnie uderzenie zegara i stara panna zaryglowała drzwi na noc.

KAY ELLIOTT

3 LUTEGO, OBÓZ INTERNOWANIA SANTO TOMAS, MANILA, FILIPINY

Na koniec przybyła kawaleria. MacArthur parł przez Manilę, nie zabezpieczając zdobytego terenu, zabierając ze sobą nawet rannych. Dla internowanych w Santo Tomas czas miał kluczowe znaczenie, a generał wiedział, że czas ucieka. Czterdziesty Czwarty Batalion Czołgów Pierwszej Dywizji Kawalerii wtoczył się przez bramę i szperacze zatańczyły na podwórzu. Jakiś żołnierz wystąpił naprzód i zawołał, szukając ocalałych: „Są tu jacyś Amerykanie? Ktoś został?”. A wtedy więźniowie zaczęli walić w drzwi i krzyzczyć przez okna: „Jasne, że tak! Tutaj w środku!”. Japoński dowódca wydał rozkaz zabicia ich wszystkich – podłożyć ogień pod beczki z benzyną ustawione na klatkach schodowych i spalić żywcem – lecz czołgi zjawiły się zbyt szybko, zdążyły w porę i drzwi wyłamano, a potem dziedziniec się zapełnił, ludzie wiwatowali, krzyczeli, płakali.

Kay coś z tego wszystkiego słyszała. Tam, gdzie długo panował bezruch, pojawiły się ruch i dźwięki, jasne światła tańczyły na suficie, podczas gdy wcześniej wszystko było zaciemnione. Zniesiono ją na dół i ułożono na twardej ziemi pośród innych. Nowi żołnierze wyglądali jak nadludzie – zdrowi, dobrze odżywieni, przypominali bogów. Jeńcy obejmowali się nawzajem i tańczyli, i znowu rzucali się sobie w ramiona, lecz wszystko to rozgrywało się z boku. Musiała spojrzeć najdalej, jak potrafiła, by zobaczyć, jak świętują. Znajdowała się w niewielkiej odległości, leżała z licznymi pozostałymi w kącie dziedzińca, dokąd nie docierały światła reflektorów. Po jakimś czasie zrozumiała, dokąd trafiła. Widziała w pobliżu lekarzy, sanitariuszy i internowanych, którzy już się zgłosili na ochotnika, pomagali zaledwie kilka minut po wyzwoleniu – lecz przecież sama nieraz przeprowadzała segregację medyczną pacjentów i wiedziała, jak się ich dzieli: na mających szansę przeżyć bez względu na otrzymaną pomoc, na niemających na to szans bez względu na wszelkie zabiegi oraz na tych, u których natychmiastowa pomoc może rozstrzygnąć o życiu lub śmierci. I tych, którym nic nie może pomóc. Zmarłych.

Otoczające ją ciała były nieruchome, zbyt nieruchome. Nikt nie wołał, nikt się nie skarżył, z ich ust nie wydobywał się żaden szept ani jęk. Żołnierze zabezpieczali szpital, zajmując piętro za pięciem, Japończycy wycofali się do budynku szkolnego za plecami Kay. Przetrzymywali więzionych tam Amerykanów jako zakładników, słyszała negocjujące gniewnie, przekrzykujące się amerykańskie i japońskie głosy – „Wypuść ich, do cholery, sukinsynu... Jeśli zagwarantujecie bezpieczne przejście do granic miasta... A niech was diabli porwą... I waszych zakładników też...”; raz jedni, raz drudzy, na przemian. Musiała sprawić, by ją usłyszano, by ją rozpoznano, zanim zupełnie o niej zapomną i pogrzebią ją żywcem. Próbowwała się poruszyć, ale nogi odmówiły posłuszeństwa, mózg wysłał wiadomość ręce, by się uniosła, lecz zdołała jedynie dwa razy poruszyć najmniejszym palcem.

– Gdzieście ją położyli, wy zakute pały? – rozległ się jakiś głos. – Nie ma jej

nigdzie wśród rannych. Owszem, jestem pielęgniarką, pomogę panu za sekundę, doktorze, tylko muszę się dowiedzieć, gdzie pańscy ludzie położyli moją... o, szlag – Sandy umilkła w pół zdania. – Poproszę dwóch sanitariuszy ze mną.

Kay usłyszała, jak protestują, któryś krzyknął: „Hej, ona mnie uderzyła”, a potem czworo silnych ramion uniosło Kay z ziemi, z grobu, i zdołała wyszeptać: „Jeszcze. Nie. Umarłam”.

Samolot C-54 wylądował na Hawajach. Pielęgniarki miały na sobie przywiezione z Australii nowe uniformy, dziesięć rozmiarów za duże. Spięły je szpilkami, podwinęły, by się na nich trzymały. Nowe czepki zostały pobrane z linii produkcyjnej tak szybko, że brakowało na nich insygniów – kaduceuszy, orłów, gwiazd. Gdy wysiadały z samolotu, fotografowie już czekali. Ktoś zarzucał im na szyje girlandy z kwiatów, gdy klękały, by ucałować ziemię. Jakiś mężczyzna wygłosił przemówienie i wszyscy wiwatowali, a potem odwieziono je do szpitala w bazie na badania.

– Proszę wejść na wagę, panienko – rzucił lekarz.

Był grubokościsty, tęgi i ubrany cały na białą, przypominał Kay rzeźnika z czasów dzieciństwa, pana McCanna.

Nabazgrał coś na podkładce i szybko podniósł na nią wzrok.

– Ile panienka waży? To znaczy, ważyła, zanim japońce wzięły panienkę do niewoli?

Przypomniała sobie badania robione, kiedy wstępowała do Korpusu Pielęgniarskiego w Nowym Jorku. „Przyjmujemy jedynie kobiety w doskonałym stanie zdrowia”, podkreślił oficer przyjmujący. „Panienska świetnie się nadaje”.

– Pięćdziesiąt siedem kilogramów, doktorze. Ale trochę straciłam od tamtej pory.

Spojrzał na nią znowu przez okulary. Szkła miał pokryte odciskami palców. Zdziwiło ją, że mu to nie przeszkadza, zastanawiała się, czemu ich nie przetrze. Zapisał coś i przytulił do siebie kartę, krzyżując ręce na piersi, przyglądając się dziwnie Kay. Zastanawiała się, o co chodzi. Była już silniejsza, czuła się znacznie lepiej niż w Manili, niż podczas transportu. Znowu mogła chodzić i mówić, była zdrowa. W ostatnim tygodniu jadła codziennie, w poprzednim mogła już pić kawę. W każdym razie po kilku pierwszych dniach.

– Doktorze?

Nie było najmniejszych wątpliwości. Oczy mężczyzny zaczerwieniły się, zaszklily i napełniły łzami za brudnymi szklami okularów. Potem stanął na baczność i jej zasalutował – zasalutował kobiecie niższej od siebie o pełny stopień – a wszyscy w przychodni zatrzymali się i wytrzeszczyli oczy.

– Trzydzieści trzy i pół kilograma, pani podporucznik.

Blask słońca wpadał do wagonu kolejowego, gdy Kay oglądała przepływające za oknem pensylwańskie krajobrazy. Była prawie w domu, pozostawiwszy za sobą tysiące dni i kilometrów. Konduktor zawołał – naprawdę! – „Mount Carmel, następna stacja

Mount Carmel”. Patrzyła na pola już zazielenione od posianej w ubiegłym roku pszenicy, na gotowe pęknać czerwone pączki na nagich klonach. W przedziale pasażerskim zarezerwowanym specjalnie dla niej trochę wiało; przyłożyła dłoń do szyby okiennej i wyczuła gładki chłód. Cierpiała z powodu upału tak długo, że teraz poczuła rozkosz. Pragnęła, by już nigdy nie było jej za gorąco. Patrzyła na małe farmy, na góry majaczące szarością i błękitem w oddali. Był marzec i wracała do domu. Miesiąc wcześniej znajdowała się w Santo Tomas, w piekle, a oto niemal dotarła do celu.

Po przybyciu do Kalifornii pielęgniarki dostały sześć dni urlopu. Sześć dni. Po trzech latach niewoli. Przełożona w nowych koszarach oznajmiła z kamienną twarzą, że otrzymują sześciodniowy urlop, i nikt się nie roześmiał, bo to była rola Sandy. Sandy wybuchnęłaby śmiechem, zasłoniła uszmiłkowane na czerwono usta i rzuciła: „Nie, nie, przepraszam”, a potem znowu by się roześmiała. Wszystkie o tym wiedziały i żadna nie odezwała się słowem, bo Sandy nie żyła, pochowano ją jeszcze w Manili. Piękną, wierną Sandy, niepokonaną, niezwyciężoną, która przeprowadziła Kay przez piekło, przetrwała całą pieprzoną wojnę na Pacyfiku. Ale gdy odszukała Kay na cmentarzu, Japończycy zaczęli ostrzeliwać obóz. Chwilę potem ciało Sandy znaleziono pod gruzem zawalonego szpitalnego piętra. Karmiła niemowlę w sali dziecięcej. Jego matka nie żyła, jego ojciec nie żył. W jednej minucie gruchała i kołysała dziecko – a w następnej rozległ się znajomy świst i trzask szkła, ognia i cegieł. Odeszła tak, jak żyła, w ostatnim ułamku sekundy osłaniając maleństwo swoim ciałem. Kiedy ją odkopali, usłyszeli płacz malucha. Tylną część czaszki miała zmiażdżoną, połowa jej twarzy zniknęła, lecz dziecku nic się nie stało, dziecko domagało się reszty mleka z butelki.

Kay pomyślała o Sandy, która uratowała jej życie wiele razy, o wszystkich, których straciła, o Aaronie. Wracała do domu jako Kay Elliott. Nikt nie wiedział, że wyszła za męża. Kochała Aarona i czciła jego pamięć, był ideałem. Miał na zawsze pozostać ideałem, większym, niż gdyby przeżył. Ale koniec nadszedł zbyt szybko: zanim byli na niego gotowi, zanim którekolwiek z nich zdążyło choćby napisać do domu o małżeństwie, o nich. Pastor, który udzielił im ślubu, nie żył, świadkowie (jedną z druhen była Sandy) nie żyli i nawet wojskowe archiwum, gdzie przechowywano świadectwa ślubu, spłonęło po ataku Japończyków. Gdyby urodziła dziecko – gdyby Japończycy nie odebrali jej choćby tego – może postąpiłaby inaczej. Odszukałaby rodziców Aarona, pojechała do Kalifornii, zobaczyła winnicę, w której się bawił w dzieciństwie, którą miał odziedziczyć on, a pewnego dnia jego syn. Jednakże Aaron nie żył i jego synek nie żył, więc nie chciała wysuwać żadnych roszczeń wobec jego bliskich. Wiedziała, że Aaron by ją do tego namawiał, lecz w tej jednej sprawie nie zamierzała mu ustąpić – nie zamierzała dzielić go z nikim. Nie, Aaron był ideałem, ich miłość była idealna, a ona była pielęgniarką (czuła się zupełnie pusta i martwa, tylko to jej pozostało). Tym była i z tego chciała się utrzymywać, tak zamierzała żyć. Nie będzie się domagać niczego od jego rodziny. Niczego.

Na przejazdach ludzie machali i wiwatowali.

– Dwadzieścia pięć tysięcy – oznajmiła z zachwytem panna Billings, opiekunka Kay na czas podróży, wsuwając głowę do przedziału. – Dwadzieścia pięć tysięcy ludzi zebrało się wzdłuż linii kolejowej, żeby wiwatować na pani cześć, skarbie. Żeby panią

powitać w domu.

W domu.

Po przybyciu do Stanów zamówiła rozmowę zamiejscową. Gdy otrzymała połączenie, w Pensylwanii było już późno, dobiegała północ. Poprosiła, by wyręczył ją jakiś podporucznik marynarki Stanów Zjednoczonych i łagodnie przekazał rodzicom nowinę, żeby na nieoczekiwany dźwięk głosu Kay nie zemdleli albo nie dostali ataku serca. Po chwili słuchała głosu matki – cichego i metalicznego z drugiego końca wielkiego kraju. W pierwszym momencie starsza pani była w stanie tylko płakać i dziękować Bogu, i powtarzać imię córki raz po raz. Kiedy Kay spytała o ojca, o brata, na linii zapadła cisza. Głos matki drżał, gdy mówiła: „Kochanie, nie żyją, zmarli kilka lat temu”. Brat w Afryce w czterdziestym drugim, ojciec we własnym łóżku kilka miesięcy później. Czarna sadza nagromadzona w jego płucach po latach pracy w kopalni upomniała się o niego, wezwała z powrotem pod ziemię. Serce Kay zamarło, poczuła się dziwnie odrętwiała na całym ciele. Ktoś, kogo uważała za żywego, ktoś, kogo kochała w czasie terażniejszym, tu i teraz, leżał pogrzebany od lat, trawa na jego grobie zazieleniła się wiosną i zbrązowiła na zimę już kilka razy. Kay wracała do domu. Ale nie do takiego domu, jaki pamiętała.

Pociąg wjechał na stację. Wcale nie wyglądało to jak jej rodzinne miasteczko. Nie dostrzegła chodników ani ulic, bo przesłaniały je tłumy ludzi. Nie poznawała nikogo – nawet burmistrz był nowy. Gestem zaprosił, by wspięła się na platformę, krzyczał coś, wręczając jej klucze do miasteczka, lecz nie słyszała nic przez wiwaty, śpiew chłopięcego chóru i orkiestrę dętą stojącą tuż za nim. Nie mogła pomieścić w swoich objęciach kwiatów, które znosiły jej małe dziewczynki. Skauci maszerowali w deszczu konfetti sypiącym się z pietra sklepu ogrodniczego – nastoletni chłopcy rozrzucali je widłami. Miała szarfę na galowym mundurze z Brązową Gwiazdą i z pękami dębowych liści i stała na tyle kabrioletu (jechał tak wolno, że nie było to trudne) sunącego przez tłumy wołające i wiwatujące, rzucające serpentyny. Gdyby było lato, ogołocono by grządki z kwiatów, by ją nimi obsypać.

Zatrzymali się przy kościele Świętego Pawła i wszyscy spoważnieli – z wyjątkiem małych chłopców, którzy wywijali salta na podwórzu plebanii, dziwiąc się, że nikt ich nie karci. Weszli do środka i uklękli, nikt się nie odzywał, panowała cisza i to był najlepszy moment, moment, który Kay miała zapamiętać na zawsze: chłodny marmur, stożkowe świece i poranne światło prześwietlające witraże z wizerunkiem Chrystusa w Ogrójcu i podczas męczeńskiej śmierci. Spojrzała w górę i modliła się: *Teraz już wiem, już wiem.*

Kiedy samochód ruszył znowu, ledwie się mógł posuwać dalej. Znajdowali się prawie przed jej domem. Ludzie jeszcze poprzedniego wieczoru ustawili się wzdłuż ulic i na podwórzach, by ją zobaczyć, żeby być na miejscu, kiedy ich bohaterka wojenna wróci do domu. A potem, tak jak to sobie wyobrażała, jak o tym marzyła tysiące razy wcześniej – w Manili i Corregidorze, a wcześniej w dżungli – minęli zakręt i zobaczyła dach domu. Dzięki Bogu w świecie, który oszalał, dom wyglądał jak zawsze, wszystko pozostało na swoim miejscu – basen dla ptaków na podwórzu, para ceramicznych kochanków całujących się pod wierzbą, pnącza oplatające pobielony komin. Nasadka na nim wciąż była pęknięta, wciąż czekała na wymianę – i ten widok chwycił ją za serce. Poczuła się

szczęśliwa, ogromnie szczęśliwa, że coś tak drobnego i nieistotnego ciągle istnieje, ciągle ma znaczenie. Wtedy usłyszała czyjś krzyk, wysoki i przenikliwy na tle ryku tłumu. Samochód się zatrzymał – nie mógł jechać dalej. Kay wyskoczyła, ludzie obejmowali ją, klepali po plecach, ale nie zwracała na to uwagi, parła przed siebie, przeciskała się wśród sąsiadów i nieznajomych, i rodzin, które marzyły, by powitać swojego syna, swoją córkę. Głos wciąż krzyczał i nagle uświadomiła sobie, że to ona.

– Mamo! Mamo! – wołała.

Starsza pani stała na ganku od frontu. Kay wiedziała, że tam będzie – nie na pełnej chaosu stacji, nie w cichym kościele – wyobrażała sobie, że ją tu zobaczy, i zobaczyła: na pochylonym, łuszczącym się z farby ganku witała powracającą do domu córkę. Miała na sobie najlepszą suknię (w każdym razie tę, którą cztery lata temu uważała za najlepszą), ktoś zakręcił jej włosy i wpiął w nie głupie kokardki, zapomniała zdjąć fartuch. Stała z wyciągniętymi rękami, poruszając wargami i wypowiadając słowa, których nie potrafił usłyszeć nikt oprócz Boga.

Mamo, mamo.

A potem Kay znalazła się w jej objęciach i tuliły się do siebie. Były zupełnie same w morzu ludzi, były jedyną rodziną, jaka im pozostała, były wszystkim, co im pozostało na tym świecie.

Kay wróciła do domu.

JO MCMAHON

CZERWIEC 1945, ST. BEES, KUMBRIA, ANGLIA

Jo stała w kolejce do recepcji. W nadmorskim hoteliku panował rozgardiasz: dzwięczały dzwonki, składano i rozkładano gazety, boje truchtali, by dotrzymać kroku otyłym kobietom dyrygującym: „Proszę wziąć tę walizkę. Nie, to jest pudło na kapelusze. Nie mógłbyś po prostu ponieść obu? Zuch!”. Zapach kiełbasek i jajek napływał z jadalni B. Grało radio, matki przeliczały dziecięce główki przed wyruszeniem na plażę. Słońce odbijało się od morza daleko za horyzontem, powietrze wydawało się czyste, jasne i ostre. Dzień był piękny i właścicielka patrzyła ze znużonym i spokojnym wyrazem twarzy kogoś, komu interes nareszcie zaczyna przynosić zyski.

– Nie, przykro mi, proszę pana – tłumaczyła, wtykając ołówek w potargane włosy i zaraz go wyjmując, by odznaczyć pokój na liście. – Nie został ani jeden pokój z łazienką.

– Ale ja muszę mieć łazienkę, po prostu muszę.

Rozmowa trwała, lecz kobiecie właściwie to nie przeszkadzało. Identyczny rytuał powtarzał się każdego dnia. Jakie to miało znaczenie? Rachunki płaciła na bieżąco, a nawet odłożyła co nieco.

– Ale ja muszę...

– Mamy bardzo ładny apartament z widokiem na ogród.

– Ale łazienka...

– Dzieli łazienkę jedynie z dwoma innymi numerami.

To nie załatwiało sprawy, nie mogło i rozmowa utknęła w martwym punkcie. Oczywiście klient ostatecznie weźmie pokój, byłby głupcem, gdyby tego nie zrobił, zaczynał to rozumieć. W tak idealny dzień powinien wypoczywać na plaży. Każdy powinien być na plaży.

– Cóż, skoro jest pani całkowicie pewna, że nie dysponuje niczym innym...

– To najlepsze, co mam w tej chwili, proszę pana.

Wielka księga meldunkowa została przekreślona, by przygarnąć również jego niechętny podpis.

– Gdyby coś się zwolniło... – Nie zdołał się powstrzymać przed ostatnią, pożegnalną próbą.

– Och, naturalnie, proszę pana. Natychmiast dam panu znać.

Uśmiechnęła się znowu znużonym, dobrodusznym uśmiechem. Wszędzie miała dołeczki – na policzkach, na brodzie, nawet na łokciach. Była pulchna, bez wątpienia, ale dumna ze swojej tuszy po okresie dotkliwych niedoborów. Odrobina ciała nikomu jeszcze nie zaszkodziła, a z pewnością nie jej. Podniosła wzrok na następną osobę w kolejce, panią oficer, i zachichotała do siebie z ukontentowaniem. Tę dziewczynę porwałby pierwszy podmuch wiatru.

– Tak, szuka pani pokoju? Akurat został jeden, najsympatyczniejszy... chociaż

z żalem muszę przyznać, że nie ma osobnej łazienki.

Jo zawahała się, więc kobieta ciągnęła wyuczoną na pamięć kwestię.

– Och, zapewne może pani popytać w miasteczku, bardzo proszę, ale wiem, że wszędzie miejsca są wyprzedane, wyprzedane do ostatniego... pogoda taka piękna, a nie zawsze tak u nas bywa, słowo daję. Ma pani wielkie szczęście, przyjeżdżając w samym szczycie sezonu. Doprawdy wielkie szczęście, ale na pani miejscu nie kusiłabym losu, za duże ryzyko, biorąc pod uwagę, jak szybko pokoje schodzą.

Pani oficer nadal nie chwyciła przynęty. W hotelu kilka pokoi wciąż stało pustych, ale tego nie mogła wiedzieć.

– Jest pani Amerykanką, prawda? – spytała właścicielka, patrząc na Srebrną Gwiazdę, na złotego orła.

– Owszem. Z pewnością ten hotelik jest uroczy... wygląda uroczo... ale widzi pani, nie szukam pokoju.

Twarz kobiety spochmurniała.

– Cóż, mam nadzieję, że nie przyszła pani kwestować, młoda damo – odparła zupełnie innym tonem. – Wywiesiłam od frontu... i od tyłu też, bo ludzie waszego pokroju zjawiają się z uporem o najdziwniejszych porach i ni mniej, ni więcej tylko pod tylnymi drzwiami... nie, nie zechcę u pani zamówić subskrypcji ani kupić obligacji, ani nawet znaczka pocztowego, by wspomóc akcję zbierania funduszy na rzecz działań wojennych. Wojna w Europie jest skończona i... i...

Na chwilę przestała sprawiać wrażenie zirytowanej i wydawała się jedynie okropnie smutna. Jo patrzyła na jej twarz; przypominało to oglądanie kartki papieru, którą nagle ktoś zmiął.

– Nie, proszę pani. Nie przyszłam również w tym celu.

Właścicielka była szczerze zakłopotana. Galowy mundur Jo wyglądał nienagannie, buty miała wypastowane, bagaż nowy. To nie był ktoś potrzebujący wsparcia – ktoś, od kogo odwróciło się szczęście, proszący o posiłek i możliwość przenocowania w kuchni.

– Chyba nie wpadła pani w tarapaty? – Otworzyła szeroko oczy i znacząco pokiwała głową.

Jo się roześmiała.

– Nie, proszę pani. Nie tego rodzaju.

– Cóż, w takim razie o co chodzi? – wybuchnęła zdesperowana kobieta. – Jasper, chodź tutaj – burknęła.

Jo sądziła, że przywołuje psa, tymczasem obejrzał się mężczyzna o niskiej posturze i złym spojrzeniu, sortujący przed chwilą pocztę.

– Tak, kochanie?

– A, tu jesteś. Czemu się płaczesz pod nogami? Zresztą nieważne. Zajmij się resztą gości. Ta kobieta...

– Miło panią poznać – rzucił, mierzając ją zmrużonymi oczami.

– Dzień dobry panu.

– Mniejsza z tym, po prostu zajmij się meldunkami. Ta kobieta... – gestem poleciła Jo wejść do przyległego kantorku z drzwiami z szybą z mrożonego szkła, wokół której namalowano wiśnie, i zawieszoną krzywo tabliczką z napisem „Wstęp wzbroniony” – ...

chyba ma jakąś historię do opowiedzenia.

Uśmiechnęła się szeroko i nagle zmieniała się w istotę ludzką.

Jo spędziła w kantorku pół godziny. Początkowo właścicielka nie chciała o niczym słyszeć: „To niedorzeczne, nie wie pani, o czym mówi”. Ale Jo pozostała nieugięta i powtarzała co chwila, że skończyła z pielęgniarstwem, skończyła z wojskiem. Londyńskie biuro zostało zamknięte, personel przenoszono do Stanów albo na Daleki Wschód, szykowałą się większa akcja na Pacyfiku. Nie jest zdolna do służby, właściwie stanowi zagrożenie. Powiedziano jej, że może wracać do kraju, wynieść się, ale została. Nie może wrócić, jeszcze nie. Nieco później, przy herbatnikach i herbacie („To porządna herbata, bez obaw, nie taka, jaką serwuję gościom”), opowiedziała o Davidzie. O tym, że wciąż się nie odnalazł – zgubili wszelki jego ślad – że pochodzi ze Szkocji, a St. Bees leży w połowie drogi i jest trzecim miasteczkiem, które odwiedziła tego dnia w drodze na północ z Londynu. Musi znaleźć pracę, gdzieś się zaczepić – „muszę mieć jakieś zajęcie, proszę pani”.

– Ależ pani jest damą – zaprotestowała kobieta, szczerze zaskoczona.

Jo się uśmiechnęła.

– Przed wojną nie byłam damą, w każdym razie nie tego rodzaju. Bez munduru nie odróżniłaby mnie pani od innych ludzi.

– Ale co miałaby pani robić? Mąż i ja sami obsługujemy recepcję.

– Myślałam na przykład o praniu.

– O praniu? – zakrztusiła się właścicielka.

– Wywnioskowałam, że w takim dużym hotelu latem musi być go mnóstwo.

– Bóg wie, że to prawda, a te głupie smarkule nigdy nie pamiętają, żeby porządnie wszystko wyprasować. Lecz jeśli pani sobie wyobraża, że pozwolę odznaczonemu amerykańskiemu oficerowi pracować w bieliznie...

– Proszę. – Jo chwyciła jej zwiotczałą dłoń. – Proszę. – Sprawiała wrażenie, jakby miało jej pęknąć serce. – Muszę znaleźć zajęcie niewymagające żadnej... żadnej większej odpowiedzialności. Niewymagające jakiś czas zbyt wielu kontaktów z ludźmi... mechaniczne, wręcz bezmyślne...

Kobieta zauważyła, że ręce Jo drżą. Zapomniała je schować.

– Muszę nie myśleć. To znaczy być tak zajęta, żeby nie myśleć... nie cały czas.

Właścicielka patrzyła na nią jak na wariatkę, usta miała otwarte z szoku, oburzenia, a może z niedowierzania. Jo puściła jej dłoń i z westchnieniem podniosła się z miejsca.

– Przepraszam. Zajęłam już pani zbyt dużo czasu. Trudno pani to zrozumieć. Wie pani może, o której przyjeżdża pociąg na północ?

Twarz kobiety zmarszczyła się, jeszcze bardziej niż wcześniej.

– Nie – odparła, głośno dmuchając nos w haftowaną, postrzępioną na brzegach chusteczkę. – Nie, potrafię zrozumieć. Przepraszam, że warknęłam na panią wcześniej, biorąc za kwestarkę. Po prostu... czuję, że oddałam wystarczająco dużo... widzi pani, mój syn... – Ponownie wydmuchała nos.

– Współczuję – powiedziała Jo tysięczny, dziesięcioletni raz.

– Nie, nie, żyje. – Kobieta wstała, wygładziła spódnice, strzepnęła okruchy z koronek na bluzce. – Ale jego umysł... buja gdzieś daleko. Leży ciągle w łóżku...

najęłam sąsiadkę, żeby przy nim siedziała, kiedy pracuję, a sama czuwam przy nim po nocach, chociaż on właściwie tego nie potrzebuje, nawet nie wie, gdzie jest. Ciągłe gapi się w sufit i coś liczy. Nie przestał liczyć, odkąd wrócił. Mówią, że z czasem... – Głos jej się załamał i uniosła ręce w bezradnym geście.

Prychnęła cicho i raz jeszcze głośno wysiąkała nos. Wzięła głęboki oddech, energicznie wypuściła powietrze i nakręciła mały zegarek, który nosiła na szyi na złotym łańcuszku.

– Oddał bardzo dużo. I pani też, jestem pewna. Wszyscyście oddali. Więc jeśli prosi pani jedynie o trochę czasu i odrobinę przestrzeni, by dojść do siebie, być może zapomnieć... cóż, niech mnie diabli, jeśli nie pomogę.

Jo była zaskoczona, jej twarz się rozświetliła.

Kobieta potrząsała jej ręką raz po raz, raz po raz, i uśmiechała się.

– Jest pani przyjęta.

Lato przemknęło i trudno było uwierzyć, że kiedykolwiek toczyła się wojna – w każdym razie trudno w to było uwierzyć w St. Bees. Jo, Amerykance, to miejsce zdawało się istnieć poza czasem. Najstarszym kościołem, w jakim postąpiła jej stopa w Stanach, był kościół Świętego Piotra w centrum Nowego Jorku, wzniesiony w czasach wojny o niepodległość. A z każdego punktu St. Bees widać było klasztor, wysoki i potężny, wzniesiony na poświęconej ziemi jeszcze w dwunastym wieku. Zakradała się do jego cichego wnętrza w pięknym odcieniu różu, z boczną nawą wyścieloną dywanem w czerwone wzory i ornamentami z kutego żelaza wypełniającymi luki. Był wieczny, trwały, ponadczasowy. To miejsce było święte.

Oczywiście nie miała dużo czasu na oglądanie zabytków, zwiedzanie czy piknikowanie. Jej pracodawczyni, pani Greerson, nie kłamała: było mnóstwo prania zapewniającego zajęcie jej głowie i rękom. Prała więc i prasowała, składała i krochmalila od rana do późnego popołudnia. Czerpała ze swojej pracy przesadną dumę, źle ulokowaną radość, wykonując ją z zupełnie niepotrzebną dokładnością. Odmierzała szare mydło niczym centymetry sześciennie plazmy, rozgrzewała żelazko, aż jej poślinione palce skwierczały przy dotknięciu, gdy oceniała temperaturę, jakby sterylizowała instrumenty chirurgiczne.

W pewnym stopniu miała świadomość tego, co robi, i tłumaczyła sobie, że to dziwaczne, ale nie obłąkane. Próbowwała zmyć brud i błoto, splukać ze swoich włosów, dłoni, pamięci odór krwi i zastąpić go silnym, gryzącym zapachem wybielacza. Wszystko wokół niej było teraz białe, wszystko było czyste. Pierwszego dnia chwyciła kij i szczotkę i zdezynfekowała całe pomieszczenie, jakby miało służyć za salę operacyjną. W pralni, z której widać było ogród, pani Greerson miała dwie olbrzymie pralki amerykańskiej firmy Bendix i zainwestowała nawet w najnowszy gadżet nazywany „maszyną suszącą”. Ale Jo to nie wystarczało. „Nie, lubię prasować, proszę pani, proszę zaczekać minutę, zaraz się wezmę za prześcieradła. Wyglądają znacznie ładniej, gdy są *świeże*, gdy są świeżo wyprane i wyprasowane”.

Dostała na własny użytek niewielki pokoik na drugim piętrze. Nie miał osobnej

łazienki ani godnego wzmianki widoku, ale należał do niej i był cichy. Utrzymywała go w nienaganej czystości. Co wieczór układała szpilki do włosów w szeregu tak, by się nie stykały, płukała i wycierała miednicę, ustawiała obok niej dzbanek z wodą na następny dzień napełniony dokładnie do kreski wskazującej trzy czwarte, po użyciu osuszała mydło ręcznikiem i kładła je, stroną z wytłoczonym napisem, do porcelanowej mydelniczki.

W zasadzie wszystko z nią było okej. Tak sobie powtarzała. W zasadzie okej. Naturalnie, że bywała w lepszej formie, ale bez wątpienia także w gorszej. Trzymała się jakoś. Nie widywała już Gianniego, właściwie nie widywała żadnych zmarłych. Powinno to stanowić dobry znak. Fakt, obsesyjnie przejmowała się drobiazgami, na przykład praniem ręczników, na których zostały plamy. Albo chowała mundur do ciasnej szafy, jakby grzebała zmarłego. Kupiła sześć sukienek – identycznych, prostych w kroju, w szare prążki – i rozwiesiła je co pięć centymetrów, żeby na pewno się nie dotykały. Jednakże były to drobne dziwactwa – odbiegające od normy, ale zupełnie nieszkodliwe, jeśli się nad tym zastanowić.

Starła się nie myśleć.

Nie myślała, kiedy weszła do pralni tamtego ranka, nie myślała o niczym. Było wcześniej, za wcześniej – brudnej pościeli jeszcze nie zniesiono z góry, pokojówki jeszcze się nią nie zajęły – gdy spojrzała na prześcieradła rozwieszane poprzedniego wieczoru. Były czyste i wyprasowane, ale należało je przewietrzyć. Odrobina powietrza nigdy nie zaszkodzi. Powiesiła je więc i spojrzała na nie w szarym świetle sączącym się przez okna umieszczone wysoko nad olbrzymimi stalowymi zlewami.

Białe, piękne, unosiły się w przestronnym pomieszczeniu niczym obłoki, niczym tumany śniegu. Podziwiała ich surową doskonałość z uczuciem bliskim satysfakcji, gdy usiadła przy wielkim dębowym stole z filiżanką kawy, którą zaparzyła. Kuchnia jeszcze nie pracowała. W jednej sekundzie prześcieradła były nieskalane, a w następnej spryskane krwią, a ona ścisnęła filiżankę w dłoniach, powtarzając: „To nie jest realne, to nie jest realne”, jak dziecko, jak mała dziewczynka próbująca się ocknąć ze snu. „To nie jest realne”, powiedziała jeszcze raz z zaciśniętymi powiekami, chociaż czuła ich dotyk, palce szarpiące ją za rękaw, ciągnące ją za rękę. „Nie ma ich tutaj, nie żyją”, mówiła, ale słyszała, jak oddychają, czuła ich gorące oddechy na karku. Czuła ich zapach, dolatującą od nich woń krwi i zgnilizny. Odór wybielacza ulotnił się z pomieszczenia, nie potrafiła wychwycić jego zapachu, choć minutę wcześniej był tak mocny, że gdy weszła, zaszczyły ją oczy. Cuchnęło strasznie, jak na śmietniku na Sycylii, gdzie wyrzucali amputowane kończyny, jak w namiocie na zwłoki, gdy oglądała ciało za ciałem, szukając jednej z pielęgniarek zabitej przez pocisk we własnym łóżku. W namiocie było okropnie gorąco, śmierdziało, a Jo nie mogła znaleźć Ilsy, nie mogła znaleźć jej całej. Potem rozległy się szepty, „Proszę, Boże, nie”, błagała, wciąż ściskając filiżankę, ale głowę trzymała zwieszoną, opuszczoną na stół. Nie mogła słuchać, nie mogła sobie pozwolić na słuchanie, choć z początku mówili sensownie, opowiadali o rzeczach, które tylko ona mogła zrozumieć. Potem głosy się zmieniły. Nie przestając być głosami jej brata, matki i przyjaciółki, stały się natarczywe i przeszywające, w rejestrze, który słyszała nie tylko uszami, lecz także mózgiem, lodowate i przerażające. Słowa nie były słowami, ale zawsze oznaczały to samo – rozpacz, udrękę, śmierć. Krzyknęła głośno, jak kiedyś David,

modlitwą z przeszłości wyuczoną na pamięć w szkole, kiedy słowa nie niosły dla niej żadnego sensu: „Duszo Chrystusowa, uświęć mnie, Ciało Chrystusowe, zbaw mnie”. *Wybaw mnie, o Panie, od mojego szaleństwa, wybawiłeś szaleńców, wybaw i mnie, przyjdź do mnie i wybaw mnie, Panie, bo nie mam nikogo. Przyjdź do mnie.* Była to modlitwa i zarazem rozkaz. Otworzyła oczy – i ujrzała nie swojego Zbawiciela, lecz panią Greerson, która przyczłapała do pralni w przydeptanych kapciach, z zaczerwienionymi, podpuchniętymi oczami oraz z połową włosów skręconą w nieporządne loczki. Ziewnęła.

– Ta wielka rodzina z dwunastki chciała więcej ręczników plażowych. – Podrapała się gwałtownie po zewnętrznej stronie uda, gdzie drażnił ją gruby materiał szlafroka.

Jo spuściła wzrok na stół. Kostki dłoni pobieleły jej w miejscach, gdzie wciąż ścisnęła filiżankę.

– Widzę, że przygotowała pani prześcieradła – rzuciła właścicielka bezwiednie, odwracając się do wyjścia i ziewając znowu. – Lepiej niech je pani stąd zabierze, zanim przyjdą pokojówki. Wie pani, jak zrzędzą, że im ciasno.

– Tak, proszę pani. – Jo upiła łyk kawy.

Dzięki Ci, Panie.

Wojna się skończyła. Ameryka zrzuciła dwie bomby i wojna się skończyła. W dalekim St. Bees w żaden sposób nie można było zrozumieć, w żaden sposób pojąć ogromu zniszczeń, spustoszenia: dwa miasta zrównane z ziemią w kilka sekund, sto sześćdziesiąt tysięcy zabitych, dwa razy więcej zmarłych z powodu ran i choroby popromiennej w ciągu kolejnego miesiąca. To takie proste, powtarzali ludzie. „Czemu Amerykanie nie zrobili tego wcześniej? To by ocaliło życie mojemu Petiemu... mojemu Danny'emu... mojemu Billy'emu”. W pubach gromadziły się tłumy. Ludzie tańczyli na ulicach. Ateiści wraz ze wszystkimi stali w kolejce wijącej się wokół klasztoru, by zdjąć kapelusz i podziękować Bogu. Bogu dzięki, że to się skończyło.

Sierpień rozwinął się w bujne, pełne lato, lecz o Davidzie wciąż nie było wieści. Jo pokonywała piechotą długą trasę do Egremontu starą Szosą Północną, by sprawdzić skrytkę pocztową, którą tam założyła, ale żadna wiadomość nie przyszła. Mogła wynająć skrytkę w St. Bees, na małej wiejskiej poczcie, gdzie sprzedawano też słodycze i pocztówki, jednakże za każdym razem gdy wracała z Egremontu, niosąc listy od bliskich Davida, cieszyła się, że tak nie zrobiła, cieszyła się, że nie można jej odnaleźć. Podała im adres do korespondencji, na wypadek gdyby się czegoś dowiedzieli, otrzymali jakieś informacje, lecz nie potrafiła im wytłumaczyć, dlaczego bez Davida nie może stać się częścią ich życia. Duncan przeprosił, jeszcze kiedy mieszkała w Londynie: postąpił lekkomyślnie, głupio, nie rozumiał, jak wiele jego brat znaczył dla Jo, zachował się jak prostak. Niemniej Jo pozostawała głucha na jego zaproszenia na kolację, do teatru, na łódki czy pikniki. Nie pokochałaby kopii Davida, kogoś pozbawionego duszy. Było jej przykro wobec jego siostry Kit, wobec jego matki. Apelowwały do niej w listach – pragnęły jej obecności, chciały się nią zaopiekować. *Proszę, zamieszkać z nami, dziecko, tutaj w Londynie z moim bratem, w naszym domu w Szkocji, kiedy skończymy remont. Kochamy Cię, tęsknimy za Tobą, potrzebujemy Cię.* Nie mogła tego zrobić, nie mogła zamieszkać

z tymi serdecznymi ludźmi, którzy nie chcieli jej skrzywdzić, lecz nieustannym wspomnianiem Davida wykrwawiliby ją na śmierć. Co robił? Jak wyglądał? I co wtedy powiedział? I tak w kółko, aż stałaby się magikiem wyczarowującym Davida, wywołującym ducha zmarłego.

Trzymała się pomieszczeń gospodarczych hotelu, unikając kontaktu z gośćmi. Jej wiedza o urlopowiczach sprowadzała się do znajomości ich upodobań w kwestii dodatkowych ręczników lub świeżej pościeli każdego dnia, do tego, czy w łóżku palili, czy pili kawę. Zatrudnione w hotelu młode dziewczęta były zachwycone czasem pokoju, chłopcami wracającymi z wojny – wszelkimi wracającymi chłopcami. Gdy wpadały do pralni, odpowiadała „tak”, zanim jeszcze skończyły pytanie: „Czy możesz mnie zastąpić? Jestem dzisiaj na talerzach... myję garnki... patelnie... odwdzięczę się kiedyś, bez obaw, strasznie dziękuję”. Wiedziały doskonale, że nie będą musiały się rewanżować za przysługę, bo poważna praczka nigdy nie wychodziła do miasteczka, nie spotykała się ze znajomymi. „Nie nosi na ramieniu czarnej opaski, ale myślę, że musiała kogoś stracić, nie sądzicie?”. Chichotały, a potem wybuchały głośnym śmiechem, gdy tylko znalazły się na ulicy, biegnąc skrótem do pubu U Paddy’ego, skąd uszu Jo dolatywały dźwięki muzyki i odgłosy wesołości. *Czemu nie miałybyśmy się trochę rozerwać? Wojna trwała tak bardzo, bardzo długo.*

Pewnego dnia pani Greerson weszła do pralni bardziej rozczochrana niż zwykle. Surowo zlustrowała skromną, niemal szpitalną powierzchowność Jo – włosy ściągnięte w kok, wykrochmalony biały fartuch na jednobarwnej szarej sukience.

– Jest szesnasta, McMahan – rzuciła srogo.

– Tak, proszę pani, została mi tylko bielizna stołowa do...

– Powiedziałam szesnasta i to znaczy szesnasta. – Właścicielka hoteliku zmarszczyła brwi. – Zawarłyśmy umowę. O czwartej praca ma być skończona.

– Tak, proszę pani – odparła Jo niechętnie, z ociąganiem odkładając obrusy; zmuszając się, by się do nich odwrócić plecami.

– I tak pracuje pani po dziesięć godzin dziennie – ciągnęła pani Greerson. – A daleko nam do ruchu, jaki panował, kiedy pani zaczynała... z początkiem następnego miesiąca sezon się kończy. Dotrzymała pani umowy... wykonywała swoją pracę i powiedziałabym, że robiła dużo więcej. Nie wiem tylko, czy to samo można powiedzieć o mnie.

Jo zaniepokojona podniosła wzrok.

– Nie chciałabym, żeby pani tak myślała. Jestem bardzo szczęśliwa, bardzo wdzięczna, że dała mi pani tę posadę.

– Szczęśliwa i wdzięczna to niezupełnie to samo. – Kobieta znowu zmarszczyła czoło. – Chodzi o to, że owszem, dałam pani pracę, ale miałam też... no cóż, to przez to urwanie głowy z hotelem i z moim synem... ale miałam pani dać również szansę odpocząć.

– Wysypiam się doskonale...

– Cóż, może nie chodziło dokładnie o „odpoczynek”. Och, niech to szlag! – Jo

zaskoczył widok Angielki tupiącej z irytacją nogą i przeklinającej. – Polubiłam panią, a... a kiedy mówiłam o „odpoczynku”, miałam na myśli odprężenie... być może odzyskanie zdrowia.

Wydawała się wzburzona, potem zakłopotana, w końcu wcisnęła coś Jo do rąk.

– Proszę. I jeśli nie będzie pani tam chodzić co popołudnie, aż lato się skończy, to... to panią zwolnię.

Po tych słowach, drepcząc niezdarnie, opuściła pralnię.

Jo zaczęła pływać każdego popołudnia, każdego wieczoru, aż długi, ciepły letni dzień gładko przechodził w noc. Wkładała otrzymany od pani Greerson czarny kostium kąpielowy firmy Jantzen – gładki, lśniący i dopasowany dzięki zaszewkom. Nauczyła się pływać w dzieciństwie, gdy siostra oświadczyła, że to niezbędna umiejętność, a następnie zebrała środki i wywiozła ubogie miejskie dzieci na obóz do klasztoru macierzystego gdzieś na wsi. Z taką samą precyzją i autorytetem, z jakimi wykładała ortografię i gramatykę, nauczyła je pływania kraulem, stylem grzbietowym oraz leżenia na wodzie.

Teraz Jo z rozkoszą, bez wysiłku unosiła się na falach, wykonywała kilka ruchów, a potem leniwie przekręcała się na plecy niczym ospała foka. Nie wchodziła do wody od czasu Afryki Północnej, od desantu, ale wtedy wokół zagrażały ostrzał, ogień i śmierć. Teraz kołysała się spokojnie na wodzie, a silne promienie późnego lata opalały ją na brązowo. Kiedy miała dość pływania, wędrowała kamienistą plażą, dopóki nie wyszukała wyjątkowo ustronnego miejsca. Plaże były niemal puste, długa linia wybrzeża wyginała się gładkim łukiem, bezludna od końca do końca, jeśli nie liczyć przypadkowego duchownego, zmęczonej guwernantki, dziecka – zbyt małego na szkołę i pływanie – które wbiegało w fale, krzyczało i wracało na brzeg, powtarzając zabawę raz po raz. Znajdowała miejsce, gdzie mogła się umościć w słońcu, na rozprażonych drobnych kamykach. Zawijała się w stary koc, w gruby ręcznik, który przyniosła z pralni, i zamykała oczy, czując ciepło na powiekach.

To był koniec.

Nie całego jej bólu, wszystkich ran, lecz wojny – wojna się skończyła.

Pozwalała, by świadomość tego faktu w nią zapadała – wnikała jak promienie słońca.

Wybaczam sobie.

Myśl pojawiła się znikąd i była tak zaskakująca, że Jo otworzyła oczy i usiadła. Zaraz jednak położyła się z powrotem, zmusiła się do odprężenia, do zadania sobie pytania, o co jej chodzi, co sobie wybacz.

To, że żyję.

To, że żyje, choć zginęli wszyscy inni, choć zginęło pięć procent populacji świata – nieznajomi, których próbowała ratować, i przyjaciele, których ocalić nie zdołała, jej matka i ojciec, brat i...

Nie potrafiła myśleć o Davidzie jako o zmarłym. W sali dormitorium w Londynie, w swoim nieskazitelnym pokoju na drugim piętrze, umiała to sobie wyobrazić: martwego i pochowanego tysiące razy. Ale nie tutaj. Leżąc na brzegu – albo unosząc się wśród fal,

które, zdawało się, tuliły ją i kołysy, podtrzymywały na powierzchni – nie potrafiła o nim myśleć jako o zmarłym ani przez moment. Potrafiła wyobrazić go sobie na morzu, daleko. Ale miała wrażenie, jakby się dotykali poprzez bezkresny ocean: ona dotykając skraju wód tutaj, on na drugim końcu świata – mimo wszystko nie mogąc się dotknąć. Nawet gdy pokonała długą drogę na wzgórze, do hotelu, głęboko w jej wnętrzu coś z tego pozostawało. Wydawało się realne i ciepłe, i żywe. David zdawał się żywy.

Jo wyszła przed budynek z hydraulikiem, mijając warzywnik z ziołami, które zaczynały już wydawać nasiona.

– To gdzie dokładnie się zatkało, panienko?

Szukali rury odpływowej biegnącej pod ziemią z pralni przez ogród.

– Tutaj... tutaj uchodzi.

Przyjrzeni się rurze, przechylając głowy, szturchając ją czubkami butów.

– Wygląda, że wszystko w porządku. Woda płynie. Od jak dawna, mówi panienska, nie schodziła jak należy?

W tej samej chwili po czystym niebie przetoczył się letni grzmot – bez deszczu, bez błysku. Sekunda i było po wszystkim: ptaki przelatywały nad trawnikiem, przysiadając na starych miedzianych rynnach i ćwierkając do siebie z zadowoleniem.

Jo i hydraulik leżeli rozplaszczeni z twarzami wciśniętymi w błotnisty grunt, osłaniając głowy skrzyżowanymi ramionami. Mężczyzna spojrział zmieszany, uśmiechając się szeroko do swojej towarzyszki.

– Też panienska była na wojnie?

Jo wypłynęła poza linię przyboju. Fale nie były duże – nurkowała w nie raczej dla rozrywki niż z konieczności – potem minęła je i znalazła się na rozkołysanym morzu, poruszającym się i dyszącym jak żywa istota. Obróciła się i spojrzała na plażę, wąską i wygiętą w słońcu, oraz leżącą w głębi małą wioskę, na wybiegający w wodę po lewej stronie cypel, którego wysokie szmaragdowe klify opadały ku pianie kotłującej się w dole. Położyła się na plecach i mrużąc oczy, spojrzała w niebo – spiętrzone masy chmur tańczyły nad nią, to wystawiając ją na słońce, to okrywając cieniem, i znowu zalewając blaskiem. Była zupełnie sama w roziskrzonej, migocącej od słonecznych promieni wodzie. Uciekające przed jakimś drapieżnikiem małe rybki wyskakiwały w powietrze, błyskając srebrem, błyskając bielą na ułamek sekundy, zanim zniknęły. Zamknęła oczy i czas prześlizgiwał się obok.

Był wrzesień. Dni stawały się krótsze – wciąż mogła pływać, ale tylko dopóki świeciło słońce; po zmierzchu w przemoczonym stroju robiło się zbyt zimno, więc siedziała skulona na plaży. Wszędzie wokół życie wracało do normalności, do utrwalonej rutyny. Pomyślała o czerwcowych pannach młodych odliczających dni, wciąż od nowa zagląających w kalendarz, o zaczynających nowy semestr niechętnych uczniach, pocących się w szkolnych mundurkach, wyglądających tęsknie przez okno. Pomyślała o hotelu, o malejącej liczbie gości – i o liście od pani MacPherson: dom w Szkocji został

wyremontowany, wracają do siebie, wracają na farmę – tak więc nawet bliscy Davida wyjadą wkrótce, przeniosą się na północ wraz z chłodniejszą porą roku.

Pomyślała o swoich listach do Kay, tych, które wracały jako niedoręczone, i o tych, które przepadły, nie wróciły w ogóle. Miała nadzieję, że choć część dotarła do adresatki. Zastanawiała się, gdzie Kay jest i czy w ogóle Kay jest. Szeptem odmówiła modlitwę o jej bezpieczeństwo, o to, by pozostała sobą, by się odnalazła. Uświadomiła sobie, że nawet cierpienie z powodu tego, przez co przeszły w Nowym Jorku, zaczyna słabnąć. Nigdy nie sądziła, że się tak stanie, ale się stało. Przetrwała tamto, przetrwała wojnę. Czy to pierwsze przygotowało ją na to drugie? Czy potworność tamtego uodporniła ją na przemoc, z jaką później mieli się zetknąć ona i cały świat? Teraz jedno i drugie należało do przeszłości, dochodziła do siebie. Skoro okazało się to możliwe – skoro tamta pałaca, piekąca ją w środku wściekłość bladła z każdym mijającym dniem, skoro fakt, że otaczało ją łagodne morze, wiecznie młoda potęga, zdołał ukoić tamten gniew – skoro nawet to było możliwe – cóż, dostatecznie długi czas, dostatecznie długi pokój zapewne może zdziałać wszystko.

Na chwilę otworzyła oczy, by sprawdzić, dokąd zdryfowała. Wypłynęła trochę za daleko – szacowała to po budynkach, po dachach, policzyła kominy. Poradzi sobie, za chwilę zawróci, ma jeszcze mnóstwo czasu. Znowu opuściła powieki. Woda wypełniła jej uszy i zakryła brzuch i Jo poczuła się otoczona dobrocią, delikatnością i ciepłem. Przeniknęła ją potęga oceanu, unosiła się bez wysiłku w jedwabistej wodzie. Koszmary stały się rzadsze – zarówno te na jawie, jak i we śnie. Minał tydzień – nie, dwa tygodnie – odkąd zaczęła przesypiać całe noce nieniekajona przez sny, bez budzenia się. Jej ciało się odprężyło i odprężył się umysł, wiedziała, że wraca do zdrowia. Była niemal uleczona.

Maszerowała ponurą szosą do Egremontu w mżącym deszczu. Mocniej owinęła się pożyczonym płaszczem nieprzemakalnym, postawiła kołnierz. Spojrzała na zegarek, ścierając wodę ze szkiełka. Jeszcze zdąży na mszę. Tego lata chodziła na nią co niedzielę, lecz nigdy w deszczu – w deszczu było to okropne. Obejrzała się na wioskę daleko za plecami – wciąż widziała klasztor St. Bees, wysoki i dumny – i przeklęła w myślach króla Henryka. Wydawało się niedorzecznością, że po tylu wiekach dawny angielski monarcha naraża na niewygody ją, współczesną Jankeskę, ale tak to właśnie wyglądało. Była katoliczką, a klasztor należał do Kościoła anglikańskiego. Pokonywała więc długą drogę do misji w Egremencie, gdzie zbierali się w dawnej sali tanecznej i wykorzystywali fortepian w charakterze ołtarza – tylko z powodu sporu sprzed czterystu lat. Niechcący wdepnęła w kałużę i raz jeszcze przeklęła władcę. Nawet sam król, stwierdziła, w lepsze dni musiał przyznać w głębi ducha, że to, czego pragnął – męski potomek, lepsza kochanka – było doczesne, w sposób zrozumiały ludzkie, lecz nie boskie. Nie z woli boskiej. Niewarte całej tej awantury, rozlewu krwi i podziałów, niewarte długiej drogi do Egremontu. Chrześcijanie powinni się ponownie zjednoczyć. Sprawiliby przyjemność Bogu. A w dodatku zyskałyby na tym jej skórzane buty.

Drogą nadjechała hałaśliwa ciężarówka dostawcza i zahamowała przy Jo.

– *Mademoiselle!* – zawołał ze środka kierowca. Był to Luc, francuski piekarz z miasteczka, z żoną Ellie.

Ucieknąwszy z dziećmi przed wojną, wylądowali ostatecznie w prowincjonalnym St. Bees, gdzie wyróżniali się jako cudzoziemcy, jeszcze zanim wypłynęła kwestia wyznania.

– Zabierzemy panią ze sobą dróżką na mszę *catholique*. Nie możemy zaakceptować pani w... – Tu zabrakło mu angielskich słów, więc zaczął gestykulować dziko do siebie, do żony w ciasnej kabinie. – Ale jeśli wróci na tył, pozwoli pani jechać z naszymi dziećmi.

– Dziękuję – odpowiedziała z uśmiechem. – Wrócę na tył.

Wskoczyła na płaską pakę ciężarówki i usadowiła się obok sześciorga dzieci, które podobnie jak ona zwiesiły w dół chude nogi.

– *Bonjour* – przywitały się uprzejmie. Miały ogromne oczy, a blond loki dziewczynki ociekały deszczem.

– *Bonjour*.

Jo przypomniała sobie, jak trafiła do Francji. Podobnie jak wszyscy z jej korpusu medycznego założyła opaskę z flagą amerykańską i nosiła ją cały czas, bo nie chcieli zostać uznani przez pomyłkę za oficerów brytyjskich. Francuskim Siłom Wewnętrznym zdarzało się strzelać na chybił trafił do Anglików – ich wrogów w innej wojnie, w niezliczonych innych wojnach. Kanał La Manche nigdy nie był wystarczająco szeroki, by oddzielić Anglię od Francji.

Po mszy („My mówimy do ciebie jej przykro, ale rodzina nie wraca teraz do Sint Beez”) ruszyła piechotą w długą drogę powrotną. Deszcz ustał, szosa była usiana kałużami.

– Proszę pani, proszę pani!

Naczelnik poczty wybiegł truchtem, gdy mijala jego dom. Za kołnierz wciąż miał wsuniętą serwetkę, rozpostartą na olbrzymim brzuchu. Jo obejrzała się zaciekawiona. Poczty nie otwierano w niedziele, nie mogło chodzić o sprawę urzędową.

– Zobaczyłem panią przez okno i po prostu musiałem powiedzieć. Jakiś mężczyzna przyszedł w tym tygodniu i pytał o panią.

Zesztywniała.

– Jakiś mężczyzna?

– Tak. – Urzędnik był wyraźnie zachwycony. Plotkował niczym stara baba i wiedział o wszystkim, co się działo w miasteczku. – Przyszedł we wtorek zaraz po pani wyjściu, nie mogło minąć więcej niż kwadrans. Podał nazwisko, opisał panią idealnie, powiedział, że jego rodzina pani szuka, próbuje ustalić miejsce pani pobytu.

– Wspomniał, jak się nazywa?

– Owszem, wspomniał... niech no się zastanowię... jak to było? Coś z „Mac” na początku... MacDonald? Nie, nie, MacPherson – oznajmił stanowczo. – Nazywał się MacPherson.

– Duncan?

– Tak, właśnie tak, jestem pewien. Powiedział, że chce się z panią skontaktować. Chciał wiedzieć, jakiego dnia i o której godzinie zwykle sprawdza pani skrytkę. To... to jakiś pani wielbiciel?

– Co mu pan powiedział?

Mężczyzna wyglądał na zbitego z tropu, zatrzepotał rękami.

– Za kogo pani mnie uważa? Nie wiem, co to za jeden. Kazałem mu się wynosić, właśnie tak. Wiem o pani tylko tyle, powiedziałem, że płaci punktualnie za skrytkę i ma prawo do prywatności tak jak każdy. Spytał, gdzie się pani zatrzymała, czy mieszka tutaj... – W tym miejscu umilkł i spojrzał pytająco. – Nigdy pani nie widuję, tylko kiedy przychodzi pani po listy. Mieszka pani tutaj? Czy przychodzi z okolicy?

Jego żona stanęła na progu i zawołała, by wracał na obiad, przestał wystawać na ulicy w samej koszuli. Machnął zniecierpliwiony w jej kierunku.

– Gdyby znowu zajrzał, może mu pan powiedzieć, że wyjechałam. Zatrzymałam się w okolicy u przyjaciół, ale wyjechałam... wróciłam do kraju. Proszę mu przekazać, że wie, gdzie mnie szukać.

– Wie... zatem to pani dobry znajomy? – spytał z nadzieją.

– Po prostu znajomy. Dziękuję, że mi pan powiedział. Smacznego obiadu.

Pozostawała oburzona przez całą długą drogę powrotną. Duncan nie miał prawa. Jasno dała do zrozumienia, że nie jest zainteresowana nim ani jego zalecankami. Nie odpowiadała na jego listy, nawet do jego matki pisywała lakonicznie, rzeczowo. Nie narzucała im się i myśl, że wytropił ją niczym pokojówkę zbiegłą ze srebrami stołowymi, niewymownie ją zirytowała. Na szczęście naczelnik poczty nie mógł wiele powiedzieć – wyobrażała sobie, że wybiegł za nią, ponieważ Duncan zaoferował mu jakieś wynagrodzenie. Duncan był sprytny, bez wątpienia. Ale ona też była uczestnikiem tej gry. Będzie ostrożniejsza – może poprosi synka Luca, by przywoził jej listy rowerem. Zrobiłby to za szylinga. Duncan dotarł daleko, liczyła jednak, że pozostawiony przez nią fałszywy trop utwierdzi go w przekonaniu, że zatrzymała się gdzieś z wizytą, w jakimś domu lub pensjonacie, a nie jako płatna pomoc. Był zbyt dumnym człowiekiem, by szukać jej w takim miejscu.

Dotarła do skrzyżowania, skąd prowadziły drogi do St. Bees i na cypel. Żołądek naglił do powrotu – niedzielny brunch z pewnością się kończy; stopy szynki na gorąco, kiełbasek i jajeczniczy, które goście zostawili nietknięte na kredensach, wróciły do kuchni. Mimo racjonowania żywności względny dostatek czasów pokoju zadziwił Jo. Fakt, że może jeść do syta, aż czuje się pełna i senna, wciąż stanowił nowość. Pani Greerson nie skąpiła ani gościom, ani personelowi. Jo zaokrągliła się, nabrała sił, nie przypominała już szkieletu, który czekał w kolejce, by poprosić o pracę. Skórę miała opaloną, policzki rumiane. Była syta. Mogła sobie pozwolić na wycieczkę na przylądek bez śniadania.

Niemal natychmiast otoczyła ją zieleń. Jo zeszła z drogi, a wtedy zielono zrobiło się pod jej stopami, przed nią i wszędzie wokół. Chmury rozwiały się nad morzem i woda w dole zaśniła jeszcze jaśniej, jeszcze mocniej, gdy obłoki sunęły ku brzegowi. St. Bees przycupnęło w kotlinie na lewo, małeńkie jak dziecięce domki rozsypane do zabawy. Wiatr od morza był orzeźwiający i zagłuszał wszelkie dźwięki. Jo dotarła na koniec cypla szybciej, niż się spodziewała. Nie zapuszczała się na samą krawędź, na klify, lecz zatrzymała się nieco wcześniej wśród morza zieleni.

Położyła się w słońcu znajdującym się dokładnie nad jej głową, nie zważając na plamy od trawy, na to, że sukienka zwilgotnieje. Wyciągnęła się, rozpostarła ramiona i, jakby robiąc orła na śniegu, chwyciła wielkie kępy śliskiej trawy, nawijała ją na palce niczym włosy. Była zupełnie sama. Potem zamknęła oczy i poczuła pod sobą solidny

ogrom podtrzymującej ją ziemi. Była bezpieczna, pokrzepiona na tyle, by zapytać:

Czy David kiedykolwiek mnie kochał?

Wcześniej pytanie takie wydawało się zbyt przerażające, by je wypowiedzieć, ale teraz... teraz mogła to zrobić. Odnalazła oparcie w sobie, niemal odzyskała zdrowie.

Znali się bardzo krótko, pchnęły ich ku sobie okoliczności. Poczwała, jak coś mocno chwyciło ją za serce, poczuła zamkniętą w nim gwałtowną miłość do Davida – lecz co czuł on? Wdzięczność? Może tylko bliskość? Czy w ogóle cokolwiek?

Czy mnie kochał? Czy kiedykolwiek naprawdę mnie kochał?

Świat pod nią był niewzruszony, cichy jeszcze przez ułamek sekundy. Potem przypomniał jej się jeden z listów Kit – otrzymała go we wtorek, tuż zanim Duncan ją wytropił. I już wiedziała, że David kiedyś ją kochał, że był taki czas, gdy kochał ją naprawdę.

Droga Panno McMahan,

Mam nadzieję, że zobaczę Panią znowu, była Pani taka kochana, chociaż trochę smutna, ale to pewnie przez wojnę. Pani mundur jest prześliczny. O Davidzie nie mieliśmy żadnych wiadomości, ale odmówiłam za niego nowennę, więc proszę się nie martwić.

Zakradłam się do pokoju Mamy i przepisałam jego ostatni list do domu. Po powrocie na front napisał do nas dwa razy. Głównie o nas i o farmie i że się o nią martwi, odkąd została trafiona podczas nalotu. Ale jest też fragment o Pani i wiem, to okropne, że go przepisałam (proszę nie mówić Mamie), ale myślę, że brzmi dramatycznie i że miłość jest cudowna, nie sądzi Pani? Na Pani miejscu chciałabym to usłyszeć, więc proszę bardzo. Wcześniej jest mnóstwo nudnych kawałków, ale potem David pisze:

„Możecie powiedzieć Bumpy’emu, że się zakochałem. Będzie się śmiał, bo sam zakochuje się co tydzień i twierdzi, że taki bęcwał jak ja nigdy by tego potrafił. Ona jest aniołem i kocham ją, i oczywiście wiecie z mojego ostatniego listu (kiedy mogłem pisać jedynie o Niej), że chodzi o Josephine McMahan, pielęgniarkę, która uratowała mi życie. A kiedy mówię, że uratowała mi życie, to chodzi nie tylko o to, że mnie pielęgnowała podczas tyfusu (choć mnie pielęgnowała, naprawdę, niech Jej Bóg błogosławi), ale ponieważ ocaliła też resztę mojego życia, tego życia, które, jak sądziłem, przyjdzie mi spędzić w samotności, jedynie uprawiając ziemię i jeżdżąc na targ; w którym każdy rok będzie dokładnie taki sam jak poprzedni. Teraz widzę, jakim byłem głupcem – widzę, że poezja i pieśni, które tak bardzo lubiłem, nigdy nie przeniknęły do mojego wnętrza, do mojego serca – i pewnie już za późno, to znaczy za późno, by ją pokochać, jak na to zasługuje, bo chciałbym...”

potem jest długi fragment zamazany przez cenzurę, nie wiem, co zamierzał napisać, ale dalej zaczyna się znowu, w połowie kartki,

„...i ożenić się z Nią nade wszystko na świecie. Ale świat stał się zły. Tuż przede mną czai się jakieś zło, tyle wiem. Ludzie uciekają przed nim; jest tak mroczne i przerażające, że nie potrafią nawet o nim mówić. Nie mogę Wam napisać, gdzie jestem, cenzorzy by to wykreślili, ale byłem dzisiaj na mszy w pewnym klasztorze, nie napiszę którego zakonu – i jest tu mnóstwo małych dzieci, zupełnych maluchów, Mamo, takich jak

my za dawnych lat.

Ubierają je w mundurki jak do szkoły, ścinają im włosy i starają się zmienić ich wygląd, wkładając im okulary i tak dalej, dzieci są smutne, ich rodzice widocznie zginęli. Noszą imiona takie jak Efraim i Sara, ale również ich nie mogą zachować. Stają się Peterami i Bridget, są przepytywane wiele razy, aż zapamiętają. Dzieci płaczą, uczą się prostych modlitw, jakie zna każdy chrześcijanin, ale nie one, i wciąż słyszą, że muszą je poznać na pamięć, na wypadek gdyby ktoś spytał. Dlaczego się ukrywają, przed czym uciekają – nie chcą powiedzieć, nikt nie pisnie słowem. Ale bez względu na to, co to jest, tam właśnie wyruszamy, Mamo. Módl się więc za nas. I pomódl się za te dzieci”.

(Ostatni fragment nie jest o Pani, ale bardzo mnie wciągnęło przepisywanie, a poza tym brzmi intrygująco – też bym chciała chodzić w przebraniu i nosić okulary, i ściąć włosy, ale Mama mi nie pozwala – Kit).

Jo westchnęła, myśląc o dzieciach, które straciły swoich bliskich, swoją tożsamość, przemycanych coraz dalej do Francji i Anglii, do obcych ludzi, którzy je ukrywali, przyjmowali na dzień lub na tydzień; o dzieciach płaczących nocą, aż zapomną własne imiona. Pomyślała o Davidzie maszerującym na oślep w tę ciemność, w ten mrok i noc, gdzie wszystko było śmiercią i głodem – zimnym, bezlitosnym, namacalnym.

Szarpnęła trawę tak mocno, że cała garść została jej w dłoni. Rozchyliła palce i żdźbła odleciały z wiatrem; odetchnęła głęboko, modląc się za zaginionych – zagubionych – za dzieci, za Davida i za samą siebie. Splotła dłonie na brzuchu, słońce prażyło. Czowała, jak przypieka jej nos. Świat był zły i okrutny, ale góra pod jej plecami dawała oparcie, niewzruszona, solidna. Mówiła: jest jeszcze nadzieja. Nadzieja, pokój i miłość.

Więc David kiedyś szczerze ją kochał.

Ale czy kocha nadal? Co dzieje się z naszą miłością, gdy umieramy? Co by się stało z miłością rozpierającą Jo, szukającą ujścia, sposobu, by się wyrwać na zewnątrz? Tysięczny raz zadała sobie pytanie: *Czy David żyje, czy zginął?* I wtedy z głębi ziemi, z głębi własnej duszy, usłyszała jego głos, spokojny i czysty. Nie wyobraziła sobie tego – to nie pochodziło od niej. To był David, jej David, poczuła dreszcz na dźwięk jego głosu, jego słów. Muskały ją, pieściły, dolatując z miejsca, gdzie przebywał.

„Sądziś, że taki drobiazg jak śmierć zdoła rozdzielić tych, którzy kochają?”

Naraz nie kochała już ducha, nie kochała wspomnień, nie była to już miłość nieodwzajemniona: odpowiedział na jej uczucie, czuła jego miłość. To, czy dzieliła ich przestrzeń, czas czy śmierć, nie miało znaczenia – Jo wiedziała to teraz. Czowała jego miłość i była pewna, że David czuje się kochany przez nią. Nareszcie, po tak długim czasie, go odzyskała. Ogarnęła ją czysta ulga płynąca z faktu, że mogła – w pełni i bez obaw – kochać i być kochaną, bez wątpliwości, bez groźby, że kiedyś znowu zostaną rozdzieleni. Leżała samotnie na ogromnej zielonej przestrzeni promieniującej w słońcu jak klejnot i jej serce napełniło się, wykpięło radością i napełniło ponownie. Śmierć nie mogła jej pokonać, unicestwić jej zdolności kochania. Tyle miała. Tym była.

Odzyskała wolność.

Była w swoim pokoju. Zamierzała się położyć, tylko na chwilę. Wyjęła z włosów szpilki i zaczęła je układać w rzędzie. Rozejrzała się po pokoju, porównując go z innymi miejscami, w których mieszkała, które nazywała domem – nędzną czynszową kamienicą, bazą wojskową, ubłoconym namiotem na froncie. Popatrzyła raz jeszcze i już wiedziała, czym jest ten pokój. Zimnym, aseptycznym grobowcem. Spojrzała na szpilki, wszystkie dokładnie takie same, ułożone w równych odległościach – i zmiotła je gestem, aż pofrunęły po całym pomieszczeniu, wpadły w szpary, pod grzejniki, za meble. Cisnęła dzbankiem o podłogę, potem rozbiła go o ścianę i obcasem zmiażdżyła ceramiczne skorupy na pył. Mydło cisnęła za okno najdalej jak potrafiła – zniknęło jej z oczu w blasku popołudnia. Nie tego chciała, to nie było realne, to nie była już ona.

Nie pamiętała, kiedy padła na łóżko, ale gdy przebudziła się nagle, słońce znajdowało się znacznie niżej na niebie. Musiała przespać wiele godzin. Ktoś nią potrząsał, szarpał za ramię, czuła ucisk czyichś palców. Queenie. Ale nie zakrwawiona ani rozgniewana, to nie był koszmar. Queenie taka, jaką Jo zapamiętała, jaką kochała. Potrząsała nią i potrząsała, jakby Jo miała się spóźnić na swoją zmianę, jakby musiała się zerwać z łóżka polowego. Zanim otworzyła oczy, usłyszała głos przyjaciółki, jej słowa.

„Zbudź się, kochanie”.

Musiała przejaśnić sobie trochę w głowie. Choć było późno, włożyła strój kąpielowy i przeszła przez pralnię, mijając stosy bielizny, które nic już dla niej nie znaczyły. Kogo obchodzi, czy w ogóle zostaną wyprane, wysuszone. Ruszyła przez suchą, kłującą trawę obok ogrodu, w dół skalistego zbocza przez żywopłoty, aż dotarła na plażę, w zapadającym zmroku opustoszałą bardziej niż zwykle. Usłyszała śmiech i, ukryta pod osłoną szopy na szufle i zniszczone parasole, zobaczyła parę nastolatków obejmujących się, całujących, znowu śmiejących. Dziewczyna z piskiem wyslizgnęła się z objęć chłopaka, odbiegła kawałek plażą. Pozwoliła się schwytać, udając, że skręciła kostkę. Pocałowała go, zaśmiała się raz jeszcze – do niego, do samej siebie, do życia, do nieprzewidywalnej, nieuniknionej miłości. Odbiegli razem.

Jo zanurkowała w fale i nie miało znaczenia, że płacze, że targają nią szluchy – ocean przyjął wszystko, łzy, ból i rozpacz, wchłonął je w siebie, uwalniając ją, pozwalając jej na powrót stać się całością. Nie mogła pływać długo – woda była lodowata – więc ruszyła plażą, aż porywisty wiatr osuszył ją, jej długie włosy rozpuszczone swobodnie. Zwróciła się twarzą do morza. Słońce znajdowało się dokładnie przed nią na zachodzie, zapadało w Atlantycką, w Amerykę po drugiej stronie wielkiego oceanu. Nie mogła pozwolić, by zaszło, nie mogła pozwolić, by się zanurzyło w fale, zanim nie rozstrzygnie raz na zawsze, czy będzie dalej żyć jak dotąd.

Wiedziała, czego pragnie. Widziała zakochanych i wiedziała, że tego właśnie chce – nie zimnej, klinicznej pustki niechroniącej przed niczym, otaczającej murem jej serce. Chciała znaleźć drogę, by to odszukać, urzeczywistnić. Zdjęła z szyi łańcuszek (zawsze go nosiła, nigdy nie zdejmowała), zsunęła pierścień Davida ze złotej pętli i ścisnęła

w dłoni. Łańcuszek ześlizgnął się do wody i zniknął, ale pierścień trzymała nadal mocno w zaciśniętej pięści, aż oczy zapiekły ją z bólu. Musiała podjąć decyzję.

Rzucić go w morze i pozwolić Davidowi odejść.

Albo zatrzymać go na zawsze.

Taki miała wybór, a tymczasem słońce zachodziło. Musiała zdecydować, nie mogła przeżyć kolejnego dnia, kolejnej nocy, nie rozstrzygnawszy. W jej wnętrzu szalała burza wyrrywająca się na zewnątrz. Jo nie potrafiła pohamować miłości do Davida ani chwili dłużej. Nie mogła go mieć, a nie umiała pozwolić mu odejść. Słońce opadło niżej, znacznie niżej. Wezbrało w niej pragnienie – chciała być tamtą dziewczyną, która skręciła kostkę w piasku, która śmiała się i całowała ukryta za szopą. Pragnęła miłości, fizycznej miłości, nie duchowej więzi, nadziei, marzenia napływającego od morza, z zimnej góry. Otworzyła dłoń i spojrzała na pierścień – jedyny należący do Davida przedmiot, jaki posiadała, jedyne, co jej dał...

Proszę go zachować, niczego nie obiecując. Proszę go zatrzymać, żebyśmy wiedzieli, że pojedzie z panienką... że moja miłość pojedzie z panienką... bym mógł mieć nadzieję, że pewnego dnia...

A jeśli ten dzień nie nadejdzie nigdy? Co czekało ją w życiu bez Davida? Nie była nowoczesną kobietą, jej ambicje nie sięgały poza dom – dzieci, Davida i dom – w którym mógłby się z nią kochać, recytować jej wiersze i nucić pieśni, gdy wszędzie gwiazda zaranna. Trzymała pierścień w dłoni, lecz teraz delikatnie, jakby szacując jego wagę. Wkrótce będzie musiała wyjechać i uczyni to z Davidem lub bez niego, bez jego ducha, jego miłości. Mogła wybrać życie w towarzystwie ducha albo wyrzucić pierścień, by pochłonęły go fale i by David opuścił ją na zawsze.

Wróciły do niej słowa jej modlitwy: *Nie dozwól mi oddalić się od Ciebie.*

Słońce wciąż jeszcze nie zaszło, trwało w zawieszeniu. Świat widocznie się zatrzymał, czekając na jej decyzję. Wiatr zdmuchnął jej włosy z twarzy. Nappełniał jej uszy z dzikim dźwiękiem jak płótno namiotu, gdy zerwane z kołków wydyma się i trzepocze gwałtownie. Poprzez ten łopot usłyszała jakieś odgłosy, słabe i dalekie, ktoś ją wołał i wydawało jej się, że to David. Odwróciła głowę i zobaczyła w oddali na plaży nadchodzącego mężczyznę.

Chciała uciec. Niech go diabli, niech diabli wezmą tego zachwyconego sobą, zapatrzonego w siebie Duncana, któremu wystarczyło odmówić, by ją tropił, śledził aż tutaj. Jeszcze przez moment pragnęła uciec, potem jednak gniew wziął górę i ruszyła umyślnie w jego kierunku, zaciskając dłonie w pięści. Wygarnie mu, rzuci prosto w twarz, co myśli o nim i jego arogancji.

Ale gdy się zbliżał, zauważyła, że ma laskę i utyka lekko.

Duncan nie utykał.

Stanęli przed sobą. Słońce wciąż wisiało nad horyzontem, zalewając ich swoim blaskiem: jego zmierzwione włosy i ogorzała twarz promieniały. Znajdowała się w odległości zaledwie kilku kroków, szczupła, lecz silna, rozgrzana ciepłym, różowym światłem. Bolała ją dłoń – zapamiętała tę bolącą dłoń zaciśniętą wokół czegoś twardego

– ale nie była w stanie na nią spojrzeć; wpatrywała się w niego, wpatrywała się w marzenie. Wyglądali zupełnie inaczej, niż gdy się widzieli ostatni raz – zmarznięci, przemoczeni i nieszczęśliwi. Teraz byli zdrowi na ciele i duchu. Nie utykał poważnie, więc odrzucił laskę, gdy tylko znalazł się bliżej. Patrzył na nią: była piękna, piękniejsza, niż sobie wyobrażał, była boginią, która zstąpiła do niego.

– David – wyszeptała Jo i wiatr porwał to słowo, poniósł je ze sobą tak, że tylko jej usta się poruszyły; rozwarły się na moment i znieruchomiały.

Tulili się do siebie, trzymali kurczowo, a tymczasem słońce zaszło, morze pochłonęło ostatni żarzący się promień – obejmowali się, jakby on miał zniknąć, jakby ona miała się rozwiać z ostatnim blaskiem światła. Otwarli oczy i rozejrzeli się wokół: plaża była srebrzystoszara, zapadał zmrok, woda stała się ciemna i wzburzona – lecz wciąż mieli siebie nawzajem, byli w domu, to się działo naprawdę.

David płakał i całował Jo po całej twarzy, przyciskając ją do siebie tak mocno, że nie mogła oddychać. Na ułamek sekundy jego wzrok pobiegł ku niebu, jakby radość była zbyt wielka, jakby go miała rozsadzić, potem roześmiał się przez łzy, próbując wydobyć słowa, choćby jedno słowo.

– Aye.

KAY ELLIOTT

STYCZEŃ 1947, WOJSKOWE CENTRUM MEDYCZNE FITZSIMONSA,
AURORA, KOLORADO

Kay wyjrzała przez okno na śnieg w dole. Żołnierz szufłował jak szalony, gdy dwóch oficerów nadeszło wąskim chodnikiem, po czym, gdy tylko go minęli, oparł się o łopatę, składając dłonie, by zapalić papierosa. Uśmiechnęła się.

Śnieg wirował za oknem, unosił się roziskrzonymi kolumnami odbijającymi światło, zanim się rozbiły o szybę. Nie mogła się nim nacieszyć, nie chciała już nigdy zaznać upału. Rozejrzała się po poczekalni: tanich meblach, winylowych obiciach, cynkowanej stali – całe pomieszczenie z powodzeniem można by po dniu pracy splukać wężem.

Pomacała w kieszeni. Pismo przyszło z pocztą tego dnia. Wciąż nie potrafiła uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Nie patrząc, nie musiała patrzeć, dotknęła znowu zmiętej kartki – skryptu dłużnego, który podpisała w Manili, w obozie jenieckim. Ktoś go zachował, odszukał ją i – wprost niewiarygodne – jakiś urzędnik z działu należności na dwudziestym pięttrze nowojorskiej korporacji domagał się teraz spłaty długu. Wydawało się to surrealistyczne, lecz przecież go miała: skrypt leżał w jej kieszeni. Cóż, zapłaci im tych sześćdziesiąt dolarów, co do centa. Uratowały jej życie. Ale mimo wszystko nie mieściło jej się to w głowie.

Zerknęła na zegar na ścianie – spotkanie wyznaczono na dziesiątą, a dobiegała jedenasta. Poprawiła się na krześle. Pomyślała o innym biurze, bardzo podobnym do tego, jeszcze na Pacyfiku, gdzie pielęgniarkom polecono podpisać przysięgę, że zachowają tajemnicę. Przysięgały nigdy nie wspominać ani nie dyskutować o swoim uwięzieniu, o służbie w czasie wojny, w przeciwnym razie groziła im utrata emerytury i świadczeń wojskowych.

– Czy pani rozumie? – powtórzył urzędnik. – To absolutnie kluczowa kwestia.

Musiała sprawiać wrażenie zamroczonej, chwiejąc się na nogach w przód i w tył.

– Czy ona w ogóle słucha? No, musi pani to podpisać.

Wyciągnęła rękę po pióro... i nie trafiła.

– Ale wcześniej musimy zyskać całkowitą jasność. Nie wolno pani wspomnieć ani słowem o niczym, co pani widziała przed albo po Santo Tomas. O niczym, co pani widziała, czy to rozumiały?

– O niczym, co widziałam.

– Ani słowa, nawet członkom rodziny, w żadnej formie, ustnej, pisemnej czy też w formie nagrania.

– Tak.

– Rozumie pani?

– Tak.

– Podpisując niniejszy dokument, potwierdza pani, że wyjaśniłem jej kary grożące za złamanie któregokolwiek punktu, i zgadza się nie ujawniać żadnych informacji...

– Tak, tak.

– ... przez sześćdziesiąt lat.

– Sześćdziesiąt?

– Tak... do roku dwa tysiące piątego.

Choć oszołomiona, zaśmiała się na tę informację: na myśl, że ktokolwiek z nich mógłby dożyć tej daty. Ale może dożyją – może nauka pokona starość, może będą szybować w latających spodkach i urządzić sobie wakacje na Księżycu. Podpisała.

Może lepiej jest nie pamiętać. Starła się nie pamiętać. Całą wiosnę spędziła z matką, starając się nie pamiętać, lecz nie można się odczyć z dnia na dzień tych umiejętności, które zapewniały przetrwanie. Nieustannie chowała rozmaite przedmioty – kapelusz, rękawiczki, torebkę. Nie mogła zostawić niczego na widoku, nawet we własnym domu, nawet we własnym pokoju utykała wszystko pod dywanami, pod poduszkami, przyklejała pod dnem szuflad. Pamiętała, że kiedy pierwszy raz jadły stek – gruby, soczysty stek – odkroiła i starannie zapakowała połowę, prosząc matkę o przechowanie, zaoszczędzenie na jutro, na kolejny dzień.

– Wielkie nieba, dziecko, zaoszczędzić? Mamy tego więcej, mnóstwo. Zjadłaś tylko kęs.

I rozplakała się, nie rozumiejąc, sądząc, że potrawa nie smakuje Kay, że dziewczyna już nie lubi kuchni swojej matki.

Kay starała się nie pamiętać, próbowała znowu być normalna, wpasować się w społeczeństwo – ale za każdym razem gdy ktoś na przyjęciu częstował ją papierosem, przypominały jej się własnej roboty skręty, które palili w obozie. Albo to, jak jeńcy cywilni przypalali papierosami japońskiego porucznika postrzelonego przez Amerykanów i wijącego się na ziemi; granat, którym zamierzał w nich rzucić, wypadł mu z ręki i potoczył się nieszkodliwie po ziemi, a jakiś amerykański szeregowiec podniósł go, włożył do hełmu i szybko się oddalił.

Starła się być normalna, ale różne drobiazgi, nieoczekiwane drobiazgi, krzyżowały jej szyki. Podczas kościelnego festynu roilo się od komarów, nie potrafiła ich zignorować jak inni. Nie mogła pozwolić, by siadły jej na skórze, nie potrafiła przekonać samej siebie, że nie przenoszą malarii, że nie potrzebuje chininy, która zabarwi jej skórę na żółto.

Miasteczko Mount Carmel się zmieniło. Nie, Mount Carmel zostało takie samo, lecz Kay Elliott się zmieniła. Nie była tamtą dziewczyną, która wyjechała do wielkiego miasta, by wstąpić do wojska, by zostać pielęgniarką. Kiedy w końcu usłyszała, w jaki sposób Stany Zjednoczone odzyskały tunel Malinta – że Japończycy zdetonowali materiały wybuchowe, bo woleli wysadzić się w korytarzach, niż się poddać – nie potrafiła podzielać ogólnej radości i świętować amerykańskiego zwycięstwa, jak należało. Zamiast tego wzdrygnęła się gwałtownie. Wiedziała, jak jest pod ziemią – tkwiła tam uwieczona tak długo. *Co za straszna śmierć.*

Przedłużyła kontrakt właśnie wtedy, gdy inni zwalniali się z wojska. Jej koleżanki, pielęgniarki z jej klasy, odeszły wszystkie, lecz armia była obecnie jedynym miejscem,

do którego pasowała. Wojskowe Centrum Medyczne Brooke'a w Fort Sam Houston, St. Elisabeths w Dystrykcie Kolumbii, Szpital Ogólny Lettermana w San Francisco, Centrum Waltera Reeda w Marylandzie. Odbywała szkolenia, gdzie tylko się dało. Tylko to jej pozostało. Tylko tyle z niej zostało.

Nie wszyscy przeżywali to tak samo. Wojsko to specyficzny rodzaj domu, wiedziała o tym – bez stałej lokalizacji, z oficerem dowodzącym zamiast ojca, przełożoną pielęgniarek w charakterze matki i bez dzieci – zawsze bez dzieci. Czuła się bezpłodna do szpiku kości – utraciła tę część siebie – lecz wiedziała, że nie ze wszystkimi tak jest. Nie było tak z Jo. Dostała list i już zarezerwowała sobie urlop (miała dużo zaległego, nigdy nie wykorzystała ani jednego dnia; mogła poprosić o tydzień, dwa). Wzięła wolne między obecną i kolejną misją, jedną i drugą instytucją, każdy szpital i każde łóżko były do siebie podobne. Jo pisała, że odszukała tamtego mężczyznę albo też on odnalazł ją – w każdym razie znów byli razem, wzięli ślub. Kay ominęło wesele w poprzednim roku. Odbyło się, gdy miała zmianę na anestezjologii. Nie mogła stracić ani dnia obchodów, nie mówiąc o całym tygodniu, jaki zajęłaby podróż do Szkocji i z powrotem. Nie chciała jednak przegapić chrzcina pierwszego dziecka Jo. Przyjaciółka uprzedziła ją, żeby zdołała wszystko zorganizować: napisała już w szóstym miesiącu ciąży. Dziecko jeszcze się nie urodziło, ale miało przyjść na świat w tym miesiącu, najpóźniej na początku przyszłego. Mąż Jo obiecał przysłać telegram, gdy tylko maluch się zjawi, z uroczystością postanowiono zaczekać na przyjazd Kay. Jeśli to będzie chłopiec, miał dostać na imię Johnny. Jeśli dziewczynka – Regina. A Kay wybrano na matkę chrzestną.

Znowu będziemy razem, po tak długim czasie. Znów będziemy silne razem – tak jak musiałyśmy się nauczyć być silne każda osobno.

Wyjrzała sekretarka, pochwyciła spojrzenie Kay.

– Panno Elliott, zapraszam.

Kobieta nacisnęła jakiś guzik, drzwi odblokowały się i Kay je pchnęła, by wejść do wewnętrznego biura, dusznego, w którym hałasował grzejnik.

– Dzień dobry, przepraszam, że musiała pani czekać, poprzednie spotkanie potrwało dłużej, niż oczekiwałem.

Zasalutowała i wymieniła uścisk dłoni z mężczyzną mającym rozstrzygnąć o jej losie. Usiadła.

– Nic nie szkodzi.

Paplał dalej o swoim znajomym na Pacyfiku. Poznał kogoś z Santo Tomas. Czy Kay słyszała o niejakiemu Karlu Thompsonie? Nie? A może nazywał się Thomas. Nie, chyba raczej Thomas Carlson, to bardziej prawdopodobne. Albo jakoś tak. Potakiwała, kręciła głową i unosiła brwi w odpowiednich momentach. Mężczyzna lubił perorować. Odchrząknęła, ale nie zwrócił na to uwagi, więc kiwnęła zachęcająco, a on nie przestawał mówić.

W końcu zaczął zwalniać jak nienakrecony zegarek. Przełożył dokumenty.

– ...zajęta, widzę, że była pani bardzo, bardzo zajęta. Dwadzieścia sześć tygodni pielęgniarstwa psychiatrycznego w Brooke... Dobry Boże, w tym upale, ni mniej, ni więcej, tylko w Teksasie... Pięćdziesiąt sześć tygodni anestezjologii tutaj, w Fitzsimons. Znacznie przekroczyła pani wymagania armii... Pochwała prezydenta, Brązowa Gwiazda

– mamrotał, przerzucając akta. – Widzę, że została pani awansowana o stopień. Wygląda na to, że będę musiał na poważnie tytułować panią „porucznikiem”, kiedy wiosną pozbędziemy się odpowiedników stopni. – Zaśmiał się konspiracyjnie, jakby to był żart, rodzaj gry, którą zaczną uprawiać. – Otrzyma też pani podwyżkę podstawy wynagrodzenia do... zobaczmy, ojejku, stu sześćdziesięciu sześciu dolarów miesięcznie. Nie wiem, czy sam tyle zarabiam. – Zachichotał ponownie, odsłaniając poplamione tytoniem zęby. – Do tego pięcioprocentowa premia za długą służbę plus wyżywienie, plus dodatek mieszkaniowy...

Dotarł do ostatniej strony i odwrócił ją, by się upewnić, że to wszystko.

– A co mogę dla pani zrobić dzisiaj?

– Słyszałam, że ma zostać otwarty szpital dla weteranów w Mount Alto.

W Dystrykcie Kolumbii.

– Owszem.

– Chciałabym tam służyć. Potrzebuję jednak pańskiej rekomendacji.

Spojrzał na nią bez wyrazu.

– Czuję, że pomogłam wielu chłopcom dotrzeć aż do tego punktu, i nie chcę ich teraz zostawiać.

Mężczyzna przygryzł dolną wargę, jakby powstrzymując się przed jakąś uwagą. Wiatr uderzył w okna, rozległ się cichy świst, który przybrał na sile i opadł. Wreszcie urzędnik się odezwał.

– Będę z panią szczerą. Nikt nie przeczy, że wy, dziewczęta, wykonałyście w czasie wojny dobrą robotę. Ale wojna się skończyła. Wojsko to męski świat. Ubiega się pani o stypendium w ramach ustawy G.I. Bill, lecz nie wiem, czy sobie uświadamia, że w ten sposób odbiera pani fundusze prawdziwym weteranom, mężczyznom, którzy naprawdę walczyli na wojnie. To z myślą o nich ją stworzono.

– Ja też jestem weteranem.

– Przepraszam panią – odparł, podnosząc głos – ale żadna kobieta nie otrzymała Bojowej Odznaki Piechoty, a moim zdaniem to rozstrzyga o tym, czy się jest weteranem.

Był wyraźnie wzburzony. Napił się wody, nie proponując niczego Kay, a kiedy odezwał się ponownie, w jego głosie słyhać było wymuszony spokój.

– Niech pani będzie poważna. Zrobiła pani, co w jej mocy, a nawet się odznaczyła. Nie sądzi pani, że pora znowu... przepraszam, że to powiem... znowu stać się damą? Rozumie pani: małżeństwo, rodzina i tak dalej?

Kay pomyślała przez moment o Aaronie, o dziecku, ale tylko przez moment.

– Wojna zabrała mi wszystko. Młodość, jedynego mężczyznę, którego będę kochać do końca życia...

Urzędnik prychnął głośno.

– No, co też pani – rzucił ironicznie.

– ...jedyne, co mnie trzymało przy życiu przez te wszystkie lata, to determinacja, by nie tylko przetrwać, ale wypełnić swój obowiązek jako pielęgniarka wojskowa. Jeśli mogłam zrobić cokolwiek... dla pana to może bez znaczenia... by pomóc otaczającym mnie ludziom, starałam się to zrobić. I chcę to kontynuować.

Wyprężyła się na krześle.

– Jestem pielęgniarką wojskową. – Skrzywiła się lekko. – Tym razem wiem, na co się decyduję. Jestem w tym dobra, w tej dziedzinie mogę działać najwięcej dobrego.

Odłożył teczkę i pióro, którym się bawił. Patrzył teraz na nią.

– To teraz moja walka. Małżeństwo, dzieci, nieważne, jak pan to nazwie, „bycie damą”... kiedyś być może miałam na to szansę. Ale jestem zawodowym żołnierzem. To jest moje życie, a dzięki swoim doświadczeniom mogę uczyć innych tego, co poznałam na własnych błędach. Mówi pan, że to męski świat, i nie jestem tak naiwna, by się z panem nie zgodzić. Ale – tu się pochyliła, patrząc mu prosto w oczy – jeśli ten męski świat kiedyś pięknie znowu, potrzebna będzie cała armia pielęgniarek, by go poskładać do kupy.

W gabinecie zapadła cisza. Nawet wiatr i śnieg ucichły.

Mężczyzna przyglądał się Kay w milczeniu kolejną chwilę, potem wolno pokręcił głową.

– I nie da się pani przekonać? – Podkreślił ostatnie słowo, z nadzieją unosząc brwi.

– Nie?

Spojrzał na ostatnią stronę jej akt. Sięgnął po pióro.

– Cóż, w takim razie – westchnął. – Na podstawie dokumentów, panno Elliott, zarekomenduję przeniesienie do nowego szpitala dla weteranów.

Z niewesołym uśmiechem podał jej formularz, wrzucił ramionami i wrócił do swoich papierów. Wyszła z biura, minęła sekretarkę zapatrzoną ze zmarszczonym czołem w maszynę do pisania. Jej obcasy stuknęły głośno o wywoskowane linoleum. Szła długim, antyseptycznym korytarzem pachnącym jak wszystkie korytarze w tym szpitalu, w każdym szpitalu, gdzie pracowała lub będzie pracować. Długie świetlówki brzęczały jej nad głową, jedna migotała spastycznie, żarząc się słabo. Kay przystanęła przed drzwiami z nierdzewnej stali prowadzącymi na piętra dla pacjentów, na oddziały szpitalne. Zerknęła niewidzącym wzrokiem na podłogę, zawahała się przez moment, wspominając przeszłość. Gwałtownie wypuściła powietrze, zdecydowanie obciągnęła zakiet, po czym szarpnęła drzwi i wkroczyła w przyszłość.

Podziękowania

Pisarz w rodzinie przypomina ospę wietrzną. Podobnie jak atak ospy napad twórczej pasji może nastąpić bez ostrzeżenia w dowolnej chwili – często nieodpowiedniej, a zawsze niedogodnej. Moja rodzina towarzyszyła mi cierpliwie podczas przydługich wywiadów, słuchała, jak opowiadałam w kółko te same historie („Ups, przepraszam, zapomniałam włączyć, czy mogłaby pani powtórzyć to jeszcze raz do mikrofonu?”). Bardzo często, zamiast oceniać zadania z matematyki albo odmieniać włoskie *verbi* z dziećmi, wyszukiwałam mało znane terminy medyczne po niemiecku, rozrysowywałam skomplikowane wykresy fabuły lub szkicowałam realistyczny świat, w którym miały zamieszkać Jo i Kay. O wzajemnym szacunku i wsparciu, typowych dla naszej rodziny, najlepiej świadczy to, że – tak jak sama wiele razy wspierałam jej członków w ambicjach, by zostać mistrzem kręgli, nauczyć się jeździć na monocyklu, przebiegać półtora kilometra w pięć i pół minuty albo spać na górnej pryczy na obozie letnim – kiedy postanowiłam napisać szczegółowo udokumentowaną powieść historyczną, ruszyli mi z pomocą, nie zadając zbędnych pytań. O ile w dzisiejszych czasach wielu ludzi szczepi się przeciw wirusowi *varicella zoster* i nie musi doświadczać tego swędzącego rytuału przejścia, o tyle dotąd nie znamy szczepionki chroniącej przed autorkami powieści. W tej sytuacji pierwsze i najważniejsze wyrazy wdzięczności muszę skierować do swoich bliskich. Kocham ich nad życie.

Zaciągnęłam ogromny dług wdzięczności u historyków i weteranów drugiej wojny światowej, którzy udzielili mi informacji na temat faktów oraz wyrażali opinie pozwalające stworzyć wiarygodny utwór literacki. Rekonstruktorzy okresu drugiej wojny światowej – szczególnie ci z namiotów medycznych – ożywiali historię na mój użytek. Gdy dowiadawali się o moich planach, pozwalali mi fotografować oryginalne wyposażenie oraz racje żywnościowe i ich dotykać. (Trzymałam w rękach ćwierćgranową ampułkostrzykawkę Queenie, tekturowe pudełko z penicyliną Jo). Książka Evelyn M. Monahan i Rosemary Neidel-Greenlee *All This Hell* (University Press of Kentucky, 2000) była nieocenionym źródłem dokumentującym los wojskowych pielęgniarek w obozach jenieckich na Pacyfiku. Jej znakomity odpowiednik *And If I Perish* (Anchor Books, 2003) z taką samą dbałością o fakty i szczegóły opisuje pielęgniarki, które wzięły udział w europejskim teatrze wojennym. Obie książki zapewniły mi gruntowną znajomość tematu, zachęciły do dalszych poszukiwań i rozbudziły we mnie pragnienie, by poznać weteranów z tamtej epoki. Chciałabym podziękować szczególnie dwojgu z nich. Evangeline R. Coeyman (podporucznik 59. Szpitala Polowego 90. Dywizji Piechoty), dobiegająca dziewięćdziesiątej wiosny życia i z umysłem ostrym jak brzytwa, odwiedziła ze mną dawny szpital polowy i pokazała co i jak, ucząc mnie wszystkiego – poczynając od postępowania ewakuacyjnego, kończąc na tym, w której części namiotu ustawiano aparat rentgenowski oraz jak pielęgniarki myły ręce przed operacją. Nie ograniczając się do przekazania wiedzy medycznej, promieniowała zaraźliwą dumą i entuzjazmem dla swojej pracy oraz kraju, które to uczucia nie osłabły przez trzy ćwierćwiecza. Dla mnie na zawsze pozostanie bohaterką.

Drugim człowiekiem, któremu chciałabym podziękować, jest Eugene Chovanes

(sierżant z 1123. Inżynieryjnej Grupy Bojowej). Gene, jeden z nielicznych żyjących do dziś weteranów ofensywy w Ardenach, dosłownie rzucił mnie na kolana i został moim ulubionym partnerem do swingu po wsze czasy. Jak cenny skarb przechowuję w pamięci nasze rozmowy o wojnie i o jego życiu. Nigdy nie zapomnę późnych wieczorów spędzonych w jego okazałym starym domu (gdzie wciąż mieszka ze swoją piękną wojenną żoną Claire). Zegar wybijał północ, pierwszą nad ranem, tymczasem Gene porównywał moją opowieść ze swoimi wspomnieniami wojennymi, ten świat z tamtym, który znał. Przeczytał przed publikacją cały rękopis, weryfikując fakty, co już niewiele osób dzisiaj potrafiłoby zrobić – „Tak właśnie było. Jak pani to robi? Skąd pani to wie? Nie tylko zna pani daty i miejsca, ale niuanse, atmosferę. To budziło właśnie takie odczucia, właśnie tak to było”. Zdałam sobie wtedy sprawę, jak bezcenne jest to doświadczenie – i jak niezastąpiona stanie się nasza przyjaźń. Dziś nasze życia przecinają się niczym kręgi w wykresach Venna, nakładają się tylko odrobinę – on był nastolatkiem w czasie ofensywy w Ardenach, ja jestem dorosłą kobietą z dwudziestego pierwszego wieku. Ale nasza przyjaźń jest nie mniej czuła, ponieważ jest jej sądzone trwać krótko. To radość i błogosławieństwo.

Branża wydawnicza to dziedzina biznesu, byłoby więc z mojej strony poważnym zaniedbaniem, gdybym nie podziękowała ludziom, którzy dostrzegli potencjał w mojej pracy i pomogli mi ją wypromować na polu, gdzie panuje ostra rywalizacja. Dziękuję mojej ciotce, dr Eloise Messineo, która jako pierwsza podsunęła rękopis Diane Volk, filantropce, aktywistce i mecenas sztuki. Diane jest moją osobistą lady Katarzyną de Bourgh (z *Dumy i uprzedzenia*) – to znaczy, gdyby lady Katarzyna była sympatyczna. Tak jak pan Collins nazywam ją swoją „protektorką” i zawdzięczam jej niemal cały swój sukces. Diane przekazała rękopis Greer Hendricks (do niedawna zatrudnionej w wydawnictwie Simon & Schuster, obecnie utalentowanej autorce), a ta przedstawiła mnie agentce literackiej Grainne Fox z Fletcher & Co, która sprzedała książkę Rachel Kahan z wydawnictwa William Morrow (imprintu firmy HarperCollins). Na zawsze pozostanę dłużniczką Rachel za to, że dała szansę debiutującej powieściopisarce – i że zrobiła to z tak wielkim entuzjazmem. To niezwykle utalentowana redaktorka i nie mogę się już doczekać długiej i wzajemnie satysfakcjonującej współpracy. Chciałabym także podziękować mojej literackiej pełnomocniczce Kim Scheffler za niezawodne przewodnictwo i rady.

Jak się zostaje pisarzem? Cóż, zwykle nauczyciele i mentorzy pierwsi dostrzegają, a następnie kultywują kielkujący talent i moja historia nie stanowi wyjątku. Jako pierwszym z tego grona muszę podziękować moim rodzicom, Salvatore i Marii (Chiaromonte) Messineo, którzy zapewnili mi bezpieczne i niezwykle środowisko, bym mogła rozwinąć skrzydła i przetestować swoją kreatywność. W latach siedemdziesiątych prowadzili szkołę w stylu Inicjatywy DHARMA, a ja rozkoszowałam się każdą spędzoną w niej minutą. I choć obecnie przyznaję otwarcie, że kluczowe dla rozwoju lata spędziłam na karmieniu myszokoczków, jeździe na trzykołowym rowerku oraz obsłudze olbrzymiego kinowego projektora, czas poświęcony na ów niezwykle eksperyment edukacyjny w późniejszym życiu okazał się bezcenny. *Głęboko zakorzenione przeświadczenie, że potrafię zrobić absolutnie wszystko.* Opanować język obcy? Urodzić

czworo dzieci (bez znieczulenia)? W wolnym czasie napisać powieść? Ani przez moment nie zastanawiałam się, czy zdołam dokonać każdej z tych rzeczy – wątpliwość nigdy nie zrodziła się w moim umyśle. Jeśli już, to przez całe życie byłam nieco zdumiona, że reszta świata tak po prostu nie rzuca się wraz ze mną w wir rozmaitych szaleństw. Skoro nie może się nie udać, co właściwie masz do stracenia? Za to właśnie wariackie nastawienie wobec życia dziękuję im z całego serca.

Chciałabym podziękować Carrollowi McGuire, który, gdy byłam wrażliwą licealistką, oświadczył mi, że pewnego dnia zostanę pisarką. Nie że mogłabym pisać, ale że zostanę pisarką. Różnica między jednym a drugim była dla mnie olbrzymia i przyjmowałam każde jego słowo jak prawdę objawioną. Czy miał niewiarygodny dar przewidywania, czy też było to – z mojej strony – samospełniające się proroctwo? Tak czy siak został najmilej widzianym prorokiem w moim życiu – człowiekiem, który dosłownie zmienił moją przyszłość – i pozostanę jego dłużniczką na zawsze.

Chciałabym też podziękować dwóm wykładowcom ze studiów (z DeSales University): dr. Stephenowi Myersowi i dr. Josephowi Colosiemu. Dr Myers, dziennikarz w głębi serca, dopingował mnie do coraz lepszego pisania, stawiając mi wyzwania (i dając nagrody) poprzez wysoki poziom swoich zajęć. Dr Colosi, choć nie był profesorem nauk humanistycznych, nauczył mnie, co oznacza Humanizm przez duże H, dlatego żadna opowieść o moich poszukiwaniach sensu oraz próbach jego wyrażenia nie byłaby kompletna bez wzmianki o tej postaci. Cofając się w czasie, muszę podziękować dwóm nauczycielkom angielskiego z liceum: Sharon (Wright) Winter, która zaznajomiła mnie z kilkoma spośród moich największych literackich miłości, oraz siostrze Jonathan Moyles ze Zgromadzenia Sióstr Chrześcijańskiej Miłości, której tę książkę dedykowałam.

Siostra Jonathan bardziej niż ktokolwiek miała mój los w swoich rękach i ta powieść z całą pewnością nie powstałaby bez pozytywnego wpływu, jaki wywarła na moje życie. Kiedy pierwszy raz pojawiłam się w prowadzonej przez nią drugiej klasie liceum dla uczniów wyróżniających się z angielskiego (miałam piętnaście lat i nie spędziłam ani jednego dnia w szkolnej ławce), zadała nam wypracowanie o jakiejś przeczytanej książce. Twórcza do przesady, wręczyła jej pisany wolnym wierszem poemat o pajakach. Nie będąc osobą skłoną do żartów, po lekcji wezwała mnie do siebie. Wciąż widzę oczyma wyobraźni, jak tam stoję – niezgrabna, niedoświadczona, w przekręconym szkolnym mundurku, bo wciąż jeszcze nie rozumiałam, o co chodzi w dziwnym świecie „prawdziwej szkoły”. Powtórzyła, że prosiła o wypracowanie, nie o wiersz. Na co spytałam: „Co to takiego wypracowanie, proszę siostry?”. Oto, drogi czytelniku, punkt zwrotny, od którego mogłam spędzić akademickie życie na zajęciach wyrównawczych albo też wystrzelić (jak się stało w istocie) ku pełnemu stypendium uniwersyteckiemu. *Co to takiego wypracowanie, proszę siostry?* Byłam albo najniegrzeczniejszą, najbezcelniejszą smarkulą, jaka postawiła stopę w jej klasie – albo, co niewiarygodne, piętnastoletnią uczennicą praktycznie nieznaną konwencjonalnej edukacji i niemającą pojęcia, co to takiego wypracowanie. „Akapit wprowadzający, część główna, gdzie rozwijasz tezę, i podsumowanie w ostatnim akapicie. Masz czas do jutra, Tereso, albo stąd wylatujesz”. Następnego ranka odczytała moje wypracowanie (o dramacie *Czarownice z Salem* Arthura Millera) na głos w klasie. Wciąż czuję, jak

płonęły mi policzki, ponieważ byłam pewna, że to upokorzenie stanowi zapowiedź końca mojej krótkiej kariery jako wyróżniającej się uczennicy. Kiedy skończyła, uczniowie spytali, kto jest jego autorem, na co siostra zażartowała, że ona. „Nie, żartuję”, przyznała po chwili. „To ta nowa z końca klasy”. Rozdała nam prace i, rzecz niesamowita, na mojej w prawym górnym rogu widniało 98 punktów oraz komentarz „Super!” skreślony czerwonym atramentem. Od tego momentu kroczyłam od jednego akademickiego sukcesu do następnego, nigdy nie oglądając się za siebie. Gdy po dwudziestu latach opowiedziałam tę historię siostrze Jonathan, wyrażając wdzięczność za drugą szansę, którą mi dała, podniosła mi ocenę o dwa dodatkowe punkty. Ta książka jest dla niej.

Na koniec dziękuję pielęgniarkom z czasów drugiej wojny światowej. Bez nich i bez ich bohaterstwa nie byłoby tej książki – a możliwe, że i naszego kraju. Długo ich historia pozostawała nieopowiedziana. Zbyt długo istniało powszechne przekonanie, że amerykańskie pielęgniarki nie odznaczyły się szczególnie w wojnie. To dla mnie zaszczyt pokazać, jak było naprawdę. Na ochotnika wzięły udział w wojnie, na którą większość mężczyzn trafiła z poboru. Zgłosiły się dobrowolnie, wierząc w ideały demokracji, wolności i niepodległości – w to wszystko, co przyniosło wielkość ich krajowi. A gdy te ideały zaczęły blaknąć pośród koszmaru wojny, kobiety te – choć przytłoczone ciężką pracą, odosobnieniem, więzieniem i głodem lub utratą wszystkiego, co było im drogie – trwały na posterunku, ponieważ były kobietami, istotami ludzkimi, i dopóki to było możliwe, zamierzały nieść ludzkie wartości w świecie, który oszalał.

Kocham te kobiety. Kocham ich historię. Z dumą – i pokorą – chcę Wam pokazać migawkę z ich świata.